





EMIL ZEGADŁOWICZ

MOTORY





Kodawemu

Andrzejowi Ciwoswarykowi
z wierszami

Łukasz

Łukasz
12. XI. 1970.

MOTORY

STEFAN ŻECHOWSKI

MOTORY

ILUSTRACJE
TOM PIERWSZY



MCMXXXVIII
WYDAWNICTWO „SIRINKS“
KRAKÓW — WARSZAWA — LWÓW

EMIL ZEGADŁOWICZ

MOTORY

POWIEŚĆ
TOM PIERWSZY



MCMXXXVIII
WYDAWNICTWO „SIRINKS“
KRAKÓW — WARSZAWA — LWÓW

Amc.u 1122/78



099.5
"Zegadłowa"

159197

=====
 Druk książki niniejszej
 =====
 UKOŃCZONO WE WRZESNIU TYSIĄC DZIEWIĘCSET
 TRZYDZIESTEGO SIÓDMEGO ROKU CZCIONKAMI
 DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE PRZY PLACU
 ZGODY L. 4. POD ZARZĄDEM ROMANA BEERA, SKŁA-
 DAŁ BOLESŁAW IGLICKI, TŁOCZYŁ MIECZYŚLAW
 DZIEDZIC, PORTRET AUTORA, GODŁO WYDAW-
 NICTWA, PRZERYWNIKI NA STRONICACH TYTUŁO-
 WYCH, INICJAŁY — RYSOWAŁ STEFAN ZECHOWSKI
 KLISZE ZDOBNICZE I ILUSTRACYJNE WYKONAŁA
 FIRMA FOTOCYNK, KRAKÓW, MIKOŁAJSKA L. 6.

Σ ό π λ ο τ

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU, TŁUMACZENIA
 I PRZERÓBKI ZASTRZEŻONE NA WSZYSTKIE KRAJE.
 COPYRIGHT BY EMIL ZEGADŁOWICZ

1 9 3 7



884-3 : 099.5 117 + 094/096

MS

099.5

11570



*O wy źródła Poezji! O nauczyciele!
O wszystkich innych wieszczów ozdoby i znicze!
Wesprzyjcie słabość moją, i niech sobie liczę
Za zasługę, że Prawdy szukał w waszym dziele.*

JEAN MORÉAS

(„Eryfila”)



inisterstwo sztuki i kultury było niespotykanym, wspianym bałaganem. Snobizm i komizm były jego — ministerstwa i bałaganu elementami zasadniczymi.

Panem Ministrem był wielki smakosz — lepiej będzie: koneser — poezji światowej z końca XIX wieku, znakomity redaktor hiperestetycznego, przez co nieco w linii niespokojnego — mówiło się: secesyjnego, pisma; świetny tłumacz Maeterlincka, Zeyera i stu pięćdziesięciu sześciu (i pół) poetów z nad Sekwany, Tamizy, Rodanu, Dunaju, Tybru i innych pomniejszych dopływów Wisły; znawca miniatur, prerafaelitów, malarstwa Moreau, Hokusaja, Utamary i t. p.— bojownik w imię hasła „sztuka dla sztuki“. Olbrzym zwalisty, nogi, ręce duże — siwa bródka i wąs po lewej stronie żółty od cygar; niegdyś łysy porósł z latami w kunsztowną i precyzyjną „pożyczkę“, to znaczy w zapożyczone z nad karku (morowy miał ten kark), długo i pieczołowicie hodowane włosy, które jakąś tajemną tynkturą trzymały się ciemienia i skroni. Pomimo wielce męskiej, zażywej, grubo-

kościstej postawy, przybrał pseudonim wdzięczny, subtelny, niewieści; a może właśnie dlatego; kompleks rekompensaty; głębokie oczodoły skrywały żywe, płomienne, entuzjastyczne oczy koloru przyćmionej stali. Oczy te wypatrzyły spuściznę Norwida i Hoene-Wrońskiego — wypatrzyły bystro i skutecznie. Zbiorowe dzieła obu tych autorów mają się ukazać w r. 1999 na zamknięcie XX wieku; wiek XXI obiecuje b. minister uczcić nowym odkryciem nowych sławnych poetów z t. zw. szkoły trojańskiej.

Lecz do rzeczy; p. minister zorganizował był biura na obraz i podobieństwo swej chimerycznej redakcji; to właściwie nie było żadne ministerstwo — to było coś więcej: to była filia przebrzmiałych kierunków, nurtów i prądów literacko-artystycznych. Zagadnienie nowego oblicza dziejów, patos nowej rzeczywistości, przyładzenie nowych dróg dla dźwięczących na widnokręgu kroków — nie! takimi głupstwami nie zaprzątano sobie głowy. Rozdzielano natomiast nagrody za poszczególne wiersze oryginalne i tłumaczone; organizowano dezorganizację i dezorganizowano wszelkie objawy samoorganizacji ze skutkiem przeważnie dodatnim.

Miło było w tym lokalu; bo to był lokal; dawna kawiarnia na zbiegu ulicy Ordynackiej i Nowego Świata — pierwsze piętro — okna duże — szyby wystawowe — jasno, czysto, obszernie; za miast stolików stały wprawdzie biurka (— całe ministerstwo zajmowało jedną długą salę z dwoma załomami — pozatem jeszcze osobno: biblioteka i gabinet ministra —) — dużo nawet tych biur — piętnaście albo osiemnaście — ale to nie przeszkadza

działo. Gawędziło się dobrze; zwłaszcza przyjemną atrakcją były drugie śniadania; przerywały one bezrobocie, które mogłoby z powodu zbytnej przewlekłości przemienić się w nudę.

Zaraz po zaangażowaniu Cyprjana — zaangażowaniu, powołaniu, mianowaniu z uposażeniem kategorii VII etatu płac, t. j. z pensją zasadniczą mk. 6.300, wojennym dodatkiem ekonomicznym mk. 4.500 oraz przysługującym z mocy ustawy z dn. 28 lipca b. r. (Dz. P. P. P. nr. 63 poz. 3777), nadzwyczajnym dodatkiem drożyznianym w kwocie mk. 3.840, czyli razem mk. 14.640, wyraźnie czternaście tysięcy sześćset czterdzieści marek — zaraz więc po tym mianowaniu — Stanisław Rzykowski, starszy referent w wydziale teatrów, dawny znajomy i przyjaciel Cyprjana jeszcze z czasów wielkiej wojny, sławny poeta, członek redakcji organu p. ministra, autor niewydanego wtedy jeszcze tomiku poezji — dopiero zresztą przekraczał pięćdziesiątkę, co dla uczniów szkoły p. ministra, rozwijającej się sub speciae aeternitatis, było wiekiem niemowlęcym — zapowiedział Cyprjanowi, że ma on być prawą ręką ministra. To był jedyny (urzędowo) przykry moment w tej bezmała trzecholetniej karierze ministerialnej Cyprjana.

Bezpośrednim jego przełożonym był wielki uczyony, znakomity poeta-tłumacz Dantego, Byrona, pieśni ludowych, Calderona — romanista wysokiego stylu. Człowiek najlepszy pod słońcem; mały, włos na jeża, ciągle czymś zaafierowany; nieśmiały; lęśliwy, rumieniący się jak panny w dawnych, zamierzonych czasach; one już wtedy nie, a on jeszcze wciąż. Wielki znawca i miłośnik języka, całymi godzinami

poprawiał i przerabiał „pisma“ referentów; pomagał mu w tym wydatnie Stanisław Rzykowski (— sławny był ich spór i dyskusja nad tym, czy ma być ministerstwo, czy ministerium; po wielu debatach zgodzili się, że jedyna właściwa i z duchem języka zgodna forma, to „ministerium“; wobec tego przyjęło się „ministerstwo“); zanim więc taki skromny zresztą „koncept“ pp. referentów z zawiadomieniem o przyznaniu subwencji, subsydium, stypendium, przydziale węgla takiej to a takiej szkole przemysłu artystycznego, zakupu autografów, bibliotek, nut, rysunków, medali, obrazów — dotarł do ministra, był już wyretuszowany, wykorygowany, spuryfikowany i opracowany tip-top — stał się, słowem, wzorem — jak owe litografowane na grubym kartonie wzory dorodnej kaligrafii z lat naszej wczesnej młodości. — A przecież i tak zdarzało się, że p. minister jeszcze jakąś niedokładność zauważył, jakieś niedociągnięcie, jakąś skazę w tym kryształ. Wielki romanista, który był ogniwem pomiędzy ministrem a całą resztą, zarazem więc i gromochronem — rumienił się, wstydził, tłumaczył, zabierał straszny papier, siadał przy biurku i podparłszy skołataną głowę, kreślił, wykreślał, dopisywał, poprawiał — całą, o szlachetności! winę sobie przypisując; — przeciwnie, Rzykowski, ten wszystko spychał na referenta ciamajdę i nygusa.

Dzisiaj wydają się te dywagacje i perypetie prawie drobiazgowością i może nawet przesadą — lecz, proszę was, spróbujcie napisać nieskazitelną polszczyznę, a przytym jako tako rozsądnie, że „w odpowiedzi“ lub „odpowiadając na pismo z dn.“,

„z uwagi na wyczerpanie budżetu z poz. b“, „powołując się na art. 2. poz. d., zawiadamia ministerstwo“ — proszę bardzo! spróbujcie, no i tak, żeby splendor sławetności ministerialnej nie został nadwyrężony! to nie śpas!

Cyprjan (p. ministrowi bardzo się to imię podobą — „nawet w ministerium mam Cyprjana, — miał, — tyle tylko, że nie Kamil“) — pracował w wydziale literatury; — naczelnik wydziału, onże romanista i tłumacz znakomity — po kilku miesiącach dość żmudnej hodowli młodych referentów — zrezygnował z tej posady i skwapliwie pierwszym pościągami wrócił na katedrę uniwersytecką, gdzie czuł się bezpiecznie, potrzebnie i użytecznie. Fałt został sam w „charakterze p. o. naczelnika wydziału literatury“ — sam, opuszczony, bez dyrektyw, bez prac i bez zajęć; — na szczęście Stanisław Rzykowski — przyjaźniący się od wieków z panem ministrem, stąd też „wicem“ zwany — postawił nagły wniosek, sążniście umotywowany, że w jego wydziale — a był to wydział teatrów i widowisk — musi być bezwarunkowo referent; nawał pracy — sam, proszę panów, spis teatrów, dyrektorów, aktorów, maszynistów, suflerów, rekwizytorów, to praca na lata! jeśli to ma być porządnie zrobione, a inaczej przecież nie warto; jeden człowiek nie da rady; zagubi się, a reprezentacja? — to mi zabiera wszystkie czas, zresztą mawiał: „moi aktorzy, to banda, którą trzeba krótko trzymać“. — Wniosek przeszedł na radzie ministrów jednogłośnie; tylko minister komunikacji zgłosił votum separatum; lękał się, że ministerstwo sztuki i kultury zażąda wagonów dla teatrów objazdowych;

i tak z wagonami kłapa, skąd brać? — a nikt tak inwentarza nie niszczy, inwentarza resortu kolei, jak cyrkowcy. Nie posiadał subtelnego ładu rozróżniania; zbyt widocznie mieszał teatr z cyrkiem, czym niewątpliwie krzywdził cyrk; nie zdawał sobie z tego sprawy; więc należy mu wybaczyć — niemniej rzecz to przykra; — p. minister s. i k. (sik) wygrał na całej linii — lecz posiedzenie rady ministrów opuszczał z dyzgustem; brak kultury bliźnich napelniał go melancholią.

Zaangażowano rychło poetę Mikołaja Srebrnispisanego, naonczas recenzenta teatralnego jednego z pism warszawskich. Miejsca już w tej kawiarni nie było — więc zestawiono dwa biurka plecami do siebie — dwa wąskie, ad hoc zamówione biurka; przy nich spotkali się ci dwaj, koledzy przecież ongi z wyższych klas gimnazium parafii księdza Pyłka, sławnego z niepospolitej głupoty w całej Rzeczypospolitej. To łączy. Odtąd przez dwa lata siedzieli z sobą twarzą w twarz: Cyprjan i Mikołaj. Obaj nieśmiali — przewyciężyli ten uraz w sobie: zaprzęjażnili się; nieufność wzajemna stała pod ciepłym tchnieniem uczucia; wspólny przybiurkowy, ministerialny los — też dopomógł. Teraz już o nudzie mowy nie było! — po przeczytaniu rannych gazet — przysgwarzali, jak starzy krajanie, o poczji i polityce, co w ustach poetów na jedno wychodzi — trochę patrzyli w okno na żywy i ustawiczny ruch na Nowym Świecie — istotnie ruch był duży, bo zawsze w tym miejscu jest duży, są takie miejsca uprzywilejowane w miastach — ; — tak schodził szybko i mile czas do drugiego śniadania.

Mikołajowi, który przechodził w młodości malarzę, a wogóle był niedokrwesty, blady, z dużymi sińcami pod oczami — było stale zimno; przy tym neurasteniczny lęk przed przedmiotami szorstkimi: bibuła, gazety, ściana, podłoga zdeptana, niektóre gatunki materiałów ubraniowych — wszystko to wywoływało dreszcze i gęsią skórkę; stale też drżał. Za namową Cyprjana przyniósł sobie do biura pled i szczelnie się nim okrywał; nieco pomogło; Cyprjan się radował: „wiesz, nie dość że ministerstwo, jeszcze marzył będziesz? — tegoby tylko brakowało! — ale ci lepiej? no to fajno“. Od pory wczesnej jesieni poczynając, gdy dżdże i wilgoć dawały się we znaki — wznowili zwyczaj zacny i higieniczny dolewania do herbaty — tak ot, na cztery palce, spirytusu; raz że to mierzławe zimno, drugie że szprotki, które kooperatywa ministerstwa sprowadzała w ogromnych ilościach, były niezbyt strawne; alkohol rozpuszcza tłuszcze. Napitek był zdrowy, smaczny, lecz nieco tęgi. — Koledzy obok dziwili się, że ci dwaj poeci tak jakoś wilgotnie bledną przy tej herbacie i nazbyt donośnie wymieniają ze sobą poglądy na tematy abstrakcyjne. Zapach zdradził; rzecz się wydała! — Wszyscy mieli im za złe, że się tak niekoleżeńsko z tym kryli, że to przecież pomysł klasa! — Odtąd śniadania urzędników Msiku pełne były wigoru i fantazji. Około godziny dwunastej rósł teraz w lokalu wesoły gwar, zdrowy śmiech górował i polatywał ponad stroskanymi mózgami jak ten gołąbek nad cuchnącym muliskiem wysychających wód. Wesoło było. — Przechodnie zadzierali głowę, przystawali na ulicy — co to w tej kawiarni tak wesoło — ? — Czasem kogoś,

kogo gniotły smutki i desperacja, skusiło i zaszedł — niebaczny, że przecież napis brzmiał: „Ministerstwo“ a nie „Kawiarnia“; z początku woźny (lokaj p. ministra, pełniący tu służbę) przypuszczał (to był Litwin), że to jakaś „strona“ wchodzi, petent; więc szybko i szeroko otwierał drzwi. Lecz, bystry, orientował się prędko i odprawiał takie coś z sakramentalnym: „tu, rybeńko, ministerium, panie; kawiarnia? — kawiarnia naprzeciw, złotko ty moje, tu, rzekłszy już, ministerium“.

Najbliższym sąsiadem tego wydziału literatury i teatru był Leon Chrzan, reprezentujący samodzielnie choć z ograniczoną odpowiedzialnością wydział prasowy. Zażywny ten młodzian, krępy, typ ormiański, zabójczo przystojny, w garniturach skrojonych ef ef, kochał się w kolorze brązowym; krawatki jego to były poematy stosowane! — Zadaniem jego, przewidzianym mądrze „regulaminem rozkładu prac“, było czytanie stert gazet i pism i podkreślanie czerwonym ołówkiem wzmianek, które dotyczyły ministerstwa sztuki i kultury, a które tenże wydział prasowy w osobie Leona Chrzana dnia poprzedniego prasie rozesłał. Praca tego referenta nie budziła (w nim samym) entuzjazmu, była bowiem bez niespodzianek. Co mi to za rozrywka czytać piętnaście, a choćby i dwadzieścia razy, że „p. minister s. i k. uczestniczył wczoraj w odsłonięciu tablicy pamiątkowej na ścianie domu Nowolipki 68, w którym w przejeździe do Drezna mieszkał Jan w Oleju, Barnaba Ćwiek, przyjaciel bratanka C. K. N. w r. 1874 od dn. 18 — 19 stycznia“ — ; to ważne ale to się znudzi już po szóstym czytaniu. — Ostatecznie: gazet było dużo, pracy

mniej. Przewrotny i oszczędny Chrzan nie przysparzał jej sobie lekkomyślnie; mawiał też: „gdyby nie za chłanność panów kolegów, starczyłby mi czerwony ołówek na jakie dziesięć lat“. Mówiąc tak wykazywał sposób myślenia globalny i historyczny; ołówek byłby przeżył Msika; to nie byłoby sprawiedliwe. Słuszne też było, że ten ołówek „nie starczył“ — za sługa to wydziału plastyki; panowie w nim zasiadający chętnie sobie coś tam w godzinach urzędowych rysowali — akty kobiece zwłaszcza (— wśród zapisków Cyprjana znajdują się istotnie dwa akty sygnowane, jeden S. D., drugi J. S. —), często też dla podbarwienia tła lub karnacji ciała ściągali zewsząd ołówki.

No i jeszcze wydział muzyki! (biurka tuż przy wydziałach literatury, teatru i prasy). Trzech panów: naczelnik wydziału (biurko wysokie, zasuwane na drewnianą żaluzję, typ amerykański — wszyscy naczelnicy wydziału mieli takie biurka, oraz drewniane krzesła na sprężynach; można się było chojdać do woli; tyle tylko, że piszczały okropnie, zwłaszcza to Rzykowskiego było jak cała niestrojna orkiestra; biurka referentów to były takie stoły typu diplomatique — skromne, ósmej i siódmej kategorii) — więc w tym wydziale muzycznym: naczelnik wydziału i dwóch referentów, jeden od muzyki dawnej (archiwariusz), drugi od muzyki nowej. Naczelnik wydziału, przystojny, starszy pan o pięknej, falującej, siwej czuprynie i nieco artretycznie zaczerwienionym nosie — był specjalistą od pieśni ludowych, od ich akomodacji na gust i potrzeby sfer wyższych: estrada, koncert, mezzosopran; pięknie to robił, kun

sztownie i wdzięcznie. Żył w szczęśliwym, lekko zastraszonej sojuszu z którąś tam z rządu żoną — piękną, chłodną, nieco groźną damą ukoronowaną bujną, pszeną fryzurą. Poza tym cierpiał na chroniczną obstrukcję; narzekał też na nią często; zrozumiałe. Zaraz też po przejrzaniu dość niecierpliwym gazet, zapożyczonych z wydziału prasowego — zniechęcał na godzinę i dwie w ministerialnej wygodce. Z początku przeszkadzano mu zbyt natarczywie nie delikatnym domaganiem się wpuszczenia — później zorientowali się wszyscy i szanowali to przyzwyczajenie podyktowane koniecznością. Po wielu kwadransach osamotnienia (p. minister był łaskaw często żartować, że ten p. „naczelnik umie przysiedzieć fałców“; „spisuje się mi muzyka“; — nie używał słowa: „wydział“, lecz zawsze patrofamilijnie: „moja muzyka“, „moja literatura“, „moja plastyka“ i t. d.) — wychodził p. naczelnik rozradowany i promieniący — a zawsze z jakimś nowym pomysłem kompozycyjnym; nie lubił czasu marnować. Czasem słyszano nucenie i pogwizdywanie z poza drzwi ubikacyjki — wtedy cichli wszyscy i porozumiewali się wzrokiem, w którym było zadowolenie i poczucie dumy: „komponuje“! — Co łatwiejsze i żywsze kompozycje przyjmowały się rychło na sali ministerialnej — kolportowane i wćwiczone przez referentów muzyki, więc z dużą fachowością; to wzbudzało ufność. — Przez kilka pięknych zimowych miesięcy — gdy wiatr za oknami śmieje się, huczy zadympka i zawierucha, płaty śniegu zabielają wysoko okna porośnięte lodowymi paprociami, palmami i fantastycznymi wodorostami, a przechodnie szybko

prują zimną tafłę powietrza — tu ciepło, zacisznie, przytulnie jak w szlacheckim dworku Miłaszewskiej — śpiewali sobie urzędnicy składnie unisono i na głosy — na szczęście, na zdrowie siedzącego w wy-
czekującej samotności kompozytora, najczęściej pew-
ną piosenkę ludową, pięknie zharmonizowaną jak
naprzykład ta pieśń, będąca czymś w rodzaju hymnu
narodowego Msika:

— — *słu—uchaj Maryś, coś ci powiem,
mta — dana, dana — da —
wysmaruj se dupe łojem,
mta — dana, dana — da —
by, gdy wejdzie ciało w ciało,
mta — dana, dana — da —
żeby bardzo nie skrzy — pta — to
mta — dana, dana da — —*

Uroczę i pamiętne momenty życia!

W wydziale plastyki znów dwu referentów
i naczelnik (oczywiście) wydziału, o którym pod on
czas nikt nie wiedział, że nie obrazami swych bogów
słowiańskich, lechtających kolorowością swą i bojo-
wym animuszem megalomanię narodową, lecz strza-
łami rewolwerowymi w Zachęcie Sztuk Pięknych
wslawi swe nazwisko. Suchy, wysoki, twarz ostra
z blond bródką, skład głowy (jakby się dziś rzekło)
nordycki, Szwed czy Norweg — jakby przed chwilą
wrócił z wyprawy polarnej na foki, wieloryby, ping-
winy, białe niedźwiedzie; — witał się z wszystkimi
bardzo grzecznie, swoistym gestem wyrzucał dłoń
od piersi; spojrzenie czyste, niebieskie zpoza złotych
okularów (— zawsze ta biała ropna plamka w przy-

nosowych kątach oczu —); wróg ówczesnego reżymu ekspresjonistycznego, kubistycznego, dadaistycznego — tylko Matejko, tylko Grottger, tylko Gieryski, Rodakowski, Chełmoński, tylko ojczyzna, tylko Polska, tylko orzeł biały — organizator, fanatyk, wizjoner nieszczęsny: Eligiusz Niewiadomski.

Przy pomniejszych biurkach referencko urzędowali: od sztuk plastycznych w ogóle, Jan Nicki i „oficjał tam i z powrotem“, mąż ponury trzy razy starszej od siebie żony, specjalista od sztuki dziecka Łukasz Wypiszczyk. Dzięki temu Łukaszowi, bardzo zresztą zdolnemu rysownikowi lecz straszliwemu nygusowi, wydział plastyki miał najbujniejszą klientelę — za wszystkie inne wydziały; sztuka dziecka! więc: matki geniuszów i geniuszek — to znaczy wszystkie matki! — Chadzał ten pan oficjał (on się sam tak nazywał) Wypiszczyk w czarnym stale turkurku po kostki, takim samym, w jakim synowie Noego Set i Jafet składali bratowej swej wdowie po Chamie wizytę kondolencyjną. Kołnierzyk wysoki na jakie dziesięć centymetrów, krawatka krowie z pod ogona wyciągnięta — z tyłu wyrastająca nad ten kołnierz, z przodu zwichrowana w niekształtny wisielczy sznur obłąkańca; przytym straszliwie chudy, ślepie wielkie, wybaluszone, pływające w białkach jak w kwaśnym mleku; straszyl; był duchem tej zaminiestrzonej kawiarni; upiorem. Przerazającymi pomysłami, spisywanymi sucho i rozwlekle, zamęczał siebie, ministra i podsekretarza stanu.

Bo był podsekretarz stanu; a jakże; przecież to było normalne ministerstwo. Ach, to był klawy chłop!

Filatelista! Podróżnik! — Czerstwy, ślicznie siwiuteńki, na biało, całkiem na biało; broda rozdzielona środkiem, elegancka, czule pielęgnowana. Jedno tylko: wieczna chrypa (umarł potem na to) i częste czeraki na karku, co utrudniało mu jakikolwiek zwrot głową — syczał wtedy — sss, aaa, psiakrew —. Architekt z zawodu; budował dużo — stoi taki kamienny bankbarbarak w Warszawie z przycupłymi u góry orłami; ubranie nieco zaniedbane; gustownie zaniedbane; ale krawat! —: wspaniały motyl; — ale kapelus! —: czarny, miękki, szerokorondny, borsalino! prawdziwy borsalino! — Gdy tak kiedyś razem z onymże Wypiszczykiem (też borsalinowcem; ale to już była krajowa imitacja) wyjechali na ważną inspekcję ministerialną po Polsce — radość była patrzeć na tych dwóch szeroko i czarnorondnych urzędników; wysokich urzędników: — wtedy to Leon Chrzan zakreślał w każdej gazecie czerwoną obwódką fotografie tych dwu panów z napisem: „wiceminister s. i k. wraz z sekretarzem na inspekcji w Kutnie, Łucku, Suwałkach, Tarnopolu“. Raz w zbytniej gorliwości, i że mu się tak już w oczach ćmiło, zakreślił fotografię dwóch cowboyów, którzy przybyli do Polski na gościnne występy; prawdziwi cowboye z Tarnobrzega. Pomyłka była niemiła, lecz skończyła się szczęśliwie bez dyplomatycznych interwencji.

Pan wiceminister miał kupę dzieci — dziewięć może? — coś koło tego; „zaopatrywał się“, znaczy: kupował wiktuały we współdzielni ministerialnej; jak już wiemy była taka kooperatywa, sklepik znajdował się obok w. c., właściwie to nawet dawniej za czasów kawiarni było to w. c. dla pań; mi-

nisterstwo było koedukacyjne. Jeden z urzędników, dyrektor kancelarii, malarz i mistyk, wypełniający czas urzędowania rysowaniem tuszem na kartonikach hipnografów „hajwuszi“, zapomocą których można się samemu wprowadzić w trans (wszyscy próbowali z niezadawalającym jednak skutkiem) — zarządzał tą kooperatywą; czasy były ciężkie; ciężnięto pasck jak cholera; tu było rzetelniej i taniej. Nie pierwszej jakości były tu śledzie, piklingi i szprotki, herbata z ostrężnic wcale dobra, cukier, sacharyna, madepołań (1), makaron, jakieś tłuszcze amerykańskie z małą — mówiono, inni — że z wieiórek.

Wiceminister wszystko to kupował. Dyrektor kancelarii, wywijając świeżym hypnografem, żeby prędzej sechł — perswadował dobrotliwie przełożonemu, że to a to może nie całkiem, i nie świeże zdaje się, w ogóle jakoś nie tego; przełożony wypalił: „wsio ryba, no to będą mniej żarli, jak im nie będzie smakować“, wymawiając to zgrzebne zdanie widział w myśli rozdziawione dzioby w rodzinnym gnieździe;—w takich wypadkach wszelka perswazja ustaje.

W tej chwili przypomina sobie Cyprjan, że dnia któregoś rozwiedziona żona jednego z wielkich pisarzy, staruszka (tak się mu wtedy zdawało) z obwisłymi, trzęsącymi się policzkami, z jednym zębem dużym i żółtym, która także w tym ministerstwie pracowała — choć już i niespełna rozumu była — podeszła do Cyprjana i, wskazując wiceministra sprzeczącego się z dyrektorem o cenę fasoli, rzekła szeptem: „ten musi mieć jaja jak byk“ — do dziś dnia nie wiadomo dlaczego tak powiedziała i co jej

takie przypuszczenie nasunęło; zapytać wtedy nie mógł, bo podreptała dalej — w czarnej po obcasy sukni i w jakiejś staroświeckiej jupce bufiastej z kołnierzykiem wysokim z przodu spiętym szercką broszką przedstawiającą dwie ściskające się dłonie.

Było jeszcze innych urzędników sporo, bo to i wydział konserwatorski i dyrektor kancelarii — znamy go już — od niego otrzymywało się kontyngent bloczków, ołówków, stalówek i obsadek, czasem linijkę też, suszkę wreszcie zapasową; taki rodzaj sklepu z artykułami piśmiennymi; tyle że za darmo; bo rządowe! — on również rozdzielał deputaty: to małpie, czy wiewiórcze sadło, kawę, herbatę, cukier i t. d. — tym się handlowało na mieście; — był i sekretarz generalny, hrabia, panie święty, wydział rachunkowy, wicesekretarka, stenotypistka, bibliotekarka (krewna ministra), woźni, najpierw jeden ten Litwin, zaraz potem jeszcze dwóch i gońców kilku. Wzięcie; szyk; fason. Rodziła się wielkomościarstwo. To się czuło!

Takie oto ministerstwo. Niewielu interesantów: życie spokojne. Przychodziło się o dziewiątej, wychodziło o trzeciej; to trzeba było; za to płacili. O tej popołudniowej godzinie dawał hasło Stanisław Rzykowski: „wysączmy się z tego ansztaltu“ — inni mówili: „spuśćmy się z łańcuszka“. — Cyprjan z Miłkołajem szli zaraz po obiedzie do antykwariatów na Świętocrzyską; szperali w drukach i książczynach: wtedy właśnie „pękły“ dwie biblioteki prywatne a zacne: Przyborowskiego i Gomulickiego.

Cyprjan puszczał na to całą pensję. — Wisi nie posyłał nic. To też nie było w porządku. Niejedną

ciekawą książkę udało mu się załapać; szpiegowali się w tym fachu z Rzykowskim i przechytzali wzajemnie.

Raz na kwartał była robota sakramencka w tym Msiku; akurat padła na Cyprjana; inni się jakoś wymigiwali — a on piśmienny właśnie i najmłodszy; taki zawsze cierpi. Mógłby jeszcze Mikołaj — lecz raz że mu tak zawsze zimno było, po drugie tak umiał spojrzeć jakoś daleko, nieobecnie i nieprzytomnie, jeśliby mu się naprzykład zaproponowało referat jakiś czy memoriał, że odchodziła ochota wszelka, nie kończyło się zdania i wycofywało na palcach nieomal i tyłem — taki sobie człowiek samemu wydał się nagle bezczelny i grubiański; i każdy tak to wyczuwał bez wyjątku — minister, woźny — obojętne. — A w tej kwartalnej robocie szło o to, że trzeba było przygotować dla ministra na posiedzenie rady ministrów — sprawozdanie z czynności dokonanych prac i „plan zamierzeń“ na następny kwartał. — To nie byle co! — Zebrać materiały od poszczególnych wydziałów? — Oczywiście; lecz to nie wystarcza, tego bowiem, bogiem a prawdą, nie będzie więcej niż na dwie, trzy stronicie; maksimum; a tu trzeba co najmniej dwadzieścia pięć; im więcej tym lepiej. Powaga instytucji państwowej tego wymaga. — Był to więc autentyczny problem twórczej pracy. Szereg pozycji należało po prostu wyssać z palca, inne nadmuchać i podszyć wiatrem, inne ubarwić na rumiano, hożo i dziarsko; byle z życiem! — Pierwszy raz szło to niemrawo i ciężko; jak to pierwszy raz; lecz później nabrali Cyprjan takiej wprawy, że zapisywał dziesiątki stron; powieść p

prostu; były to jego egzercycje stylistyczne oraz do wód co może wyobraźnia; bardzo mu się te umiejętności przydały później. — Najsilniejsze, najpiękniejsze, najbujniejsze były stronic poświęcone „zamiarzeniom“ — poematy! — Na kartkach tych sta wało się ministerstwo rozsądnikiem dalekonośnych idei — działało mądrze i „odgórnie“, we wszystkie obawy życia wchodziło na prawach przodujących: konserwowało, budowało, segregowało, uczyło, pro wadziło, budziło entuzjazmem do dobra i piękna (kalkagatia), kształciło podnosiło! — W każdym województwie, w każdym powiecie, mieście, wsi i domu znać było błogosławione skutki obcowania wszystkich wydziałów; podnosiła się kultura, rosło rozumienie sztuk wszelkich, zwiększała się z dniem każdym podaż dóbr duchowych, ledwo mogła nadążyć szlachetnemu i niecierpliwemu popytowi. Wspiera niale! — Polska przemieniała się w Wielką Utopię, promieniającą na cztery strony świata! Hegemonia wysokich spraw w jej była szczodrych rękach.

Dzięki tym pracom i tej umiejętności stał się Cyprjan użytecznym członkiem Msiku. Był specem. Towarzyszyła mu odtąd sympatia kolegów i zaufanie ministra; wreszcie dowiedział się co to znaczy być czyjąś prawą ręką. Pomimowoli i niejako z urzędu stał się wizjonerem kwartalnym — ale zawsze.

Słowo wizja nasuwa Cyprjanowi wpatrzonemu w ścianę szpitalnego pokoju, którą przesuwają się projekcje dawnych filmów — postać ukochanego artysty, boga wszechmogącego wizji architektonicznych, najcudniejszego człowieka jakiego spotkał w życiu: Stanisława Noakowskiego.—Zachodził dość czę-

sto do Ministerstwa, wielki, tłusty, zwalisty — w uśmiechu i spojrzeniu nieśmiałym: święte dziecko. — Rzekło się — poprawia Cyprjan myśl: człowiek! — a to przecież była przyroda sama, drzewo dorodne, zrzucające liście, kwiaty i lotne ziarna: a to były te karty wizji, duch architektury szczodry, lotny, niezrównany, nieomylny. Wielkim darem życia jest możność, ta sposobność szczęśliwa, to przydarzenie wzniosłe: uściśnienie spracowanej dłoni, która wierzom kształt wierny i wspaniały nadaje; darem i błogosławieństwem; i nauką też i najlepszą nowiną, że szczęściem jest radość pracy. — Tego uczyłeś każdą minutą swego życia, wielki poeto! dobry dniu ludzkości!

I jeszcze: dwa razy minęła biurko Cyprjana otulona wielkim szelestem karakułowego płaszcza wysoka, wspaniała pani — do ministra w sprawach teatru — sławna, wielka w słowiańczyźnie artystka — : Kraków—Poznań—Warszawa—Leningrad—Moskwa—Kijów—Białogród—Zagrzeb —

Powietrze pomiędzy smugą jej palladowego przejścia a referenckim biurkiem wyszklilo się taflą szyby, poza którą wyraźny uczynił się obrót ziemi od owego przedmarysinego dnia ku dniu dzisiejszemu — i.....

*...nad lądem i nad morzem
noc gęsta — długa — głęboka —
— wśród domostw śpiących idzie
Atena sowiooka ...*

· · · · ·
Raz jeden ex re tych kwartalników ministerialnych wyniknęła scysja, prędko zresztą załagodzona.

Tknięte światłem mgły, opary i wybrygi rozbitych na miazgę drobin wodnych — zadrgały nagle: przeciągły, przejmujący tren.

Szum był jeszcze wciąż bardzo blizki, a te dźwięki szklane i wątle — dalekie.

Na strome skały Kaukazu padły pierwsze promienie słońca. Kontury szczytów przypominały rozpiętą postać ludzką. Ponad nimi wiatr gnał na północ samotną, czarną chmurę; kształt jej przypominał orła.

Teraz dopiero nacichać począł szum, a równocześnie wzmagała się i wyrażniała melodia, pod której czarem przemieniała się przestrzeń, a czas stawał się posłuszny i przyjazny jak stary, wierny pies.

Zanim zaczęły się wydziwiać te nieprawdopodobności, które kiedyś przed wiekami (a choćby przed dziesiątkami lat, a choćby przed rokiem, przed miesiącem, tygodniem, a choćby przed kilku godzinami — czyż to nie wszystko jedno — ? —) były tym, co zwykło się zwać rzeczywistością — nastężyło się zwyczajne i nieponętne wcale, zwłaszcza, że zaraz z jakimś przypomnieniem gazeciarskim połączone niechlujnie, stwierdzenie, że to wcale piękna rzecz ta Grecja! — no, nie dzisiaj; powiedzmy raczej: nie — chociaż przecież i ten król i ten plebiscyt wzorowo terrorystyczny — zawsze to coś jest; skrzyżowanie interesów angielskich i włoskich, i kto będzie nad tym dardanelskim Wschodem panował — itd. — Venizelos umarł, monarchia sprawiła mu pogrzeb z szykanami co się zowie! — laweta, sztandary, strzały armatnie — wszystko w porządku! — Tsaldaris i Kondylis płakali jak dwa rutynowane bobry; tak pisały dzienniki monarchistyczne, a im można wie-

rzyć. — Lecz czy to wszystko właściwie Grecja? —
chyba nie; — raczej to:

— *ostatni nitki promień na marmurze kona,
zatrzymał grot swój drżący na świątyni dłużej
i zda się kuć na fryzie dystychy Byrona —*

Na Zeusa! — to było piękne — Kefalonia! Mis-
solunghi! — i owo przepłynięcie w stylu klasycznym
wodnej trasy Hero — Leander; poeta, kuternoga —
a jednak! — Byron: niedonoszony Faun z jedną ca-
pią nogą!

A w głąb? —: obrona Sokratesa:

— Sokrates fesin adikein tous te neous diafthei-
ronta kai theus, hous he polis nomidzei, ou nomi-
dzonta, hetera de daimonia kaina —
gorszyciel kochany! mistrz akuszerii myślowej! — i:
pochwalona bądź Ksantypo! — gdyby nie tve, ciągle
przez męża prowokowane, kostyczne usposobienie —
siedziałby stary pod sandałem i nie zechciałoby mu
się wałęsać bezrobotnie po rynku i spędzać noce na
bardzo podejrzanym ucztach. — Dodajmy do tego,
że był Sokrates zawiedzionym w swych ambicjach
artystą — a będziemy na tropie: jak powstaje kry-
tyk; — oczywiście, bez wrodzonego seksapilu mo-
wy by nie było o zawrotnej karierze tego brzydala —
bo to i Plato i zazdrosny o swego mistrza, donzu-
ański Alcybiades — i wogóle! — Też miał pomysł,
ten Alcybiades, z tym odłupywaniem dziarskich zna-
mion męskości posągom świętego Priapa! — nic dziw-
nego, że już po upływie nocy wszystkie kobiety
Aten z przedmieściami, wsiami i przysiółkami miał
przeciwko sobie; a wiadomo, bez kobiet nic się zro-
bić nie da, można wbrew — lecz bez? ani mowy! —

Szkaradny czyn Alcybiadesa był symboliczną zapowiedzią końca dawnej Grecji; słusznie też rzucono nań przekleństwo — jedynie zakochana w nim kapłanka Theano wzbraniała się, nie chciała wypowiedzieć słów klątwy; lecz to votum separatum nic nie pomogło; los sam pomścił się pomieszaniem rozumu; Alcybiades obrał karierę wojskową — czyli wykreślił się z grona ludzi myślących; cóż mu zresztą, wykojeńcowi i niedoukowi, pozostawało? — wojny, zdrady; nic więcej, a przecież mogło coś z niego być, człowiek zdolny, przystojny! — heroizm myśli greckiej liczył na niego; niestety na próżno!

A chłopskie dzieje wójtów i sołtysów miceńskich? — trochę krwiożercza banda, ale z patosem! Wielką pieśnią dopełniali swój zaściankowy żywot — i w tym wytrzymaniu oddechu epickiego okazali znakomity zmysł historyczny; przetrwali; pies by o nich nie wiedział! — a tak to nawet o przebiegłego analfabety Odysa, Argusie, wiemy coś niecoś.

Dzięki Sofoklesowi i Freudowi międzynarodową zadymę zrobił Edyp — człowiek istotnie nieszczęśliwy — był wprawdzie mistrzem Grecji w dziele rozrywek umysłowych — lecz ożenił się z leciwą niewiastą, która nie poprzestała na tym, że mogła być jego matką, ale istotnie była matką; to przesada i nieprzyjemność. Ostatecznie prawie wszyscy mamy pościąg do miejsca urodzenia (to już nie patriotyzm, to najautentyczniejszy matriotyzm), lecz czynimy to pośrednio, niejako per procura, ale tak robić jak Edyp to nieładnie; za ostro; do tego z pobudek monarchistycznych! — Złośliwy (jak wszyscy poeci) Sofokles kazał mu z tą żoną-matką (pióro się wzdryga!) spłó-

dzieć czworo dzieci — potrzebne to było dramaturgowi do wywołania tragicznych wzruszeń wśród osiłków, atletów i sportsmenów — to nagromadzenie okropności: kazirodztwo, samobójstwo, wyłupienie oczów — zgroza i kicz! — dawniejsze źródła, łagodniejsze i łaskawsze, mówią, że Edyp ochłonąwszy po śmierci (naturalnej) Jokasty z Kreonów primo voto Laiusowej, secundo voto Edypowej — poślubił był p. Eurygancę i z nią miał te inkryminowane dzieci — nie z matką!

Coś tu jest nie w porządku; cofnijmy się szybko jeszcze w głąb dziejów; w jakieś przyjemniejsze czasy i okolice.

Arkadia!

No tak — teraz jest znacznie przyjemniej i dorodniej. — Arkadia — siedziba boga Pana i dziewięciu Muz, które z chłodnego Helikonu i śnieżnego Parnasu przyszły tu potańczyć i pośpiewać pośród łąk pachnących tymiankiem i macierzanką, pośród dąbrów i brzezyn, przejrzyć się w chłodnych zwierciadłach źródeł obramionych bluszczem i paprocią, posłuchać (a rozchylają przy tym wargi i odsłaniają zęby) szumiących wiecznym mijaniem strumyków, lśniących modrością południa i srebrem pełni — ciemnieją Muzom źrenice — palce kładą na usta — na cicha wraz z nimi kraina zielono-złoto-niebieska — kraina poezji i tragizmu.

A ten Pan ma rogi na głowie, a to są promienie słońca; rumianą ma twarz — to blask nieba; odziewa się pstrą skórą kozią, a to znaczy gwiazdy na nocnym firmamencie; ręce i nogi ma kosmate, a to obraz ziemi

pokrytej mchami, ziołami i lasami; — oto on: mądrość i żywioł; falliczny, jądrzasty Pan! — Z pięknej córki rzeki Ladonu, nimfy Syrinx, zamienionej w trzcinę, uczynił narzędzie muzyczne o siedmiu otworach: piszczałkę sirinks — i na niej — na tej nimfie pięknej — gra: wtedy niebo i ziemia słuchają, a dziewięć Muz zestraja z rytmem pieśni tętno krwi: tańczą dzieje człowieka na ziemi od powstania po ostatni kres; — a zwłaszcza jedna z trzcin tej piszczałki dźwięczy tak przejmująco, że gorący grad dreszczu wstrząsa ciałami Muz — zataczają się w tańcu, omdlewają z żądzы i z wyciągniętymi dłońmi podsuwają się rozdygotane pod kosmaty brzuch Pana.

W olbrzymiej, wklęsłej tarczy lustra utworzonego z wielu warstw nagrzanego powietrza — widzi arkadyjską krainę, a wraz jakby siebie i swe myśli zgęszczone w ponętne kształty dziewięciu nagich Muz — on Pan: Cyprjan Fałn.

Dziwacznie i niezgrabnie brzmią na tle pasterskiej melodii sirinksowej te dźwięki: Cyprjan Fałn; jeszcze Fałn — nazwisko — prawdopodobnie spółnocnione: Faun — lecz imię! — i gdyby nie pierwsza jego część „Cypr“ — wyspa winodajna — całość byłaby wcale nieznośna i wprost ordynarna — tak samo jak i ta nędzna, nieprzewiewna przestrzeń, w której przebywa w tej chwili: długi, nieskładny pokój (co tu ukrywać!) separatka szpitalna, lichy i niemrawo oświetlony, przepuszczony przez szklane drzwi kuchenne, światłem lampki nocnej. — Cyprjan Fałn leży na białym, blaszanym łóżku; śpi; obok chrapią i jęczą na swych barłogach dwaj chorzy; koledzy; współlokatorzy. Obmierzłe to wszystko! — jedynym ra-

tunkiem jest sen pełen odmiennego realizmu: Arkadia właśnie! — i te Muzy!

Skąd się, do diaska, taki sen bierze? — to nie jest bez ale — myśli w śnie Cyprjan; wie, że śni, i ta świadomość raduje go — panuje niejako nad widziadłami i nad trwałością snu; — anamneza? asocjacja? kompleks życzeniowy? — symbolika wreszcie? — metaforyczne skojarzenie? — Najwyraźniejsza sprawa to ta z grą na trzciniowych puszczalkach, na sirinks, a właściwie na nimfie Syrinx; to przecież jasne, sny są wogóle proste w konstrukcji — konstrukcja snów jest prosta — to tylko my jesteśmy zawili i zbyt chytrozy na jawie; to wszystko. Tak mówi ktoś siedzący w skórzanym fotelu; grubymi, lubieżnymi palcami bawi się dewizką; przed nim stolik z syfonem wody sodowej i keksami; a doktor... chodzi po pokoju tam i spowrotem — przystanął przed półką z książkami — wskazuje nosem na zielony grzbiet z szarym sztyldziem i mówi, że malarstwo wariatów to pierwszorzędny materiał, że prymordialność sztuki wogóle, naprawdę, o, proszę — i pokazuje; lecz karty książki są zupełnie białe, ani tekstu, ani ilustracji, nic; tylko doktor dostrzega coś na nich. Na drugim fotelu siedzi Cyprjan i żali się, że znów ma kwasotę, a tu znikąd sody i to w domu doktora; powinna przecież być; „tę wodę alkaliczną niech pan pije“ — mówi doktor; więc Cyprjan pochyla się — pije — ale już ze źródła wytryskającego spod olbrzymiego bukowego pnia, pień jak połów, albo raczej jak noga słonia, taki kolor i chropowatość fałdzista — na pniu na wysokości podniesionej ręki napis erotyczny krótki, prosty, wymowny napis: „tu j...łem“ i data; całość napisu jak



radosny krzyk: że tu, że to! — „mam jeszcze inne fotografie tego typu (jakiego typu?), ale przy żonie jakoś opacznie pokazywać“ — to znów mówi profesor kultury klasycznej, fanatyk Grecji, strasznie miły, filigranowy, ruchliwy, a żona jego o twarzy zmiennej, żywych oczach, dowcipnym składzie warg, pięknie zbudowana — siedzi na tapczanie, uśmiecha się i tasuje całą talię fotografii — co pochwila spada jedna z kart na podłogę — wtedy widać akt kobiecy w fantastycznej pozie — „a ta fotografia, to Itaka, ta Itaka, wie pan — nigdzie takich grubych oliwek niema jak na wyspach, drzewa po prostu, kolosy“ — rzeczywiście olbrzymie drzewa; — a pod spodem, pod tą Itaką — bo to obramione i na ścianie — wiszą rękopisy Mickiewicza, listy miłosne czy coś w tym rodzaju — może sama Xawera? — Teraz przystanął profesor kultury klasycznej przed biurkiem — ale to już w innym pokoju — za którym siedzi młoda dziewczyna i pisze coś zawzięcie w pamiętniku i ssie przy tym łożkę niezapominajki — i mówi do niej konspiracyjnie: „co ten pan Cyprjan z tą Andaluzyjką, też sobie wybrał!“ Zaraz się przypomina, tak, przypominają się dwie wersje hiszpańskiego sztychu kolorowego Noirdemange’a, korpu lentna (i to się później nie zgadzało) piękność przed lustrem — i tu zaraz zachodzi obraz za obraz: Velasquesa piękna Wenus przed lustrem — a tamta na palcu wskazującym hołubi dwa ptaszki — a ptaszki jak to żwawe ptaszki —; wyobrażenie tych ilustracji zasypuje jak świeże tytle inkaustowe złoty piasek święgotu wróblego; matowa klisza pełna gadatliwego ćwierkania. — Czujna kontrola podsuwa myśl: „więc

to stąd ta nazwa, ta asocjacja z Andaluzijką“, oraz strzęp dyskusji: — co do historii sztuki, nasunęło mi się to podczas sceny superrewizji lekarskiej z Cyprjanem, to uważam ją, historię sztuki, naprawdę za ciężką chorobę, coś w rodzaju cholery; nigdy się nie zakaziłem przeczytaniem historii sztuki; chroniło mnie od tego zaśnięcie już przy „wstępie“ —

— a ja tyle rozmów przeprowadziłem z obrazami; tyle wywiadów! — — A potem weszło ramię stwo ludzi — młodych i starych — krzyczą i klócą się — a treść tego wszystkiego, że będzie przewrót, że musi być, że wypadki marcowe zdecydowały, że tajny rząd frontu ludowego już się montuje, że powstanie w sierpniu, w połowie sierpnia beer — Cyprjan Fałn coraz bardziej i coraz bystrzej wpatruje się w niezmacone — jeno chmury dalekie pełzają niemo dnem — zwierciadło źródła — widzi swe odbicie — leży nago na chłodnym, miękkim mchu — widzi twarz, szyję i część ramion — i ten źródlany człowiek widzi swe odbicie w warstwie zielonego powietrza — radzi są z siebie bardzo, możnaby powiedzieć: zakochani — zdala przesącza się po przez liście leszczyn i tawuł daleka muzyka: sirinks! — Gwałtownie podnosi się krągła tafla źródła — rozszerza się — już zamknięta obręczą widnokręgu — tworzy się z niej owa znana wklęsła tarcza lustra — w stosunku do jej wielkości jest Cyprjan mały —: mrówka — otaczają go Muzy — dziewięć — teraz przypomina sobie jak na lekcji greki — najdokładniej — matuśralnie — mówi:

— ty jesteś Klio — uwieńczona laurem córka Jowisza i Mnemozyny —

— ty jesteś Euterpe — umiejąca się podobać —
grająca na flecie —

— ty jesteś Talia — zwana kwitnącą — uwieńczonaś bluszczem i maskę w ręku trzymasz —

— ty jesteś Melpomena — śpiewająca — z berłem i wieńcem z asfodeli — posępna jesteś — oddajesz się podczas gradowych burz —

— ty jesteś Terpsychora — lubiąca taniec —
zwiewna jak powietrze na świtaniu — oczy twe są
pełne wesela — mierzi mnie twój pociąg do Marsa —
i piór w twych włosach nie lubię —

— ty jesteś Erato — w różach i mirtach — gruchasz jak synogarlica —

— ty jesteś Polihymnia — wielohymnowa —
sznurami pereł ciężka jest twa wyniosła szyja — lilie
wodne otaczają twe czoło —

— ty jesteś Urania — uwieńczonaś gwiazdami —
grają wokół ciebie jak rozżarzone pszczoły —
promieniujesz błękitem —

— tu jesteś Kaliope — w złotym diademie —
matka Orfeusza rozdartego przez kobiety.

Tak to mówi Cyprjan — sucho wylicza — tyle, że tymi określeniami nieco soczyścieje ta arkadyjska odprawa; — z dziewięciogrona — za każdym wywołaniem odrywa się jedno grono — występuje i przybiera mimowoli pozę znaną z waz greckich — choć w rzeczywistości tych waz jeszcze nie było, istniały w nierzeczywistości, więc w każdym razie istniały. — W pochopnie ironicznym rezultacie nasennia się miżerackie przeświadczenie, że jest — on Cyprjan — on Fałn — dyrektorem czy impresariem zgoła współczesnych girlsów, zespołu: Cyprjan²girls — zresztą może

to i dobrze, że są takie z krwi i ciała i mają to wszystko co kobieta mieć powinna od stóp do głów —: Muzy, które można posiadać — tym przeświadczeniem realnie wszystko jawnie i przesuwają się jak platforma na gumowych kołach miękko i cicho ku granicy tak zwanej rzeczywistości — z platformy tej, posuwającej się łagodnie, bez wstrząsów, napowietrznie prawie — widać litewski krajobraz kładący się pod skanzję słów: „kobietko puchu marny, ty wietrzna istoto“... kto to mówi? — czyżby ten święty rycerz zabijający smoka... stoi tu na ostatnim zakręcie... platforma mija go płynnie i gładko — a teraz, teraz to już wiadomo, że ten doktor wykropkowany to jest Bychowski (Gustaw) a ten profesor to Kowalski (Jerzy!!) — i Bychowski pokazuje te obrazy malowane przez wariatów (któryż z nich malował Muzy? — powiedz, panie doktorze!!), a Kowalski, profesor kultury klasycznej, jest promotorem wizji buków z erotycznymi napisami i tych (a więc to on?) Muza-girls — no, to przynajmniej wiadomo! — Lecz natychmiast po tym stwierdzeniu już znów nic nie wiadomo — cały pierwszy plan odpomnianego snu pokrywa się bujną zielenią — po liściach i gałązkach, nie uginając ich wcale, bez ciała i bez kości, z wyobrażenia na przedce sklecony — stąpa hinduski fakir — blady, z czarną brodą po pas — wywraca oczami tak, że tylko białka bielą się nieprzyjemnie — gra na flecie — długie, samożywe palce przebierają zwinnie i prędko — skąd tu ten fakir? — no oczywiście pomyłka — to chrabąszcz uśpiony pod szerokim liściem klonu — chrabąszcz wyjątkowo czarny — na każdej łusce skrzydła lśni jak błękit

nawy ognik siódemka — prawdą w tym wszystkim jest tylko ta melodia — nie flet, nie flet wcale — to głos sirinks przesiewa się przez leszczyny i trzciny — głos przenikliwy i urzekający — dźwięki opadają na łąkę zasianą stokrotkami, firletką i sosenkami miodnych dąbrówek — po chwili podlatują z niej jako wielobarwne motyle — aż się roi w powietrzu od tej kolorowej, trzepotliwej melodii — to Cyprjan gra i wie, że na nimfie gra — czuje jej ciało na wargach — przejmuje go nagła żądza, gwałtowne pożądanie, obłądna chuć — odrzuca instrument muzyczny — plusnęła woda i zaśmiała się głośno i piskliwie — a Cyprjan jest już kozłim stworem — capie, kosmate nogi, kopyta, kręte rogi nad czołem i capia broda — i oczy skośne z pionową szparą źrenicy —: Pan? Priap? —

A to już przecież okolica Muz — Muzy spojrzały na niego, dostrzegły jego podniecenie jawne, przeraziły się jak węża, który urzeka i trwoży — rozpierchły się z krzykiem i piskiem — chwyciły się dłońmi ostatnich smug Panowej muzyki, unoszącej się jak błękitnawy dym na powietrzu — i zwinnie jak po licznych drutach telegraficznych wyspinały się wysoko — na linkę ostatnią — stamtąd — przycupnąwszy, z rozmachem ramion kilkakrotnym — skończyły w czarne niebo i rozblęsnęły konstelacją Liry — lecz nie wszystkie — Fałn zadziera głowę — liczy — raz i drugi — jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem — osiem tych gwiazd — więc jeszcze raz liczy i zawsze mu osiem wypadnie — gdzie, więc ta dziewiąta? — gdzie dziewiąta? —

W ciemnej, posępnej pustce stoi Cyprjan — a już w ludzkiej, zwyczajnej, codziennej stoi postaci

i ubrany powszednio: pumpy z samodziału, wiatrówka, bretonka ze śmiesznym ogonkiem w pośrodku — przestrzeń ciemna, jądro nocy — tylko huczący wicher przelewa się po gęstym, samotnym powietrzu; — nagle od wschodu wystrzela jaskrawy snop światła — jak reflektor — ognistym jęzorem liże widnokrąg — drży węsząco — układa się półkolem na szerokość bitej drogi — światło tężeje, staje się szklane i fosforyczne; — spoza drogi, na jej szlak, z głębi nocy nadciąga orszak rozśpiewany — olbrzymi orszak ludzkich i zwierzęcych postaci — słychać okrzyki: „Dionizos! — Eu — oj — Dionizos!!“ — Przed nim i za nim — bo to on tam pośrodku na rydwaniu ciągnionym przez giętkie pantery i lwice — to on! — piękny, faraoniczny, szeroki w ramionach, wąski w biodrach, nagi — przed nim i za nim nieprzejrzany pochód sylenów, satyrów, falloforów i menad — uwieńczeni fiołkami i bluszczem — idą, tańczą i śpiewają — skandują rytmicznie, marszowo: — „e — wo — e — ra—dość — wolność — ra—dość — wol—ność“ — — Światło jest tak silne, że Cyprjan widzi — stąd, zdaleka przecież, a tak wyraźnie widzi — roześmiane, mokre wargi, żarzący błysk oczu, powiew rozpuszczonych włosów. — Orszak obszedł tym sierpem drogi — minął półkole — zbliża się do Cyprjana w szumie i gwarze — — a im bliżej tym bardziej zmienia się kształt pochodu — niema satyrów ni menad — tyrsy rozplynęły się w powietrzu — — to olbrzymi zwarty pochód związków robotniczych — już widać, i znów tak wyraźnie! — zmęczone twarze, w których żarzy się upojenie — widać spracowane ręce zwinięte w pięści i podniesione wy-

soko — — olbrzymi, triumfalny marsz — idą — a na przedzie kroczy postać niewieścia — naga po pas — w ostrym świetle płoną dziewicze piersi — — od pasa spódnica czerwona — i czerwony niesie sztandar — wysoko go niesie — w tej jaskrawej połodze czerwony jak krew — ten sztandar! — — marszowym idą rytmem; melodia wylatuje spod nóg — zakwita w wirze pobudka:

— *allons enfants de la patrie* —

— — — — —

nie przebrzmiało jeszcze jej echo pod gwiazdami odległymi, a już dogania nowa pieśń, ta pieśń właściwa:

— *wyklęty, powstań ludu ziemi,
powstańcie których dręczy głód!
myśl nowa blaski promiennemi
dziś wiedzie nas na bój, na trud!*

— — — — —

— teraz i to już wiem; wiem dlaczego tam osiem gwiazd — bo...

—

Z odległej nocy wybiła godzina —

— raz — dwa — trzy — cztery — — — — —

— dziewiąta —

Tłukące się w mrokach echo natrafiło na niejake zdarzenia z przed dwu tygodni — zdrząły jak uderzona sprężyna z giętkiej stali —

Powróciło w wydłużonym zgrzycie zwrotnicy, gdy to nagle usiadł w gwałtownym podrywie — powróciło wszystko: zdarzenia, anamnezy, paralele —

Dnia tego — no więc tak, istotnie zerwał się i usiadł na łóżku.

— co się to człowiekowi nie naśni — myśli jeszcze leniwie, bo półsennie; zbudził go niepokojący ból; z prawej strony. Wyciągnął rękę po kubek z mlekiem; wypił kilka łyków; zelżało; przytomnieje.

— musiałem źle leżeć, bo skądżeby już teraz te bóle. — Przymyka powieki chce odtworzyć zawiły i rojny sen.

— przed zaśnięciem myślałem o Grecji — a potem...

Widzenia senne uleciały wraz z uciekającą nocą: zostało po nich tylko nastawienie, kierunek biegu myślowego. Wytrzeźwiał zupełnie. Zapalił papierosa i zapatrzył się w sufit bardzo w tym półmroku wysoki. — Zbiegły się ku temu wzrokowi nieruchome mu, jak kwiczoły ku bezwietrznemu zagajnikowi głogowemu — zbiegły się zewsząd myśli nakarmione dostatecznie widzeniem sennym.

— to jednak jest nierozdzielne — nie, nie tyle nierozdzielne (same: nie!) — ale wogóle! — Ech! takie uogólnienia (teraz znowu te „ogół“ — jak ja myśle!) — — Trzeba by to tak ująć: kobieta (lub: kobiecość) — na każdym etapie rozwoju inna — choć w zasadzie ta sama jako emocjonalność, jako hormonizowanie mózgu, który — nią właśnie zasilany — przy tej produkuje sprawność asocjacyjną, przy tamtej wzmoczoną wrażliwość na barwy, na dźwięki, przy owej mistycyzm, przy innej instynkt społeczny, agresywność, rewolucyjność; — albo też inaczej: w momencie zbliżania się nowego rozwoju świadomości przychodzi — zawsze! — ta pożywka: seksualizm, nowa — żebym już inaczej tego nie nazwał — kobieta; — to jest węż! — zatracony i przytępiony



zmysł — w tym jednym odnaleziony! — węch po obu stronach, u obojga partnerów, i — powiedzmy sobie: dość nieomylny! — Ona wie zawsze, kiedy przyjąć, nigdy mylnie, zawsze w porę, zawsze w sam raz; jej płciowa antena zawsze pochwyti odpowiednią falę; — porozumienie płci odbywa się przed poznaniem — przed osobistym zetknięciem. —

Skrzypnęło łóżko; sąsiad, współlokator w tej trójosobowej seperatce szpitalnej, stęknął i odwrócił się ku ścianie; podciągnął, niezgrabnie i ociężale, opadającą na podłogę kołdrę; odsłonił białdy, nieporadny zadek.

W seperatce dość jasno; przez szklane drzwi sączy się światło lampki nocnej; szyby matowe; światło rozprószone. Po kurytarzu człapią kroki dyżurnej siostry; z ogólnej sali materializują się przepuszczone przez ciekłą ścianę jęki chorych i konających.

— wczoraj mówili, przypomniał sobie, że on się wyratuje, ale ona — aus (powiedzieli) (i dodali) szlus; — samobójstwo wspólne na smętarzu; z miłości; weronal; po pięć tabletek; — prześladowuje mnie ten weronal; — bo wtedy mój przyjaciel, fajny był poeta, też ten weronal; ubrał się przedtem, na czarno i rękawiczki czarne kupił; savoir vivre; i tak z rączkami na piersi; żeby kłopotu nie robić; — teraz mówią, że ten tu nieznajomy przetrzyma; on; ona nie; ale jak to potem przetrzyma? — bo to niby już tak zdecydować się — razem — przyszli, wybrali sobie grób z pomnikiem (poczucie komfortu) taka tam poduszka kamienna była — przylegli — objęli się — a już ten weronal w sobie mieli; całowali się, pewnie jeszcze popieścić się chcieli, ostatni raz, ale ta sen-

ność odniechciała to w nich, no i zasnęli; padał śnieg — tak ich znaleziono: biały posąg samobójców; teraz, że on przetrzyma, a ona nie, bo to do tego za palenie płuc obustronne się przyplątało, doktor mówił: aus i dodał: szlus! — a ten wie, doktor Oborski; sumienny, intuicja medyczna jak cholera; magik; — jak on tego chłopca na trzecim, w tej seperatce, łóżku leczył! — już też było bez wyboru: życie czy śmierć? — co tu o życiu było gadać! nic! — ropa waliła z płuc, a gorączka przez dwa miesiące czterdzieści stopni, kilka kresiek wwyż, kilka wniżej — to wszystko; ale Oborski nie powiedział ani aus, ani szlus — tylko — ale to już potem! — „Włodku!“ — ty mu mówił temu dryblasowi z pierwszego roku Wuesha — „Włodku, gróbarzowi zpod łopaty uciekło się“ — Co to za djonizyjski poemat! — Włodek się spłakał i każdemu przez tydzień mówił, każdemu po wiele razy: uciekłem, uciekłem, uciekłem — gróbarzowi spod łopaty — uciekłem; a potem śmiał się już i prosił matkę, żeby mu awanturkę przyniosła, taką co to mama wie, że na nią ma smak; ale jeszcze nie było wolno.

Z tym po prawej stronie (łóżko Włodka stało za głowami Cyprjana) nibyto lepsza była, ale jest w rzeczywistości gorsza, sprawa; to ten sąsiad odsłonięty; anemia złośliwa — wciąż tę wątrobę półsurową żre, a pachnie ten podły przysmak, psiakrew, bo to cebulę do tego dają, że tylko kwasoła się wzmaga, co przecież przy wrzodzie na dwunastnicy nie jest wcale dobre — mleko trzeba połykać, żeby to łaskomstwo mimowolne zatuszować; — a ten dodatkowo jeszcze jakieś żołądki sproszkowane łyka —

zastrzyki też — w te pośladki właśnie — młoda asystentka to się zawsze wstydzi, bo to przy nagłym obrocie chorego cejnicco widać — więc tak, niby nie patrząc maźnie jodyną, a doktor wbija igłę, naciska strzykawkę i wpuszcza tam ten płyn i pyta „boli?“ — a pacjent mówi „pewnie“, a doktor „to nic, zaraz przejdzie, proszę tak leżeć dziesięć minut“ —

— nie śpi pan? — (przytłumione spoza głów)

— nie — (szepem, ten z prawej) — zimno —

— bo się pan odsłonił, trudno zasnąć z gołą dupą — zwłaszcza w szpitalu; z nudów prosto spać nie można —

Cyprjan udaje że śpi, niech sobie gadają.

(ten z prawej) — : tam w mojej Łodzi znów nowe strajki — jest już ich tych strajków kupa, — móc im tam posłać wagon ziemniaków, mąki —

— ja tam nie jestem żadnym socjalistą ani komunistą, pan się martw, sto razy już panu mówiłem — rad jestem, żem pozdrowiał — uciekłem, pan wie. uciekłem! —

Tadeusza (Tadeusz było temu anemiakowi) aż poderwało — :

— no to poco pan zdrowiał? — i ja tu po jaką cholerę leżę? — wyzdrowieć! — a co potem, pan się nie pyta, panu to jest fuk — cały świat się dzieli na dwa obozy, a pan jakby tego nie było! — ja tam już nie ustane w walce — zwyciężymy i tak i bez takich jak pan — coby nie było, idzie tylko o to, żeby przedej — i taktycznie trzeba dobrze, żeby nie głupio, nic na marne, ani grosza, ani kropli krwi — celowo —

Włodek nie uważa na te słowa; zna je i są mu obce — ; — wciąż swoje:

— za oknem ta wisienka już puszcza listki, wczoraj tak ładnie pozieleniała, mówię panu, ciekaw jestem jak dziś będzie, czy więcej i czy większe te liście — — a jak już będzie pełna wiosna to pojedę do Ojcowa — tam jest taka łąka i znajome tam mam, panny — — pan wie, ja już półroku z pannami nie rozmawiałem, zapomniałem, że są panny — — ale przynajmniej uciekłem, jej, że uciekłem to uciekłem —

— wszystko co pan mówi to już w samym stylu jest takie mieszczańskie, że się rzygać chce; zdrowieje pan i baby się panu zachciewa — to jasne; szkoda, że pan nie powiedział: „kocham“ i „miłość“ — szkoda! — Mnie jak się chce to mi baba jadnaka, żeby tylko na gust; odwałę swoje — pięć czy sześć — ile mi się akurat zbierze tej ochoty i mam na cały miesiąc spokój; fizjologiczna sprawa; są ważniejsze rzeczy; — wzdychania! — burżujskie odpadki — rococo (c!), romantyzm, duperele; głowę sobie zawracać; jeszcze co! — (— po chwili —) — a tych lekarzy to nic a nic nie rozumiem, znowu dziś —

— to już wczoraj, trzecia godzina — dowcipkuje sztubacko Włodek —

— no to wczoraj; badali mi krew i nibyto procent się zwiększa; a znów doktor mówił, że nic w śledzienie nie wyczuwa; djabli wiedzą; ale właściwie to już się zdrów czuję, było nie było, jutro wychodzę na miasto —

— pewnie do tej panny co tu przychodzi do pana — ? —

— żebyś pan wiedział —

Włodek westchnął.

Przycichli.

Zaczłapały za drzwiami kroki; coraz bliższe; uchyliły się cicho drzwi — wejrzała głowa zakonniczki — biały kornet zatrzepotał w półmroku jak przedwcześnie rozbudzona mewa; to siostra Matylda; popenetrowała szpicglowie; wszystko, widać w porządku. Przymknęła bezhałaśnie drzwi.

Cyprjanowi zachciało się nagle palić; lecz bał się, że ruchem sprowokuje towarzyszy do rozmowy. Wolał nie.

Włodek wyciągnął spod łóżka szklane naczynie (trochę do gęsi z uciętą głową podobne); zdyszał się i zasapał; westchnął głęboko. Oddał cicho mocz. Ponowne szurgnięcie naczyniem.

Tadeusz leżał na wznak; chrapał; prędko zasnął.

—
Wczoraj znów wśród licznej korespondencji był taki list — niebezpieczny; już ja to znam; nieomylnie wiem; tak się to zaczyna; najpierw rozwałęśaniem myśli potem wzmocnionym pulsem — wreszcie jakby podmałowaniem tła zdarzeń dnia i nocy specyficzną wonią i zdecydowanym kolorem. Tak. No, bo to idzie, niewątpliwie idzie, i, znów to czuć w powietrzu — to są fale jakby naozonowane — od-dycha się głęboko: westchnienia! (— niczem Włodek—) — Tym razem zapach jest czerwony: róż, maków, piwonii i tulipanów: słodki, odurzający, ostry; oszałamiająca woń narządów płciowych roślin; oczywiście nie tylko roślin — —

Czwarty list i bardzo już decydujący; to znaczy jest w nim decyzja i prowokuje decyzję; tyle razy przeczytałem; napamięć prawie umiem; lecz nie do wierzajmy zbyt, byśmy we własne nie popadli plany myślowe, we własne, tak przecież nie potrzebne i naglące podsuwania, wmawiania; — gdzie to ten list? — no:

— czy wiesz już Cyr? — ekspresowo ci donoszę, że wczoraj były znów u nas krwawe zajścia? — Wybuchł dynamit dawno już tłumionego buntu głodnych i bezrobotnych mas. Coś się znacznego przygotowuje. Byłam na ulicach naszego górzystego miasta, za wiaduktem byłam (pisałam ci o nim w poprzednim liście); skonstatowałam: bezradność władz, tresurę policji, bankructwo starych organizacji, wybuch szalonej depresji, głuchy krzyk najskrajniejszej rozpacz; moc rannych i zabitych; strach! strach! jak źle, jak strasznie źle na świecie!

Cyr! — a co to będzie za miesiąc? za rok? —

—

— a wiosna wkoło odurzająca i niebo pełne, błękitne — mówiąc twoim, o Cyr, językiem: mauretańskie... a w twoim północnym kraju? — czy jeszcze śnieg? czy deszcz? czy mgły? — Znam go tylko z dostępnej literatury (tak niewiele tego!), z twych listów i z mej miłości...

—

— tnę ciało moje na cienkie paski — a to będą szyny, po których przyjedziesz —

—

— po przeczytaniu jednego z twoich wierszy, przypomniały mi się słowa pewnego wielkiego niemieckiego emigranta:

*„doch wer aus voller Seele hast das Schlechte
auch aus der Heimat wird es ihn verjagen,
wenn dort verehrt es wird vahn Volk der Knechte
weit Kluger ist's dem Vaterland entsagen,
als unter einem kindischen Geschlechte,
das Joch des blinden Pöbelhasses tragen“ ...*

—

— w Toledańskiej księdze istnieje takie zdanie: „kto zawstydzą bliźniego, przelewa krew ludzką“, oraz: „kto ma słągą wiarę, nie zdola jej rozbudzić u innych“, i: „nie potępiaj bliźniego, zanim nie byłeś w jego położeniu“, wreszcie: „bóg gniewa się na nas spowodu naszych grzechów, ludzie spowodu naszych cnót“ —

—

— o Cyr! — od kilku nocy dręczą mnie sny, sny niespokojne i niepokojące — zrazu nie przywiązywałam do tego wagi — widzę jednak, że z tem muszę się z tobą podzielić i myślę, że skoro ci się z tego zwierzę, to może i ustąpią... te zmory! — otóż przysniło mi się (ten sen wybieram jako najdotkliwszy i najlepiej zapamiętany), że stałeś na podium. W pewnej chwili oderwałam od ciebie oczy i spostrzegłam, że podium to składa się, względnie zasłane jest, dużą ilością książek, roczników, gazet i rękopisów. Ogarnęło mnie zdumienie, które w mig przeobraziło się w przerażenie — bo oto spod spodu, spod książek wymykały się języki płomieni. Chcę się poderwać na ratunek! Nie mogę — przykuta jestem

oburącz do ławki długiej, ciężkiej, dębowej — zał-
kałam — ujrzałam siebie jakby młodszą, podlotko-
wą, taką bezradną; nagle krzyknęłam — krzyk mój
zmieniał się w zwierzęcy, zraniony skowyt. — Na
moment uspokoiłam się, gdy spostrzegłam, że pło-
mienię są nieszkodliwe; wysuwały się i znikały. Ty
zaś, o Cyr (też jakiś młodszy i szczupły, chłopięcy),
z rozwianym włosiem, z dobrym uśmiechem i z płoną-
cemi oczyma, stałeś niewzruszony, z podniesioną le-
wą ręką (palce długie i jakby wyliczające) (prawa
była w kieszeni) przemawiałeś głosem prawie cichym
kameralnym niejako. Zapatrzona, w olśnieniu, za-
pomniałam o mojej niemocy, odwróciłam się, aby za-
obserwować wrażenie jakie wywierasz na audy-
torium — zamarłam! — : bowiem w dużym amfi-
teatrze nie było ludzi, lecz chmara ptaków, strasznych
niespotykanych, przedpotopowych, z rozdziawio-
nemi dziobami, jak podczas suszy, języki ruchliwe,
syczące, chropowate, ślepią groźne i łyskające —
patrzałam przerażona, otwierałam usta, lecz głosu do-
być nie mogłam — i znów poderwało mnie ku tobie,
na jakiś ratunek, w jakiejś niewytłumaczonej potrze-
bie zbliżenia się do ciebie, ale ławka mnie więziła,
trzymała, nie puszczała... i znów, zamierająca z trwogi
odwróciłam głowę ku tej rzeszy ptaków złych i dra-
pieżnych, skupionych w tym makabrycznym tea-
trze, wokół ciebie (tylne schody amfiteatru były te-
raz puste)... i znowu senny dziw: — olbrzymie konie,
czarne, siwe, bułane — na koniach kobiety nagie,
białe, o rudych włosach; — jedna z tych kobiet w tej
chwili wyskoczyła na grzbiet konia, koń ten stanął
dęba i jednym skokiem, poprzez mnie, znalazła się



amazonka przy tobie, — zdięła ciebie z tej trybuny i zanosła do mnie i położyła ciebie na mych kolanach. Leżałeś chwilę umęczony z przymkniętymi powiekami; potem odczepiłeś gruby łańcuch, którym byłam przykuta do ławki — ja zaś w pełni sił zniosłam cię na rękach do lasu — ułożyłam na zrębie obok cichego źródła, w które zacząłeś się wpatrywać; przez zaproszone słońcem liście sączyła się muzyka wdzięczna, delikatna i żalosna. — Zbudziłam się bardzo tym snem wyczerpana. O Cyr! — —

—
Tak więc odczytałem — i — nietylko słowa! — odczytałem eksplozję śródślowną i napastliwość podłoża tego nieco skomplikowanego snu; przepowiedziałem w myśli fragmenty raz, drugi, trzeci — przepowiedziałem sobie jak lekcję; lekcję „życia“ — mówi we mnie kabotyn; — dlaczego „kabotyn“? — nie, nie trzeba, aż tak? — poco! — trochę szacunku dla siebie! — ostatecznie w ciągu tych wielu lat — no — tych trzydziestu lat — akurat kończę czterdziestyósmy — nigdy nie wiedziałem dokładnie, kiedy „naprawdę jestem sobą“, a kiedy tym drugim, trzecim, piątym, siódmym — ciągła przemiana, ciągła ewolucja, rozwój, naprzód — — tak, decyduje **kierunek**, — a „bycie naprawdę sobą“ — to złuda głupców i bluff gazeciarskiej filozofii —

Cyprjan wysunął cichutko szufladę nocnego stolika — namacał palcami... papieros — Wisia te papierosy przynosi — ukrył głowę za poduszką — zapalił; nikt się nie przebudził; — smaczny papieros; — Cyprjan pali powoli — długo żarzy się w pół mroku ogienek; — zaciąga się pełnym dymem, —

Maura!

miły zawrót głowy i osłabienie leniwe w rękach i mrowienie w nogach; myśl pracuje składnie.

Tak, to ostatnie, przed tą chorobą, było zes-
wszechmiar wspaniałe; żywioł, ekstaza, entuzjazm
ciał — i to płodne w skutkach cierpienie, obłąkane
cierpienie! szaleństwo! — To właściwie był — bo-
lesny — wzrost nagły, gwałtowny, wzrost, skok
prawie, rzut na tysiąc stajañ — wspaniały! — Ile? —
ach mój nieznośny buchalterze! — Trzy lata, trzy! —
Trzy? — zwyczajnie; — ale to potem; — te trzy
lata? — zawsze tak; tyle akurat jest dynamiki w każ-
dej miłości, w każdym spotkaniu; — i cóż tam te
komplikacje! — oczywiście nieprzyjemne bo nie-
wytłumaczone — bo jakże to tej czy owej po-
wiedzieć: tyle było, tyle wzięłaś, i ja wziąłem — każde
to co potrafiło wziąć, co potrzebowało, co mogło czy
musiało — czy jak tam; pal diabli! — a że teraz od-
chodzę? — to ty mówisz, że odchodzę; bo ty zawsze,
i każda z was tak — żeby tylko „wiecznie“ i „czy ci
daję szczęście“ (poprawia: prawie każda); — co ja
wiem o wieczności; wiadomo: bez początku i bez
końca; straszne; i naszym globowym mózgiem nie do
ogarnięcie; więc wogóle do żadnego rachunku nie
zdadne. A szczęście? — dałaś mi znacznie więcej,
dałaś mi rozwój, rozkwit, wzrost! — skojarzyłaś się
nierozdzielnie z etapem! — a to mi więcej niż szczę-
ście i — napewno więcej! — ostatecznie nawet nie
wiem, co to jest w twem mniemaniu to „szczęście“ —
pożycie wspólne? — to nie jest nic; — rozkosz? —
to już jest coś, choć nie wystarcza! — W rezultacie



to pewne: żeby z wszystkiej obopólnej uczynności było obojga osobiste wzwyżenie, a przez to zacny wkład w pożytek ogólny; — i to jest właśnie to: dynamiczne właściwości płci; właściwości i wartości; — ale jak o tem powiedzieć ko-bie-cie! — nieporozumienie, niesmak, poczucie krzywdy; najstraszliwsze właśnie: krzywda! — no i jeszcze pospoliciej, już najpospoliciej nazwiesz to — ty i ty i ty —: zdradą, oszukaństwem!, że niby brutal, tyran, łajdak, dziewkarz! — — Dziś mi to łagodnieje — oczywiście przez ten czarowny element odkrywania nowej ziemi — — bo jest kobieta ziemią, zjawiskiem przyrodniczem — więc? — nie chcę być plantatorem! wcale! fe! — chcę być ustawicznie odkrywczą nowizn, rozsiewać nasienie i myśli; (ananmetycznie: ropsowskie: satan jetant à la terre la pature qu'elle attend!); samemu się tem upajać — o, właśnie: upojenie! — hormonizować mózg! — „dusza rośnie na ciałach kobiet“ tak to już określiłem wtedy, gdy jeszcze używałem słowa „dusza“; pewnik: świadomość rośnie z czynnego seksualizmu!

W samem przyrzeczeniu ileż fluidu energetycznego!

Czwarty z rzędu list od Maury! — znam (!) ją zaledwie z fotografii; nieładna; nigdy mi się nie podobają kobiety, które kocham; mógłbym powiedzieć, że kocham je za niedomiar, za to czego im brakuje: urody, wiedzy, zdrowia; zauważone braki podniecają, upiększam je wyobraźnią, kształcę, leczę. Chętnie wyszukuję usterki — fizyczne podniecają mnie płciowo, psychiczne też.

Nic o niej nie wiem; właściwie wiem dużo, lecz rzeczy nie istotnych — pełen jestem niepokoju — wspaniałego, szlachetnego, wytrwałego niepokoju wynalazcy, który już — już jest u kresu dociekania i eksperymentowania — za moment, za chwilę, zanim małeńka wskazówka obiegnie sekundnik — złapię właściwy sens tajemnicy — — nareszcie!

Maura!

Dźwięczne, romantyczne imię, tamtokrajowe, skąd ona — — oczywiście sam je dla niej wynalazłem; — Mauśra, Mauśra — na jednej z przysłanych mi fotografii jest roześmiana — wspaniałe zęby, odurzające! — na drugiej zdecydowane usta! wykrój warg! — Usta wąskie, wargi jakby wydęte nieco, soł czyste! taki wykrój! bezczelny! — Któż tak te wargi, takie wargi, takie analogiczne wargi! — obnosi — wystawia na widok publiczny! — rozkosz i arogancja!

Pragnął.

—

Hinduski bóg miłości powietrzem wicherzastym na papudze jedzie — łuk jego z trzciny cukrowej — rani strzałami kwietnemi; małżonką jego jest Rati-Rozkosz; miłość, mówi Palidharma, jest jednym z czterech celów życia — : płciowość darząca i wyzwalająca — —

—

Zasnął podniecony.

—

Nazajutrz — bardzo zwyczajnie — jak codzień — najpierw wpadł doktor Maas — szeroki, szybki—

w kitlu białym; narobił zamieszania oczywiście. Cały pokój był właściwie zawieruszony pod rozwianymi połami lekarskiego płaszcza — trudno było w pewnym zwichrzonym i fałdzistym momencie odnaleźć seperatkę i zeszkładać należycie — rozpadła się i potoczyła jak klockowa budowla dziecinna. To — tam, a to — tu, i żeby ten stół z lekarstwami stał w tamten kąt odsunąć, przestawić, i tu żeby było wolne miejsce, no, teraz już lepiej i przestroniej, tylko to jeszcze; — profesor będzie o jedenastej; otworzyć okno; cóż za zaduch; przewietrzyć! Nowiny: ten sam mobójca wyjdzie — iks litrów słonej wody pod skórę, to trza wtlaczać, ciśnienie musi być; — ona? — agonia; nie! skądże! jutro? — mowy niema! nie, nie — dziś napewno, kwestia godzin; doktor Oborski sprzecza się, że do wieczora, a ja mówię: południa nie doczeka; puls nitkowy — szkoda mówić wogóle. —

Panna Zosia, pielęgniarka; posprzątała; jak codzień; skrupulatniej może, bo profesor. Siostra Marytylda, chuda i koścista, wpisywała w rubrykę na przyglówku: — było wypróżnienie? kółko; nie było? — kreska; Tadeusz podał, że cztery razy wczoraj; — pokiwała głową; a co jadł? — coby, wątrobę. Wątrobę? i tyle razy? ciekawe, no-no —

Włodek się też zainteresował:

— cztery razy pan wczoraj fajdał? heca! — To pan tę całą trupkę? — to tak jak w tym wierszu: cała nasza praca... Pochwili sam zażlamdał: — panno Zosiu! basenik, dobrze? — A po chwili marzycielsko: — dziś sobie zjem awanturkę —

Teraz wetknął głowę w uchylone drzwi goliś broda szpitalny; smągła twarz; czarne oczy i wąsy; cygańska fizys — :

— dzień dobry —

— być może —

— ogolić można kogoś z panów? —

— dziękujemy —

Nikt nie chciał. Lecz fryzjer ma coś na wątrobie — konkurencję poprostu — więc nie odchodzi jeszcze — : — panowie sobie wieszają może żeby ten drugi golił — ? — on bardzo dobrze goli, on trupy goli, w trupiarni ma zakład otwarty dzień i noc, cyrulik taki, brzytwę ma ostrą, tylko się ruszać nie trzeba — on temu nie zwyczajny, zdziwiłby się, że mu ten umarlak łebem rusza, jeszczeby zarznął, a jad trupi to nie interes — padam do nóg szanownych państwa —

— cholera! — zaklął półsennie Tadeusz; — źle spał w nocy i wydrzemywał teraz ból głowy; tamten kubek w kubek to samo o tym szwajndrał; — cóż to za banda! — zresztą ja się sam golę — dziesięć groszy żiletka, golę się nią cztery razy, dwa i pół grosza golenie, — mydło, amortyzacja pędzla — pół. no choćby, z ręcznikiem etc., półtora grosza, ma pan cztery grosze maksimum i higiena, nie? —

Włodek wystękał:

— mnie i tak nie mógł golić, jakże tak na basenie — widziane rzeczy! — Po chwili zadzwonił, że już. Panna Zosia wysunęła spod niego basen. Szybko wyniosła, ale i tak zaduch rozeszedł się po pokoju; należał zresztą do atmosfery szpitalnej; co tu dużo

gadać — to ważna sprawa, zagadnienie dnia; naturalnie.

Potem aż do wizytacji profesora szuścili gazetami i drzemali.

Cyprjan Fałn czuł się w szpitalu dobrze. Odpoczywał; pierwszy właściwie urlop, wakacje, dąże ferie, bo to już trzy miesiące pod rząd — od iluż to lat? — od trzydziestu bezmała.

Z początku było bardzo źle. Wściekłe bóle, krwawienia; — gazety usłużnie pisały: „znany literat C. F. ciężko zaniemógł; lekarze nie okują wiele nadzieji“. Po swojemu tak pisały; ale źle to było! — Jakoś pod koniec grudnia — teraz mamy po dwudziestym marca — rozpoczęły się ataki bólu krzewiste, rozgwieżdżone na wylot; coraz dłuższe, coraz groźniejsze; wiadomo było zaraz: wrzód na dwunastnicy; któryś już tam z rzędu; w osiemnastym roku życia pierwszy raz; z tych obiadów po ćwadsześciahalerzy — kapucha, ziemniaki, ochłap ścierwa, niewiarygodne tłuszcze i łoje — przez kilka lat uniwersyteckich; takie żarcie; no i wódka też; popijawy akademickie i późniejsze; charówka ustawiczna, zarobkowania i swoja praca, niedospania ciągle; neurastenia, no i predylekcja. Raz się to wzmagało, raz cichło. Kwękający i pokurczony przetrzymał te lata w ciągłych właściwie bólach. Aż tym razem — to już na odwalenie kity się zanosilo całąkiem serio; bóle, osłabienie, ani już wstać ani co; — przyjechało — na wsi wtedy mieszkał — pogotowie; zabrało; — mroźny był, słoneczny dzień. Żal jechać. I powrót niebardzo pewny. Telepało po polskich

drogach, a to, wiadomo, są drogi! — czterdzieści kilometrów.— Jechała z nim żona wystraszona i milcząca, dyżurny lekarz pogotowia, jechał też młody przyjaciel, dobry chłopiec, dbały — bo to i to pogotowie to jego zabiegliwość — i papierośnicę pełną wsunął cichcem za szlafrok Cyprjanowi, gdy już do tego szpitala dalekiego dojechali byli.

Zbiegli się nazajutrz — bo tego dnia przyjazdu nic — była niedziela, dyżurny lekarz tylko, niski, żółtawy, japończyk poprostu: — cóż? — a takięto objawy są? — aha! — no to zimne okłady, lód, czopek pantoponowy na znieczulenie — ale nazajutrz zbiegli się lekarze — chirurg był pierwszy (okazało się, że on już wczoraj czekał) — w narzuconym na jedno ramię futrze wpadł — i że nic, tylko operacja, powiada, że konieczne to i zaraz, najlepiej dzisiaj, jutro rano względnie — o! — dotknął bolesciwego miejsca palcem — o! — powiada: cały brzuch opancerzony napiętymi mięśniami — co tu dużo gadać! — — wywołał skinieniem głowy internistę na korytarz — po chwili internista wrócił sam z rzadką miśną; — — poczęły się konsultacje, sondowania żołądka po „alkoholowym śniadaniu“, badanie krwi, mikroskopijne śledztwo w obrębie wydzielin — oczywiście: krew! — — Interna bierze na ambit: spróbować leczenia, gdyby rezultaty nie tego, no to wtedy; więc: dieta Leubego, mleko, masło, cukier, bismut, alucol, belladona, papaverina — okłady z lodu — no uciążliwe bardzo — i bolesciwe wciąż przez pierwsze dni — ale ataki, te skręcające, rozpoczynające się w żołądku po prawej stronie i rozgwieżdżające się ku grzbietowi pod łopatki — ino wyć! — te ataki coraz

rzadsze, aż i ustały; już tylko echa bólów mżyły i niecierpliwily. — Któregoś dnia orzekł sam profesor, że nóż chirurga wsiąka w mgłę, że to już prawie pewne, pacjent idzie na leczenie, to widoczne — ale chirurg wciąż nalegał — wpadał w tem swoim futrze zarzuconem na ramię — ale! co to to to! — do luftu z waszą interną, mówił, wyciąć i spokój! — a znów uparta i ambitna interna swoje, że po operacji gwarancji żadnej, że to i część żołądka, i to sporą, trzeba chlastać, to nie są żarty, a co tam potem to już chirurga nie obchodzi, powiadali, a to „potem“ to właśnie nasza sprawa — i leczyli dalej. Organizm był podatny na leczenie; chciał się leczyć i leczył się.

Po tygodniach zdrowienia przyzwyczaił się Cyprian i do tego łóżka i do tej separatki, która właściwie była śpiżarką za kuchnią (przez tę kuchnię trzeba przechodzić jeśli się chce wyjść lub wejść do separatki) — długa, wąska kicha, zakratowane okno, trzy łóżka; już wiemy kto na nich leży: Cyprian Fałn, Tadeusz Nering (inżynier, wynalazca), Włodek Kusz (słuchacz W. S. H.); jeszcze stół duży — podręczny skład waty, leków i dezinfekcyjnych różności; fotel skórzany; krzesła.

I myśli się tu, w szpitalu, dobrze. Czytać też można do woli. Niema tego rozprężenia godzin życiowych. Cały tu odrębny umiar czasu, zajęć i pojęć. Ciało dochodzi swych właściwych praw. Zdrowienie albo umieranie wedle wyznaczonych konieczności — i w tym zakresie wszystko jest najważniejsze i najistotniejsze; funkcje, potrzeby, wsparcia. Nikogo tu nieinteresuje „dusza“ — to nie istnieje! — no, dla panny Zosi pielęgniarki, dla zakonnicy, oczywiście —

dla księdza wreszcie, który jest złą przygodą, gdy się (rzadko zresztą) na korytarzu pokaże. Nikt tego nie lubi. — Reszta, więc chorzy wyznaniowi, zadawała się nikłą praktyką: o siódmej rano i piątej po południu modli się w tej kuchni zakonnica głośno — drzwi do sal otwarte — chorzy słuchają, a jak litania to chór szpitalny odpowiada; karciarzy to irytuje; przerywają i ukrywają przed sobą karty; — podczas tych modlitw zawsze zakonnica jest gniewna, bo sterta naczyń blaszanych w kuchni brzęczy i przeszkadza; i zawsze jakaś szalka lub kubek spadnie i narobi hałasu; a to nikt temu nie winien; to samo tak. — Tyle też tych obrzędów. — Decyduje o dniu i nocy, o życiu i śmierci — deklaracja praw ciała.

Ostatnimi dniami jasność i precyzja myśli Cyprjana jest nadwyrężona i pomierzwiona; namiętność burzy spokój; ciągle tylko o kobietach. I niema dziwoty; organizm zdrowieje, właściwe jest już zdrowie. To leżenie ciągle, na wznak, i odżywianie jednostajne wprowadzie ale pożywne — „pamiętajcie, kalorii dostatecznie! nie przegładzać“ — mówi profesor asystentom; — już do tego mleka, masła i cukru oddawna dochodzą jaja, sucharki, kleiki, sok z pomarańcz, kompot —; — trzy miesiące, a przedtem jeszcze miesiąc choroby w domu — — wyobraźnia! — no to się pragnie kobiety — żeby była, naga żeby była, i położyła się obok (po prawej stronie!) i pozwoliła się pieścić i sama pieściła — najwięcej pragnie się ust, piersi, brzucha, pośladków i ud — i tego zacisza milczącego i podatnego na nagły już później, szybki, łatwy orgazm; w wyobraźni powtarza się tę sprawę wciąż i po wiele razy. Erekcje męczą. Ta

deusz twierdzi, że wogóle cały czas spędza się pod namiotem. Nie nużą się myśli; przeciwnie — wywołują się rade i same — i tak się też samo-sobie-myślą — — rezultatem ich wzmożone pożądanie wspomnień — jak — i kiedy, i która — — a potem to opłatanie etapów różnorakiego życia, rozwoju i rozkwitu i owocowania świadomości wzdłuż postaci niewieścich, z których każda staje się wyrazicielką pewnej, takiej a nie innej, postawy myślowej, czynu, etyki działania, kierunku tworeniowego, napędu emocjonalnego; sparza się to raz na zawsze i nieodwołalnie z seksualizmem, który nie jest jeden i niezmienny lecz wieloraki i różnorodny. I nie to ważne, że staje się miłość i ona sama, stokroć ważniejsza niż miłość, kobieta — tematem wierszy, dramatów, powieści; to właściwie nic nie jest — (zwłaszcza tak jak to dotychczas robiono — pospolicie, źle i zakłamanie!); kobieta jest zagadnieniem przyrodniczego odradzania się, konstruktorką myśli, najważniejszym bo jedynym elementem ewolucji człowieka. I cóż tam całe, długie, wywodne problemy emancypacyjne, te, co to zmierzają do dorównania mężczyźnie na wszelkich polach wiedzy, sztuki, zarobku, czy czegoś tam jeszcze; to drobina tylko prawdy — tej, która sprawiedliwą dać ma równość. Sens właściwy płci tkwi w tym, że wszelkie piękno, dobro, mądrość, poezję i ład społeczny spełnia i wytwarza kobiecość — a, że posługuje się do tego aparatem świadomości męskiej? — to cóż z tego? — cóż z najsilniejszego akumulatora, gdy jest bez elektryczności? — Oto czym jest seksualizm —: uenergetycznieniem. Narząd niewieści rodzi nie tylko ludzi, rodzi świadomość i świadomość

tę wzmaga po krańce geniuszu, więc po kres wielkości. Sam akt płciowy jest tylko ułamkiem energetyki seksualnej, która stwarza gwiazdy i myśli: ewolucje i rewolucyje. — W tym też tylko wymiarze dana jest pełna rehabilitacja za wszelkie ponizienie, pożałowanie, okłamanie, wyzyskanie i cofnięcie kobiety w wielotysiącletnim reżimie parweniuszostwa samców. Kobieta jest pierwotnością; męczyzna zjawiskiem pochodnym.

No tak; a czy może jedna kobieta skupić w sobie zasób pobudliwości wystarczającej tobie, człowieku dążący, na dokonanie różnorodnych dzieł całego twego życia? — w tym pochodzie ku najdalszemu, dostępnemu ci, miarą globu wyznaczonemu, wzwyżaniu wszystkich twych władz i zmysłów? — możliwe; choć takiego wypadku nie było na ziemi, mówię, wypadku ważnego, ważącego w dziejach rozwoju ludzkiego choćby uncję. Teoretycznie jest to możliwe, choć nieprawdopodobne — — „mój drogi przyjacielu, teoria jest szara, a drzewo życia wiecznie jest zielone“ — pewnie, pewnie... „wieczna miłość, wieczna zgoda“ — opera, psiańrew! — — kołaczę się po łbie odległe powiedzenie, że „kobiety żądają od nas wielkości, a czynią wszystko aby nam przeszkodzić w dojściu do niej“ — tak? no to się broń! — a może ta przeszkoda zwie się właśnie jednożeństwem? — pomyśl o tym, tylko bez cytat, jeśli łaska. —

Wskos przez okno wpadło nieco słonecznego światła i rozbłysło na kłamce; zapłonęła w załomie jak diament: rozżarzone jądro światła wypryskające drobnymi, gęstymi, wielobarwnymi promieniami.

Wpatrzył się Cyprjan w tę płonąca gwiazdę — urzekła go — zahipnotyzowała — wzrok nieruchomiejąc, powieki się nie mrużą — gwiazdziste jądro wsysa w siebie wszystkie przedmioty — pokój cały — zapełnia sobą wszelką przestrzeń — ono jedno tylko jest: wszechświatem i bezczasem.

— i ta błogosławiona różnorodność, różnaitość pieaszczot — wielostrunny instrument — z kaadą jest ta gra i skala nut inna, nowa, niespotykana — a zawsze upajająca! — I doprawdy niema w tym ani krzty nieprawdy, gdy się mówi: j e d y n a! pierwszy raz z t a k miuję, pierwszy raz jest t a k, jeszcze nigdy t a k nie było! — nic tu też z przesady; — to najautentyczniejsza prawda; bo kaada „ona“ jest odkryciem nowego ładu, nowych dziejów, nowych praw — a któż prócz zasiedzeńców, nierozwojowców, z e s ł a ń c ó w nie chciałby być odkrywcą — żywym, ciekawym, prężnym, chłonnym, wielkim odkrywcą? — miłosnym konkwistadorem! — wtedy też kaady nowy ład jest, w tym wymiarze, pierwszym i jedynym. Etapy rozwoju człowieka znaczą się kośbiecościami; napływ energetyczny wyzwała się pieaszczotami — jak tarcie powołuje elektryczność; taki (a nie inny!) jest somatyczny aparat organizmu ludzkiego; poczucie i odczucie tych różnorodności jest miernikiem dla wzrostu świadomości —

—

W tej chwili żywy ruch na korytarzu. Przyblakła — choć i tak zawsze blada jak wymoczek — pielęgniarzka anonsuje w drzwiach:

— profesor idzie —

Szybko przemierza kontrolnym spojrzeniem izbę czy wszystko w porządku.

Natychmiast też wkroczył profesor w gwarnej asyście lekarzy; zaroilo się w wydłużonej ciasnocie i uczyniło nagle białe i gołębne.

Przysiadł przy łóżku Cyprjana. Niski, barczysty pan, duża wyrazista twarz, wygolona, nalot przyciętych wąsów, włosy ciemne, odczesane z prawego boku szerokim, gładkim nawisem włos na wysokie mądre czoło, oczy bystre, nos wydatny: szkarpa zdatna nie podtrzymująca sklepienie czaszki (nos, widać rodzinny, bo to i brat profesora, znany literat, też taki ten nos, tyle, że obszerniejszy); cała głowa przechylona nieco ku stronie lewej, jakby mózg z tej strony cięższy; — wrażenie ogólne: szybka orientacja, jasna decyzja.

— no więc? — zdrowi jesteście? —

— chyba tak —

— proszę no pokazać brzuch — nie, nie trzeba podnosić koszuli, mam zimne ręce —

Wprawnie i delikatnie naciskał brzuch, nieomylnie wyszukiwał palcami potrzebne miejsca —

— tu? nic? — dobrze; no a tu? — też nic? — a teraz? — także nie? — no tak; — panowie (do asysty otaczającej go gęstym wieńcem) mięśnie zwolniły zupełnie, bez oporu — proszę, jak miękko i podatnie, już zupełnie normalnie; wrzód wyleczony; — ale — to się lubi powtarzać — długa dieta, uważać! — tak; co to dzisiaj mamy? środa? — za tydzień może pan opuścić szpital —

(— więc jeszcze osiem dni —)

— aha, jeszcze jedno! — a tu? —

Wpakował głęboko dwa palce z prawej strony nad słabizną —

— ocho, coś się pan skrzywił —

(— niewątpliwie zabolalo dokucznie —)

Chwilę bada; od żeber odmierza; milczy — teraz: — od początku podejrywałem ślepą kiskkę, trzeba to jeszcze dobrze (do asystenta, doktora Eilpera) zbadać i rentgen; i wogóle teraz rentgen; to mój system: po kuracji; dla upewnienia; pierwej mi nie potrzeba, mam rentgen w palcach —

Już był przy drugim łózku —: Włodek. Doktor Oborski zdał raport medyczny; gorączka spadła; wreszcie ustąpiła; wysięku niema; T.B. mikroskop nie wykazuje; już tylko niebieskie —; — drena nie potrzebna już; rana się goi —

— no to rychło marsz ze szpitala! — teraz okolica podgórska — jeść, tyć, powietrze; — długa rekonwalescencja — to było ciężkie —

— ale uciekłem gróbarzowi spod łopaty! — wyśmiał się Włodek ku lekarzom — tak, że to figla niby splatał.

— podziękuj pan doktorowi Oborskiemu; — a pan? — tu, przy trzecim łózku, profesor spochmurniał; wczorajsze badania i analizy wykazały znów spadek procentowy czerwonych ciałek krwi. Leukemia to specjalność profesora; w tem jego sława światowa; referaty jego wygłaszane zagranicą były już niejednokrotnie rewelacjami... — Tu wszystko wskazuje na białaczkę myelotyczną — związane to ze schozeniem szpiku kostnego —

— trzeba wziąć (to znów do doktora Estera) wyciąg z mostka; trochę niemiłe, lecz mus — w rezult

tacie od pańskiego (to już do Tadeusza) tu połyty niewielka zmiana na lepsze — raz tak, raz tak — uparty organizm; odsłoń no pan śledzionę —

Przed każdym łóżkiem krąg białysty — jakieś sumaryczne zwiastowanie pańskie nad półnagim pacjentem; co młodszy lekarze spozierają ciekawie na profesorskie maniery, szybkie orientacje, trafne diagnozy i decyzje; są i starsi; jakiś prowincją na wioistę tchnący łysy grubasek — na douczenie się wkręcił do profesora; teraz na palcach staje i szyję naciąga, żeby dojrzeć jak to ten profesor manipuluje i co odczytuje palcami z zapadłego brzucha, z jego lewej strony, ze śledziony.

— teraz, panowie, na salę drugą — przybył nam tam nowy gruczoł tarczycowy — a? — prawo serji, czwarty w tym tygodniu — basedow; — z tym nowym źle, bo to i serce — o — dotąd (zakreślił na kitlu skąd dokąd to powiększone serce sięga) —

jeszcze ten samobójca — przypomina doktor Ester —

— cóż z nim — ? —

— uratowany; już wraca do przytomności —

— a ona — ? —

— właśnie-co umarła — wypiszczala nowiniarsko spoza białego kręgu lekarzy siostra Matylda — przed chwilą, poprostu kilka minut temu —

Złym wzrokiem spojrzął profesor na zakonnicę; nie lubił, niecierpliwił się zawsze; więc nieprzychylnie:

— pani ma zawsze wiadomości! no! —

— ksiądz ją już rano zaopatrzył —

— całe szczęście! — warknął i śmignął oczami po twarzach asystentów —

Wyszedł.

W wąskich drzwiach tłoczno; ponad ciemieniami buja para z kuchni; ziemniaki, kasza; taki zapach.

— a kolega mówił, że wieczorem —

— zdawało mi się —

— ano, widzi pan, ja miałem rację —

Ci, z temi uwagami, wyszli ostatni.

Nering wyskoczył z łóżka; łysły długie, białe nogi jak podbrzusza ryb. Zrzucił koszulę, obejrzał sobie uważnie ramiona, pierś, brzuch; pogładził przełotnie mosznę — wyciągnął ręce do góry — zarysowały się ostentacyjnie szczeble żeber.

— zdrow jestem — co tam! — idę do miasta; może ktoś z was czego potrzebuje? — chętnie —

Począł się szybko odziewać; koszula, gaciory długie, spodnie; niebieski włóczkowy sweter przepasał skórzanym paskiem.

Dziwaczna nieco gęba tego Neringa; olbrzymie czoło — łysiną takie wysokie — wysadzone nieco — nozdrza ostro wycięte, ruchliwe — wargi łukowe, wydłużone, lśniące, mokre; głowa wogóle naprzód ciężąca — to widoczne: za ciężka; szyja cienka, kark wychudzony z głębokim wzdłuż wyłobieniem — to wzmaga wrażenie ciężaru głowy; owoc wyolbrzymiony na cienkiej, na zacienkiej lodydze; chwieje się. Cera blada; anemiczna; pergamin; cienki pergamin, ciasno rozciągnięty na kości i nikłe mięśnie; ręce wąskie, chude, długie; palce mają własne samozycie — gestykulują, ruszają się wedle swoich praw, czasem wręcz

słowom naprzekór — nigdy w zgodzie; reagują nerwowo na podniety podświadome; myśl ich już nic nie obchodzi, lub bardzo niewiele.

— znowu pan będzie prał spodnie — wyrecytował powoli Włodek — zawsze pan ma plamy na spodniach jak pan z tego miasta wraca — pan mówi: sprawunki —

Nering zachichotał; śmiech jego — z powodu tej tak wdół podanej głowy — był jakby spluwaniem; zawsze z resztą był uśmiechnięty — taki już miał skład ust; uśmiech zastygły; Budda niby.

A Włodek:

— dam panu karteczkę i na znaczek — niech pan mi to rzuci — ; — — pewnie już urosła — ja tu tak leżę i leżę — pół roku czy ile — — a miała, mówię, wam! — warkoczyki blond, długasne — jeśli się na chłopczycę zrobiła to mi zobojętnieje; długie włosy, lubię długie włosy, żeby mi choć dała te warkoczyki jeśli je już obcięła (— marzycielsko to mówi—) —
— a panu — ? —

— nic, dziękuję, plotki i tak pan przyniesie —

— przyniosę też panu albumy Grosza, Geoga Grosza — znam takie jedno miejsce, gdzie mają trzy albumy — no, hajrete towarzysze —

Pokręcił się nieporadnie i niezgrabnie; chętnie lecz nieświadomie (zapewne) obracał się dokoła własnej osi — jakby czegoś szukał — i przystawał ze zwróconemi ku sobie końcami trzewików; — i zawsze ten uśmiech wmurowany w gębę, co za, psia krew, widmina!

Wyszedł.

Spokój. Włodek próbuje zagajać pogawędkę. Cyprjan nic; czyta; „W mrokach średniowiecza“ — Józefa Putka; czyta — tak ot, żeby pretekst; zna już tę pracowitą, jasną, zdecydowaną książkę. Odpowiada: hm, mhy, ale?, no-no, ciekawel, fiii! — no to tamten ustał; mizernie, powiada spałem, zdrzemnąę się; odpowiedź spoza książki: niech pan to koniecznie zrobi, to bardzo ważna rzecz, sen.

Nareszcie.

Włodek sapie jak samowar. —

Okolice myśli — tych obecnych, pożądlivych i natrętnych — poczęły się ożywiać. Cyprjan Fałn odłożył książkę. — Okolice — okolice — okolice — niby tak się to efektownie metafuruje, a to jest pojęcie pejzazowe, naturalnie, że jest! — i zawsze podobnie: aktualny krąg dociekań jest każdorazowo oazą: zieleń, bujność, oddech głęboki — a dokoła spalone słońcem skały — pełne wyrw, spadziści, ostrości i jaskiń, wykrojów czarnych pustych okien i drzwi — przybytek anachoretów; dalej już żółte morza piasków ruchliwych, szeleszczących przenikliwie, sucho, szybko — sz — sz — sz — sz — dzeń! — zawsze na końcu jakby dźwięk dzwonka — lodowy dźwięk, hałny — uderzenie tylko jedno — ; — i wtedy pojawia się na horyzoncie zamglone widmo nowej oazy; — wszystko razem nieco obmierzłe jak sen, którego treść nie niepokoi, lecz ten gorzki jego posmak całego dziennego; gorzkie migdały; cjankali; — i nie to tylko! — jest tu jeszcze poczucie słabości, zżymające, niecierpliwiące poczucie, że zdarzenia życiowe mają wymowę i konsystencję snów, że budują się z tego samego materiału (strach, życzenia, dialekt symboli),

że (a to może jest już najgorsze!) autentyzm ze wszechstron uchwytne rosiadają tylko zdarzenia minione, dawne — i — że tu dopiero (więc w krainie cieni! cóż za absurd!) jest realizm — — tu czuję się (— szeptem, szeptem —) jak w domu! — — — i co takie życie jest warte?! — Rajfurzenie poczują! Brednie romantyczne! — usrać się na taką poezję! — Uciezko strapionych! a teraz unisćno: módl się za nami! — Kanalie!!

Zapalił papierosa; bronzowa, czekoladowa gilza; pektoral; Wisia takie przyniosła, żeby, powiada, odmiana jakaś; sama powiedziała: odmiana; miała na myśli gilzy; — *dificile est.*

— to jasne; tyle sobie umiem powiedzieć, że moje, tyloma laty pracowitego obłędu, ukształtowane pojęcie o tych sprawach — wiadomo o jakich — ma w sobie dla nich niemilą, powiedzmy, wstrętą i występłą treść: zmienności i zdrady; a to przecież nie to! nie to!! — nigdy nie mogłem pójść na wyłączość — samo słowo mnie zniechęca; wypełnienie go zabiłoby we mnie wszelką wartość; jaką? — oddźwiernęto, poszukiwacza, wagabundy po bezdrożach? — zapewne. Jestem (oho!) jak gałąź kwitnąca, od pnia wielkiego życia odrąbana — żyję i kwitnę, gdy mam zmienianą, świeżą wodę, gdy mam dopływ tlenu, gdy jestem na przewiewie — wszelką zastołością, zaduchem, i gnilnością więdnę i zamykam kwiaty — — nieporadne porównanie (dlatego właśnie to: „oho!“) — jest wymowne, ale też nic więcej — — —

Niecierpliwiąca gniewność. — Z ironiczną assocjacją napomniały się Cyprianowi owe przerażające słowa, pytania karesy! — Wszystkie one łąc

wyjątku!! — Już przez skórę czuł zawsze moment, w którym się zbliża, w którym, jak pokraczne wronie pisklaki, sfruną z pożądlivych i pożądanvch (tylko nie wtedy!) warg: „czy ci dałam szczęście?, no, powiedz, czy ci dałam szczęście?, Teraz powiedz!“ — i zawsze ta podstępna napaść wtedy, gdy jeszcze na niej leży wydychując nacichającą rozkosz — oddech jej bliski ma, przefiltrowany przez jej ciało, zapach kasztanów — — taki ważny moment, gdy krew jej i mózg napełnił gorącym posiewem, urył, przepłodził, gdy w nim rosło prężne samopoczucie samca i twórcy — — i tak to psuć! tak to popsuć!! Tak sparaliżować, tak obczwładnić! Ileż razy wieściło to koniec wszystkiego; — choć przecież, choć przecież miała prawo tak pytać — każda to prawo miała (— to szeregowanie też deprymuje — ale przedewszystkiem to „szczęście“!) — Wszystkie pytały; jedna Wisia nie — czyżby więc: „die eine, die feine, die reine“ — ? — (więc Heine) — czy wogóle na myśl jej nigdy nie przyszło łączyć z „tem“ jakiegolwiek, choćby najodleglejsze pojęcie „szczęścia“ — ? — sama przecież...

To jednak kolosalny wypoczynek; odprężenie!
(— westchnął głęboko —)

Zawsze bał się szpitala — przedsiónek smętarza — no i zapewne tak jest; lecz nie stał się nim dla niego; przeciwnie: wytchnienie, spokój, wyzbycie się choć na trzy miesiące udręku, kwasów, zgryzów — i to szlachetne poczucie zdrowienia! powrotu! — i z neurastenią lepiej; fobie zelzały; została bezsensność; lecz to ciągle leżenie to prawie jak sen; wypoczynek.

A bieg spraw życiowych nie przystanął przecież — wyszlachetniał raczej; — niema tej uganiaczki zawstydzającej o zdobycie grosza, niema weksli, niema protestów, niema komorników — — z różnych instytucji napływają pieniądze, że to „znany literat“, i, że „chluba“, a jakże; — najłatwiej i najskuteczniej śmiercią się dorabiasz, poeto, pamiętliwości ludzkiej; ale i ciężką chorobą też trochę; — ot i szpital zadarmo! — A już inna sprawa, że tu tak dbają, że się opiekują, że im zależy. Są dobrzy, bardzo dobrzy; lekarze; z ludźmi o przyrodniczym na świat poglądzie zawsze się łatwo po człowieczemu porozumieć; religie stwardzają serca; mistycyzm je zniczula; wyznania fanatyzują.

I cóż tam mówić: „nie przystanął bieg spraw“! — nonsens! — wzmógł się raczej! — Podsunął się myślom dźwięk: Maura —

Wysunął cicho szufladę — wyjął list wczorajszy odczytał:

...mamy tu obecnie, staggione; no, nasi śpiwacy! tu na południu! — możesz sobie wyobrazić! — byłam na „Cavaleria“ i „Pajacach“. Widziałam je, słyszałam kilkadziesiąt razy; jednakże przeżycia moje na tle muzyki wczorajszego wieczoru były w ustawicznym kontakcie z tobą — — i potem! — Noc nie należała do mnie. O godzinie 1-szej po napażtrzeniu się w wizerunek twój, zgasiałam lampę z obowiązkowym zamiarem, że trzeba spać. Usnęłam też drzemką powierzchowną, jakąś powłóczystą, w której umęczony organizm nie znalazł absolutnego wyprężenia, gdyż wyczuwałam dokładnie, jak każde uderzenie pulsu woła: Cyr — Cyr — Cyr — Cyr; wieczny

świerszcz!! — O godzinie drugiej porwało mnie — wyskoczyłam z łóżka do otwartego okna — światło, fotografia twoja do ręki, do ust, na serce. Stałam kilka minut, ugięłam się — i tak wsunęłam się z powrotem do łóżka, ślaniając się, dygocąc (— przecież nie z zimna? — no, nie! — u nas już od tygodnia ciepło — —) — i rozpoczęła się wędrówka moich myśli ku tobie, Jedyny — z takimi życzeniami z darami takimi — o Cyr! — I przybyłeś, przybyłeś do mnie, trochę umęczony, ale tak rozradowany, przejęty i — Cyr! — równieź roztrzęsiony, rozdygotany, zziębnięty — bo, bo z północy! — — Ułożyłeś się obok, jakoś w ten sposób, że moja głowa znalazła się pod twoim lewym ramieniem, a usta wypadło mi akurat przyłożyć tam, gdzie ciemne kółeczko wskazywało mi przebywanie twego serca, którego tykotanie najwyraźniej słyszałam. Słyszałam, Cyr! — Po obudzeniu się z tego transu odczułam dopiero, że wspomnienie tego przeżycia rozdziera mnie — — o niezrównana ekstazo! — w głowie, w uszach, w sercu, w dołku, cały dzień, całą noc, gdy stoję, gdy chodzę, gdy siedzę, gdy leżę: Cyr bez granic, Cyr bez początku i zawsze! — — Rekonstruuje zapach twego ciała, twoich włosów; widzę linie twoich rysów, każdą zmarszczkę, każdą bruzdę, i tę pionową na czole błyskiem wypaloną, promień uśmiechu twego — co się ze mną dzieje, co? — o Cyr — Jedyny na całym świecie — czy może być inaczej, czy będzie kiedykolwiek inaczej? — Ktoby wytrzymał, ktoby pojął taki kataklizm?? — Dobrze, dobrze, że też momentalnie po takich zmysłowych nawiedzeniach przychodzi objawienie: toż to Cyr, Cyprjan Fałn — jego ludzka wysokość, jego człowiecza mość! — I już

jestem pod tobą jako Maura-podnózek, jako Maura-podpalka, Maura-iskierka. — Oto dzieje jednej tylko doby, czy minuty jednej, mój Cyr! — Cyr — myśli mej myśli! — Dlaczego ogarnia taki smutek? — coś wibruje w powietrzu, drży — moloch jeszcze głodny — tyle ofiar — taki niepokój —; — ja tu za miastem, za wiaduktem, prawie w cieniu wielkich gór — gdzieś w drodze do Ciebie błąkają się moje nogi, stopy palą i bolą — płoną żywym ogniem — pożar! — O Cyr — — przyjedziesz? więc: bien venu! — I tak tu tylko o mnie! Kobieta! — Lecz w i e m iż jest coś ważniejszego, coś znacznie ważniejszego, coś najprostszego!

Trzebaby odpisać; już raz odpisał — nie, dwa razy; jakże to? — jakoś w tym sensie: „— znamy się z tej najlepszej przynależności; nie znamy się bowiem wcale; wiemy natomiast o sobie; wszystkie odkrycia przed nami! —“

Kojarzy się przyszłość ze wzrostem społecznej agresywności.

Nowy etap; oczywiście: Maura!

Myśl w tej chwili z czułością spoczęła na żonie; oto: troskliwa, pamiętna, dobra; wszystkie te udręki powszednie wzięła na siebie! — I — charakter! I — sprawność logiczna nadzwyczajna; i tu właśnie tkwi fermentacja, zaród trudnego współzycia; dla niej, dla Wisi, wszystko w Cyprjanie jest nielogiczne, kłamliwe i przewrotne — n i e z r o z u m i a ł e! — Rzadko zresztą rozmawiają z sobą o tych rzeczach — lecz wtedy jest piekło! — Zazdrość i większa od niej ambicja przekreślają z góry wszelkie możliwości porozumienia.

Poza tym — ileż wielkich dodatności! —: choćby ta dwudziestoletnia abnegacja — gdzieżby tam inna! — nigdy prawie, a jeśli to tak rzadko, że się to prawie nie liczy — te jakieś wymagania niby — ani bucików, ani bielizny, ani pończoch, ani sukien, no nic, — płaszcz znoś po iks lat; nicuje, łąta, ceruje — nie polatana też często i poplamiona; dbała to już Wisia o siebie nie jest; zupełnie nie; po części ją to nudzi, po części wcale się nad tym nie zastanawia; ot tak. — I bardzo chłodna; ale to nawet miało (chwycił się na tym, że użył czasu przeszłego) swoisty wdzięk i powab; trzeba było zawsze umiejętnie i konsekwentnie doprowadzać ją do rozgrzania; była wrażliwa tylko na strefę dziewczęcej lechtliwości — wewnątrz jej kobiecości było zupełnie nieczułe. Z początku nie orientował się — cały zabieg był marną fuserką; później (po paru latach!) doświadczenie wymogło na jej organizmie jako tako zadawalającą odpowiedź; sama zresztą musiała temu niemrawemu organizmowi swemu dopomóc; kłopot rzeczywiście. — Wreszcie: jest umysłem wyzwolonym z przesądów wyznaniowych; antyreligijna; ateistka; „meta“ i „para“ — to się z jej prostym rozsądkiem nie kojarzyło; do tych rezultatów poglądowych doszła własną logiczną dedukcją; bez wpływu postronnego; wogóle na wpływy nie podatna, odporna; podejrzliwa; unika wszelkich dyskusji; czyta mało; bardzo powoli; miesiącami jedną książkę; niezbyt się też interesuje książkami Cyprjana. Bardzo w wypowiedzeniach (nie mówmy o wynurzeniach) skąpa — zamknięta w sobie — powoli lecz z uporem odsłania w sobie krajobraz myślowy i przesuwają obręb widnokregu. — W okresie, w którym

Cyprjan skłaniał się ku mistycyzmowi — samym istnieniem swym była odtrutką i przestrożą; zawstydziała prostotą; — dobrze się z nią budowało rozumne, proste, niezagmatwane, logiczne zdarzenia — tu każda przyczyna miała swój właściwy, ściśle wymierzony skutek; było by to wszystko momentem bardzo ważnym, gdyby się łączyło z wolą i działaniem; pierwiastka aktywności brak było Wisi zupełnie, gubił się w zakamarkach jak i jej płciowość; tu też zapewne przyczyna, że wolna w jednym, niewolnicą była w drugim: przesady obyczajowe (zwłaszcza rodzinno-pokrewieńskiego autoramentu) zespały ją z burżuazją miejską, którą przecież przerastała na wielu innych polach i pozycjach. Pracowita na swój sposób, choć raczej zasiedleńcza i jakby cieleśnie zaleniwiona; gubiła się w bezmiarze szczegółów spoza których kształtu ogólnego nie było widać, względnie nie umiała go dojrzyć. Jedną z jej licznych ciotek mawiała: ogarki zbiera a świece lecą; była tu niejaka słusność, choć to przecie ciotka mówiła. — No, taka to ta Wisia i rozmaita jeszcze.

Ileż to już lat? — tak, tak — dwadzieścia i kąpię nadto; tego ich życia wspólnego.

Rozmyślając o tym (— i ten jej lęk przed ludźmi, dorównujący absolutnemu brakowi decyzji w najbłahszej sprawie —) napisał telegram: — za osiem dni opuszczam szpital — za trzy tygodnie przyjadę Mauro —

Maura! — osobliwe imię — posępne trochę — a — u — r — i jeszcze a — — a est noir — — Wyjął fotografię z portfela: poducza się rysów na pamięć

i konfrontuje zarazem — przypomnieniem najbliższym wzmagą w sobie niepokój — zżyma się, głośno nym perswazją, poczuciem winy; a perswazja: że przecież nic, że cóż — ciąg dalszy — jakoby nowe wcielenie kobiecości — —

Z każdą łączy się walka, wyzwolenie, etap — okresy, historie, dzieje — rozwój, ewolucja — zyski i straty — muzy! hory! ultima necat...

Bo przecież tak to jest: reprodukuje się od ems bria aż po moment właściwego wzwyżenia (— poczym poznać porę jego nadejścia —? —) dzieje globu, gatunku, rozwoju człowieka; ze spletem niezatartych archaicznych impregnacji łączymy historyczne przemiany, kompleksy, urazy —; — wyświadamiamy etymologię kosmiczną; — aż któreś chwili (godzina — hora — ultima) stwarzamy sami jedną gałązkę — własną, nową — a każdym takim przyrostem szerzeje i wyżeje korona drzewa; drzewa żywota wybudowanego na zwłokach przodków, oddychające prochem tysięcy cznych generacji; — przez pył ten śmiertelny przebija się wschodzące i zachodzące słońce — dlatego wschody i zachody są tak krwawe.

A potem już zwyczajnie, raptularzowo notują myśli: — za osiem dni pójdę stąd — dwa tygodnie pobędę z Wisią na wsi — dwa tygodnie bowiem to dość na wykończenie książki; musi starczyć; cała przecież już w mózgu napisana; przepisać więc: od pisać —

A teraz tych osiem dni...

Południe. Pielęgniarka, panna Zosia przyniosła obiad. Poprosił aby nadała telegram; dziś właśnie ma

wychodne. — Poco właściwie? — i zawcześniej! — Telegram! — gdy jeszcze trzy tygodnie — tyle czasu! — Lecz pisać się nie chce; i te dni... właśnie, te dni... od dziś: muzom i sobie. — Zresztą! — to wysyłanie telegramu ma też ten nieprzyjemny imperatyw przymusu, działania półświadomego a półmechanicznego; — ileż to razy w życiu! Ciągłe!! — Zawsze i we wszystkim. Czyżby podszept instynktu? przewidziana nieprzewidzianość?...

Kleik mdły; — Wisia przyjdzie o trzeciej; — dwa jajka na surowo — wypija się wprawnie — dwie dziurki naprzestrzał; — nudne jadło, bez soli; — ostatecznie wolno już siadać — to też coś znaczy — odleżyna nieco dolega — można wytrzymać...

Nagle załomotało serce: Miła! — To jest to tło wszelkich myśli i snów: dno najgłębsze! — miłość ponad miłościami! — i to dręczy — to boli — to dolega, diablo dolega — przeto tak się to chytrze, tak podle, tak perfidnie oddala, włacza pod sto warstw myśli, w ostatecznie złożone geologiczne — byle nie wiedzieć, nie wiedzieć, nie przeczuwać! — podle! Tchórzliwie! — I żeby nie dziś, żeby tylko nie dziś, jeden dzień choć utargować, odsunąć alarm bankructwa! — jutro, jutro — pojutrze! — to i tak jest niedorozwielkania — i to jest nie-u-ni-~~knio~~-ne...

Sucharek po tych jajkach — lepi się w ustach — zerzygać się można;... południe, no to Maura jeszcze w biurze — pisze, że do piętnastej codziennie w biurze;... w domu rozpoczęła powieść — jest też coś tych wierszy, trzebaby to posegregować;... jeszcze pire ziemniaczane z masłem świeżym — jakies tam przetopione, czy wysmażone — ani mowy! — i to pire to

jeszcze najsmaczniejsze;... zamówienia jakież nadeszły — nie cierpię tego! — niech sobie leżą — wiadomo: cechą talentu jest niemożność pisania na zamówienie;... ale ta powieść!! — już połowa była odwalona w grudniu — przed tą chorobą; — trzeba od początku zacząć przepisywać, żeby w to wejść — można bo pisać dziesięć miesięcy bez przerwy po piętnaście godzin na dobę — i ciągle się w tym jest, jest się w pełni — — ale przerwa! — nawet kilkodniowa — rozsypało się wszystko jak korale ze sznurka — zbieraj teraz, szukaj, dopasowuj...

Zaklął! —: już mnie wszystko interesować poczyna! — wszystko napada i dręczy — znów ta szeslestliwa, przeciągła zamieć jak przedtem, jak przez lata! — a taki był spokój, spokój, święty spokój — treuga dei.

Z ulgą ułożył się na wznak. Siedzenie jednak jeszcze męczy; — wszystko tam w środku pogojone, ale jakież świeże, niedotykane, delikatne; wyobraźnia pewnie; choć przecież i zrosty; — popołudniu trzeba się przespacerować po kurytarzu. Gdy ona przyjdzie. Wisia.

Swoją drogą jak to tu wszystko sprzyja rozważaniu, introspekcji, kojarzeniu zmyślonemu, i, oczywiście snobizmowi też, nie tyle może snobizmowi — zawsze się znajdzie obrona przed tym z a r z u t e m (byle się nie przyznać!) — ile raczej egocentryzmowi — i to jest słuszne, ziemskie, zdrowe. Trzeba tak.

Około pierwszej, już po obejściu wszystkich sal, zesłi się lekarze na pogawędkę — takie sobie klubowe miejsce z tej seperatki wykroili.

Pierwej jeszcze Włodek opowiedział o jednej takiej dziewczynie, co miała bardzo długie włosy; a on miał, chłopak młody, rumieńce, gdy o tym mówił; no bo długie włosy, to dlatego —

— cóż, to było zeszłego roku w lecie...

(Pani Ho też miała długie włosy; jakie długie! sławne włosy; po kostki! — gdy rozpuściła to jak płaszcz! — Jest taki wizerunek jakiejś świętej; wiadomo nawet jakiej — — cóż tam, pięć-sześć lat wtedy Cyrprjan miał gdy dostał taki duży, duży arkusz, na którym w kolorach nieprawdopodobnie jaskrawych były kwadratowe obrazki — sześć po sześć — razem trzydzieści sześć — z życia świętej Genowefy sceny ważne — to ona też takie włosy miała jak pani Ho; i naga była — tymi włosami nakryta, jak pani Ho; i ręce miała na piersi złożone i głowę pochyloną, jak pani Ho; — tylko przy tamtej, świętej, sarenka; ale cóż tam sarenka, może być, może nie być; sarenka! obejdzie się)

...taka, wie pan, drożyna leśna, trochę wilgotna, to też paprocie mokre po jednej, tej spadzistej stronie rosły — mówię panu! — na metr, albo i więcej; po drugiej stronie był las, a ziemia tam całkiem ruda i śliska i ogromne cienie, ogromne — bo to pod zachód słońca to cienie są zawsze takie ogromne, jeśli tylko słońce świeci, bo świecić musi, inaczej by tych cieniów nie było — — a myśmy sobie szli depache, wie pan — i też żeśmy takie cienie rzucali na te paprocie, jak te drzewa — to ja te jej włosy widziałem, pan wie? — tam na dole, na wrzosowisku — ją ja tam wtedy wycalowałem — no! — To jak sobie takie gęste pnie drzew wyobrażę to zaraz czuję zapach

jej włosów — — — Las to też włosy ziemi — nie? —
Ja tak lubię las, jej jak lubię! — a pan —? —
— też —

— pan jest poeta to pan musi las lubieć, poeci
lubią naturę, prawda? — las, ruczaj, chmury; — mie-
liśmy takiego jednego profesora w ósmej — też wier-
sze pisał — to jemu jeszcze trzeba było tak umieć
jak pacierz całą hierarchię: puszcza, bór, las, dąbrowa,
zagajnik, poszycie, gaje: brzezynowe, bukowe, grabo-
we, no, rozmaite — aż po drzewo, krzew, krzak,
kierz —; — brzozy ja lubię, też tak te gałązki-gałą-
zeczki jak włosy opuszczają —

Lekarze rozsiedli się gdzie kto mógł; Oborski
na łóżku Cyprjana, na Neringowym łóżku Maas
i Ester, obok łóżka na jedynym krześle Eilper; —
sympatyczni ludzie, dobrzy ludzie; kochani; i radzi,
że to się rozgadać można. Wspominali chętnie kogo
też tu znamienitego. Pamiętali.

Doktor Maas — średniego wzrostu, barczysty,
krępy — przez co się niski zdał — diablo owłoszony,
ręce jak w futrze, twarz duża, rysy negrosemickie,
specjalista od serca, ciśnienia krwi — o Paryżu chę-
tnie mówił, rok tam studiował, serce, — i że tam brata
ma, jubiler i bibliofil, jakie ma dedykacje! — France,
Apolinaire, Valeri, Claudel! — i wielu, wielu innych;
same sławy; i exlibris ma swoje; pan zbiera? — przy-
niosę panu. — Doktor Maas chętnie i zawsze o Or-
kanie i jego córce — leżała obok na oddziale kobie-
cym, długo leżała, na jakie cztery lata przed Cypria-
nem; ładna; mądra; przez tę chorobę może ładna, ale
ładna — no, nie taka cudna jak ta hrabianka, co to
potem ten redaktor socjalistycznego pisma, już

umarł — pan ją zna? — to są rysy! cudne! — jest aktorką; naturalnie, gdzieżby pan nie znał, tyle lat w teatrze pan pracował; — o, ja zawsze idę, gdy ona występuje, chyba, że dyżur — ją na scenie — to są tysfakcja —

— ech ty stary knurze — przerywa Ester i swoje:

— czy pan Goldoniego z włoskiego wprost przekładał —? — Doktor Ester też Żyd o zgoła niesemickich rysach, twarz spokojna, równa, chłopiśca — wąskie usta; — bo ten Maas miał odwinęte, kolosalne wargi, no i jedno jeszcze, to, że krótkowidz: grube, mięsiste szkła; — tak ten Ester nic z Żyda, a konik jego: poliglotyzm; znał osiem języków ekspedite i wiele innych wystarczająco na konwersację — lubił poezję Wilde'a i prozę Papiniego; recytował na pamięć; witał się też najchętniej po obcemu — hałdujudu, komanwuportewu — ; — Specjalista od zapalenia stawów i wszelkich z tym komplikacji — :

— muszę panu przynieść nowy zeszyt „Monatsbände für Medicin“ — tam proszę pana artykuł o Goethem — cóż się okazuje? — że ten olimpijczyk, Jowisz ten — w starym, dobrym, rozumnym znaczeniu olimpijczyk, nie o tyczcze więc, czy czymś podobnym, olimpijczyk myśli — połowę życia przeleżał w łóżku — ten tytan pracy i za przeproszeniem Grek, Grek! — kwękacz był; tyle chorób: płuca, żołądek, nerki — hipochondrii spora dawka — pacjent właściwie —

— przeczytam z rozkoszą — lubię te postronne aneksy; zna pan profesora Langroda: Goethe jako adwokat? — z kaduczną frajdą przeczytałem jak to

Jan Fryderyk Heckel spółnik w ojcowej fabryce porcelany, oddał zastępstwo swych zagrożonych interesów w ręce adwokata Jana Wolfganka Goethego — no i te wszystkie perypetie procesowe! — Zresztą proces ten — ja to przeczuwałem od pierwszych stron — wykończył definitywnie adwokata Goethego — wysoki sąd, proszę panów, wytknął adwokatowi Goethemu „nieodpowiedni sposób pisania, zmierzający tylko do zaostrenia i tak zaognionych stosunków“ — ha?

Ester: — habe nun, ach Philosophie

Juristerei...

...da steh' ich nun, ich armer Thor,
und bin so klug als wie zuvor...

Doktor Eilper częstował papierosami; wytworny, smukły pan; Żyd czy nie Żyd — co to kogo obchodzi; to nie wchodzi w rachubę, i na myśl nie przychodzi; — srebrna, solidna papierośnica, dwa pierścionki, jeden z brylantem — papierosy doskonałe, ksanti czy co? — zegarek złoty płąściuteńki, dewizka misterna — kołnierzyk jak ten śnieg świeżo spadły nogą nie zdeptany — aha! bo ten Ester to miał zawsze wymiętoszony kołnierzyk i tak wymyszkający się jednym rogiem niesfornie i niedorzeczy; — krawatka u tego Eilpera — tip top kolor i fason i wiązanie; spodnie zaprasowane do cholernego kantu! — taki był: wytworny, dbały, czyściutki. Specjalista: żołądek, wogóle prawa część jamy brzusznej; pierwszy w Polsce fotograf żołądka; rozumiecie? — i z tym to były trudności i ceregiele; jakie jeszcze; ani miejsca odpowiedniego, ani nic; w jakiejś niskiej piwnicy wywoływać; ani się wyprostować — bo za

raz łbem o sufit; — potem popsuł się ten aparat osobliwy, co to go musiał pacjent połykać jak sondę, a potem się tam rozświecało w komorze żołądka i robiło kilka dookólnych zdjęć — popsuł się i nikt tego naprawić nie potrafił; — ale kilka zdjęć pejzazowych żołądka — proszę siadać; krajobrazy tajemnicze jak okolice gór księżycowych. — A wogóle ten cały szpital z czasów poprzedzających sromotne czasy Barbary Ubryk — poklasztorne kazamaty; tyle, że adaptacje; ale żeby co współczesnego — to nic; a gdzieś tam już pono po Europie błyszczą szklane przybory zdrowia; zagranica — ba! — i fotografuj tu żołądki w takich parszywych warunkach! — okoliczności niesprzyjające; zupełnie.

Wszyscy palili te papierosy chętnie; gilzy albo tutki, a wogóle zwijki „Bon-Ton; Warsz. Fason“ — no i, że napewno ksanti, bo cóżby innego — pachnie to zanie, aromatyczne, lekkie.

— a z tym alucolem-palliacolem to to bardzo dobre (mówi Cyprian, chce Eilperowi zrobić przyjemność) — ta masa galaretowata, która się tworzy w żołądku i broni przystępu kwasocie, chcę rzec nadkwasocie, izolacja —

— przeczytał pan moją broszurkę? — zarumienił się doktor i spojrzął po kolegach z satysfakcją —

— przeczytałem, oczywiście, jakżeż —

Znosili mu lekarze swoje rozprawy medyczne; czytał wszystkie; — a już temu kochanemu Eilperowi, który bardzo i dbał i troskał się i radował lepszeniem, warto było robić przyjemność — raz, że tak miło raka spiekał, a po drugie, że właśnie taki delikatny; n. p. gdy przy wstępnym diagnostycznym ser-

monie dopytywał się: a lata? choroby? przyczyny zgonu rodziców? — etcetera — cichutko i lękliwie, w tajemnicy „między nami“ zaszeptał — z rumieńcem dzięcielinowym — a weneryczne? — kto? — no... pan! — nie; — westchnął z ulgą: dziękuję panu —

— ta aktorka, o której mówiłem (— to Maas oczywiście —) miała całe pośladki pokłute — tyle zastrzyków! — leżała dłuższy czas na brzuchu, inaczej nie mogła —

— też pięknie — wwargolił doktor Oborski; ten to jest chłop na schwał — ejże — maładec! — wysoki, zwinny, gibki; brunet, ślepie czarne, nieco skośne, z tatarska; rzęsy jak u Marleny Dietrich długie, wygięte, brwi sute, gęste, zrosnięte u nasady nosa; krótki, wypukle nasrożony skrawek wąsa; wargi czerwone, z pieśni miłosnych, koralowe; duże zatoki (zacziesanie gładkie do tyłu) — stąd olbrzymie czoło (zwłaszcza przy pochyleniu głowy) dorównuje połowie wysokości całego oblicza; cera matowa, blade. W wymowie ma Oborski taką osobliwość zbyt niego przyśpieszania wyrzucanych słów, które włożą sobie w paradę i nadeptują na pięty; mówienie takie, to właściwie tyralierka. Przy śmiechu policzki i powieki całkowicie zasłaniają oczy; wogóle: pieje śmiechem gdzieś aż od przepony brzusznej; zanosi się; rękami w uda pleszcze; zaraźliwe to; śmiejesz się wraz z nim — musowo! — Nagły i zbyt choleryk; koledzy mawiali: z tym Oborskim trzeba ostrożnie; miał raz wypadek automobilowy — wyrzuciło go poza szosę w rów, ma ponoć nadwyreżoną podstawę czaszki; nie należy go irytować; obchodzić się trza

jak z jajkiem; łatwo wpada w furię; — pozatem chłop dobry z kośćcami.

— tez pieknie, ale możebyście tak ępesik zmienili temat — mówmy o dziewczynach — wszystko takie na tych salach — a tu osobliwie: intelektualisści! — wyposzczone — każdy nato jak kot na szperkę — — miałem raz taką wiecie jedną w Wiedniu, sakra —

Ester wyświstuje walca.

Oborski ciągnie dalej:

— a to było jak mnie z frontu do szpitala wysyłali; staliśmy wtedy niedaleko watahy Bałachowicza. Spokój na froncie, od dwu dni ani strzału, ani nic; — wybrałem się do Bałachowicz na lumpkę; jestem — pijemy jak cholera — mordy, wiecie, zakazane, wąsy do góry, na dół, tak i tak, mundury międzynarodowe — ale chłopcy z wiary, fantazja pierońska u nich! — Ktoś tam raz późną nocą w zagazowaną gromadę rzucił bacznie-niebacznie: wartoby na mocha — tak-tu próżnujemy, to nie jest życie taka wojna; — od słowa do słowa — serdeńko, rybeńko — na konie! — mnie dali jakąś czarną przecherę — waliśmy jak odmieńcy, ino wiater świszczcze — stój! — cicho — — a co? — okopy mochów! — Mieli wiecie kupę granatów ręcznych — masz i ty! —, że się to w tej galopadzie nie rozpukło i nie porozrywało nas w strzępy — dziw to czysty; — ſorwerc! brzuchem do ziemi — czołgiem — a mordy na guzik — gębe ino otwierać, żeby ani sapnięcia! — czołgam się więc — dwa granaty mam, ciemno — smoła — nie widzę nic — wóda paruje ze łba — mgła — — w tem coś mi się zdaje — stoi ktoś, czy coś — coś się wogóle

czerni — co tam długo myśleć — zapłon won — ra-
mię na rozmach: hrym! — i drugi raz: zapłon won —
hrym! — chwila, a potem: buch! buch! — a to już
dokoła — łup! łup! — — a przed nami też już ogień
jak jasny pieron — maszynki karabinowe — ta-ta-ta-
ta-ta — sieją jak jęczmień — bzzz, bzzz — kulęczki —
wycofuję się, kamraci też; — dopadamy koni, a tu
już obie pozycje grają i trajkocą nawyprzedki —
a my w pośrodku! Kram! — no to i wojna! — lecimy
na złamanie karku w ćmie i przez wertepy — alem
i tak dostał w nogę — i burę też od kapitana, bo się
rozniosło, że i ja z tymi lisowczykami wojnę ro-
biłem —

— to to ma być taka rozmówka? — antymilita-
rystycznych uszu nie szanujesz —

— Ester, Ester — guano nic więcej! — miałem
wtedy dwadzieścia lat — dziś gwizdź —

— i wogóle miało być o dziewczynach —

— będzie! — gdy już pozdrowiałem i laziłem
po szpitalu, poznałem pielęgniarkę, córkę tamtejszego
regimencarcta — Junona poprostu — rosła, smu-
kła — dupę nosiła tak wysoko (— wymierzył to ręką
w powietrzu —) nigdy nie lubiałem takich co to ku-
ferek tuż przy ziemi; no; mam lat dwadzieścia, zdro-
wym jak byk, coż tam to postrzelanie, tyle co nic;
a z tego leżenia jeszcze ino większy rajc —

— pewnie — zaskamlał Włodek —

— ty cicho leż, smarkaczu, chuchro, widmo, —
za uszym cię w to życie z powrotem wciągnął — już
brykasz —

Włodek wsunął się pod kołdrę jak szuflada;
zerkął psotnie na lekarzy.

— więc ja do niej w koperczaki; po niemiecku umiałem tyle co i mój koń, ale się dało porozumieć —

— rzeniem —

— no i na migi, trochę z podręcznika; — na pozór, wiecie, wyniosła, chłodna — łaskawa tylko; no dobrze; do hotelu, proponuję, jakby w pysk dał tak spojrziała; — aż raz, że już pojutrze, królowo! powiadam, powiadam: habsburgin majn libestes, zrozumiała, że więc niema dyżuru, a ojciec wyjeżdża, że więc tak; hura, myślę sobie; — golę się, czyszczę mundur, buty jak to lustro — czekoladki, kwiatki — i do niej! — no więc jeszcze spacer, ona chce, do kawiarni, to, tamto, sio — całe takie rytualne profilaktyczne obsrywantes — nareszcie lu! — to wiecie takiej cholery w życiu nie spotkałem ani przedtem ani potem; przez całutką noc minutowe przerwy — tyle, żeby na papierosa, takie antrakty — wciąż i wciąż. nie tak, to tak — ale wciąż — a ona! — krzyczy, płacze, bije, tuli się, czuli, gryzie — — tydzień to trwało, ledwie nogami włożył, a boli mnie, spuchnięte, czerwone — cały interes — — ale nic, honorowo pracuję; zresztą partnerka, szukaj takiej! — Kiedyś rano, już mam wychodzić — ona w łazience — zerknęła: machinalnie do szuflady nocnego stolika — puderniczka, wata, drobiazgi — świeca tam leży gruba, długa — pytam, gdy wróciła wypluskana — na co tobie świeca? przecież tu elektryka? — skleciłem to nietrudne zdanie, a ona: jak wychodzisz to się nią jeszcze z godzinę bawię, wspominam sobie ciebie — tak, majn szac, wcześniej wychodzisz! — Pomyślcie! dwanaście godzin z nią leżałem — i zawczasie wy-

chodzę! zwariować można! — a tyle wtedy spałem
co w dzień, w lazarecie —

— nimfomania —

— et, słowo tylko, nic więcej! żebyście ją wi-
dzieli: zrównowazona, wyniosła, chłodna; — swoją
drogą ta przygoda pchnęła mnie na medycynę, na
ginekologię — taką we mnie ciekawość posiadała —

Cudują się, ale po lekarsku, zblazowanie. Maas
dochodzi do głosu:

— zanadto ten Władzio Orkan pił; okropnie; —
do córki przychodził z wódką i winem — posiedział
przy niej z godzinę, dwie — bardzo ją kochał — za
ręce cały czas trzymał; — a potem, blady, do mnie
na ucho „gdzieby tu można?“ — „co?“ — „no,
usiądźmy sobie gdzie“ — tośmy do gabinetu weszli,
my, i kto się tam trafił — i truliśmy do północy nie-
raz; rozwodził się nad córką, płakał, — potem zaczął
opowiadać i po góralsku zaraz, zaćmiewało go pręd-
ko, przyśpiewywał; często-gęsto tak bywało; wyjeź-
dzał, przyjeżdżał, aż... ten nieszczęsny telegram, który
go dobił... ona nic nie wiedziała, że ojciec umarł, kry-
liśmy przed bidulą — bo to i tak z nią ku końcowi
się miało — w kilka tygodni poszła! —

I znów te papjerosiska Eilperowe ćmią — bon-
ton — ksanti — w pokoju dymno jak na mokradłach
rankami we wrześniu bywa.

Zasiedzieli się.

Już trzecia. Pukanie. Wchodzi żona; — zerwali
się dzentelmeni — w rękę całują; przysuwają krze-
sła; — że tak ta gawęda miła, mówią, no i męża zdro-
wego pani do domu zabierze; odpowiada: „właśnie“ —
cieszą się więc tam wspólnie, ale, że się zasiedzieli,

czas na nich, mówią. Wnet też wynoszą się wszyscy.
— siadaj Wisiu, dziękuję ci — chwileczkę odpocznę — strasznie dla mnie dobrzy, ale czasem na kotłują do badości —

Ułożył się wygodnie; przymknął oczy.

Przyniosła sucharki i tytoń; i siebie.

Pomyślał o niej z czułością i wielką przyjaźnią. Dwadzieścia dwa lata! — dwadzieścia jeden małżeństwa! — psiakość —

Poomacku — tak dobrze leżeć z zamkniętymi oczami — wyszukał jej rękę i poniósł do ust; mała, sucha, bardzo kształtna ręka; — ucieszyła się gdy kiedyś tam Osterwa powiedział czy napisał, że taka ta jej ręka ładna; zawsze co Osterwa to Osterwa; gągatek taki zna się. Zrobiło się nagle bardzo cicho w seperatce i całym szpitalu; chorzy teraz o tej godzinie podrzemują; lekarze dopiero koło piątej zaczną swe wieczorne obchody; spokój.

Czy to właściwie nie jedyna, na tym odcinku, prawda życia?, tego życia we dwoje? — a co? pyta się siebie Cyprjan — no: łączność bezwzględna, odpowiada; — może: wzniosłość?, powiesz? — nie! zaś tam; raczej problem negliżu; że niby wielkość żadna; — zwyczajnie: mąż, taki jak inni; tyle, że gorszy; — więc też po tej drugiej stronie nic z zachwytu zazwyczaj tak histerycznego (kobiety!!); — a dalej? — poczucie wygody też; filozofia szlafroka i wydeptanych pantofli; dla pracowitego pisarza wcale ważny problem; — dobra znajomość pór, rozkładu czasu: kiedy praca, kiedy niemożność pracy, bezwład i bezład dręczący — jak zaradzić; i żeby ten rozkład czasu nie był rozkładem trupim — — umierający, gni-

jący czas! straszne!! — no i higiena: wszystkie rozdrażnienia, irytacje, neurastenie ściekały w nią, w tę żonę. — Żona! — pociąg seksualny pierwszych lat — tak, lub nie — przedłużony we współżyciu o cały zawiliły splot interesów, niedostatków, bied, głodowań, zawodowych kłopotów też; balast nieznośny biurokratycznych procedurów współżycia w społeczeństwie rozbitym na koterie; uzurpacje, mianowane opatrności — ten codzień narastający z tego gniew — to trzeba wykląć z siebie, wyrzygać; więc znów ona: owszem — i chwile swawolnych myśli, wychwalania się próżnego też, nagłego olśnienia myśli — owszem dzieli również; i splendory wydarzające się; dzieli — chłodno, nic na zewnątrz, zrównowazenie — jej taka już metoda myślenia i odczuwania — — poza tem wie się i to: rodzinna; więc w tym jedyna — w tej sojuszniczej współodpowiedzialności; pewność i zaufanie — pekao bez niespodzianek; — wie też o wszystkich długach, wekslach, terminach; — a imię ich legion — użera się z wierzycielami, komornikami — zajmuje się tymi okropnymi sprawami; opieszale? — może; ale martwi się i głowa jej pęka; — — wie też, z obowiązkowym opóźnieniem zawsze, o jego tych, no jakże tam, miłośkach — wie i skrupulatnie sumuje — na karteczkach kalendarzowych spisuje systematycznie: 1), 2), 3), — ad 2) a, b, c — buchalteria i biusthalteria ponurego autoramentu; podstępny cyrograf — z tego, oczywiście, kłopoty, awantury, sceny, straszne dzieje czterech ścian domu — dzieje między ludzkiej — brutalne, ohydne, poniżające; tu zwyrodniały guz erotyzmu: ambicja! — — A jednak, a jednak to, że go zna — ona jedna — z n a j g o r s z e j

strony — z wszystkimi wadami, cudactwami, małociami, tchórzliwością, neurasteniką, chorego, często obrzydliwego, nieznosnego, nieskrępowanego (— to właśnie ta obrzydliwość —), wyzbywającego się prawem kaduką wszelkiej dyscypliny — że to zna, że znosi, cierpi, pomija — to obowiązuje, wiąże, uniezbędnia; trzeba sobie to umieć powiedzieć!

I dzieci! — to jest poza wszelką dyskusją. Są. To wszystko. — Owszem, owszem —: dziecko powinno być rezultatem ważnej, obowiązującej decyzji dwojga ludzi — decyzji wiążącej obie strony bezwzględnie; niezależnie od popędu płciowego; jedno i drugie niezależnie: decyzja i jej wiążące skutki. Popęd płciowy, rodzicielstwo — to zgoła rozbieżne sprawy, to są dwa aspekty życia — coraz bardziej rozbieżne i oddalające się od siebie — ten podział czy rozdział będzie się z roku na roku pogłębiał aż po przyszłą, zupełną dwutorowość — jeden (aspekt) to — unieśmiertelnianie się przez komórkę — takby to można nazwać, pospolite zachowanie gatunku, drugi to element twórczy: hormonizująca, energetyczna rozkosz; tamto więc dotyczy zbiorowości, to osobowości. — Po dziś z nikłymi wyjątkami, które jeszcze wogóle w rachubę nie wchodzi — dzieci są rezultatem bezmyślnej obłąpki. Witane też są z niechętnością i jakoby ze zdziwieniem — i są zawsze od zarażenia niezamierzonym zbytkiem, przeważnie zbędnością. Ileż to razy się słyszy: naczóż nam to było potrzebne? ach! żeby już umarło, to byłoby najlepiej! — to są dna potworności — a jest tych den tyle ile rodzin; sporo więc. — Miłość rodzicielska jest rytualnym wzmówieniem, ohydny zakłamanie; świństwem i fałszem;

pozbyta świadomego działania wypusza się: u niego, że potencja! — u niej że on kocha, włazi na nią, patrzcie, zazdroście; miłość rodzicielska jest natrętem nie podzwaniającą blaszaną pokrywką, nakrywającą gar, w którym nad małżeńskim ogniskiem bulgoce nienawiść; — wszyscy od wieków rzucamy się jak ryby w podrywce—na tę podrywkę rozkoszy schwyćmy. — I te matki — matki — matki — kobiety bez właściwego życia seksualnego — głupio od pierwszych, nierozbudzonych miesięcy zachodzące w ciążę — dolegliwości, bicia serca, wymioty, deformacje — poród — rozpękanie ciała — zszywania — karcienia — wrzody na piersiach — obmierzły zapach mleka — niedosypiania — żywot omotany pieluchami — cały krąg widzenia zasmrodzony — — i zaraz znów da capo — czytaj przez de capo — i znów — i jeszcze — — cóż za bezwstyd i arogancja cierpiętnictwa! — I żądać tu równouprawnienia, współpracy, współdziałania! podnośzenia — się!! — Tragifarsa! — I ta cała budowa rodzinna oparta na kłamstwie o instynkcie macierzyńskim i (cóż za brednia!) ojcowskim! — jeśli tam jaki archaiczny remanent instynktu istniał, to się już dawno w nędzy bytowania ludzkiego zatracił; i nie trzeba go wskrzeszać; nie ma powodu; — budowa kruchotka sklecona na wydmuchanych przez zainteresowanych, chytrych i bezczelnych pseudo przyrodniczych prawidłach! — Wyznania potrzebują dzieci dla interesu; państwa potrzebują dzieci — dla interesu; człowiek pożąda rozkoszy i radości, pracy i twórczości; nie dzieci; odczuwa je też jako przeszkodę i ciężar; — mądre dzieci darzą nas jawnie tą samą skrytą nienawiścią jaką my ich

darzymy pod fałszem, całkiem zresztą źle pojętej i mylnie stosowanej miłości. — I zaraz tu na tym torze myślowego transportu musiał Cyprian zaświadczyć, że Wisia nie chciała mieć dzieci; — rada była z pierwszego poronienia; do rodzenia miała stosunek prosty, zdrowy i słuszny: obrzydzenie; lęk i obrzydzenie. — W rezultacie — ileż razy przedyskutował to wszystko Cyprian — zatezował w myśli: jedyną dyscypliną pożycia jest wspólny pociąg dwojga ludzi oderwany od instynktu gatunkowego; i tu jest wszystko poza krzywdą (osobistą i społeczną); — rodzicielstwo winno być aktem wspólnej świadomej woli — i tu już bierze się na siebie konsekwencje decyzji: dziecko wiąże na wiele lat życia — na tak wiele, że potem rozluźnienie więzów niema już żadnego sensu. Nie podoba wam się to? — no to nie miejcie dzieci; lepiej jeśli ich nie będzie —

— nie krzywdzić —

— co mówisz Cyprianie? — uśmiechnęła się Wisia —

— powiedziałem coś? — widać jakiś rezultat myśli; — co porabia Jurek i Hanka? — zdrowi? —

— tak, chciały przyjechać, ale nie było pieniędzy; Jurek obkuwa, bo to przed maturą te miesiące, nawet zamieszkał w miasteczku u kolegi, tak mu łatwiej niż codzień dojeżdżać —

— a Haneczka —? —

— zęby ma kiepskie, trzebaby do dentysty; z matematyką jej ciężko, gdzież takie zawiłości w trzeciej klasie —

— najgorsze te zęby, trzeba się postarać o forszę, jak tylko stąd wyjdę — za tydzień, mówił profesor —

— był dzisiaj? —

— był; proszę cię, gdy już wychodzić będziesz, zapytaj Eilpera, kiedy będę mógł na miasto —

— dobrze, zapytam —

— zatrzymasz się aż do mojego stąd —? —

— tak —

Spojrzał na nią. — Roztyła się już bardzo. Zawsze miała do tego skłonności; już wychodząc za mąż była pannicą sutą, szeroko siejącą biodrami; po drugim dziecku wyładniała, jak to często bywa, lecz się też i roztyła; brzuch zwłaszcza. — Często od tego czasu mawiała (przed lustrem): najgorsze to sadło, o, tu na żołądku — wszystko inne byłoby jeszcze do rzeczy, popatrz, o! — dwoma palcami przyciskała wypukłość nad pępkiem — spójrz, widzisz? — żeby tego nie było wszystko byłoby dobrze; — i istotnie, byłoby dobrze, tylko, że temi dwoma palcami przycisnąć trzeba.

W tej chwili, pod wpływem pożądliwych podrażnień, wywołanych wyobraźnią rozbudzoną i podniekcytowaną przepelnionymi pęcherzykami nasienymi, z lubością wywoływał wizję jej nagości przelewnej i sutej; — tak się w tę masę tłuszczu wtłamsić, obłożyć się kobiecym ciałem jak ciastem.

— zapytaj, może już w sobotę mógłbym wyjść — odwiedzę cię —

Pogłaskał ją oczami; lecz nie wywołał tem rozbłysku źrenic, jakie muśnięcia uerotycznionego spojrzenia budzić zwykły w kobietach. Posmutniał.

W izbie szarzało.

Na kurytarzu zażlamdał rozlaźle i blotniście dyszkant zakonnicy; odmawiała litanię — z izb cho-

rych odpowiadały nikle głosy: módl się za nami; zakończenie modlitwy wygubiło się w mamrocie, jakby kto garść szutru rozsypał po lodzie.

Wisia pogładziła koldrę, nakryła nogi Cyprjana złożonym we czworo kocem.

Pożegnała się bezpłciowem „pa“.

Wyszła.

Włodkowi matka przyniosła była plik czasopism ilustrowanych typu „Koncern I. K. C. made in Buszmenia“, wydawanych dla tubylczych analfabetów, dworaków, chrześcijańskich faszystów i członków legionu Dąbrowskiego, co to marsz, marsz z ziemi włoskiej do polskiej; również i książek kilka przyniosła takich z „przygodami“. — Czytał; przeglądał; szuścił papierami; nieprzyjemnie. Cyprjan starał się tego nie słyszeć.

Jeszcze wieczorna wizyta lekarza; pobieżna, bez znaczenia i zainteresowania; raczej inspekcyjny rond.

Spokój i — znużenie; skąd zresztą to znużenie? — nigdy go ono nie opuszcza od dziesiątek lat. I tu też nie. — Depresja. — Wszystko jest jednak beznadziejne; bez—na—dziej—ne! — To wogóle nie może tak dłużej trwać; — to — to znaczy sprawy społeczne; — powszędzy rośnie świadoma nienawiść w masach; rośnie wraz z nędzą; okrutna pospólna nędza człowieka; nie nakarmi głodu niestrawna guma ni olów; nie nakarmi go też zapach ambrozji ni nektaru szciodrze obiecwany przez usta kapłanów wszystkich bogów; zresztą to wonne jadło ma być podane później — po śmierci, a głód jest teraz przed

śmiercią. Istotnie umarli nie buntują się — widać nie są głodni, względnie nic sobie z głodu nie robią, ani z nędzy, ani z poniewierki — z niczego; takie widać są ich obyczaje. — — Przez cztery miesiące ciężkiej choroby nie interesował się rzekomo niczem — ale to tylko na zewnątrz, w sferze wzmówień, na powierzchni więc świadomości; lecz wewnątrz czuł wciąż, nieustająco i zawsze, czuł i słyszał ów wibrujący przeciągle ton sejsmografu notującego przemiany społeczne i przemian tych w głuszy podziemnej narastające natężenie. Od kilku ściśle mówiąc od sześciu lat, dźwięk ten odzywa się — i z rokiem każdym wzmagą się, potężnieje, rani myśli, rozsadza mózg, zaciska pięści. — Niezauważone rzekomo zjawiska i problemy poczęły się z sobą sumować i układać z niezwykłą wyrazistością. Jaskrawo. Wiedział zanim wiedział. I zawsze się zgadzało. Z każdym rokiem wzrastała drapieżność upewnień, agresywność, radykalizm — w nim i w masach, w masach i w nim. —Więc jak? więc co? — To jedno autentyczne: w obecnych systemach politycznych czy jakich tam, mniejsza o nazwę! — w Europie, na zachód od wielkiej granicy, od granicy, właśnie, od granicy, nic się począć nie może, nic; coby sprawiedliwość wyrównać mogło należycie i odpowiedzialnie, nic coby godność pracy, więc właściwą godność człowieka — przywrócić? — nie! — dać, raz pierwszy dać mogło. W państwowościach wszelkich — najszlachetniejsze idee i próby wcielenia ich w życie rozlażą się, rozkładają, próchnieją; wzrost przemysłu wojennego oto jedyne hasło bankrutów; słyszymy je też poprzez całą Europę wzdłuż i szerz; cała też

Europa w szerz i wzdłuż skazana jest na śmierć; na straszną śmierć; dojrzewa bezlitosne okrucieństwo; — rozpoczęło się konanie w czternastym roku; mimo pozorów sporadycznych zdrowień — stan agoniczny zbliża się z dniem każdym. I nikt tu nic nie poradzi prócz... Zasada musi być zmieniona; i właśnie nie też tu to wyrównanie sprawiedliwości być musi; i wiele innych rzeczy; — i ja, i ty, i my, i wszyscy wiemy, że jest niedowytrzymania; w zasypanej mrocznej sztolni zdrapujemy ręce do krwi, kruszymy zęby na twardych skałach, szalejemy w mroku strasznym, rozwalamy łby o czarne ściany — obłęd rozszarpuje zwoje mózgu, i serce wali w nas jak dzwon, a tętnem naszych pękających żył drży ziemia — — i nic nas zagubionych w odmętach grozy nie zratuje prócz wyzwającego wybuchu! Więc póki w pierśsiach dech się kołacze, podkładajmy, towarzysze, dynamit, wierćmy pod tym murem więziennym — smołą nocy zalani — wierćmy nory głębokie i podkładajmy dynamit! — więcej, więcej dynamitu, i jeszcze! jeszcze! — mury głębokie, mury szerokie — dynamit, dynamit, dynamit — — lont!

Wali serce; Cyprjan dyszy ciężko. Lęk i strach i tragedia ludzka topi się w upojeniu. A jest to upojenie czyste i jaśniejące jak promień porannego słońca oświecającego strome skały — — tak, w półśnieniu wciąż tu żywe: strome skały Kaukazu. Knofury szczytów przypominają rozpiętą postać ludzką. A równocześnie rośnie ogłuszający szum — szum: melodia gwałtu i żywiołu. Trwoga przed nawałą zmraza ciało — — porywa się — dźwiga — przy-

tomnieje — i już wydobywa na zbawczą powierzchnię sensu —

I znów zdziwienie (nawrotne), że się to tak późno zaczęło, to oczekiwanie, przejrzenie — no, **tamto!** — ale to nic; samemu trzeba wszystko zrobić, wszystkiego samemu doznać — jeśli to „wszystko“ ma się stać prawdą, wiarą, wiedzą — i — jeśli elementy irracjonalne, pozaegoistyczne mają żywić wolę, wywierać wpływ, działać. Tylko ta myśl może pobudzić chemię mózgow i rytm pulsu masowego przyspieszyć, która dojrzała na ogniu wewnętrznego zmagania się, na ruszcie własnego cierpienia i własnej, w sobie zdobytej pewności więc i radości; tylko to owocuje, tylko to żywi.

W zapadający mrok pokoju, dokoła którego rozłożyło się na obcych łózkach cierpienie ludzkie i konanie — przepłynął falami myśli żaglowy, chropowaty dźwięk — : — Maura — : hasło, kierunek — element nowy.

Maura! — jest w tej chwili u siebie wieczorną godziną... „małe, sklepione są moje komnatki, lecz twoją, o Cyr, wielkością powiększą się i zolbrzymieją; staną się całym światem — całą ziemią z morzami i lądami, z wschodami i zachodami“ — jest więc u siebie, wydychuje czad całego pracowitego dnia — przecież tam olbrzymie przygotowania — brał w nich częściowo udział w ubiegłym roku — potem przerwa, choroba — — — Teraz Maura staje w oknie — w tym — tu na północny wschód zwróconym, tu, w tę stronę stoi i zaczyna się nachwiewać, przykładła dłonie do czoła wewnątrz na zewnątrz — i nuci przeciągle dawną pieśń — muzyńsko, minaretowo — na

wszystkie strony świata — a przede wszystkim tu
na północny wschód —

I znów to nabrzmienie nieznośnego niepokoju
— — zawsze to samo i zawsze ten sam nonsens; tym
razem większy (nonsens) niż kiedykolwiek; — nie-
możność wyzbycia się ogłupiającego pożądanego wy-
łączenia — podłe i upadające stanowisko samcze,
nierozsądne i nieistotne; małe, deprecjonujące, za-
wstydzające i tak dalej i tak dalej... wiem, to wiem
— : — umiem to sobie wszystko powiedzieć, zmie-
nić tego tylko w sobie nie umiem — —

Zacisnęła usta; zniknęły wargi; została tylko
rysa, zmarszczka w tym miejscu; równocześnie roz-
szerzyły się nozdrza.

Zewsząd to przypomnienie, to natręctwo ob-
rzydliwych myśli — wielka przegrana życia —
decydujący okres życia — więc tak, tak, sam siebie
okłamuję i stwierdzam: los! — i wiem, znów, że to
nic nie znaczy; — Mila, Mila, Mila — (drży i łka
w nim wszystko) — pod rozległym firmamentem
grzązka i błotna ziemia — czujna, destrukcyjna
ohyda ciągłej obecności „tamtego“ — meble, łóżka,
dywany, lampy, książki, ramki, w których się „tyl-
ko“ fotografię zmieniło — przedtem z „nim“, póź-
niej... włosy, oczy, usta, piersi i... dwoje dzieci, to
też... Mila!!! — — — i poco to teraz wspominać! —
to jest właściwa choroba; i nato ani bizmut choćby
z oliwą, ani alucol, ani pantopon choć się go do
odbytnicy tka — psiakrew!!

To tak po ludzku (co to znaczy?), a nie po
ludzku (a to znów co znaczy?) — upiera się gniew-
nie — upiera gwałtownie: — niech Maura będzie

wszędzie, niech będzie fluidem, podniętą, ziszczeniem czegoś tam, co się ziścić musi — — hormonizacją tej okolicy myśli, która jest wszystkich, przez wszystkich, dla wszystkich — : treść zasadnicza dwudziestego wieku — to trzeba zaznaczyć, to trzeba podkreślić — żeby było każdej komórce wiadomo: mózgi muszą zasłużyć na zaufanie mas chłopskich i robotniczych — — że niby lepsze jutro, że niby to niewiadome szczęście wolnego człowieka — — tylko bez frazesów, mój kochany, — rozgrywka dziejowa idzie o chleb powszedni dla wszystkich, o wiedzę jawną dla wszystkich, o etykę równą dla wszystkich — i, żeby rządy nigdy nie mogły być w rękach fabrykantów broni i fabrykantów zbawienia; jednakie dla wszystkich życie jak jednaka jest dla wszystkich śmierć.

(— ten Włodek szuści temi papierzyskami! — niech go! —)

Ejże, Cyprjanie, uważałeś się zawsze za poetę ziemi, za zjawisko przyrodnicze — głos globu — wyzwalającą się świadomość planety — — no tak, uważałem się, jestem właśnie tem — czemużbo innym jest poeta? — a teraz? — teraz zespalam się z nabrzmiewającą falą ludzką — danem mi jest żyć w chwili zwrotniczej, na rozdrożu czasów — wieków zapewne — więc? — obieram drogę człowieka; jak więc widzisz, ty drugi we mnie, nie oddalam się od przyrody, bo się wogóle oddalić nie mogę, niema bowiem absolutnie niczego poza przyrodą — przesuwam jedynie krąg zainteresowań, nurt namiętności skierowuję w nowe łożysko — zahuczą turbiny — oświetlą świat pracy —

Podrzemuje ciało wygodnie wyciągnięte; ani jeden mięsień, ani jeden mięsień nie pracuje — prócz nieustającej roboty serca — cały organizm żyje bez współdziałania świadomości — : oddycha, trawi, przeciekają krople z nerek do pęcherza, limfa przemienia się w krew, krew odżywia mózg i ciało całe; — każdym ułamkiem sekundy narasta śmierć zawsze obecna i czujna; zapewne; lecz jest tu w tej chwili ciepło i łagodnie — świetnie omatuliła Wisia nogi; myślom myśli się sprawnie, rześko, daleko.

Bo to tak tych ośm dni rekonstrukcji — — byle natręctwo tematowe odrzucić; choroba zawodowa, obsesja; — obserwuje się, myśli i kojarzy — a nagle wyskoczy ten koźlonożek — wypisuje wzór aktualny fosforem na wielkiej płachcie nocy — i wskazuje wielce pedagogicznie i dydaktycznie — zwyczajną linijką wskazuje — tu — tu — tu — i to jeszcze — kropka — jest! — powieść, dramat, poemat; — koźlonożek = diabełek: kolega tego specjalisty od delirium tremens; obaj istnieją dzięki nadmiarowi.

Tu rozłazą się myśli — przysiadają po krajach ekliptyki elektronalnej — drwiące i łobuzerskie — — więc, że się te kobiety tak tyczą — ej chmielu, chmielu, żebyś ty na tyczki nie laź — ; — myśli czynne i bierne oplatają się wokół nóg, ud, bioder, piersi, szyi — ech, głupio się konstatuje, myśli narozne, myśli rogówki — : raz dobrze poobłapiać, wyzbyć się nacisku nasienia — i już — — no i ją, właśnie ją, — spokojnie, bez zbytej emocji, tyle tylko ile musi być — żadnego nadmiaru, przesady, ekstrawagancji żadnej. — — Uśmiecha się; ukrywa tem skrzywieniem samotniczem warg zażenowanie; bo

też istotnie — trudno o asocjacje głupsze! — akurat teraz się przypomina — kto to powiedział — zaraz, zaraz — nie, nie pamięta, — że stosunek płciowy z matką dzieci własnych to kazirodztwo; coś w tem, jakoby jest; w tem też właśnie, jakoby jakiś — urok? — nie, zawiele, jakiś smak ostry, rokfordyczny; — rikoszet kompleksu edypicznego — — po odrzuceniu dwu pierwszych zgłosek zakalamburza się wszystko doszczętnie; wogóle bałagan; więc powiedzmy — niech nas nie kusi (też jakieś dziwne słowo) : edy powego; „powego“ już nic nie znaczy, cóż tam „powego“; głupstwo.

Zna Cyprian te płaskie rozwałęsania myślowe, poprzedzające ześrodkowanie tematowe — jednorość konstrukcji wyobrażeniowej; coś jak strojenie instrumentów przed symfonią; regulowanie fałszów.

Spokojnie — spokojnie — — no już! — dzwonki — gong — : — pierwsza kobieta; no tak, to było na dojrzeniu, na przedzrałości; matura, ta właściwa matura. A była to ta sama, o której wspominał Mikołaj Srebrmpisany; kolegowałem z tym skrytym szaleńcem, z tą bladą, niską, niepokojącą postacią; od szóstej przez trzy lata kolegowałem, w tem samym gimnazjum, w tem samym miasteczku jego królewskiej mości, sławnem dziś w Rzeczypospolitej i za jej granicami, tak dokładnie przecież skompromitowanem przez figle fantastycznie ograniczonego księdza Pyłka; ćwok; gdy się mówi Wołkowice, to już wiadomo o co idzie; Pyłek! — — Więc wszystko to samo — no, i tasama Balbina! — et, nabreszyłeś, kolego! — bo to i żadna symboliczna

Balbina, tylko, owszem, wariatka; żona rozwiedzionego z nauczycieli; jeśli Mikołaj myślał, że majorowa, to miał w tem swoje powody osobiste; wiadomo nawet jakie! — Więc, owszem, lunatyczka, bez obrazy niczyjej; — ale czy to ważne? nie; to wcale nie jest ani ważne, ani istotne. Całkiem co innego! —

Było to w rok bezmała po maturze.

Mikołaj nie zaglądał do Wołkowic; dały mu się przecież we znaki; mieszkał w Krakowie; czasami pisywał do niego — do Cyprjana; rzadko. Cyprjan jeszcze rok musiał tkwić w tem mieście, bo nie było pieniędzy na dalsze studia; poprostu; nie było i już. Dopiero rada familijna... rada w radę... pies ją trącał, tę radę; co to tam oni chcieli z niego zrobić — jedni, że medycyna, powiadają, na prawo inni; adwokat — o! — Dopiero gdy krewna ojca, bezdzietna i chrzestna matka zarazem — zapisała mu w spadku trzydzieści morgów ziemi ze starą drewnianą rudera i kamiennym lamusem, w którym też kilka niezbyt mieszkalnych izb było — a wszystko to nad jarem bystrej rzeki wewnątrz pasma gór lesistych — no to już ani medycyna ani prawo, studia owszem wedle zamiłowania: archeologia i historia sztuki — i kawęczenie wieczne; zadużo żeby umrzeć; zamało żeby żyć. Tak to było proszę.

W tym roku podziały się te sprawy; pierwsza seria spraw zasadniczej wagi; tym razem fizjologiczny dorost i taka nibypewność: więc już niby przekroczone młodość gołowąsa; — no i : muza! — Sama to tak powiedziała i tak to zostało — ten uraz; użyteczny uraz; powiedzmy; użyteczny i nużący

jak sen o schodach, na które trudno się wygramolić — stopnie śliskie i lepkie — noga utrzymać się nie może lub grzęźnie w stopniach jak gdyby były z rozgrzanej smolv.

Spotykał ją nocami — nigdy w dzień; w dzień kryła się jak sowa, nietoperz lub lelek; i zawsze nad jeziorem lub nad rzeką; niewiadomo dlaczego lecz tylko tak — w obliczu połyskliwej tafli lub płynnego, migocącego nurtu.

— dlaczego cię nad wodami tylko spotykam — ? —

— rusalka jestem — odrzekła; bez afekcji i mizdrzenia; zdawała się w to wierzyć. Wogóle — nawet tak na rozum zdrowy biorąc — androny mówiła tak, że nijak inaczej nie wychodziło — tylko, że to prawda istna.

Lecz śmiałości to już do niej żadnej; ani za grosz.

Zajść do jej domu naprzykład? — niemożliwe! nigdy! — Zresztą ona wyznaczała pory i miejsca! Pory nocne, podpełniowe; miejsca dalekie, leśne, mchowe, ruczajowe.

Nie mówiła wiele; właściwie wcale nie mówiła; a jeśli zfruwały z jej małych, podniecających warg słowa to nigdy do nikogo, i do niego nie, lecz do dalekiego widnokągu; z tem porozumiewała się dobrze; i krok jej i wzięcie i całe podanie się naprzód było takie jakby miała iść ku temu nieboskłonowi i zajść zań — jak zachodzi księżyc.

Cyprjan nigdy nie myślał o poezji; nauka „poł-

skiego“ synonim wiedzy poetyckiej w tym okresie — nudziła go rzetelnie; czytywał dużo bez wyboru jednak, byle co, byle jak. O ile Mikołaj Srebrempi-sany uchodził za „poetę“ w klasach wyższych — Cyprjan był w tym czasie organizatorem zabaw, wycieczek i wszelkich hec szkolnych. Bimbał z poezji i Mikołaja miał za psią pętelkę; wydawały mu się te młodzieńcze rozmarzenia i rozręsknienia (roztkliwienia) głupstwem wierutnem; miał „realne spojrzenie“ na „świat“. — Okres pokwitania przeszedł względnie spokojnie — krótkotrwała, zastępcza onania; bez znaczenia; zdrowa raczej; minęła bez depresji i charakterystycznych omroczeń. Niezwykła bądźco bądź bujność jego natury znachodziła łatwe ujście w forsownych wycieczkach, mocowaniach się, tańcu, awanturach psotnego raczej niż innego autoramentu.

Tak doszedł do lat dziewiętnastu.

Aż tu nagle, istotnie nagle — : muza!

Pierwszy raz spotkał ją w odległej od miasta miejscowości — późnym wieczorem. Ponówek przebłyskiwał przez czuby sosnowego lasu: katedralnie więc i srebrnie-witrażowo. Natknął się na nią pobok glinianej, wąskiej, polnej drogi przy opuszczonej cegielni. W matowym mroku rozliczne szopy, budy, baraki, napół rozwalony komin — miały pozór fantastycznych ruin; nawet powiedzmy, poniekąd romantycznie; owszem. Siedziała wsparta na rękach w tył wyciągniętych — głowa dotykała olbrzymiego, kaducznie wypruchniałego pnia wierzby; na psa urok z taką wierzbą. — Cyprjan wracał z wycieczki. Pogwizdywał sobie

*świeci księżyc na niebie
puść mnie Maryś do siebie
ej romtaj romtaj dana
puść mnie Maryś do siebie*

zauważył ją; — przestał gwizdać i nistądnizowąd, nigdyby tego nie zrobił, gdyby się choć przez sekundę zastanowił — przystanął i rzekł poprostu: do brywieczór!

Taki był początek.

Odtąd spotykali się często; jak już wiemy, nocami, nigdy wednie. Spacerów ich trwały zawsze długo; milami ciągnęły się kilometry; przystawała cpo chwila, jakby sobie coś nagle przypomniała i znów szła — z głową podniesioną — zapatrzoną szklanie w widnokrąg.

Rozmowy — — no, nie — to nie były rozmowy; — wymiana słów, tak jak to ptaki: ćwirik — ćwirik, patpilit — pitpilit, fiju; to wszystko.

Przyzwyczaił się do tego — szedł obok niej, co tu dużo gadać — zakochany! zakochany po uszy; lękliwie; nieśmiało. Przez długi czas zaledwie zdołał się zwiewnie spoufalić z jej ręką, którą całował na powitanie i pożegnanie; ręką szczupłą, wąską i wiotką — rozplywała się w jego dłoni; nie wysunęła się z uścisku nigdy — znikala jak dym.

Podczas tych spacerów napadło go t o. Począł sobie, najpierw mętnie i sporadycznie, później coraz jaśniej i częściej, uświadamiać, że droga jego to droga (bał się jeszcze wymówić) poezji; działanie więc życia przez słowo, treść jego i melodię; — poeta, literat! no, nareszcie! dobrze, że się to już wie. — Przeświadczenie to powstało w dość osobliwy sposób —;

— idąc obok niej przesączał się (czuł to wyraźnie) w nią; szedł w niej, był w niej, był nią; — zatracal swe osobowe „obok“ — zespalał się z jej mózgiem samotnym, niemym, wizjonerskim i pracowitym, myśli jego działały się zapomocą nowego mechanizmu; destylowały się w nieznanym mu dotychczas reortach — precyzyjnych i pełnych barw żywych i ruchliwych; u niej: mózg naneonowany; u niego: pierwsze hormonalne laboratorium organizmu.

Cyrjan jeszcze nie miał kobiety. We łbie poszło szumieć pożądaniem i poezją.

Namół wygrzewający poezję — jak strusie jaja — był gęsty i grząski. Z zewnątrz, w miejscach porbrzmiewających echami, wszystko niezdeklarowane; niewiadomo co; to było w roku tysiąc dziewięćset siódmym; coś się tam kończyło; nic się nie zaczynało; samemu trzeba było zaczynać w tej bardzo niedobrej porze; a jak się tu wziąć do tego? — z którego końca?

Mówił o tym z nią; zarywanie i nieśmiało; — i o tym, i też nieśmiało, że jeszcze nigdy. To jej powiedział w wysokim Żarnowcu — tak zwał się na rozległym, obłym wzgórzu czerniący się las sosnowy. — Pośród, na szczycie, była polana; hala niby; miniatura hali; bujne wrzosowisko; osiadłe tu pośród ścian sośnianych powietrze wonne było i ciepłe; dzień parował spod wrzosów. Krajem hali ściekała nikła stróżka wody; w tej chwili podpełniowej był to strumyk żywego srebra. Balbina rzucała na płynne, zimne światło główki stokrótek — wir porywał je w dół; poniektóre okręty gwiazdziste zawijały

nurtem wodnym pchane, do paprotnych przystani.
Cisza leniwa gładziła wrzosa, krzewy i drzewa.

Spojrzała.

— nigdy? —

Stał blady bardzo; drżał.

— nigdy —

— chcesz mnie (—a to już zwrócona ku wo-
ście —).

Zamiast odpowiedzi — jakże tak powiedzieć:
chcę! — klęknął przed nią i wtulił twarz w jej suk-
nię. — Uniosła ją — czoło jego dotknęło ciała po-
między wysokimi pończochami a górnym ubraniem.
Ciało to było ciepłe; pachniało mgłą i narcyzami.

Wtulił w nią głowę.

Pogłaskała go po włosach; — niespostrzeżenie
rozpięła i ściągnęła z siebie szatki; odrzuciła.

— całuj —

Usta jego natrafiły na miękki puch, dotknęły
stulonych, ciepłych kątów warg; — podsunęła je ku
ustom; wygięta jak łuk działała ciałem rytmicznie —
samochcąc i świadomie — nieomylnie i celowo. —
Wreszcie przechyliła się wtył i ułożyła na wznak;
— ręce chude i zgoła dziewczęce, smukłe i kruche
pokładły się bezwładnie wzdłuż ciała — spokojnie —
mumiowo — tylko palce odchylonych dłoni chwyt-
ały pęki wrzosów i wypuszczały — znów rytmicz-
nie: przyływ i odpływ.

— chodź —

Wgniótł ją w miękkie chłodne mchy i we wrzo-
sowisko.

W zmagającej się nawale krwi — krzyknął na-
gle — przerażony do ostatka. — Piękna, nieziemska

prawie, wizyjna twarz jej zmaląła i wychudła — zapadły się policzki — skóra alabastrowa, blada; oczy pod jaskółczemi brwiami rozwarte szeroko patrzą nieruchomo ponad jego głowę; kataleptycznie; — białka i źrenice zaślniły odbitym i już przedestylowanym od wewnątrz światłem księżyca; — oczy te były ślepe. Na czarach piersi błyszcząły sutki — błyszcząły też małe krople ros na jej włosach.

Wysoki szum nachwiewał czuby sosen na rozmlęczonym niebie; gdy zmiatały księżyc — źrenice niewieście zachodziły cieniem i fosforyzowały zielono jak ślepiea kotów.

Już stał oparty o szorstki, łuszczasty pień — a ona wciąż jeszcze leżała wyprostowana, z lekko rozsuniętymi nogami; pełnia wypłynęła ponad ścianę lasu i nakryła ją świetlistą lamą — teraz fosforyzowała cała — — ręce jej bezustannie wykonywały ów ruch chwytania i wypuszczania wrzosów —: odpływ i przypływ; pulsacja.

Westchnęła. Usiadła nagle. Wstrząsnęła głową by włosy przerzucić do tyłu.

Wstała.

Tej nocy napisał Cyprian pierwszy poemat.

Sprawa z Balbiną nie powtórzyła się już nigdy. Na nalegania, prośby i modły odpowiadała — nie — (a po chwili) — ten pierwszy raz tylko jest ważne, pierwszy wogóle — pozatym jest mi to wstrętne — Raz wspomniał Mikołaja; rzekła:

— kocham go — poeta —

— piszę i ja —

— wiem —

I wyfrunęło z jej ust, jak pierwszy motyl wiosenny, to słowo: — muza —; zatrzepotało i usiadło na pierwiosnku; — i jeszcze:

— kiedy? —

— w tę noc —

— pierwszy raz? —

— pierwszy —

Motyl odfrunął dalej; wysoko; stopił się z błękitem; znikł.

— to się łączy; — dziękuję ci —

— ty mnie —? —

— za potwierdzenie —

Po jakimś czasie zniknęła nagle. Szukał jej wszędzie; daremnie.

Wtedy to właśnie wyjechał.

...to dziwne, nienaturalne właściwie, nigdy jej sobie nie wyobrażam realnie, że tak powiem, zdrowo, jako kobietę z krwi i ciała. Była człowiekiemomalże atmosferycznym; bez funkcji fizjologicznych; trudno uwierzyć, że musiała czasem też... chyba księżycem, psiakrew; — Zirytował się nagle!... dwóch prawiczków na poetów wykierowała... poezja! sama poezja! czysta i sama — bez tego...

Przypomniawsobieswe częste wysiadki w restauracjach dworcowych; niema w nich zasiedziałej i zaśniedziałej ciekawości jaka zawsze czyha we wszystkich innych restauracjach, cukierniach, jadłodajniach; tu nikt niema czasu; wyjeżdża, przyjeżdża, czeka; sobą zajęty. W takich warunkach nawet pisać można; choćby listy. — I otóż to! — Wchodzi pospiesznie i górnieszaaferowana dama; tyle przecięz tych spraw i zajęć na świecie, prawie tyle ile męsz-

czyn; piękna, wytworna; usta-serduszko, brwi-li-
nijka, paznokcie-rzodkieweczki; olbrzymie pierście-
nie; no i suknia, płaszcz, kapelusz; żurnal. — Stąpa
wysoko, ponad ziemskim pyłem, jak po kielisz-
kach — — cała dźwięczy i lśni jak szkło; kryształ-
szklanka; chciałoby się ją z niej napić; niby. — Sia-
da, zakłada nogę na nogę; poprostu wystawa w „pa-
łacu pończoch“ — a te pończochy lśniące, jakby
udziergane z anielskich włosów co to na boże drzew-
ko, wiecie, — no i wysoko te pończochy aż po...
trzeba przerwać to pisanie przy sąsiednim stoliku;
poobserwować trochę, nie? — Siedzi to cudo, zama-
wia małą czarną; z kolorowej papierośnicy wyjmuje
papierosa; gilzy numer pierwszy; ustnik poniekąd
złoty; ho-ho; — zapala zapalniczką kolorową; trzask;
płomyk; wysunięte wargi; dymek; ogienek; trzask.
Zaciąga się i też pospiesznie i też górnio; nerwowo.
Nie patrzy na nikogo, nie widzi nic, siebie w lustrze
— owszem; dama; królowa! — W pewnej chwili —
trzask, ale to przy torebce — szpera w tem tam,
przegród dużo — upewnia się w lusterku czy wargi,
czy kosmyk, i czy nos się nie świeci — trochę —
więc puderniczka (kolorowa) — puszką płaską
po nosie, po czole, po policzkach; ten puder; i to
pachnie. Już. Teraz wstaje i zapatrzona w przestrzeń
wychodzi; — widzisz — dobrze obserwujesz, dra-
niu! — przez szklane drzwi — korytarzyk — toa-
leta — dla dam. — Dopisujesz kilka zdań w tym
swoim liście. Pięć minut, ośm minut, dziesięć minut.
A ona już ten zamiar miała jak tylko tu weszła. Sta-
wiasz kropkę — a ona wraca; wraca jak wieść z ni-
kąd; a ty już orientujesz się, wiesz wszystko — —

na dnie tej kryształowej szklaneczki lśni słońca kropelka koloru złotego wina francuskiego; grav, cha- bli; coś w tym rodzaju; to — albo też okruszyna łas- jenka tam — tak blisko tego, co to wiesz; albo i je- dno i drugie; kombinacje jak we wszystkim; — no i już jest to twoje „z krwi i ciała“. Jeśli piszesz aku- rat list miłosny — dopalasz kilka zdań takich co to w pięty idą; w pięty? — ech, co tam — znacznie wyżej. A ona sobie popija kawę. I ty wysączasz łyk kawy, a kawa twoja nagle ma smak słońawy; u — niedobrze!

(...miłość jest poniekąd przewyciężeniem ob- rzydzenia...)

A ten pierwszy tomik — lat temu dwadzieścia i osiem — to nawet jak na pierwsze — wcale — niema co — dziecko kugluje na grzbiecie i bawi się gwiazdkami — podrzuca — łapie — no i — — —

Tupot szybkich kroków na korytarzu szpital- nym; zawsze tak wyraźnie słycać; do ustawicznego człapania pantofli słuch przyzwyczajony; wyciera- nie podeszew o słomiankę; pukanie; wchodzi Ta- deusz Nering; zawsze puka; przezorny i wychowany tak.

— dobry wieczór — fe, jakie tu powietrze nie- znośne —

— no bo pan ze świeżego powietrza —

Tadeusz zwyczajem swoim nie zrzuca palta; przystanął tuż przy drzwiach; głowa naprzód wy- sunięta; szyja chuda; klatka piersiowa zapadła; a końce trzewików ku sobie oczywiście.

Włodek zarechotał spoza płachty koncernu:

— a cóż tam spodnie? będzie je pan znów pod kranem szczoteczką do zębów — — hiiii —

Tadeusz nie zareagował; a uśmiech to już miał przedtem na gębie — szeroki, wybaczący; już się z nim urodził; znamię takie.

Bez wstępu zaczął mówić:

— wprawiają szyby we wszystkich sklepach, albo łatają — takie duże koła, wie pan, z dychty. — Grosza panu przyniosłem — proszę (— położył w nogach łóżka na tym kocu co to Wisia; spory album) — te zajścia montują front jak wszyscy diabli — robotnicy, zewsząd akces — widziałem kilku działaczy, mówiłem z nimi; — a co pan? —

— ja? — stąd z łóżka szpitalnego? — to jedno mogę powiedzieć, że zaczęło się, to pewne; długo tłumione wybuchło; — lękam się czy taktycznie wszystko dopisze, to już przecież dziś wiedza; bez niej szkoda każdej kropli krwi —

— zaczęło się, to pewne —; — dziś kolportują masami ulotki; i wiersze takie — jeden nawet mam — Wyszukał w kieszeni zmięty i naddarty różowy arkusik; podał Cyprianowi —:

— proszę niech pan przeczyta —

Czyta: (— tytuł —) „DATA“ —:

Zaczęło się w marcu;

ślepy, głuchy szyb—

ulica

złowroga — okna bez szyb

—

W zielonej ciszy wielooklennych sal:

strzelać — i nawet głos nie drży —

i : pal!



: salwy trzy!
: cztery — pięć — sześć —
Drżą druty ciężkie od dyplomatycznych not —

panowie; cześć!

Tak dziś. A jutro: zwrot!

Wtył zwrot;

I w wasze...

— taki podarty mi pan strzępek przyniósł —

— taki zdobyłem —

— tu chyba całej zwrotki brakuje —

...raz — dwa — — dotrzymać dziejowego kroku!

Pamiętajcie na ulicy

zaczęło się w marcu

1936-go roku

Reflektor czerwony: grób!

Robotnik Nieznany

przybrany w sztandary

skrwawione —

— przechodniu schyl się!

ukłęknij!

ucałuj bruk!

— znów coś brakuje —

.
.

Robotnik Nieznany!

Ucałuj — schyl się —

ucałuj bruk!

— no? —

— tak —

Włodek się zamyślił —:

— szczęście to, że się rodzice przenieśli, byłoby ich dostało, no serwus — sklep spożywczy tam mieli, przegrychy wspaniałe, specjały patelkowe, a szyby to takie, o —

Tadeusz — wciąż jeszcze u drzwi:

— cała rzecz w tym jak się ustosunkowują chłopci — pan tę rzecz zna lepiej —

— lepiej, nielepiej — nikt jej dobrze nie zna;— chłopci! — to nie jest pojęcie jednolite; zasadniczo chłop jest przygnębiony, głodny, wynędzniały, chory — nieufny ale i podatny wszelkiej agitacji — a ta idzie z prawa i z lewa; z prawa: antysemitka; najtańsze i najpodlejsze hasło: bij żyda! — Zlewa: front ludowy stojący na stanowisku klasowym: proletariatu. — Przewódcy stronnictwa ludowego — boją się; sami nic nie zrobią — razem z robotnikami — tak! — z masą, oczywiście robotniczą, bo i tu góra jest chwiejna i całkiem wczorajsza; — ale co potem? — potem komuniści, powiadają, wezmą wszystko za łeb — są silniejsi ideowo i taktycznie; — nie zdziwiłbym się wcale, gdybym usłyszał, że przewódcy ludowi marzą o swoistym faszyzmie chłopskim; to byłoby bardzo groźne! —

— a pańskie osobiste zdanie? —

— mam tu kilka osobistych zdań; nie wierzę, widzi pan, aby mogła się jakakolwiek przemiana udać, w sensie przysporzenia równego wszystkim dobra, bez uzwyżnienia etycznego, bez podciągnięcia — no i: przymuszenia! — wszystkich do pospólnej uczciwości, pospólnej, zawsze wyższej i obowiązującej

cej! — następnie: jako poeta, więc indywidualista i typ aspołeczny, wymarzam sobie i wierzę w to, niech mi pan ufa, głęboko wierzę: — najbardziej odległy ład anarchistyczny, nieskrępowany niczem prócz dyscypliny aby niwelować wszelką krzywdę i obdarzać wszystkich i wszystko dobrem autentycznym —
— mrzonki —

— zapewne; lecz ja wierzę, że taka aurea aetas nastąpi; niech pan mi nie raczy przypisywać krótkowroczności polityków, co to: jutro, na jutro; pojutrze też będzie dzień; zresztą najskrajniejsze systemy społeczne, to jednak systemy ramowe, w których będą dane wszelkie dogodności dla rozwoju osobowości —

— no dobrze, choćby, ale to co pan mówi to kiedyś — a obecnie —? —

— to najlepsze kiedyś może nadejść tylko jako etap po etapie — niema skoków w przyrodzie, i kaskadizm jest formą ewolucji, i rewolucja nie jest niczym innym jak ewolucją przyspieszoną; — obecnie trzeba wszystkimi siłami pracować nad tym, aby jak najprędzej Europa przekształciła się w zjednoczone republiki; przy konsolidacji nie jest to nawet tak trudne i beznadziejne jak to na pierwszy rzut oka wygląda. — Widzi pan, mówiąc przebrzmiałym stylem śp. romantyków, Rosja wzięła na siebie straszliwą ofiarę aż nazbyt szczerze przelanej krwi z pierwszych lat rewolucyjnych — niema już musu powtarzania tego, na wielkich i niewątpliwych zdobyczach dziewiętnastu lat, można budować w atmosferze spokoju nowy ład, więcej, w atmosferze zachwyty i entuzjazmu. Radykalnie nie musi znaczyć krwawo; re-

akcja lubuje się we krwi i ona przywabia okrucieństwa —

— słusznie —

— no, oczywiście, niech pan spojrzy na wszystkie rewolucje, zawsze są wywołane represjami, ich srogość jest tylko odwetem —; — dziś, gdy patrzę na to wszystko co się w Europie przerażającego dzieje, wydaje mi się, że każdy dzień zwłoki nabrzmiewa nieuniknionym okrucieństwem; w państwach zuchwałego hipernacjonalizmu pachnie krwią; cała ziemia staje się polem krwi, potworną hakeldamą; ślepi i głusi, zadufani w pułki i karabiny, w tanki i samoloty, mieniący siebie Atyllami i biczami bożymi, rzucający hasła najazdów i krucjat — najedzeni i wzbogaceni — małe idee tuczają jednostki, wielkie karmią wszystkich — czemuż nie kwapią się do usunięcia głodu, nędzy, ucisku, terroru —? — oto: nie mogą, jest w nich bowiem tylko gest i szalobierstwo, zakłamanie i megalomania — to ludzie chorzy — jakby wzmożony sadyzm jednostek i masochizm świty — takie oto zjawisko — a masy w tem chciałoby się mieć rojowiskiem termitów —

— ja też już nie wierzę w żadne pokojowe wyrównanie —

— i ja nie wierzę, już nie wierzę — wiem, że mogłoby być, lecz niestety już nie będzie —

— ręce, których nie można odczepić, trzeba odrąbać —

— i tak się myśl pańska przemienia w okrucieństwo —

— dlaczego wszyscy intelektualiści nie mówią tak, jak pan —

— owszem, mówią — niech pan posłucha emigrantów niemieckich —

— a u nas? —

— nasi intelektualści, z nikłymi wyjątkami, nie solidaryzują się z epoką idącą — za wytworni na to! — zasugerowani splendorem słowa i sławy żyją dniem wczorajszym; śmieszne to ale tak jest: szlachckość straszy na każdym rogu syfiliistyczna, gnijąca; zaduch też trupi idzie przez piśmiennictwo; zawiewa trupiarnią; — zresztą tacy oni już są: zaraz chcieliby być sierżantami „dusz“ — przewodzić, imponować, dyktaturzyć — to jedno znają — oburzyli by się, gdyby im powiedziano, że praca rąk ma równą prawa jak praca mózgu —

Nering rozciągnął wargi szerzej:

— Lassal miał rację mówiąc, że najbardziej rewolucyjnym czynem jest: powiedzieć to co jest —

— o eksplodującym naboju słowa mógłbym panu wiele powiedzieć —

— a młodzi —? —

— jacy młodzi —? —

— pisarze —

— naturalnie, młodzi! — w nich tylko wierzę, kocham ich, ubóstwiam! — całe moje zmarnowanie wielu parszywych lat — rehabilituję sobie w nich; na starych machnąłem ręką; imponowali mi kiedyś, terminowałem twardo, dzisiaj już umiem to co oni, lecz oni już nie umieją tego co ja; nic mnie z nimi nie łączy, tak jak ich nic nie łączy z przyszłością — — bo i cóż oni dają? — śmiecie, iluzje, brząkadła —; — „Przedwiośnie“ ostatni autentyczny utwór, wart wzmianki; — młoda twórczość mnie upaja, uwiel-

biam jej agresywność, czczę jej pogardę, zachłystuję się jej zdrową nienawiścią — — i tę drogę przed nimi widzę jasną, gościniec szeroki — — wstąpili nań — idą rozhlukani i nachwiani, eterem rewolucyjnym pijani — wolno im, przecież są pijani mocnym trunkiem! — szaleńcy mówiący z wiarą: dzień! słońce! jutrznia! wschód! — a mówią to w ciężkiej, ołowianej nocy, którą tylko ich myśli rozświetlają — z tymi szaleńcami zespolą się masy chłopskie i robotnicze i wszyscy ci, których nie spaczyły ni zależności ni hasła aż bezwstydnie małe ni agitacja reakcji wyznaniowej — cała dobra Polska pójdzie — z mroku w jasność, z głodu do chleba, z nędzy do dobrobytu, z analfabetyzmu do wiedzy — Polska pracy i jej praw; — w tym to ja chcę być! i tylko w tym! — w tej wyprawie po szalone jutro —

— a tymczasem wszystko trzeba przeładować ze śmieciarki na czystą platformę —

Cyprjan milczy.

Tadeusz po chwili:

— żeby pan tak kiedyś do nas przyszedł —

— przyjdę i — przychodzę zawsze — — tylko nie każcie mi przemawiać — nie umiem — nie każcie mi mitingów urządzać — zrobię to źle — idę i jestem w słowie; to moja dalekonośna broń — przecież szerzycie kult speców — jestem takim specem — zwalczam słowami, buduję słowami — — słowo dobre to nabój namiętności, nabój eksplodujący z niezawodną precyzją —

— dlaczego pan dawniej już tak nie mówił—?—

— przeczucie leży we wszystkim co pisałem, teraz wiem więc mówię — zresztą to nie jest ani tak

proste ani tak łatwe — trzeba wyłamać i odrzucić wszystko — przesady, wmówienia, dogodności i mroki wszelkie — tu w tym miejscu węzłowym odgrywa się wielki dramat człowieka — aż wreszcie wychodzi człowiek na światło —

Nering zdecydował się zrzucić palto; właśnie już marynarkę zdziewał — ręce wyciągnął za siebie i prawą ręką po omacku i niezręcznie chwycił lewy rękaw — gdy przyszła mu ochota zaagitować aktualnie —

— pan mówi, że nie pańska rzecz miting — a tu trzebaby, bardzoby trzeba — idzie o służbę szpitalną, o pielęgniarki — pan wie jakie potworne warunki?, pan wie jak one mieszkają? — byłem, widziałem — straszne! —

Włodek już spał.

Cyprjan:

— panie Tadeuszu, to już chyba jutro ten miting — dość na dziś — ostatecznie jesteśmy jeszcze nieco chorzy —

— swoją drogą —

Tadeusz usiadł na łóżku; popenetrował po sobie —

— znów jutro prac trzeba — zauważył melancholijnie; — to naco patrzył to były plamy bieliste; na spodniach; było ich dużo.

Zgasili światło.

Cyprjan założył ręce za głowę — wpatrywał się w prostokąt skośny światła lśniącego na powale; to odbicie okna, bo tam pod nim latarnia.

(...ci największy w dziejach to nie byli dyktatorzy i głosiciele potęgi — efekciarze — lecz ci głoś-

szący miłość i jej realizację... rzeczywiście: rozpadły się aleksandryzmy, dżingishanizmy, napoleonizmy wszelkie... Ptolomeusze... Rzym... wszystko... i to są groźne prognozytyki dla naszej współczesności tak bardzo obciążonej obłędem tępej, zachłannej, awanturniczości... nie tracą zaś nic na mocy i wartości przypowieści Buddy, Laotsego i Chrystusa... ha, przeciwnie!... ich przykazania społeczne, umęczone i miażdżone przez uzurpatorów, podszywających się pod ich wzniosłe hasła dla celów trzecio i czwartorzędnych — odradzają się w swej wspaniałej naiwności — coraz świeższe, jaśniejsze, większe i coraz bardziej autentyczne...)

Zmrużył oczy; próbował zasnąć; sen piaszczył się pod powiekami — ku reszcie ciała nie kwapił się zbytnio.

Z drzemania spoza wzgórz wyłonił się jasny, ciepły, letni dzień tatrzański — Hala Gąsienicowa — rozmowa z Zosią, z tą dobrą, pogodną, mądrą dziewczyną — — hala była słoneczna, rozbrzeczana dzwonekami — — potem się jej, tej Zosi, w powrotnej drodze trzewiki podarły — wieczorem odpadły obcas — gdzież to kto widział takie wysokie, francuskie brać na wycieczkę — a nocą (tak sie ta wycieczka poza dzień wydłużyła) podeszwy poszły! — no i boso trzeba było wracać — a to przecież góry więc skały, kamienie, żwir — nóżki kochane! — dwa dni bolały, a może i trzy? — Potem wieloletnia, przerywana korespondencja — sześć lat do wojny, wojna też sześć lat — i tak rozmaicie — Będzin — Warszawa — i po wielu latach jeden jedyny pocałunek! — I nic więcej. Nie było znaczone. Nawspak

poszły sprawy. Gdyby nie to... I łoża, sztuka jakaś z Leszczyńskim w roli głównej... mrok tylko z tego pozostał w którym jej twarz blada, wątła, z charakterystycznie wysuniętą dolną szczęką — i to oblicze błyszczący w tym mroku; prawie jak drogowskaz. Wszystko to, doprawdy, chłodne i błękitne — nigdy, na najgorszym nawet czasie nie zachmurzone: pozostało taksamo czyste po dziś dzień; — może i poemat jakiś? — nie pamięta się dokładnie — lecz jeśli, to tam musi w nim być kolor niebieski; — jest też jeszcze kilka, pomocnym dobrem promieniących, przedmiotów: szkatułka batikowana; jeszcze pachnie konwaliami; konwalie w niej były; w listach pączek róży z owego czerwonego bukietu, gdy się w Szczawnicy miało „wieczór autorski“ — — i znów tak bardzo modre popołudnie w Krościenku — modre i pagórkowate — i Dunajec burzliwy w dole — i te głazy w nim wielkie — — a potem jeszcze „Popioły“ — wydanie monumentalne, całe w skórę oprawione, przysłane w dwudziestolecie „pracy literackiej“ — pamiętała! — jaka to pamiętliwa, widzicie! i jaka dobra! — — wszystko razem ujmując: niezdziałne zjawisko dziewczynskie, niebieskie całe, konieczne! więc i sukienka może być w białe grochy ale tło musi być modre; i zapach też taki: wiewu bzowego, albo takiego co to wczesnym rankiem zboża zielone gładzi; — w bilansie: dobroć i uśmiech; w tekście zdarzeń: myślnik i szczęśnik — — —

Miło i dogodnie przed zaśnięciem pomyśleć, że tak też było — i, że w tym pszennie-swoista wierność obopólna — bławatowa, opływająca w krąg obecność czegoś, czego nie trzeba sobie wcale uświa-

damiać — przecież nie mówimy przy wdechu lub wydechu: teraz wdechuję powietrze, teraz je wydechuję: tego się wogóle nie mówi — — i poco mówić —
ććć — zo—sia — s—i—si—a — — — —

Zasnął.

Czy to na początku, czy pod koniec roztrzęsotanego trwania snów? — nie da się obliczyć — — wszystko przecież w ułamkach bezzegarowego czasu. Jest prawie tak jakby zaraz zaczęły się jakieś gornitwy i uganiaczki po niezliczonych pokojach — drzwi — okna — schody — w pewnym miejscu: kurytarz długi i nużący — idzie Cyprjan — idzie — — nagle! — spoza węgła mierzą do niego z rewolwerów nagie kobiety; rewolwery nikłowe, lśniące. W pierwszej chwili zdawało się, że jest ich dziewięć — dlatego też zaraz widać przez okno, w wykroju prostokąta pejzaż znany: Itaka; oliwki stare, przygarbione wloką się pod górę; — lecz to trwa moment, tyle ile potrzeba, żeby to okno minąć; zaraz też znika obraz jak w panoptikum; — a tych tam już nie dziewięć lecz dziewięć razy dziewięć, co daje niedokontrolowaną cyfrę: dziewięćdziesiąt dziewięć, bo zamiast się przez siebie pomnożyć, przystawiły się te cyfry do siebie. Teraz ta wielka naga gromada — stoją szeregiem jedne ponad drugimi, i znów trzeci rząd wyżej i czwarty — mierzy do niego z błyszczących nikłowych rewolwerów; — przestraszył się! — a one w śmiech, te girlsy!, bo to są girlsy; podćwiczają nowy skecz na rewię; próba! — a z tymi rewolwerami to niby napad nimf na... ach! prawda! — przecież on ma solo w tym tańcu — więc zaraz zaczyna, z miejsca, czas najwyższy! — wlewo, wpra-

wo — rzut wtył i wprzód — wlewo, wprawo — ręce, nogi, nogi, ręce — a posadzka jest tak śliska, że właściwie w powietrzu robi to kunsztowne pa tańeczne; — taksamo girlaski — — falisty, miękki ruch i wir — robi się strasznie przyjemnie, laskotliwie, rozkosznie niemal; — Cyprjan-tancerz unosi się w powietrzu jak na niewidocznym spadochronie — dookoła pełno tych podfruwajek — roi się — ślicznie zbudowane, jędrne, zwinne, gibkie. — — Nagle przypadają do lśniącej posadzki i wszystkie równocześnie wykonują szpagat sprawnie i umiejętnie — teraz przechylają się powoli wtył — układają na grzbiecie — dotykają się stopami — tworzą olbrzymi wielobok; — w pośrodku, pod trójkątem włosów łonowych każda baletnica ma okrągłe lustro — odbija się w nich, w tych lustrach, niezliczona ilość razy jego twarz, twarz Cyprjana Fałna; — rytmicznym ruchem (to przecież należy do programu) zbliża się do każdej (taki jest finał tej tanecznej pantomimy) nachyla się, przegląda, stroi grymasy to tragiczne, to komiczne, to natchnione, to wzniosłe — maski! — Wszystkie lusterka powtarzają tę jego mimikę; — zaczyna to nużyć; w oczach się ćmi; ruchy stają się powolne i wiotkie. Teraz dopiero spostrzegł, że właściwie też jest nagi; zaraz też odbija się w lusterkach ta niedyskretna nagość; fallosy, erekcje — dokoła, wszędzie; mgłą się i płowieją lusterka, wsiąkają w ciało; niema ich już, tylko to znamię zostaje: samo odbicie! — hermafrodyty: do pasa pokaśne kobiety, od pasa jurni młodzieńcy. — Na ten niepokojący i zdumiewający obraz zapada powoli od stropu olbrzymi, blaszany (cynowy)

klosz; — ciemno i duszno; z przyczajenia wynagła się lęk — strach — trwoga — — Cyprjan pięściami wali w blaszane ściany — coraz silniej, coraz prędzej, zewsząd sypią się na niego ogłuszające dźwięki — przytłaczają — budzą — — —

Oczywiście — szósta godzina! — w przyległej kuchni zmywają szklanki, menażki, rondle, garnki i wszelaki sprzęt kuchenny — hałas, brzęk, szurgot — — też szpital!

Ani już mowy o spaniu; taki Włodek, młody skieł — takiemu to nic; — ale nawet Neringa to niepokoi i tyrmani; przewraca się i wciąż tym zadkiem łyska — taka już jego natura nad ranem.

Najdokuczniejsza depresja w całym organizmie — to w tych chwilach po przebudzeniu; pobudliwość; pesymizm; szura w głowie, zmęczenie, wzmożony niepokój.

I wogóle całe urządzenie tego szpitala! smętny kintop! — choćby i to: wychodek jest na końcu rozległego kurytarza, a potem jeszcze na prawo na wprost i znów na prawo; kurytarz, owszem, nawet ciepły, ale tam dalej już zimno, przeciągi, lodowato podwiewa; no a ilu tam z gorączką wysoką, spoconych lub rozfebrzonych iść musi? — ładny gips! — wiódział nieraz chorych ciężko dyszących, ślaniających się, o ścianę wspierających — podróż! wyprawa! — Swoją drogą trzeba też będzie zbadać to lokum pielegniarek. Smętnie się tu o tym mówi; i nietylko Nering; wszyscy. Dyrektor — no jakżeby — apartamenty! wygoda, ciepło! — Lekarze już nie; — profesor jeszcze jaki-taki gabinecik; reszta po pracowniach i salach chorych; — wszędzie ten przerost ad-

ministracji — na tym się wszystko zawali; — a niech się wali! — byle prędziej!

Tak się dzień rozpoczął do niczego! pajęczo-

I cały zeszedłby był tak niemrawo; gdyby nie to ważne zdarzenie, że doktor Eilper gwałtu rety kazał wstawać — narazie choćby na godzinę, dwie — że to już dawno trzeba było, że wszystkich zaślepiło czy co; — rozchodzić się, bo tam i zrosty są. wnęka czy jakaś — a za tydzień pan ma wyjść! — wiadomo, pacjent poza szpitalem raz-dwa głupstwo strzeli; — w piątek, no powiedzmy w sobotę — trzeba się trochę powałęsać po mieście, pięknie-ładnie i przykładnie z małżonką — rybkę można zjeść w restauracji, najlepiej karp żeby był z wody, z masłem — tylko aby świeże! to konieczne —

Więc już wiadomo: piątek; — nie o rybie myślał, to pewne.

Popołudniu przyszła Wisia — to też po chwili oboje wiedzieli dokładnie jaki program tych dni.

Krótki był ten dzisiejszy spacer — taki jak to już nieraz — no nie; bo to przez tę kuchnię nieraz już Cyprjan wychodził — a dziś cały kuryrtarz, kilkakrotnie tam i z powrotem; lecz brak przyzwyczajenia; niewątpliwie.

— jutro to już lepiej pójdzie —

— też tak sądzę —

Wisia poszła wcześniej.

A przed łóżkiem sposobną akurat porą wymgliła się Marysia Jamrozianka —

Marysia — —

Pomyśleć! Dwadzieścia osiem lat temu! Horendum! — nie do wiary!

A trzeba wiedzieć jak to było:

...uniwerek; ale tak raczej z nazwy tylko; nieinteresujące; niema tu wiele do powiedzenia... co innego!... były to lata pierwszego dziesięciolecia po „Weselu“... ściśle: siedem lat po premierze, po cwym zatrzaśnięciu drzwi w łoży przez pana hrabiego — ...i jeszcze...

Dzień się źle zaczął; wiadomo: prognostyk.

Marysię zwiąło jak puch wiosenny zimny wiatr zwiewa.

Incydent.

Dnia tego o godzinie 19-tej minut 32 odwiedził Cyprjana dawny jego przyjaciel, dawny z lat gimnazjalnych jeszcze, z zarania tych lat; dziś: dr Paweł Szpasio, kapitan-lekarz na emeryturze (lat 47, żonaty, jedno dziecko, wysokość poborów 251 zł. 16 gr.), katolik, działacz w akcji katolickiej, sodalis marianus; sam o sobie mówił: radykał społeczny, ale katolicki, faszysta polski jestem. — Poraz drugi odwiedził kolegę podczas jego choroby; bardzo to ładnie; nie każdemu chce się łązić do szpitala; bakterie, aura mizeracka, powietrza poniekąd brak, fatalność wszelka aż po ostatnią; komużby się nazbyt chciało? — takie sprawy nie sprzyjają naogół rozkwitowi uczuć i współczuć ludzkich, nieprawdaż. A Pawełek przyszedł. Nie tyle może z pobudek medycznych — takie bodźce były mu obce; medycynę skończył przewlekłe po piętnastu maruderskich latach wiedeńskich i krakowskich studiów, i tak jakoś psim śwędem, z desperacji profesorskich i na

odczepnego, taki, wiecie, wojenny doktor, możecie sobie wyobrazić! — Do lekarstw zaufania nie miał, do jednej aspiryny no to jeszcze, czasem togal; więcej nic; absolutnie; — z medycyną łączyła go właściwie tylko pogarda dla niej. Poza tym był dobrym lekarzem: wlewał w chorych otuchę; przy najcięższych schorzeniach, mogła to być gruźlica, tyfus, meningitis, ospa — mówił do chorego, lub, jeśli ten był nieprzytomny, do otoczenia: — e, to nic nie jest, wyspać się tylko i przejdzie, na noc radzę dwa proszki aspiryny i już; gorączkę ma, to widać — ile miał w południe —? czterdzieści? — e, to nic nie jest, gdyby czterdzieści jeden, dwa, no, nie mówię, ale czterdzieści? — po aspirynie spadnie, dobrze by też było, żeby sobie różaniec odmówił, albo nowennę, to uspokaja, a nic tak chorego na nogi nie stawia jak spokój; mam tu nawet taką bardzo skuteczną nowennę do świętego Aldebranda, i ten obrazek panu (pani) zostawię, niech go sobie (mu) pan (pani) włoży pod poduszkę.

Czasem tego sumiennego i tak bardzo upewnionego lekarza ogarniało zwątpienie w stuprocentową skuteczność swej tak prostej i wzniosłej wiedzy lekarskiej — wtedy doradzał księdza, koniecznie, i, żeby wybrać moment przytomności chorego, żeby się mógł wypowiedać i świadomie na śmierć przygotować. O to dr Szpasio dbał bardzo; przychodził w takich krytycznych okresach po kilka razy dziennie — i w najstosowniejszym momencie biegł po księdza. Podczas spowiedzi pacjenta — chodził w przyległym pokoju uradowany, wesoły i szczęśliwy; zacierał ręce, uśmiechał się do siebie i szep-

tał: no — no — no — no!! — Doktor Szpasio miał dobre i czułe serce; pozatem wiedział, że doczesne życie to marność i proch, tylko wieczność i zbawienie warte jest zachodu.

Sam już wygląd jego wzbudzał zaufanie; twarz nalana o rysach starej, czerstwej babci, bezzębny, z dwoma jedynie kłami złotymi, co dla nieświadomych przyczyn tego faktu było zgoła nierozumne a nawet dziwaczne. Przyjaciele dra Pawła jedynie wiedzieli, że od dwudziestu lat nosi się z zamiarem wstawienia sobie zębów, a te dwa to miały być słupy fundamentalne pod tę budowę. Czoło miał pofalderowane podłużnymi kreskami, włosy nisko po chłopięcemu narosłe, na jeża, tłuste i lepkie, niemniej osypujące się sutym łupieżem na kołnierz munduru; bo w mundurze zawsze dr Szpasio; w mundurze, lecz, po prawdzie mówiąc, brak mu było owej szlachetnej postawy bohaterskiego wojownika; na niskim ciele, nadmiernie wypuczonym w okolicy brzucha i pośladków — mundur wydawał się raczej groteskowym pomysłem karnawałowym; był nie na miejscu. Poza tym właściciel jego nie dbał o tę właściwą bohaterom, czystość, szykowność i fasonowość zewnętrzną; mundur dr Szpasia był brudny, prawie tak brudny jak jegoż ręce, rzadko i pobieżnie zwilżane wodą; na punkcie paznokci był Pawełek bardzo liberalny; rosły jak chciały, były długie, bardzo długie, poźółkłe od tytoniu, z dużymi czarnymi półksiężycami brudu; to był jego jedyny, choć przecież przekonywujący liberalizm. Przepisami higienicznymi gardził w tej samej mierze jak żydami: Marksem, Freudem i Einsteinem, marzył o załadowaniu ich na

okręt i potopieniu jak szczenięta; wraz z Rodziewiczówną tworzył jedyną w Polsce parę, która „Wiadomości Literackich“ do rąk nie brała; żydy i Boy-mason oraz Słonimski brat Radka; z poezji czytał raz na kilka lat Tetmajera, jedyne modernistę i futurystę, którego tolerował; narybkiem poetyckim: Leśmian, Staff, Tuwim, pomiatał; żydy; szkoła sowiecka. Kochał sztukę bizantyńską; to jasne; biurokracja niebiańska najbardziej dogadzała jego usposobieniu skłaniającemu się ku rytuałom; niebo było dlań labiryntem biur znacznie większym od gmachu wojewódzkiego w Katowicach czy ministerstwa wu-erieope w Alei Szucha; znacznie większe! — biura te były pełne strwożonych interesantów i opryskliwych urzędników, których przekupić można było jedynie sutą porcją ojczenaszów i zdrowasiek; na ogół był to syntetyczny resort ministerstwa sprawiedliwości; bóg był prokuratorem szczwanym i podstępny; był również szefem olbrzymiego obozu koncentracyjnego; biada więc wszystkim wywrotowcom i nieprawomyślicielom; wiernych natomiast obdarzał wieczystą emeryturą; najwierniejszych zaś dekorował złotym, srebrnym lub miedzianym krążkiem, który nosiło się przylepiony do potylicy. Dr Paweł Szpasio nawet nie marzył o tym odznaczeniu, łaknął jedynie tej wiekuistej emerytury. Przyzwyczajony do systemu protekcyjnego całą duszą zawierzał matczyce bożej, ufał, że za jej możliwym wstawiennictwem uda mu się wymigać w czasie krzyżowych pytań strasznych sędziów; o, Szpasio wiedział co to jest egzamin! — Zaskarbiał sobie też biliony lat odpustów — bał się piekła jako pojęcia tortur oraz

miejsca pobytu heretyków, komunistów i intelektualistów, z którymi obcowanie peszyło go i niepokoiło; nie lubił ironii, a podejrzewał jej obecność wszędzie. — Najwięcej jednak bał się, ale to już naprawdę bardzo!, sądu ostatecznego (ten pierwszy sąd zaraz po wyzionięciu ducha wydawał mu się raczej jako egzamin wstępny, pełen wprawdzie szykan, podchwyttek i grozy, ale, wiadomo, co wstępny to wstępny, zawsze się jakoś przepchać można; a sąd ostateczny to już koniec, szlus, finis, ende!); gdy sobie czasem w nocy, podczas ostrzejszego kacenjameru, wyobraził te trąby grające w cztery strony świata, te straszne ilości kościaków narastających w locie w zbierane zewsząd molekuly swego ciała (ciał zmarłych!) — boga złego i zirytowanego w tym nużącym dniu ostatniej rewii brygady ziemskiej — zlewał się obfitym potem i całował obrazek św. Pawła, patrona swego; powoli uspokajały się rozdygotane nerwy — łagodziły napięcie westchnienia, modlitwa i myśl, że przecież to jego ciało jest nieśmiertelne, że przetrwa, acz tak mizerne i grzeszne, wszystkie kataklizmy, koniec ziemi i wygaśnięcie słońca, że powymierają gwiazdy jak złote muszki na przy mrozku, i nie będzie ich już na czarnym niebie, ani wozu, ani gwiazdy polarnej, ani oriona, ani nawet krzyża południa — nic, nic, nic — a on, Pawełek, będzie istniał, i będzie taki sam jak jest teraz! — gaskał już tedy z uciechą szczęsną swoje tłuste, wilgotne, lepkie, niekapanie nigdy i zaduchem gęstym dającym znać o sobie, ciało, wydęty brzuch i sadłem obłożone pośladki; szeptał: cacy Pawełek, cacy — żyć będzie wiecznie! — Niepostrzeżenie poonanizował się zlek

ka — bez gwałtowniejszej potrzeby i bez przygniatającego poczucia grzechu — ot tak na wiwat! — nie chciało mu się zresztą przysunąć do żony chudej i amfibicznej, chrapiącej ostro w tej chwili, co do reszty odebrało mu na nią chętkę, jeśli ją wogóle miał. — Momenty upojenia i ukojenia mijały jak wszystko na świecie — i znów którejs nocy budziły go ze smacznego, monopolowego snu, trwożące, nie delikatne trąbienia surm archanielskich, nawołujących na sąd ostateczny. Nie, spokoju to już tu człowiek dużo na tej ziemi nie zazna! A poza ziemią? — też nic nie wiadomo; — tragedia istna!

Tak to więc, jak się rzekło, nie z przyczyn merytorycznych odwiedzał i dziś odwiedził Cyprjana dr Paweł Szpasio — lecz raczej i wyłącznie z ukrytych pobudek mętnie uświadomionego apostołstwa; marzył o nawróceniu tego grzesznego człowieka, firmanta (jak się wyrażał) radykalizmu, otumanionego przez mafię żydowskiej międzynarodówki i masonerii, żyjącego po świńsku bo bez obecności łaski poświęcającej. — Nie dowierzał zbyt w swoje siły i sprawność dialektyczną, brak mu też było owej płomiennej żarliwości świętych misjonarzy z Kamerunu, Sumatry czy Borneo, których wzrok przemienia pogan w chrześcijan, a słowa ich są jak ogień niszczący i wypalający grzechy; — dr Paweł lubił przecież popić, i dziś też kropnął kilka wyborowych na kuraż — a to żadną miarą nie sprzyja ekstazie i duch święty z natury swej omija miejsca, z których unosi się błękitnawy płomyk konkurencyjnego spirytusu — lecz wierzył dr Szpasio w opatrność boską, która może się posłużyć maleńką muszką, aby zabić słonia; co

to naprzykład wyprawa taka tse-tse! — zauważenia te krzepiły go narówni z wyborową (biała etykieta ze złotem).

Tak to więc teraz siedzi przy łóżku szpitalnym — szeroko rozstawił nogi aby to brzuch mógł się wygodnie spocząć na słabiznie i wczesnych udach — Cyprjanowi przypomniało się niemal cynicznie przysłowie ludowe: witaj brzусiu, żegnaj kusiю — a Pawełek podrapał się olbrzymim pazurem po ciemieniu co wywołało w gęstwie najeżonych włosów poruszenie molekularne i natychmiastową śnieżną zawieję łupieżu, który momentalnie zasypał kołnierz i ramiona tak jak śnieżycа zasypuje porą zimową łąny i wzgórza, pociągnął nosem i zakaszłał desperacko.

Pierwszy kwadrans rozmowy był dla nich zawsze nijaki; badawczy i podejrzliwy; po obu stronach wrogi. Albo zamilkali nieporadnie, albo z punktu stawiali kwestie na ostrzu rzeźnickiego noża: najagresywniej; w tonacji zresztą dość spokojnie i prawie z uśmiechem; z poczuciem sadystycznym, że sobie dokuczają, z zamiarem aby dokuczyć najdotkliwiej.

W miarę posuwania się w lesie słów rozkrochali się — czynili sobie wzajemne ustępstwa; tak na oko przynajmniej!

No i tak:

— jakże tam z twym zdrowiem — ? —

— dziękuję, wystarczy —

— jakoś odmłódniałeś czy co —

— takie leżenie długie, uważasz, wydelikaca —
Jeden chrząknął, drugi westchnął.

Po chwili:

— kiedy stąd wyjdiesz — ? —

— za tydzień —

— to daj papierosa

— proszę —

— dziękuję —

Pałą.

— jak wyjdiesz pójdziemy na małe pywo —

— nie lubię piwa — zresztą przecież mi nie wolno —

— e, to nic nie jest — aspiryna i dobre —

— tak? — no to dobrze —

Dr Paweł Szpasio zapala papierosa od papierosa; zaciąga się i prawym kątem warg wypuszcza dym.

— przyszedłem, ty Cyprjan, żeby z tobą pogadać, znów się nagromadziło tyle tych, wiesz, spraw, a z tobą mogę pomówić, choć, powiem ci, stoimy na dwu krańcach —

(— teraz powie: bieguny! napewno! — i rzeczywiście:)

— bieguny, to są bieguny —

— owszem; — a co niby — ? —

— no, co ty Cyprjan nato powiesz, hę — ? —

— na co? —

— no wogóle, wiesz —

(— pocóż ta ciuciubabka, przecież wiadomo do czego mierzy —)

— a no cóż — rozgrywka —

— jaka, Cyprjan —

— między faszyzmem a frontem ludowym —

(— lepiej już tak skoczyć na równe nogi w jego irytację —)

— śmieję się, front ludowy, u nas może —
hahahahaha —

— u nas, nie u nas, wogóle; a śmiać się mogę,
choć niebardzo wiem z czego —

— ty Cyprjan, czy uważasz na przykład, weźmy tak tylko Włochy, że taki system korporacyjny jest zły? — warum? — dobry jest! — czemu ty się wypowiadasz za komunizmem — ? —

— bo ekskluzywne nacjonalizmy zawsze do zbrodni prowadzą, bo komunizm ma podłoże ideowe ogólno-ludzkie, bo faszyzm jest zwyczajnym, imperialistycznym draństwem —

(— tom mu dogodził —)

— a ja nie wierzę —

— nie zmuszam —

— a ja nie wierzę! — jakie podłoże ideowe? —

— ludzkie, sprawiedliwe — czy nie widzisz tego — ? —

— to obojętne czy widzę — dla mnie tylko ten pewnik istnieje: omne renovatur in Christo —

— bardzo zgoda! czczę ideę w tym społeczną, która na abnegacji z egoizmu buduje sposobność współżycia człowieka z człowiekiem — lecz dlatego właśnie nienawidzę, naprawdę nienawidzę wyznań, które to wszystko spaczyły i — w rezultacie — stały i stoją zawsze po stronie siły, ucisku, materializmu, kapitalizmu, władzy, państwa, niewoli, wojen, pałek i karabinów —

— ty Cyprjan, nie rozumiesz, że Chrystus przeciwstawił się przyrodzie — wiesz —

— wybacz, ale wierutna bzdura; nawet mi się udawadniać nie chce; raz, że wogóle nic się przyrodzie przeciwstawić nie może, bo wszystko jest zawsze i tylko przyrodą, pozatym Chrystus pozostanie na wieki tym czym był: proletariacką ruchawką; elementy: syn cieśli, analfabeci, niewolnicy, rybacy, robotnicy, chłopci — mówiąc twoim simplificystycznym stylikiem: pierwsza wielka komunistyczna akcja; — to chyba jasne! — dla nieuprzedzonego, dla tego, który religie osądza jako zjawisko realne, a nie jako brednie objawieniowe szarlatkańskich szamanów; — ty jesteś wyznawcą tego wszystkiego co przedostało się do ciebie z drugiej, trzeciej i czwartej ręki jako system organizacyjny — twój katolicyzm jest złowrogiem zaprzeczeniem Chrystusa — — i ta giętka akomodacja katolicyzmu, do wszystkiego przylegnie, do wszystkiego się zastosuje, jeśli tylko jest w strachu lub poczuje interes — — mszę na armatach odprawi, morderstwo pobłogosławi, krzyż i miecz z sobą sprzęgnie, wszystko potrafi —

— więc ty chcesz niszczyć religię — ? —

— ona się sama niszczy i wyniszczy —

— no to dej papierosa —

— proszę —

— dziękuję — — chciałbyś wprowadzić niewolę sumień — ? —

— nie, nie chciałbym —

— więc co — ? —

— solidna wiedza eliminuje religię; więc: jak najwięcej wiedzy; — tego się wszyscy boicie —

— wiedza to produkt żydowski — to tak samo jak z nędzną hipotezą ewolucji —

— trudno jest z tobą, Pawle, rozmawiać; i ty niby coś tam z wiedzy przyrodniczej liźnąłeś! — zniechęcasz mnie; dokończę jednak myśl: niedopuszczalne jest aby do spraw wysokiego ładu społecznego mógł się mieszać niewykształcony i błędnie kształcony funkcjonariusz jakiegokolwiek zrzeszenia wyznaniowego. —

— ty Cyprjan, gdy ktoś mówi, gdy ty mówisz „komunizm“, widzę zaraz i tylko ponurą Rosję, częste rozwycajkę, piwnice, rozstrzelania —

— to filozofia akcji ogłupiającej koncernu i kace; sprawy w Rosji dziś, a przed pięciu laty, a przed dziesięciu — to kolosalne różnice; zresztą tam jeszcze wogóle niema komunizmu — idzie się do niego etapami — ty i tobie podobni widzą wciąż tylko rewolucję, dyktaturę proletariatu — to tak jak i naszym panom elitarystom wciąż się zdaje, że to ciągle rok czternasty — trudno się dogadać — ignorancja i arogancja — i ty też —

— a ty co widzisz —

— jedyną rację bytu, jedyną drogę do pełni i wolności człowieka —

— wolności? haha! — tam gdzie wszystko jest podporządkowane zorganizowanej niewoli! — no to dej papierosa —

— proszę: — bredzisz —

— dziękuję: — dlaczego? —

— bredzisz kochany Pawle — Hugo powiedział „żaden z nas nie ma prawa do życia, któreby było jego wyłączną własnością“ — wybacź, że cię

raczę cytatem, lecz jakże mam argumentować, gdy ty tylko wyzywasz, bo to jest wyzywanie i obrażanie, tak uparcie nonsensy podtrzymywać; — a co do tego co mówisz — różne są pojęcia wolności i niewoli — tylko krzywda jest jedna — ; — wolność jest tam gdzie niema krzywd, tak jak i ojczyzna nasza, której jeszcze niema, tam będzie, gdzie powietrzem obywateli będzie dobrem darząca mądrość pospólna. —

Poruszył Dr Pawełek złoza ruchliwe łupieżu pazurowym radiem — i trzebaby szaleńcem być, aby to zsypywanie się mączne porównać do opadających płatków jabłoni! — przysunął się z szurgotem, nie wstał, więc wszystkie gnaty w krześle trzasnęły — przerzucił lewą rękę z brzucha do kieszeni spodni i począł się namiętnie drapać — wreszcie rzekł cicho, pod szloch:

— ty Cyprjan — ja, widzisz, oponuję, ja się, widzisz, boję, że jak ten twój komunizm nadejdzie to mnie i córkę

(— o żonie nie wspomniał, nie wierzył w możliwość jej śmierci —)

postawią pod stienku i rozstrzelają mnie; dla mnie komunizm to, masz rację, loch czarny i krwawy z mózgiem na ścianie — — a ja chcę mieć domek własny, moje ikony, kwiaty i córkę chcę wychować na dobrą katoliczkę — i sam do kościoła chcę chodzić, a wybyście mi kino zrobili z kościoła, muzeum z bazyliki; — to jest moja prawda: ja się boję, — w państwie faszystowskim to ja mordę na guzik i w spokoju dożyję sędziwych lat —

Zamilkł.

Przypomniało się Cyprjanowi, jak to po jednej jego enuncjacji „buntowniczej“, nauczyciele w szkołach opowiadali uczniom ze zgrozą, że w domu tego łotra, co „szkaluje największe świętości narodowe“ jest skład bomb i sztyletów — i że nocami schodzą się doń anarchiści i radzą kogo należy uśmiercić ; wtedy to Wisia powiedziała, że poprawdzie to niema nawet ostrego noża, żeby chleb porządnie ukrajać, że zawsze trzeba przedtem na blaszce ostrze wywecować a i tak pitwa jak nieszczęście.

— no to dej papierosa —

— proszę —

— dziękuję —

Milczkiem ćmili.

Ściemniało się już setnie. Paweł zaczął się zbierać; z trudem i z sapaniem wlaźł, trzęsąc całym ciałem, w płaszcz podszyty futrem; pogrubiło go to do niemożliwości; szerszy niż wyższy; Cyprjanowi, który miał idiosynkrazję do wszelkich mundurów, pomyślało się mózgiem doktora Estera: the man of the place.

Trzymając rękę pacjenta w swej spoczonej grabie, rzekł kapitan-lekarz Dr Paweł Szpasio:

— w akcji katolickiej będę propagował bardzo radykalne reformy społeczne; stworzymy antidotum; pożyczki bezprocentowe; ukrócenie dziedziczenia; reforma rolna i t. d. — no, bywaj! — aha, wiesz, byłem u lekarza z tym moim sercem; tak mi już dokuczalo, bałem się, żeby mnie szlak nie trafił —

— no i co? —

— powiedział, że mam osłabienie mięśnia ser-

cowego z powodu niewydzielenia hormonów przez jądra —

— już? —

— cóż chcesz mój drogi, starość nie radość, a to już drugie memento starości — pierwsze emerytura, a teraz, masz, te jądra; ale przynajmniej z tym mam spokój —

Podszedł ku drzwiom.

Trochę do siebie, trochę przed siebie (— pochylił nieco głowę —) wyrzekł niskim głosem i trochę sepleniąco:

— niech tam za mnie myślą i rządzą jak se żywnie chcą; ja lubię i cenię hierarchję — ja chcę mieć tylko spokój, nic więcej, spokój; córkę chce sobie wychować po swojemu na katoliczkę i uczoną, mam sporo materiału, wiesz, ty Cyprjan. ikony i książki Strzygowskiego, niech studiuje bizanetyńską sztukę, lub bardziej modern gdyby chciała, romańską — ten szlak sklepień do Adaukta, — ty Cyprjan, ty! — od Syrii i Malej Azji po — św. Feliksa — co? — niech to szlak trafi, bycza rzecz — nie? — to i wszystko —

Uśmiechnął się chytrze, żywo i bystro zabłysnęły jego nieco małpie oczy i otoczyły się fałdami zapoczonego tłuszczu — :

— kto z bogiem, to i bóg z nim — nie — ? —

— zapewne, Pawełku, zapewne —

— ty, Cyprjan — czy się też wrócą kiedy te czasy przedwojenne? — stary Franc se mieszkał w Wiedniu a ja w Jastrzębie mieszkałem se — i oba zwei spokojnieśmy żyli, było dobrze i cacy — ; (— po chwili) — żłem się psiakrew urodził, ot,

zmarnowane życie — ; — a tak bym chciał już mieć dom — tylko mur dookoła czterometrowy, bo u nas kradną okropnie — siedzieć w fatersztulu i czytać historię zakonów i mnichów w pierwszych dziesięciu wiekach naszej ery —

Wszedł znów na swój smętarny szlak — :

— ty, Cyprjan, — powrót średniowiecza! to mi się podoba, marzę o tym — cesarz i papież — władza duchowna i podległa jej świecka, cechy i stany, feudalizm i asceza, lęk ustawiczny i strach, palenie czarownic i pańszczyzna — życie ziemskie jako przedpiekle i wysługiwanie zbawienia —

(— oszalał! — zdumiał się w myślach Cyprjan i z dużą zyczliwością spojrzął w maniackie oblicze dr Szpasia — też typek! niedowiary! przecież to wspaniały okaz —)

— no to dej jeszcze papierosa —

— proszę —

— dziękuję; — ale to nic, to jeszcze wszystko wróci! napewno! — zaroją się gościńce biczownicami i grzech stanie się wykładnikiem życia — ; — o tym, wiesz, wciąż marzę, ja bym sobie, ty Cyprjan wyciął jaja, żeby się raz na zawsze od grzechu cielesnego odgradzić! — brzytwą ciach i już —

— przecież i tak... przypomniał Cyprjan —

Westchnął Dr Paweł — :

— hm, szkoda żeś w szpitalu i że pić nie możesz, poszlibyśmy na wódeczność i małe pywo —

— niestety —

— nic, odkujemy się później, pomyrdamy się po handelkach (— rozmarzony, mięsisty jego język

oblizal wargi —) a znam taki jeden nocny lokal z dziewczynkami, palce lizać —

— to jedyne co zostało z średniowiecza, to i kościoły —

— i klasztory, wiesz —

— ano tak, tak —

Już chwytal za klamkę, gdy Cyprjanowi przypomniało się:

— pamiętasz, Pawełku, coś mówił, gdyś mnie pierwszy raz tu odwiedził — ? —

— no — ? —

— bardzo to dorzecznie powiedział —

— co takiego — ? (— bardzo był łasy na pochwały —)

— powiedziałeś, że papież powinien był pójść na całego i zostać męczennikiem, rzucić na Musoliniego klątwę za barbarzyński napad na bezbronny chrześcijański naród, niechby go potem, powiedziałeś, duce zamknął, umęczył, spalił — lecz honor kościoła byłby uratowany i wielkiby to mogło mieć na odrodzenie chrześcijaństwa wpływ, pamiętasz — ?

— pamiętam, lecz po zwycięstwie zmieniłem zdanie, biały człowiek niesie cywilizację i kulturę na czarny ląd, ja też jestem białym człowiekiem; zresztą mój spowiednik, gdym mu wątpliwości swe wyznał, uspokoił mnie, ci Abisyńczycy to nie są katolicy lecz właściwie żydzi — a teraz dożyliśmy znów imperium romanum — po tylu wiekach! — co za frajda —

— i ja często o tym teraz myślę, kochany Pawełku, medytuję bardzo serio, żeby wskrzesić stare państwo Egipskie — już mam plan bardzo szczegó-

lowy — państwo Ramzesów i Ptolomeuszów, kult Apisa, nowe piramidy, po tylu wiekach, znów, słyszysz pi—ra—mi—dy!, sfinksy, bo co to taki jeden bardzo z resztą już stary, zrobimy nowego! z żel—betonu! — ogłoszenie imperium Egipskiego będzie dopiero tryumfem naszej pięknej ery — — coś jak nitscheański ring des ewigen wiederkehr —

Mówił to już — snuł te plany szczytne i godne współczesnego człowieka — raczej do drzwi bo dr Paweł już był wyszedł; obawiał się, że to może ironia, a ta niepokoiła go bardzo; — dlaczego tak to rozumiał? ironia? — przecież z tym Egipsem byłaby bardzo fajna opera, pandane do włoskiej —

W tej chwili otworzyły się znów drzwi — dr Szpasio wrócił jakiś śpieszny i zaferowanv —

— no to dej papierosa na drogę —

— proszę —

— dziękuję —

a gdyby, wiesz co, to aspirynkę, i jak ręką odjął —

— naturalnie —

Po tej niezawodnej wizycie myśl, przzerwana jej wtargnięciem i napadem, powróciła natychmiast; czekała czujnie na swój występ.

„Wesele“ to data; — pierwszy wielki chłopski mit zaprzepaszczonej szalenizną ojczyźnianą i brakiem jakiegokolwiek poczucia klasowości, tylko, że niby ojczyzna, i że niby wszyscy; lecz jedno pewne: nie—spotykane w dziejach literatury sugestywne działanie — wtedy i nadługo.

A przedtem: urzeczenie! — bajecznie koloro-

wy świat z żeniaczką w Bronowicach i Toniach, sztuka stosowana — to szło przez ugór psychiki polskiej jak złoty siew! Snob polski pęczniał pychą: wycinanki, panie, pisanki, panie dobrodzieju, parzenice, kalenice, skrzynie krakowskie, leluje, pannie — — „tańcuj, tańcuj cała szopka“ — — a wszystko to przedziwnie antycypowało! — no bo cóż? — nędza, głód, pogarda (— nie ludźmy się! — : miliony Polaków wymawiają słowo „chłop“ z pogardą, z paskudnym poczuciem wyższości —)

— to było widoczne i to powinno było być miarodajne; — lecz to dojrzenie przyszło później znacznie później — przyszło dziś, wypłynęło na wielkim wychłuscie wyrównania dziejowego — dokumentarnie poraz pierwszy zmanifestowane przez Rząd Lubelski; choć przecież i dziś jeszcze rozbrzmiewają zbrodnicze głosy i zapewnienia solenne, że władza winna być u tych, którzy na kozłach w stajniach chłopów bili — a ci bici to weredne gówno. No i tak ta „kochano ojczyzna nasa“ przyszła w chorągwiastym furkocie i w pobrzęku pysznych szabel i w szlachkim animuszu — a chłop jak żarł, tak żre na przednowku śmiecie wszelkie; uczeni w piśmie stwierdzają przy kotlecie wieprzowym, że to nie jest znowu tak całkiem źle, że kora n. p. wierzbową to i witaminy i chinina nawet; przed febrą chroni skutecznie. A jednak coś się, państwo drodzy, psuje; paskudnie psuje, każdy połknięty zuchel ościany wzmagą zaciętość i pomstę. Piętrzy się olbrzymi stos krzyw. I gdzie jest ta ojczyzna chłopów i robotnika — ? — Tak, lecz to się dzisiaj wie; — a wtedy? — wtedy urzekły się oczy poetów — a za nimi oczy

snobistycznej inteligencji polskiej, że „chłop potęgą jest i basta” — potęgą, panie, w kerezyji, w pasie dźwięczącymi rzemykami wyszywanym, gwoźdźczkami nabijanym, w czapie krasnej i z pawimi piórami — a już conajmniej w sukmanie, poważnie, gospodarsko! — Symbol tej pięknej pływicy: Rydel; — podśmiewano się tam w duchu, że boso, że „cwiker“, że bez gaci — bawiono się niezgorzej — lecz tu i tam coś, jakby, niby, skądinąd — prawie, nieomal wierzone: wciąż jeszcze jednak tak: jeden tylko jeden cud, z polską szlachtą polski lud; przeto też głodziutka bo krągłymi frazesami skrzętnie gładzona, powierzchnia tej sprawy wypowiadała się jedyje w przygaduszkach tego rodzaju: „jaki cudny“, „i jaki krzepki“, „cóż za dziewoja“, „dobry człowieku“, „jak się macie gospodarzu“, „cóż tam u was słyhać na wsi“ — uwielbiano na głos prostotę, sielskość, włościąńskość, poezję strzechy i wycinanek, egzaltowano się, przystrajano w gorseciki, stosowano urządzenie mieszkań — no i takie; dla „pań swawolnych“ miała ta parobczańska prostota niezawodnie coś z egzotyizmu lechtliwego w typie „mamo, ja chcę murzyna“. Prawdą było w tym całym ludowym wodewilu to jedno, że chłop jest człowiekiem; no, jak tak, to on wam jeszcze to człowieczeństwo okaże; poprostu: przymus dziejowy; — a „człowiek“ to niekoniecznie synonim przymilności i łagodnej zadumy. — Przeszłość od terażniejszości dzieli przepaść; most nad nią zbudowany jest z nędzy — na jednym brzegu poddańczej na drugim uświadomionej!

— — — — —





Pizerwalo te rozmyślenia echo pukania do drzwi.

I znów.

— — — — —
A gdy Cyprjan Faln poraz trzeci zapukał do domu państwa inżynierowstwa Nawodnych — do domu fantazyjnego, projektowanego w stylu romantyczno-romańsko-gotycko-pajęczoko-kapryśno-wenecko-krakowskim przez mistrza Talowskiego A. D. MDCCCXCII — gdy postawił nie tyle ciężki ile spory kuferek na słomiance — przeprowadzał się — wynajął tu pokój kawalerski — — otworzyła mu drzwi śliczna dziewczyna. Smukła, biodrzasta, buzia jak malowanie, oczy zielone, włosy wzburzone, sypkie — schludnie odziana, fartuch biały w ząbki — i cała woniejąca sokiem malinowym.

Uchyła Cyprjan kapelusz i powiada:

— to właśnie ja, wprowadzam się —

Odpowiedziała (nader miły głos!) —:

— to pan? — proszę; — i uśmiechnęła się wilgotnymi wargami, pośród których zalsniły ząbki składne jak w makowych płatkach ziarnka słonecznika —

— a panienska, proszę, kto —? —

— ja tu służę —

— aha, a państwo są —? —

— niema, wyszli na spacer, ale powiedzieli, pani powiedziała, że pan przyjdzie i żeby wpuścić. — Wprowadzała do pokoju; certowali się chwilę kto ma kuferek wnieść — to chciało i to chciało — ostatecznie wnieśli razem, co z wszystkich koncepcji translukacji tego przedmiotu było stanowczo najnie-

wygodniejsze; — pokój — pierwszy na prawo —
ładny, słoneczny, duże okno weneckie, widok na
błonia i Kopiec Kościuszki; ultra krakowski pokój.

— panienska krakowianka —? —

— nie —

— a skąd —? —

— z Dąbrówki tej za Klonówką —

— takie tam ładne panienki —

— e —

Od tej samogłoski poszło wszystko dalsze.

Przyjaźnił się był wtedy Cyprjan z aktualnie
owoczesnym poetą Antosiem Zwadowskim, które-
mu sam Wyspiański „przychodził rodzony wuj“ —
no, można sobie wyobrazić! — tego tylko było wte-
dy potrzeba! — taka koneksja! i jak to obowią-
zuje! — Pisali nawyprzodki, dramaty i poezje; prozą
była właśnie onego czasu w niejakiem poniżeniu
u młodszej generacji; tylko wiersze i tylko dramaty
i te też tylko wierszem; no i rapsody! — Ekscy-
towali się szlachetnym chłopomaństwem, marzyli
o życiu na wsi, o chłopskim sposobie bytowania,
o żonach zprosta, co to dużo szczęścia, małe koszta,
dobrych gaździnach. — Zachłystywali się pierwszy-
mi brzaskami sławy — drukowali po pismach wiersze;
redakcje przyjmowały; za darmo. Jeden ma-
leńki tomik poezji wspólnie wydali: „Złote strzechy“
się to zwało. — Pojawiły się wzmianki i półtora re-
cenzji. Przez kilka dni chodzili w malignie i na-
maszczeniu.

Nagle ustały te ekspansje literackie. Ośrodkiem
myśli i uczuć Cyprjana stała się Marysia Jamro-
zianka; tak! ona!

Poniechał dla niej odrazu zajmujące, mile kurwiątką i niezajmujące, niemile „panny do wzięcia”. — Począł przesiadywać w domu — pisał i czytał — czytał głośno jej: Marysi Jamroziance z Dąbrówki tej koło Klonówki — poezje czytał, swoje i nie swoje; — uczyli się ich na pamięć; dużo, bardzo dużo wierszy!

Państwo inżynierostwo — cudaczna, skwaszona, bezdietna para ludzka — wałęsało się wciąż po spacerach, rodzinie i znajomkach; czasu wolnego, nudnego, dwusamotnego wbród; popołudnia zwłaszcza, cała to posępna reszta dnia po urzędowaniu (on), sprzątaniu i pichceniu obiadu (ona).

Pan Nawodny, Jan, szczupły, bladej wycieczek, blondas z obwisłym, cienkim jak mysi ogon, wąsikiem — był też i malarzem; poniekąd takim sobie, domowym malarzem, samowystarczalnemu ozdobiaczem ośmiu ścian, w których tlił się jego ziemski żywot; niebiański, gdyby był, byłby zapewne inny. Więc malował: nimfy nad jeziorem przy uroczym świetle księżycy, co to tak się przy nim marzy, marzy... nimfy-golaski przyzwoite co to i piersi i pępek i wogóle wszystko miały kunsztownie i pomysłowo pozasłaniane, paradowały w wieńcach nenufarów, które cudnie zdobiły spływające kosy dziewczęce; malował też hoże dziewczęta w sutych koralach, takie kochane, nasze, — w tle wznosiły się majestatycznie (oczywiście) turnie Tatr; pejzaże panoramiczne też pacykował; taki oto tematycznie jego gust i genre; technika: olej (!), akwarela (stricte tasama, o której imiennik p. Nawodnego, też malarz, Jan Stanisławski podówczas mawiał: akwarele-duperele) pastel:

wszystko; proszę siadać! — no to i Marysię mało-
wał — jako, wiecie, krasawicę, zew pól, wogóle:
rubież nadwiślańskich łągów.

Pani Nawodna, Wybojska z domu, z tych zna-
nych Wybojskich, którzy z końcem wieku XIX-go,
przenieśli się z Rzeszowa do Tarnowa, gidia ob-
mierzła, wysoka, chuda, czarna na gębie, a ta gęba
końska, przewlekła — oczy, mówi się, japońskie bo-
skośne; więc i koafiura wedle wzorów japońskich
figurek porcelanowych made in Germani: wysoka,
smolna, zwarta: kask hebanowy; chętnie w to uwłó-
szenie tkala chryzantemy, ojej:jej! — Śmiała, pewna
siebie (bo mąż przeciwnie: lękliwy, zastrachany,
boczkciem chodzący, pod ścianami) — zabierała głos
we wszystkich sprawach; światopogląd na kaza-
niach z „dziewiątej“ modelowany; wykształcenie,
owszem, powszechne; czytana: cała półka pełna
wycinków z gazet i „dodatków powieściowych“, co
to arkusze najpierw trzeba tak składać, a potem tak
i znów tak, a paginacja i tak się nie zgadza; — po co,
powiada Brońcia (takie jej imię), kupować książki,
kiedy można mieć z dzienników, tylko trzeba pil-
nować, zbierać, nie marnotrawić; w każdym z tych
związków brak było kilku numerów, to znów zda-
rzały się podwójne — ale to nikomu nie szkodziło,
od czegoż geniusz ludzkiej domyślności?

Małżeństwo — coś szósty rok po ślubie, mło-
dzi jeszcze — żyło z sobą, można powiedzieć, do-
brze, zgodnie, przykładowie, uczciwie; czteroprzymiot-
nikowo więc jak wybory w zamierzchłej przeszłości;
czasem się kłócili, ale tak naogół, to nie, przeciw-
nie — tyle tylko że ta nuda —

Co noc (ściany, wewnętrzne zwłaszcza, w takich czynszowych domostwach napatatajkę stawiane, cienkie, i drzwi nie izolowane, nie zastawione niczym) — dochodziły do wysoko nastawionych uszu Cyprjana z sypialni inżynierostwa, poprzez przestrzeń pokoju jadalnego, odgraniczającego też sypialnię małżeńską od pokoju kawalerskiego — skrzyepy, wyraźne ugniaty, sapania i piskliwe krzyczki jęczki pani Broni. — Trudno nawet zasnąć, gdy się takie rzeczy niedyskretne obok dzieją; właściwie niedogodne mieszkanie, wybaczenie, ale niedogodne, feler prostopu; gdzież tak.

Lecz w dzień wyfruwali na długie godziny; od rana on do biura kolejowego, kolejowym bowiem był inżynierem, ona po pobieżnej sprzątacze i wyniosłej dyspozycji obiadowej, do koleżanek na plotki, tę jedyną szerszą edukację kobiet sfer mieszczańskich.

Cyprjan i Marysia zostawali sami.

Gadali ze sobą, gadali i gadali; on jej czytał, dyskutował (ale to był monolog), ona gotowała; bo — najdogodniej było im o tej porze w kuchni. Ona wałkowała ciasto, często posypując je mąką, aby się do wałka nie przylepiało — zaginała rękawy; piękne miała ramiona, pulchne, białe, świeże; — potem to mączne płótno krajała w podłużne pasy, układała je w warstwę i zgrabnie, tuż przy czubkach, rytmicznie umykających palców, ciąła na makaron inaczej kluskami też zwany; warzyła zupę jarzynową — wtedy było wonno i zielono: marchew, pietruszka, seler, kapusta zwykła i włoska, cebula, pory: ogródek warzywny en miniature: zielony jak

się rzekło, lecz i cynobrowy i biały i ciepło-szary, niebieskawy i wszelki.

Strasznie im było dobrze z sobą; ciepło pieca kuchennego było ciepłem radosnym słońca.

— panno Marysiu, pojedziemy kiedyś na wieś —

— po co? nie lepiej w mieście — ? —

— o ty duszo zatracona! — z ziemi uciekasz, bruk ci pachnie? — nie, panno Marysiu, — wieś przyroda, obyczaje, to całe życie prymitywne i ozdrowieńcze zarazem; retour! — znaczy się: wracać! — takie jest dziś hasło —

— tak jest, panie Cyprjanie; — zgadzała się; cóżby się zgodzić nie miała; mówił tak pięknie i w oczy przymilnie patrzył i po ręce wyżej łokcia pogłaskał tak delikatnie;—musi słusznie mówić; choć to z tym ozdrowieństwem, czy jak tam, to nie jest ze wszystkim dobrze; izba mała, polepa miasto podłogi, gromada, na tę duszną przestrzeń, ludzi wielka, dziecka, a w zimie i gadzina — — ale musi pan Cyprjan ma co innego na myśli, tylko wyrozumieć nie sposób. Tak sobie myślała, a rzecz była w tym, że wieś Cyprjana wówczas, a wieś Marysi — to były zgoła różne pojęcia; tylko nazwa była ta sama.

Trwała ta idylla kuchenna już sporo czasu, aż tu dnia pewnego znalazł w książce, którą aktualnie czytał — był to pierwszy zeszyt „Lamusa“ — na stronicy dziewiętnastej obok wiersza Kasprowicza:

*Śmieszni jesteśmy wszyscy: kpiarz wesoty
i smutny mędrzec; ci, co białym strachem
o łaskę życia żebrzą i ci z czoły
podniesionymi gardzący tym łachem,*

*co się na plecach bytu zwie purpurą
i gronostajem — my wszyscy, o wierzaj,
jesteśmy śmieszni do zbytku — — —*

To właśnie na tej porannej stronicy napisane było nieprawdopodobnymi koślągami zdanie najcudniejsze: „Marysia kocha pana Cyprjana“. Atramentem to było napisane; więc najpierw pomyślał, że nie pisze się w książce atramentem; a jeśli, to już trzeba to wysuszyć i nie zamykać zaraz książki, żeby się nie odbiło po drugiej stronie, jak oto tu teraz takie plamy; potem rozczuliło go to nieporadne piśmo; wreszcie zbladł, zczerwieniał i znów zbladł; w dwudziestym roku życia zmienność aury krwi jest wiosenna; a gdy ponownie poczerwieniał — zrozumiał nagle, że i on ją kocha; bardzo, dozgonnie, siłą pięknych porannych lat życia, dwudziestu, tych pierwszych dwudziestu lat!!

Pobiegł do kuchni — — siedziała na niskim stołeczku, na kolanach miała miskę z ziemniakami — kozikiem kuchennym zeskrobywała z nich lupiny — opadały spiralnie jak lśniące, wilgotne, białe spodem, a wierzchem szare wióra do niecki — a oskrobany ziemniak chlup do wiaderka z przejrzystą wodą --

Przystanął przy niej:

— przeczytałem —

— panno Marysiu —

— co panie Cyprjanie —

— przeczytałem —

— co pan przeczytał — ? — (— ale się zarumieniła —)

— ty wiesz — ! — Maryś — ja cię też kocham —

Popatrzyła na niego zielono i uśmiechnęła się.

Pochylił się ku niej i poprzez tę miskę z oskrobkami ucałował jej soczyste, smaczne usta; trzymała w jednej ręce nadszkrobany ziemniak ze zwisającą obierką, w drugiej nóż — — pocałunek oddała namiętnie — — gdy się od jej warg oderwał — powiedziała: — jeszcze —

Wokoło i w nich było cicho jak w niedzielę na wsi; tylko muchy, których w kuchni jest zawsze sporo — przelatywały z jęklwym bzykiem z ziemniaków na ciasto, z pieca na sufit —

Rozpoczęło się życie! — Żyjemy bowiem naprawdę tylko wtedy, gdy kochamy; to jest pełnia życia; jedyna; i obojętne i niewieleważne, czy kochamy długo, czy krótko — nie czas tu rozstrzyga lecz siła namiętności — prześwietlenie rozdrżane.

Teraz już bez przerwy byli z sobą.

Chwile wolne od zajęć — niedziele więc — były zapatrzonym w siebie mijaniem ulic, domów, ludzi, błoń, deptaków, ogrodów, parków, czasu i siebie.

W niezapomniany dzień pierwszego maja — szli w wielkim pochodzie pod czerwonym sztandarem związków i czyteln z Krowodrza — z czerwonymi goździkami szli, wtuleni w siebie; śpiewali „czerwony sztandar“ i „cześć wam panowie“. Marysia radosna, uśmiechnęta — wygrażała pięścią ku oknom i balkonom zapchanym mieszczkańskimi lafiryndami i gogusiami — śmiała się i darła w niebogłosy: „sędziami wóczas będziem my!“ — Pod pomnikiem Mickiewicza przemówił do olbrzymiej, do swej rzeszy ów wspaniały mąż, wielki trybun ludowy, brukujący drogi i kujący gościniec do Pol-

skiej Republiki chłopsko-robotniczej, ten natchniony obywatel przyszłości, który, gdy już wygasną krzykliwie, splendoryczne sławy i sławki — trwać będzie granitową, wygasłą pozycją w gmachu socjalistycznej ery — Ignacy Daszyński. Wielki był tego dnia posłuch w narodzie, gdy oto z trybuny padały słowa sprawiedliwe i twarde, porywające jak wicher — i stał tam wysoki i smukły z wspaniałą głową i nieomylnym gestem! — stał ponad wszystkimi — wielki tym, że przez nich i w nich przemawiał — przeto też głos jego przetrwał pokolenie jedno, drugie, trzecie i trwać będzie w tysiąclecia — — „Niech żyje“ — rozległo się zewsząd — — bladeść pobłyskiwała zapalna — Cyrprjan i Marysia wtulili się w siebie mocniej — „słyszysz?, słyszysz?“ — jedno drugiego pytało; przytakiwali trybunowi i sobie. Aż wreszcie westchnienia zluźowały napięcie. — Pięknie było!!

Popołudniu tego dnia pamiętnego byli razem, na zabawie ludowej w Krakowskim Parku, urządzonej przez kolejarzy. Dwie głośne orkiestry rżnęły na przemiany; festyn, bufet, tańce; ale oni sobie siedzieli w altance i trzymali się mocno za ręce — nie mówili wiele — źrenice tylko dawały źrenicom prostą wiadomość, niczem, bo nie potraza, farbioną, że: dobrze, że: bardzo dobrze. Tedy zafundowali sobie pełną pokus i głębokich emocji karuzelę, która wisirowała w takt okrętnej, oszalamiającej muzyki pełnej blach i dzwonek. — Na drewnianych, czupurnych konikach przebiegających w powietrzu czterema nogami, a tylko żelaznym prętem połączonych z wirującą ziemią, mknęli, zakochani, dookoła świata — a ile razy spojrzeli na siebie rozchyłonymi wargami

i pobłyskującymi zębami — twarze ich mnożyły się w nieskończoność, a cwałujące rumaki wypadały z koła i pędziły z niepojętą szybkością — uskrzydłone już i złote wszystkimi tonami — w przestrzeń, w przyszłość, w słońce; aż się poecie i amazonce zwróciło w głowie — i zapragnęli spoczynku i bezruchu. Wrócili z poza chmur, z błękitu nagrzanego bliskością gwiazd i usiedli przy sosnowym stole nakrytym wzorzystym obrusem; zjedli po parze parówek z chrzanem i bulkę jedną — ale to była duża bulka — po połowie, i wypili po małym, bardzo jasnym i małopienistym piwie; przed każdym łykiem tręcali się grubymi, pękatymi szklankami; dźwięczały — i była to muzyka śliczna i doniosła; taka, która trwa przez całe życie — czasem znacznie dłużej.

Wrócili z tego — Marysia mówiła: balu — ciasno w siebie wtopieni; zrośnięci, sjamscy; co kilka kroków przystawali, obejmowali się gwałtownie i całowali długo i namiętnie. Szli ciemnymi, ciasnymi uliczkami — przez długi czas w ciszy nocnej towarzyszyły im dalekie dźwięki sztrausowskich walców; zęgnął ich dzień i wycofywał się na zawsze z obiegu — coraz dalszy i nacichający. Zanim doszli do domu bolały ich wargi i języki.

Młode ich ciała już bardzo pragnęły siebie, a nie miały się jeszcze dotychczas; boczyły się na wścibski mózg, który wciąż jeszcze produkował rozsądne zapory. Wreszcie i codzienny proceder; najpierw było zapatrzenie i przytulnie, lirycznie i biało — a gdy wnętrzości ich nabrały od nurtu pulsującej krwi wiedzy, że to już — wszystkie okoliczności stały się nagle nieporęczne; nie składało się; to ktoś

z pp. Nawodnych był akurat i uparcie w domu, to znów jakiś nieproszony frajer odwiedził Cyprjana; ludzie przeszkadzali; ich wciąż obecną uciążliwość odczuwamy dopiero w całej pełni, gdy jesteśmy zakochani.

I dziś też tak opacznie. Już z daleka widać, że w jadalni świeci się wisząca lampa wszystkimi gruszkami (zazwyczaj tylko dwie płoną — bardzo to szczerbacie ale oszczędnie); — wszystkie gruszki? — wiadomo: goście! — Uścisnęli się w przedpokoju ciasno i zwarcie, aż im dech zaparło. Rozeszli się smutni. Śnili o sobie; — to sprawiało ulgę, lecz równocześnie wzmagalo tęsknotę.

Wczesnym świtaniem matowosrebrnym i przyczajonym, Cyprjan, bardzo spragniony, poszedł na bosaka, z bijącym sercem, cichuteńko do kuchni; — Marysia spała; głowa jej wtulona lewym policzkiem w poduszkę była zjawiskowo piękna — była smukłym kształtem muzycznym, ożywionym dźwiękiem arkadyjskiej sirinks; — stał i patrzył oszołomiony, odurzony, zachwycony; — powoli wyciągnął rękę i pogłaskał snem napuszone włosy; nachylił się i dotknął wargami czoła pomiędzy brwiami — tu — gdzie widać myśl rodzącą się — tu — skąd ona ulatuje w przestrzeń; westchnął i odszedł jaknajciszej.

Znów minął tydzień.

I tego właśnie dnia już rano było wiadomo, że pani Bronia Nawodna wyjeżdża do matki; na kilka dni; matka zachorowała; pomoc więc trzeba w gospodarstwie, i wogóle tak, z miłości. Cyprjan najnieogłędniej zmówił się z Antosiem — jeszcze poprzedniego dnia gdy sytuacja nie była tak całkiem

jasna — do teatru na Lillę Wenedę z Wysocką i Sol-
ską; Antoś wytrzasnął bilety; gratka.

— pójdę, bo obiecałem, lecz wrócę około je-
dynastej — — Maryś kochana, Maryś —

— no co — ? —

— przyjdź dziś do mnie —

— po co? — mało ci dnia całego — ? —

— mało — dzień jest tak krótki —

— myślisz, że noc dłuższa — ? —

— dłuższa nie dłuższa, ale razem z dniem to
już coś —

— a jakby ktoś usłyszał —

— kto? — pani pojechała, a pan zaśnie, na-
reszcie będzie się mógł wyspać spokojnie —

— nie pleć pleciugo — wstydzilibyś się —

— ja się też wstydzę; — Maryś! — no do-
brze? —

— dobrze —; przytaknęła szeptem i zaraz po-
dała mu usta — zawsze wilgotne.

Już o tym więcej nie mówili; oczy ich mijaly
się w drodze — były zalęknione i zakłopotane.

Lecz potem to już tej jedynastej doczekać się
nie mógł.

Był to w życiu Cyprjana osobliwie fobijny
okres. Zwłaszcza w teatrze napadały go przeraźli-
wości, myśli złowrogie i tragiczne. — Zaraz po
dzwonek i po gongu, gdy tylko podniosła się kur-
tyna — zwały się zewsząd napastliwe i nużące zwi-
dzenia; wydawało mu się, że na całej widowni w par-
terze i w łóżach dookoła aż po stromą galerię siedzą
same kościaki, kościotrupy, umarlaki i przypatrują
się temu jednemu wykrojowi prostokątnemu życia:

bałuszą oczodoły, szczerzą zęby, kiwają zgrzytliwie czerepami, ironizują, drwią, zadroszczą i pożądadają tych tam żywych na scenie. Wizja bywała niedoźniesienia; przymykał oczy, żeby tego nie widzieć; więc też i nic nie wiedział co się tam działo; tu był dramat właściwy, okrutny, przytłaczający. A trwoga nie ustawała, przeciwnie, rosła i zagarniała pod siebie całą świadomość; w miarę jej natężającej się drapieźności nachwiewała się podłoga (na jaskółce!!) — za chwilę zawali się wszystko, loże, parter, piętra, galeria, dach — i ten potworny żyrandol — tam w zenicie — zerwie się, runie i zgruchoce te kościotrupy wyśmiewne, ponure, znudzone i śpiące lub obmacujące kościstymi palcami puste miednice i zimne piszczele — — Jęczał i dłońmi zasłaniał twarz; serce waliło; czoło zroszone potem; zbierało się na wymioty.

I dziś też tak samo.

Atak wizji był nie do zniesienia.

W pierwszej przerwie przeprosił Antosia, że musi pójść; głowa go potwornie rozboleła; miewa takie migreny; szkoda; może innym razem lepiej się uda; bylibyśmy po teatrze jeszcze poszli gdzie; bardzo żałuję, lecz ledwo się na nogach trzymam; zajdę znów do ciebie; dobrze.

Wyszedł; otrzeźwił go przewiewny chłód nocy. Szedł powoli — z lubością poddawał się na gładkim, wilgotnym mroku odpływowi złych wizji; — w tym ciągłym od urazów pokwitania — nieświadomościach wtedy — zespalanii się z życiem i z ustawiczną obecnością śmierci —, że wszędzie, że zawsze, że ciągle — w każdym domu, w każdym atomie powie-

trza, w każdej narastającej sekundzie — rośnie to beznadziejne przeświadczenie: mijanie — mijanie — mijanie —; bezcelowość rzeczy i zdarzeń.

W tej chwili obłądny krąg niszcycielstwa, nic — coś wszelka — zostały tam, w tym kopulastym, rozległym gmachu, rozświeconym setką okien.

Więc odejść stąd; prędeej.

Noc rozsiadła się wygodnie w czubach kasztanów; dołem rozrzedzona mleczną nalewką światła lamp koła nerwy i zespała niepostrzeżenie jestwo człowiecze z odpływającą w nicość, przez brzegi mroku przelewającą się przyrodą; — głęboki oddech równał rytm pulsującej niepokojem krwi; — pogodniało w zaroślach myśli; przejaśniały się gąszcze.

Wstąpił do otwartego jeszcze sklepika obok kolei — kupił paczuszkę cukierków, tych z nadzieją, żeby chrupały, a w środku żeby była taka ciągliwa masa — Marysia je lubi, mówi na nie: stul-pyski..

Gdy mu je kupiec opakowywał — przesunęła się w jasnej szybie wystawowej sylwetka wysokiej, czarno ubranej postaci niewieściej — przelotnie spojrzała na nagromadzone słodocze i owoce — olbrzymie, posępne oczy — blada, junońska twarz — — żywiej podrzuciło się serce — to ona; wielka, sławna artystka — —

— — bez jakiegokolwiek związku przysłonił tę olbrzymią, świetlistą szybę z sylwetką niedostępną — obraz inny: też okno wystawowe przy tej ulicy, na której mieszkał — sklep i klinika lalek — za lśniącą szybą stoją w pudeł

kach, spiętrzone wysokimi kondygnacjami — lalki pucułowate, zapatrzone przed siebie — krasne, kolorowo przyrodziane; na okrągłej płycie niklowej duża krakowianka obraca się powoli — ze wszystkich stron można ją obejrzyć — ręce ma na boki rozstawione: patrzcie, podziwiajcie! — przed tą czarodziejską wystawą często spotykał Cyprjan dziewczynkę dziesięcio, może jedenasto letnią — o dużych jasno-niebieskich oczach, w których żyły te wszystkie lalki tu zgromadzone — dziewczynka bardzo szczupła, blondynka, z buńczuczным wichrem włosów na czole; pod szyją kołnierzyk spięty broszką: biały orzeł. — Raz przystanął przed wystawą — i ona tam stała, z paczką książek związanych paskiem rzemiennym — ze szkoły widać — z koleżanką stała — i ta koleżanka powiedziała nagle:

— popatrz, popatrz Mila — na tę dużą lalkę — tę baletnicę, widzisz — ? —

— widzę — odrzekła; lecz w panienkach jej źrenic odbijał się szereg otwartych pudełek, w których, jak czerwie w matecznikach kwitły lalki postrojone w ułańskie mundury.

— śliczne — zaszepotała.

— ech, ty Mila, zawsze...

Więc Mila tej dziewczynce.

Szedł wolno — krok za krokiem — myśli stawały się w tym zwolnionym rytmie jasne i wyraziście —: kocha Marysię — ożeni się z nią, zabierze ją z sobą — albo lepiej, sprzeda tę habendkę swoją i do jej wsi pojedzie i będzie im dobrze — będą gospodarzyć; będzie poetą — poetą chłopskim, czy poetą chłopskiego życia; zespoli z pracą słowa, z porami

roku i dolą ludzką zwrotki — — zaraz też nastęrczyły się te słowa i zwrotka — — począł układać poemat — — powtarzał poszczególne wiersze, żeby je zapamiętać — — spokojny, miłosny, szczęśliwy poemat — — moje usta łakome twych warg dojrzejają w słońcu żadnych myśli — — —

Stanął u drzwi domu.

— — — — — — — — — — —

Wszedł doktor Eilper i doktor Maas; na wieczorną pogawędkę.

Więc znowu papierosy, ksanti i bonton, kremowe i wonne —:

— że pan nas wnet opuści i zdrów, radujemy się, to jednak zwycięstwo interny — a ci tam (ruch w kierunku kliniki chirurgicznej) to tylko rznąć, w nóż tylko wierzą —

— dobrzyście byli dla mnie —

— nam tu dobrze było z panem; — leczyć, oczywiście, badać, kształcić się, my sobie to taki nawet sport, żeby bez badania —

— przed badaniem (— poprawia Maas --)

— no tak, przed badaniem — z twarzy, z oczu odgadnąć jaka choroba; — przy pewnej wprawie można —

— przede wszystkim po oczach —

— lecz i myśl jakąś, że tak powiem, ogólną wypowiedzieć się chce lub usłyszeć —

— tu przy panu, to się po prostu klub utworzył, klub spragnionych myślenia i mówienia —

— strasznie to miło słyszeć takie zaświadczenie —

— oświadczyń! powiedz pan, oświadczyń —



— powiem: zaświadczenia sojuszu, wierzę w so-
jusz dobrych myśli; to wprost niedowiary ilu sojusze-
ników zyskujemy przez wypowiedanie zdań śnia-
łych, rzetelnie przemyślanych; myśli które sprawa-
dzają na nas gromy oficjalnych opinii, wracają do
nas z milionowym potwierdzeniem —

— czy w panu kochali się mężczyźni — ? —
ni stąd ni zowąd zapytał Eilper —

— uchylam to pytanie — zasędziował Maas —

— pan pyta o seksapil pisarski...?

— coś w tym rodzaju, chociaż właściwie...

Maas tuszuje ten incydent:

— przedtem tu, na tym samym łóżku leżał przez
kilka miesięcy nadzwyczaj miły człowiek, aktor,
jowialne, takie, powiem, marchołtowe chłopisko —

— Marchołt jest jeden: Kaziu Piekarski —

— tamten też, pewnie go pan znał — ? —

— no — ? —

— Komornicki —

— jakże! doskonale go znałem, niejedną noc
z nim przebumlowałem, bo nie mogę powiedzieć:
przepiłem; on wtedy już nic nie pił prócz wód mi-
neralnych; Józek Kondradt — znacie go — ? — cią-
gnął za nas wszystkich — to wam to może jeszcze
kiedyś opowiem; a Komornicki strasznie zabawnie,
wściekle serio, zamawiał ostentacyjnie z tym zachod-
nim akcentem, takie gardlane „rrr“ —: „ostromycko,
ja?! — — grał kiedyś w mojej sztuce, jak grał! to
aktor! — — umarł jakieś cztery lata temu —

— no, właśnie tu — na tym łóżku —

(— to samo! — i wciąż — i na każdym miej-

scu — a szpital jest przecież w tym mijaniu — bo to o to słowo idzie! — uprzywilejowany —)

— lubiliśmy go, co tam, zakochani byliśmy w nim —

— to była bardzo ciężka sprawa sercowa, i skrzepy niebezpieczne — ale już się zdawało: lepiej, nawet profesor mówił: zdaje mi się, że lepiej —

— wciąż o tym marzył, Leopold mu było, żeby stąd wyjść jaknajprędzej, że pod Łodzią...

— zawsze o tym mieście z entuzjazmem mówił —

...mieszka matka, że czeka — i tam ma w małym lutkim, nikłym domku obrosłym bluszczem taki jasny pokój, słoneczny, z weneckim oknem — to sobie przy tym oknie będzie siedział — wiedział, że wrócić do teatru już nie może —

— bardzo był talentny chłop i pracowity —

— siedzieć będzie, powiada, czytać i patrzeć — czegoż więcej potrzeba? — patrzeć to największe szczęście, siedząc patrzeć, żeby nie tak ciągle: leż i tylko leż, na wznak do tego, — przed oknem, powiada, rośnie tam jabłoń — to ona za kalendarz starczy — kwiaty — zieleń — owoce — gałęzie, ta cudowna koralina gałęzi! — wiosną znów będą kwiaty — to właśnie jedyna pewność: pory roku — prawa tych pór —

— miał wyjść za kilka dni — jestem akurat w pracowni, aż tu zadyszana przylatuje pielęgniarka, że w separacie źle! — co? kto? — łóżko numer drugi — biegnę, a Komornicki czerwony — twarz purpurowa, oczy wysadzone — trwoga w nich ta, która

rej my się tak zawsze lękamy, złe wróży — a już nieprzytomny — minuta — koniec — —

— skrzep się, wie pan, zerwał —

— stało się czegośmy się najwięcej bali —

— bezceliśmy wszyscy —

— poco my to mówimy pacjentowi —

— doktorzy kochani, dobrze, że mówicie, dobrze — (— może spowszednieje, — lecz — czy to możliwe —)

— ot zgadało się, wspólny znajomy —

Papierosy — ksanti — bonton —

(— więc na tym łóżku? — na tym samym? — mówią bo znałem — — a ilu nieznanym już na nim pomarło? — i czy to wogóle ma jakieś znaczenie? —)

(— i że na kilka dni przed opuszczeniem szpitala — — taka sytuacja jak właśnie ze mną teraz —)

Myślom dogaduje głos z poza dymu tytoniowego, jak z poza wiklin (— mała izba — raz-dwa się mgłą zaciągnie —):

— cóż tam, tu na każdym łóżku zmarło minimum po kilkudziesięciu ludzi; — bo i cóż tu tych łóżek jest? — a napływ chorych taki zawsze, że po dwu na jednym często leżeć musi — zwłaszcza na oddziale chirurgicznym i położniczym — wie pan, nogi-głowa, głowa-nogi — czasem tak tygodniami — najciężej chorzy, krwawiący, w gorączce czterdziestostopniowej —

— straszne —

— cóż robić, cóż robić — na szpitalnictwo nie ma u nas forsy —

Posiedzieli jeszcze chwilę.

Zluzował ich doktor Ester —:

— ja tu przychodzę tak — spojrzeć na pana; raduje mnie niesłuchanie szybkie, błyskawiczne kojarzenie myśli u pana — śledzę to, wyznam, z zaciekawieniem fachowym — to u pana prawie, moim zdaniem, nie męskie —

(— i ten znów zaczyna! —) —:

— a jakie, proszę — ? —

— czy ja wiem — no, jak nie męskie to kobiece —

— doktorze kochany, to jasne — poeta to niewątpliwie organizm maciczny; oto dyspozycja zagadnienia, które pan wlot uchwyci: — człowiek częścią przyrody, wyzwolenie z androginizmu, kobieta bierze na siebie par excellence przyrodniczą pracę, męczyzna „wznosi się“ do badania, stwierdzania, syntetyzowania, poniekąd nawet do kontrolowania, podporządkowania praw — i — w pewnym, bardzo jeszcze dziś nikłym — dziecku jeszcze jesteśmy jako gatunek — wymiarze, do tworzenia chemią mózgu nowych praw —

— poprawiacze przyrody — ? —

— nawet! — enpe: zagadnienie humanitaryzmu, przesunięcie platformy walki o byt z bezwzględności ku kooperacji i tede; — a teraz dalej dyspozycja: kobiecy aparat jest oczywiście bezpośredniejszy i bliższy przyrody; — reprodukcją czy analogią psychiczno-fizycznych właściwości macicznych jest poeta; zapładnia go barwa i dźwięk, zapładnia go ból i radość, zapładnia nędza i niesprawiedliwość, ziemia i wszechświat, piasek i gwiazdy — i: rodzi; — o wielkości poety zaświadcza właśnie ta predyspo-

zycja maciczna — wszystko inne jest grą intelektu
mniej lub więcej finezyjną — — (zamyślenie): —
i działanie księżyca: morze, menstruacja, spiecia po-
ezji: oscylacja: pełnia, nów, nów, pełnia —

— muszę sobie to przemyśleć —

— pan, panie doktorze, lubi cytaty — więc
proszę: ...ta liczba ośmnastu miesięcy mogłaby na-
prowadzić na myśl, że w gruncie jestem słoniem sa-
micą... dixit Nietzsche, gdy mówi o ciąży i porodzie-
niu Zaratustry —

—

Ester:

*Sweet, I blame you not, for mine the fault was, had I
not been made of common clay
I had climbed the higher heights unclimbed yet, seen
the fuller atr, the larger day.*

?

Wilde —

—

Cyprjan:

— poeta! dla niego wszystko jest niczem poza
twórczością — wszystko tu temu tylko podporząd-
kowane — — wszystkie zjawiska są plemnikami —
on je wchłania, rozwija —

— zapładnia się, krótko mówiąc —

— właśnie —

Ester:

— hm —

Cyprjan (— po chwili —):

— w ustosunkowaniach ludzkich, w obrębie
współzycia jest poeta zjawiskiem niesympatycznym —

Ester:

— pitoresque —

Cyprjan —

— niepokojącym —

Ester:

— zapewne —

Cyprjan:

— i koniecznym —

Rozmowę tę poszeptywali w siebie bo do Włodka Kusza przyszli koledzy i koleżanki — całe bractwo rozszczebiotane i zgiełkliwe; — rozmowa: tenis, zaręczyny, wycieczki, dancing — i wciąż w ten deseń: „nie masz pojęcia!“, „powiadam ci“, „...mówię ci“, „a to znasz?“, „posłuchaj“, „jak ta lala“, „tip-top“, „oui zgadza się“ — wszystko na fermacie śmiechu, który nie posiada żadnego znaczenia.

Towarzystwo to zmęczyło rekonwalescenta; gdy więc zostali sami poprosił Włodek płakśliwie Cyprjana o bromural.

Dostał.

Zażył.

No to teraz mamy znów ciszę.

Nie! — jeszcze nie!

Pukanie — proszę — telegram; podpisać rewers; bardzo proszę; dziękuję.

Telegram zawsze nieco niepokoi; otwiera się go z ociągającą niecierpliwością; więc i niezręcznie.

Nareszcie — — — :

dulce et decorum

Maura

Zwinął kartę z powrotem; włożył do szuflady stolika.

Dulce et decorum —

Więc się to tak samo (jakoby samo!) posuwa; dokąd — ? — niewiadomo. I to ęci właśnie. Słodka i zaszczytna pani! — w tej chwili jestem doprawdy tak zajęty, tak bardzo zajęty! — I nawet do powiedzenia nie mam nic — a równocześnie mam wszystko do myślenia!

Do — odmyślenia.

Do.....

Stoję oto u drzwi i podzwaniem kluczami; brama otwiera się opornie. Podcienie — podrabiany romantyzm: krużganki platerowe! — kilka schodków wewte wtewte, żeby było tajemniczo, jak najbardziej tajemniczo — anamneza podziemi, proszę was; — wreszcie poniekąd normalne drzwi; najwyższy czas; — również własnym otwiera się je kluczem.

Ci•chut•ko — —

Cyprjan ostrożnie, bez szmeru przymyka drzwi. Na palcach wchodzi do swego pokoju; rozświca małą lampę na nocnym stoliku — okrywa ją rozwartą książką — półmrok.

Zdejmuje trzewiki; — spacer po pokoju — po znanym sobie szlaku — tak, żeby parkiety nie skrzypiały — niektóre kwadraty trzeba umiejętnie wymijać — niedotykane, krzykliwe — lecz jest jedna taka miedza nawskos pokoju, którą można chodzić bezszmerne, nietoperzowo. Serce wali jak odmięcy — — wyobraźnia, wzburzona i zmacona zbyt gwałtownym przelewem krwi, bardzo niekonkretnie i mgliście wyświetla dalekie, obce obrazy Marysi — tu — z nim — na łóżku — — jak we śnie, gdy to siebie widzi się poza lub obok siebie.

W trzecim pokoju (bo to ta jadalnia przegradza) wątły skrzyp łóżka; — Nawodny przewraca się na prawy bok, albo na lewy — może na wznak — —

Zdjął kapę z łóżka i odsłonił kołdrę.

Obszedł znów tym szlakiem przestrzeń prostokątną — najnierozumniej oparła się pamięć na przyprostokątnej — nie — na kwadracie wystawionym na przeciwprostokątnej, który równa się dwu kwadratamnagle zobaczył olbrzymią na pół globu noc i to mizerne pudełko pokoju — samotne — jedno — jedyne na bezludnym, czarnym stepie — i że ktoś zdaleka idzie — ona, oczywiście, Marysia — zaprasgnął postawić lampę na oknie aby zasygnalizować: tu! — lecz spostrzegł się, że to przecież nonsens.

I znów — przechodząc obok — zasłonił kołdrą poduszkę — wydało mu się, że jest coś niestosownego, brutalnego nawet w tym podgięciu nakrycia z wierzchu czerwonego a od spodu białego; — a wtedy stał już przy oknie i chłodził czoło o zimne szyby. Nim ten krążek zimna przemknął się ku świadomości — stał Cyprjan przy drzwiach — nacisnął kłamkę lekko — powoli — długo; korytarz ciemny, na końcu, na prawo — drzwi do kuchni. Poszedł w tym kierunku; wąski, pionowy pręt mglistego rozświetlenia pomiędzy drzwiami przy futrynie — znaczy się: drzwi nie przymknięte — — Drżąc przekroczył próg — dość wysoki ten próg — trzeba o tym wiedzieć, aby się nie potknąć i nie narobić hałasu — — okno od podwórza, a po drugiej stronie żółte światło u sąsiadów — więc w kuchni półćma, lecz tym jaśniejsza, że na korytarzu noc zupełna — — podchodzi do łóżka — łóżko nietknięte, porządnie kocem

nakryte, zagłówek z różowymi elipsami wyspu ulożony w głowach jak należy. Nie ma jej — zdarzało się, acz rzadko, że Marysia wychodziła wieczorami do stróżki, tam taka córka, szwaczka, równolatka — na pogawędkę; lecz tak późno? — i dziś właśnie? — — —

—

Trzeba poczekać.

Przechodząc obok szklanych drzwi jadalni — słyszy znów ten skrzyp; irytujący; — cóż ta cholera zasnąć nie może! — — a potem jakby szept — — przystanął — — zatrzymał oddech — — złudzenie oczywiście; — położę się — już mi się kotwi we łbie i halucynacyjnie płacze; położę się — zaczekam — położę się —

Cały pokój tętni tym sercem na łóżku; — słychać — wyraźnie — sufit — ściany — podłoga — piec — stół —

Nagle — gwałt! — serce przestaje bić — mrok tężeje — cały pokój przyczajony, przywarty do ściany nocy, przycupły jak zająć pod pniem — tylko uszy po sobie położone warują — notują — słuchają —

Noc jest tylko słuchem — tym jednym zmysłem żywa —

Szelest opadającego pyłu jest jak lot muchy rozbijającej się o klosz lampy — skrzyp jest łoskotem — szept krzykiem i przekleństwem — — znałony hałas jest tak natężony, że nie rozumie się nic, nic, nic — — lecz — no tak! wie się — —

Uszu Cyprjana dociera z trudem dalekie pukanie do szklanych drzwi jadalni; zrazu nie uświadamia sobie, że to on sam puka; — i — cóż to w ręce

trzyma? — nonsens! — skądże i naco?, karafkę —
pustą karafkę — ? —

Puka mocno, chce otworzyć gwałtem drzwi —
zamknięte — więc znów puka — głośno — łomo-
cąco —

— kto tam? — wyczłapuje się z pod pantofli
zadeptane pytanie —

— to ja, panie Janie — to ja —

— czegoż pan po nocy — ? —

(teraz bardzo zciszenie i tak słabo, choro): —
złociutki panie, niech pan otworzy — z sercem tak
nie dobrze (na to serce znerwiczone da się to i owo
zepchać — więc podpira wiarę w tym — tam po
drugiej stronie matowych drzwi — że potrzebuje po-
mocy, pomocy — ten — tu po tej stronie matowych
drzwi): — bardzo mi nie dobrze, niech pan ratuje —

Pomogło!

Otwierają się drzwi — staje w nich Nawodny;
nic nie wiadomo — blady — nie blady, drżący —
nie drżący — tyle, i to pewne, że w kałesonach dłu-
gich, zwężonych u dołu, więc, widać, związanych —
no i w koszuli, rozpiętej, ale w koszuli —

Ani chwili do stracenia! to się wie! — i nie
dać mu w tym zaskoczeniu krzty wytchnienia ni
możności pójścia do głowy po rozum; — więc na-
trętnie i bezapelacyjnie:

— tu jest karafka — wody — nie mogę dojść
do kuchni — to pewnie koniec —

Lewa ręka na sercu — szept rozklekotany —
prawa wciska tamtemu bezradną karafkę —

— zaraz — prędko —

Dyszy ciężko, zarwanie, w rozwarte usta chwyta

powietrze — — oczy tylko małe, przymrużone śledzą pilnie i chytrze — — no! — nareszcie zrozumiał gąmoń; bierze tę karafkę i idzie do kuchni — — do kuchni — do wodociągu — kroków? no co? ze dwadzieścia — — opiera się Cyprian o ścianę przy drzwiach — głowa zwieszona — to widać, może zemdleć lada chwila; — słychać odkręcanie kurka — strumień wody — — wtedy: oddech głęboki — skok za próg — zamknięcie drzwi — przezornie, kluczem, dwa razy —

Teraz na lewo! — prędko!

W sypialni wcale jasno — lampka nocna zakryta jakąś różową materią — to mądrze tak; — na łóżku — nikogo; koldra tylko zmięta, wypuczona wzdłuż całego posłania; — — no to wracać, póki czas, żeby się nie spostrzeżono — zakłócenie spokoju i wstyd. — Tylko jeszcze jeden odruch, taki bez wyraźnego znaczenia — ale trzeba go zrobić, przymus taki, choć to już właściwie nic nie znaczy — i wcale niepotrzebne — — idzie o to, aby tę koldrę od poduszek ku nogom odchylić; ruchy powolnieją, zdenerwowanie odpływa, zamęt się przejaśnia; — więc chwyta tę koldrę i — dlaczego z takim oporem? — obsuwa ją w dół jak skórkę z banana — —

Nie pojął w pierwszej chwili!

Nie zrozumiał!

Na łóżku —prześcieradło pomięte, bokami wyzierają materace — leży skulona, naga kobieta — od tego przyprószonego światełka różowa cała i narzana; twarz skryta w ramionach — dolina pod pachą rozwartą, porosła kępką włosów; biodra wysoko złuczone — płynny spad nóg aż po stopy; głowa?—

widać tylko rozkudłone zwichrzenie — — ale ten kolor włosów! ten kolor zdradził pierwej niż wszystko inne — przecież tego jej wszystkiego innego nigdy nie widział —

— Maryś — co ty tu robisz —

Cisza.

Krzyknął — :

— wstawaj! —

Natychmiast wstała posłusznie, smukła, kształtna — piersi, z tych nieco obwisających lecz z wysoko zmalinioną sutką, drżą przy każdym ruchu — brzuch młody, zwarty, z płynnym zakłęśnięciem ku włosom łonowym — — piękna!

Lecz teraz już w ogóle wszystko jest inaczej! — słychać szamocące dobijanie do drzwi; nie ma, co udawać! sprawa jest prosta i jasna —

— zaczekaj tam psiakrew —

Nagły gniew zalewa mózg. Wszelkie panowanie nie taje jak grudka lodu na czerwonej blasze; z tej czerwoności odbłask złowrogi na oczy się kładzie kolistymi plamami wciąż napływającymi — dokoła wszystko jest nazbyt, nieprzyjemnie czerwone; mgłą się i giną przedmioty — tylko te plamy —

— pociś tu przysła! — nago — z chłopem! —

Wyrznął dłonią w tę śliczną, szczupłą pod wzburzoną wiechę włosów twarz — mocno — — chciała coś powiedzieć — a było to jak niezdamny uśmiech — i raz jeszcze na odlew —

— ty — ty — a ja — czemu — ty —

Placz. Cała nagość jeden płacz; jak fontanna runęła w dół, zwiśnięta, nikła garść drżącego ciała —

Uklęknął przy niej szybko — już mu żal i wstyd —

— no, Maryś, malutka, moja Maryś — nie płacz — nie trzeba — wybacz — tak strasznie ciężko — — chodź, chodź stąd —

— gdzie ja pójdę — gdzie ja pójdę —

— do mnie — chodź —

Uniósł ją za gładkie ramiona — dziwnie śliszkie — to z lez — i prowadził ku drzwiom — otworzył — — zamajaczyła przed nim postać w kalesskach — karafka — postać trzyma ją przed sobą w wyciągniętej ręce — drży, chce, żeby mu ją zabrano —

Cyprjan puszcza dziewczynę — krzyczy głośno: —

— no, prędziej — marsz! —

Nawodny szybko, bokiem wchodzi do jasdalni — wygibnie, tanecznie prawie — lecz dopadła go jeszcze twarda pięść i pchnęła — potoczył się naprzód — chlusnęła woda z karafki i zalała koszulę i te kalessy —

— cholero, siedź tu teraz do sądnego dnia —

Cyprjan przełożył klucz i zamknął drzwi od strony korytarza; potyrmanił klamką czy aby solidnie zamknięte.

Gdy wszedł do pokoju — Marysia leżała już w łóżku.

Zrzucił w kąt przeciwległy, pod okno, kapę, palto, stare ubranie z szafy; położył się zmęczony, zboleły, obojętny.

Po chwili wstał, poszukał tej paczki z cukierkami — odpakował, położył ją Marysi na kółdrze.

Jeszcze sprawdził czy i tu drzwi należycie zamknięte; klucze zabrał ze sobą na ten głupi barłóg.

Długo w noc słyszał pochlipywania, pociągania nosem i chrupanie cukierków.

—
Nie zauważył nawet kiedy Nering wrócił z miasta; a kiedy wyszedł — ? —

Światła nie zaświecał.

Udał, że śpi.

Zresztą: jasno — jak wtedy — i dziś —

—
Piękna, pogodna, księżycowa to była noc; owego maja; około północy przechodzili — Cyprian i Marysia—wzdłuż muru parku dworskiego—w Klonówce — tutaj biegnie kolisto ta najpiękniejsza z życiowych dróg; co tu dużo gadać; tęskno i już; pochlipać by się chciało z tobą, Marysiu, i pociągnąć swojsko nosem — i te cukierki — nie ma już takich cukierków na świecie — ; — trzydzieści lat temu? — dwadzieścia dziewięć —

Z Klonówki do Dąbrówki trzeba iść pieszo, można furką; lecz jak nie ma furki no to pieszo; kawał drogi, z dziesięć kilometrów — ale to nic, we troje z miłością to blisko, łatwo i za blisko, pewnie, że za blisko! — gdyby takie drogi, przejście ich — trwało pięćdziesiąt lat — wszystkie te problemy wzięłyby w łeb.

Poprzedziły ten wyjazd wielogodzinne rozmowy; Cyprian (nazajutrz) ugotował śniadanie na primusie — Marysia wstać nie było wolno — to bicie i to wszystko — a potem długie męczenie wzajemne; — albo tak, albo tak — albo rzucić wszystko

w kibit mater i odejść, albo „wznieść się ponad to“; — raz to zdanie przeważało, raz tamto; jednolitość stanowiska stale zachwiana wybuchami namiętności.

Tego Nawodnego Cyprjan nie wypuścił z pokaju; nikt nawet w tym kierunku nie pertraktował; rozumiało się samo przez się; stan obłączenia; no to sobie tam, uwięziony, grał na skrzypczkach — i mieli za bezdurno muzykę do tych — rozmaicie — gniewnych lub pogodnych zdań.

Wieczorem zmęczeni i wygłodniali zawarli pakt. Zaraz też zabrali do kupy graciki i chadry — dwa nikłe kuferki, cała parada; — i wyjechali; — otworzyli drzwi jadalni, pies ci mordę lizał, — wyjechali. — Po drodze na dworzec poucztowali suto za tani pieniądz — wraz też poweselili i nabrali otuchy.

W tym parku klonówkowskim jest dużo słowików; może za dużo; kląskają aż gielczy w pobliskich parowach.

Pod murem ucałowali się — pierwszy raz od „tego“ — posypały się na nich jak jaśminowe dzwoneczki te słowicze turlikania — zbeczeli się oboje i poprzysięgli wieczystą miłość. Tak się tą wiecznością lekką ręką szafuje, gdy się żyje w złudzeniu uroczym, że do tej wieczności daleko, że oddziela nas od niej cała wieczność — więcej! — całe życie! Do marysinego domu zaszedli, gdy świt zaczął płynąć złotą rzeką nad widnokregiem.

Jej ojciec był kowalem; cztery morgi pola; chałpa; warsztat — jaki tam był ale był. Niedużo; ale wystarczy; z jego, cyprjanowego niby, też wieloletnia dojdzie; obleci; choć do jedzenia gąb sporo; są przecież ojciec (matka pomarli) siostra Sewerka i —

dwoje marysinych dzieci — córeczka dwuletnia, synek trzechletni — Wojtuś i Hanusia; dwoje miała już dzieci; „on“ miał się żenić, jakoś tam odwlekał z miesiąca na miesiąc, to to, to tamto — dzieci zrobił i, masz, wyjechał do Ameryki; że niby wróci: szukaj wiatru w polu.

Marysia bała się okropnie tego momentu, gdy się Cyprjan dowie; skóra na niej cierpła. W domu traktowano to lekko — zaraz też ojciec Cyprjanowi powiedział, że są takie dwa bąki, i że strasznie „hreboki“ dobre i mądre są —

Marysi aż dech zaparło; — a Cyprjan:

— to nic, są, to dobrze — mamy już dzieci bez roboty — to też coś warte —

Mieli się już teraz zwyczajnie jak chłop z babą; spali z sobą w jednej izbie (bo i drugiej nie było) na jednym łóżku, na nieboszczki matki łóżku; — ojciec na drugim; trzecie jeszcze było, no to na nim ta młodsza siostra Sewerka; dwoje tych maleństw miało wyro wedle pieca.

Raz się taki krzepki wydarzył wypadek:

— do tej Sewerki zalecał się parobek z pobliskiej wsi; szykowny i majątny; pół chałpy, trzy morgi pola, spletu żadnego; — za miesiąc mieli się pobrać; zapowiedzi już szły.

Któręś nocy skrzyp wrót obudził Marysię, szturknęła Cyprjana w bok — : „ktosik idzie“ — wstraszyla mu w ucho; przywarowali cicho — ktoś wszedł — najciszej jak mógł wymijał gęste graty — po omacku trafił do Sewerynki łóżka —

— Sewerka — pęk sie —

Acha — to Franek — ten co to się z nią ma żenić.





A Sewerka burczy (choć wcale nie gniewna):

— pocóz ześ przysed —

— bo cie mom rod — legne se —

— to se legnij —

Wgramolił się w ubraniu i w butach do łóżka.

Całują się; cicho; ale słyhać.

— Sewerciu, mojaś ty słodziutko — dała byś mi —

— dzis, brołbyś — po weselu se weźnies —

— a dy się za miesionc pobieremy —

— no to nie długo bedzies cekoł —

— Sewerka, nie być tako twardo — dejze tröske tyj swoji cipecki —

— zebyś mie potem puścił jak tamten Maryške —

— jo cie nie opusce, boże zachowoj —

Certolili się tak z godzinę — łatwo rozgrzewającej Marysi dojęły te igry sąsiedzkie do żywego — cały czas trzymała cyprjanowego w garści.

Po długich, pełnych namów i zakłęb perswazjach zorientował się Franek, że nic u Sewerki nie wskóra i że się dziś nie doczeka rozsądnego rezultatu — tedy zeźlił się, zaklął i głośnym pierdnięciem otrąbił odwrót.

— o ty świnió świńsko — zaśmiała się Sewerka; podźże poć kieś taki uparty —

Rozebrał się Franek i rozbuł prędko; — poszło się bośkanie serdeczne i ogniste ugniaty — w pewnej chwili Sewerka kwiknęła mocno —

— juz jom dopod ka trzeba — zaszepiała Marysia i zadyszała pokuśnie —

— poć tyz, Cyprjon, prędko, prędko, dawoj go —

Robota szła na całego, można by rzec na cztery ręce, lecz właściwie na osiem rąk i nóg.

A bruliony z poezjami rosły; wszystkie, za przeproszeniem, na tę chłopską nutę i wszystkie z tą wiarą, że poezja ludowa — wiadomo, bo już w roku 1822-gim też tak było — odrodzi się i zarodzi — że, z niej tylko z niej no i tak dalej, że tak się stanie i tak się stać musi; — że miejsce będzie dopiero dla tych, którzy chłopami będąc poezję klasową z siebie dadzą — swoją — tego się wtedy wiedzieć nie mogło — w każdym razie nie mogło jasno i przejrzysto; — dopiero za trzydzieści lat, więc dziś — i to załówek jeszcze i pierwsze kroki.

Marysia strasznie poezję lubiła; często jej też wieczorami czytywał — siedziała w kuczki na łóżku — wargi lekko rozchylone — słuchała; — przysłuchiwał się też uważnie stary; aż raz zapytał:

— a jest z tego jaki prefit — ? —

— jesce jaki! — zaperzyła się Marysia; — książki popłacają więcej jak jarzyna. — Ojciec przytaknął głową, że to „ciewy-ciewy“ — ale myśli jego były pełne powątpienia; był to kowal rozsądny. — Na ogół zresztą był z Cyprjana rad — syna nie miał, na czeladnika nie stać go było — więc skwapliwie skorzystał z terminatorstwa tego, co to chłopem córki ma zostać; a ten znów przykładał się do nauki rzetelnie; pod jesień już i podkowę ukuć potrafił i pług należycie wyklepać, rałę na koło założyć, brony i hakownice zreperować; sam sobie w iskrach gwieździowych miechem, w rytmicznym stukaniu młota, w białym

czerwonym, rozżarzoną żelazniw z gniwnym sy-
kiem hartującym się w wodzie — wydał się małym
Hefajstosem, kowalem olimpijskich bogów; — huk,
stuk, rytm; praca, praca —

—
Resztę — uciekających w bezdenne mijanie
— dźwięków i zdarzeń — doznał nagły sen.

—
Cyprjan zasnął — a był już listopad; zimny,
rozchlapany; obelżywy; zdatny, aby wyjść na rostaj
glinianych kolein — najeżyć sierść i wyć —

W chacie mroczno i duszno. Marysia dogory-
wała; zapalenie płuc; lekarz był — i przed księdzem
był — nad wsiowy zwyk — ale nikt i nic tu już
pomóc nie mogło.

Przed skonaniem odzyskała przytomność; po-
dali sobie ręce —

— chłopczyko ty moje (— nie „po pańsku“
po chłopsku mówiła; od czasu gdy tu na tę wieś
przyjechali; a teraz to już mus tak mówić — chwila
poważna) — łostaniesz som, a dobrze nom było ze
sobom, prawda? — strasniek cie rada miała — ka
ino i w tym coś pisał i w tym coś ze mnom społ —
obadwa jednako; zol mi strasnie, ze cie muse
łodyjs —

— Maryś! —

— Cyprjonie — łodyjdem cie; cóż robić; nie
poradzemy; kwilke sie ta pozolis, a potem se ta
nojdzies miejskom panne — byś ta z chłopkom i tak
nie wytrzymał do końca życia — — zegnojze mi —
byłak zawdy przy tobie szczęśliwo — tyk pore mie-
siency — cekoj, poznalimy sie przed godami — ja,

przed godami — no to bezma rok — a mnie sie to zdo akurat jeden abo dwa dni, abo i krócy — jakby my karuzel — pamientos? — roz dokoła objechali —

Z wielkim już mówiła trudem; a taka była piękna w tej przedśmiertnej chwili — jak może nigdy za życia — — i tak już bardzo daleka, odiegła — stąd i ten głos cichy i z trudem przedzierając się przez warstwy atmosferyczne --

— dzieckami się ta mojemi zaopiekuj — ześ tys taki dobry był, ześ tys tak znoł mojom nature — nie byłak zło, ino mie tak od małości ciągło — — ale potem jak jus haw, jak jus z tobą to ino ku tobie — zegnojze mi Cyprjonie — zegnoj, zegnoj —

Trzymała go silnie za rękę — z wysiłkiem uniosła drugą i pogłaskała jego dłoń —

— urodziłak sie haw tak niedowniusienko — haw tys umierom — łocy matcyne na mnie wtedy w maleńkości patrzyły, a teros twoje na mnie patrzą — to mi lzyj — zegnoj — —

Umarła tej nocy ciemnej bardzo i deszczowej.

Cyprjan pomieszkał jeszcze jakiś czas w Dąbrówce — no a potem, potem wyjechał — — w pierwszą rocznicę przyjechał na mogilkę, w drugą też — no a potem; — o dzieci marysine zadbał; Wojtuś wyuczył się na ogrodnika; ożenił się już; ma swój ogród; Hanusia została na gospodarce; wyszła za mąż — dzieci ma troje — babką już jesteś Marysiu — a ta Hanusia całkiem na ciebie podana — ale nie taka ładna — — — Maryś, dobra byłaś, Maryś — — — a potem ten dramat o tobie obszedł wszystkie sceny — nie dożyłaś — — darzy



ło się myślom przy tobie. i z tobą zawsze dobrze było —

—

— narosło doświadczenie o bezmierną nędzę chłopca, o jego cofnięcie wielowiekowe, o krzywdę jego; o zbrodnię popełnianą na nim od początku po dziś —

— Dąbrówka — jej wsiowe skiszale życie — sąsiedzkie nędze i złości — : oto prawdziwy uniwersytet, uniwersytet wiedzy społecznej —

— na tym tle, Maryś, kochałem cię i to wszystko inne —

— a sama już dziś — w tym szpitalnym od-pomnieniu — sama i ten twój żywot: wegetacja roślinna — wykiełkowałaś w kurnej chacie — i w niej też zwiędłaś przedwcześnie — — i — doprawdy nie wiem czy istniałaś, a jeśli to był jętkowy byt — to jaka jest jego nazwa, potrzeba jego, przywilej — ? —

—

Na niedospanej udręce morzą Cyprjana wszystkie niedogodności, zwątpienia i skazy:

—

— czy zdradziłem cię kiedykolwiek — czy może teraz z tobą zdradzam... Maurę, której nie znasz — czy może cię Milo, którą tak głęboko pokochałem — czy może was obie z tamtą — czy może ją z wami obydwoma — a wszystkie razem z Wisią — i naodwrot — — nie, nie wysupłam się z tego zagadnienia dyktowanego podstępnie przez tysiącletnie narosty obyczajowe; — bo i wreszcie: cóż to znaczy: zdradzam? — Kocham was wszystkie, któreście podsycaly moją myśl i rozżarzały mo-

je uczucie. Karmiłyście swym istnieniem twórczość moją, czyli: darzyłyście mnie życiem; — ileż razy blade i zamierające, ożywiła i odmłodziła transfuzja waszej ciepłej krwi; — w nocach moich i trwogach byliście i jesteście: światłem i ukojeniem; pieśczęty wasze płoszą czujny i wciąż obecny strach, zaprzeczają narastającej każdym okamgnieniem śmierci. — Wszystkie, wszystkie byliście zawsze najpiękniejsze, najlepsze i najrozumniejsze. Wzbogacała się i wzbogaca, moja świadomość tą wielostrunnością waszą; bez niej i bez was życie niewarte jest aby je żyć! — I nie o jakieś tam erotyki chodzi! — paldiability! — wołałem zawsze usta niż zwrotki, usta piersiątką i tę resztę najrozkoszniejszą, którą skwapliwie upieszczałem wedle waszej woli, o waszej zawsze myśląc rozkoszy, ceniąc ją więcej niż własną — i nieznużony nigdy, zawsze po miłosnych potyczkach rzeświejszy, krzepszy, mędrszy, bardziej twórczy: zdrowe zierzę o instynkcie drapieżnym i trafnej, celowej intuicji. — I cóż ja wam wzamian daję? — jakąż monetą odpłacam? — uwieczniam was, czyli czynię coś, czego sobie wcale nie życzyście, co wam jest zupełnie obojętne; w czym widzicie, jakże słusznie!, utajoną nienawiść do siebie; mizoginizm. — Wyznam wam też, że nie umiem obronić się przy puszczeniu, domniemaniu, hipotezie, że jesteście samicami innego gatunku, że w jakimś odległym kataklyzmie wyginęły wszystkie, lub prawie wszystkie samice pitekantropa, że przeto był zmuszony parzyć się z samicami obcego — pokrewnego oczywiście — gatunku. Przepraszam!

Jeden z wielu Cyprjanów przywołuje do po

rządu — : — odpowiedz, bez obłudy, więc wielo-
żeństwo — ? —

Inny Cyprjan odpowiada:

— podchwytывaczul cóż to za problem mi
podsuwasz —

— a jednak powiedz, proszę —

— jeśli tak koniecznie, no to mówię: wystarcza
jednożeństwo —

Ironizujący Cyprjan:

— aż nadto —

Poprzedni ciągnie dalej:

— przecież nie o to idzie, nie o normowanie
i normalizację rodziny; to są całkiem inne zagadnie-
nia; bardzo ważne — lecz to teraz w rachubę nie
wchodzi; — mnie idzie o znacznie dalsze, głębsze,
wyjątkowe poniekąd sprawy: o zagadnienie ener-
getyki seksualnej w przyrodzie; więc w człowieku;
o zapęd, który w niej płynie; o ślizg pasa transmi-
syjnego wprowadzającego w ruch (—) i wykonu-
jącego pracę (+). Tu jest waga wiecznej kobiecości,
która zbawiła i wznosi: motor myśli, uczuć pomy-
słów, poczynań, odkryć, wynalazków, prac, czynów,
sztuki, ładu społecznego —

— czy chcesz twierdzić, że sprawa przyciąga-
nia i odpychania, kosmiczny ruch, ład, harmonia
i kataklizmy, chemiczne życie, sympatia i antypatia
związków, elektrony — i tak dalej — to...

— tak, chcę twierdzić: to energetyka seksualna,
jej mądry dobór i odrzucanie —

— więc: poza nią nic nie istnieje? — początek
i koniec — ? —

— — — — — — — — — — — — — — — —

— sie człowiek wykaraskał — cud boski —
— no, no, jużeśmy myśleli, że będzie koniec —
— teraz to już starzy pozwolą na ślub; muszą;
jak się tak młodzi kochają na śmierć, na prawdziwą
śmierć — nie? —

Milczenie; nikt nie odpowiada.

— sie człowiek wykaraskał — cud boski —
To było pierwsze zdanie, które o rannej porze,
przebiło omroczoną snem świadomość; głos bez-
przecnie męski, młody lecz przychrypły, jakby
z sznurowanego gardła wydobyty — —

To rozmawiają w tej szpitalnej kuchni; — ma-
chinalnie powtarza myśl to zasłyszane po dwakroć
zdanie, o nieco cudacznej składni — :

— sie człowiek wykaraskał —

A ten tam przychrypły dopomina się natrętnie:
— nie? —

Nic. Tylko to obmierzłe szorowanie garnków
słyszać; bardziej intensywne; prędkie; jakby niczego
na świecie nie było tylko garnki, blaszane garnki,
i żadnej pracy innej jak szorowanie ich drapaczkami,
zmywanie, wycieranie — jakby nic innego.

— czy jej ino to zimno nie zaszkodziło; z wie-
czora nic, nawet zacisznie na tym grobie — mur
smętarny spory to i wiatru nie wiele, ino górą fuja;
chmury to pędziły, ale tu niby dołem, nic, ciszy-
na; — takie tam poźółkłe trawki rosły to sie, wiecie,
ledwie, ledwie ruszały; — ale potem ziąb się zaczął,
no serwus, to my sie skulili ze sobą — potem już
nic nie wiem — ażem sie tu opamiętał —

Cisza. Pobrząkują ustawiane naczynia.

Nawet to szorowanie ustaje; wyczerpał się zapas.

— siostró — ? —
— co pan — ? —
— siostrzyczko — ? —
— no co — ? —
— nimógłby ja ją zobaczyć — ? —
— co też pan ma w głowie! — profesor nie
pozwolił; sił pan niema — tu się pan ledwie przy-
włókl przez próg — a oddział kobiecy jest na dru-
gim skrzydle —

(— poco ona tyle i tak pędko mówi? — to
może wzbudzić podejrzenie —)

— sił nie mam, to prawda — ale przecież zająć
dałbym rady — na moment — siostrunio —

— ja ta nic tu nie poradzę —

— a kto — ? —

— profesor tylko —

— a jakbym sam — ? —

— nie puszczą pana z kurytarza, na bramie
zatrzymują, i tamby pana też bez kartki nie puścili
— lepiej wracaj pan do łózka —

— a jak też z nią — ? — wczoraj mi mówiła
siostra, ta druga, chuda taka, — że lepiej, ale że
przytomności niema —

— ja tam nie wiem, na kobiecy nie chodzę —

Głos inny (to już czwarty: on i trzy kobiety):

— niema co pytać — chora ta i chora —

Westchnienie. Ciężkie i nagle usiąście na stoł-
ku. I znów westchnienie.

W seperatce wszyscy słuchają.

Szeptem:

— to on nic nie wie —

— tragizm to wszystko — panie! — zdecydo-

wać się, zdecydować wspólnie — a potem jedno...
— przekleństwo —
— wie pan — to że jedno! — i ten co zostaje...

Znów nadśluchują; i znów on:

— ech, żeby już tylko pozdrowieć i wyjść stąd —
— wyjdziemy se razem — ona słabiotka bardzo, pewnie bardzo będzie, blada też — to ją podepre —
zawszem silniejszy, chłop, nie? — pójdziemy i znów żyć, żyć, żyć —

— a przedtem to pan z tego życia uciekał —
— głupi byłem, dureń! — teraz dopiero wiem co to życie —

Szepty w seperatce:

— wiedza zawsze przychodzi za późno —
— i doświadczenie na nic, do pewnego wypadku się stosuje a do drugiego już na nic —

Potem wszystko ucichło. Tu i tam za drzwiami; głucho było; unikano spojrzeń.

Panna Zosia, pielęgniarka, przyniosła śniadanie.

— słyszeli panowie — ? —

— pewnie — głuchyby nie słyszał —

— a ona, niebożątka, już w kostnicy —

— a jakiż on jest — ? —

— cóż tam; taki; nigdybym się dla niego nie truła — ; — co tam z resztą o tym gadać; — na nic to —

stała już w drzwiach, przypomniała Cyprjanowi:

— dziś się ubrać i spacerować; wstawać, wstawać —

Tak też nadeszła ta ważna chwila.

Cyprjan już oczywiście od paru tygodni wylazł z łóżka — po seperatce tam i z powrotem — na stolku siąść — uczyć się siadać — nawet i do kuchni i na kurytarz: wyprawy; — ale dziś to tak jak generalna próba w kostiumach — ucharakteryzowany kompletnie na zdrowego, serio — i po całym kurytarzu jak n. p. lekarze, albo ci co z miasta w odwiedziny do chorych; zwyczajnie.

Szło to nieco opornie; ale szło. Schyłanie — a trzeba samemu spodnie i trzewiki — dokuczało nieco; było nawet trudne; — zdumiewająca ilość guzików przy męskich ubraniach — dwadzieścia albo i więcej — cóż za mitręga! — A osłabienie wciąż jeszcze — zwłaszcza w pierwszych chwilach — w nogach.

No, już odziany jak się patrzy, krawatka, wszystko: na występ.

Wyszedł — żegnany podniesieniem rąk towarzyszy — na kuraż!

Zaraz też — wpadł w wir — jakby to rzecz? — no w wir — zobaczymy jaki; w przygodę; przygody czyhają na nas wszędzie i zawsze — trzeba tylko mieć podatność na nie: specjalną smykałkę; wtedy to już za każdymi drzwiami; tylko, żeby przygoda to nie zaraz katastrofa okrętowa, wybuch wulkanu, tygrys bengalski w dżungli; to nie; są inne —

Chodził właśnie po szerokim kurytarzu pośród olbrzymich palm — po raz iksty przeczytał na blaszkach wyryte nazwisko tego, który te palmy szpitalowi darował — więc, żeby wiadomo, to te mosiężne bilety przypięte do szafli; — z lubością wspierał się

na ulubianej lasce z gałką kościaną — — przed chwilą rozmawiał z grupką ortodoksyjnych Żydów, którzy przyszedli odwiedzić rabina leżącego od wczoraj w szpitalu — kamień w nerce, bóle okrutne, sinieje gdy nań nachodzą, krwawienia — — narzekali, że wspólna sala, że mędrzec, rabi, i że to tak niedobrze, że rytualnie to i owo nieznośne —

— będzie wnet miejsce w separacie —

— kiedy — ? —

— ja wychodzę za kilka dni, ten drugi też, pierwszej jeszcze —

— a od kogo to zależy — ? —

— jakto, tylko od profesora —

— czy to przystępny człowiek — ? —

— czy to dużo kosztuje — ? —

— taki mądry rabin! — muszą się znaleźć pieniądze — jeszcze by też —

— a w poniedziałek by już można — ? —

— pewnie we wtorek lub we środę —

— trzeba mu to zaraz powiedzieć — zaraz mu to idziemy powiedzieć — to taki delikatny człowiek, żeby go pan znał, mądrość sama, zaraz mu to powiemy —

Z końca kurytarza usłyszał: psssst —

To doktor Oborski psykał i dawał ręką znaki, żeby przyszedł, wskazywał, żeby do laboratorium.

— dzień dobry doktorowi — a co — ? —

— chodź pan, mam świeżą spermę pod mikroskopem —

— skąd — ? —

— a pacjenci — ? —

— no tak, ale —

— była, widzi pan, para małżeńska tu, trzy lata po ślubie, dzieci nie mają, chcieliby mieć; badamy ją — wszystko w porządeczku, więc co u bogaojca chyba on; — trypra pan nie miał? — nie; — dawać no tu! — a oni: jak? jakże? — przyjechali dziś z Dębicy, skądże tak? — pewnie, że nie z rękawa, mówię, młodzi jesteście, idźcież państwo do hotelu, weź pan sobie dobrą przerwatwę, rozumi pan? i już — no? — mówią: dobrze.

Przechodzili obok ławki ustawionej tu dla przychodnich — siedzą ci delikwenci, zapoceni, wiadać, nieco, „zeszofrowani“, — ona w rumieńcach i z nieposłusznymi kosmykami na czole — coko chwila je pod kapelusz palcem zatyka, on chusteczką twarz obciera; zmachani; — czemu? pyta Oborski i zaraz sobie odpowiada, że niby tak po podróży, wcześniej wstali, wieczorem może sobie tego, teraz dziesiąta godzina, przedpołudnie, niezwyczajni i nikt nie zwyczajny, któżby? — wszystko ma swoją porę.

Zaszli do laboratorium.

— spójrz pan —

Najpierw się oko musi przyzwyczaić i zaakomodować.

Tak, zaraz, tu jeszcze — Oborski wyjaśnia — no? — a teraz? — doskonale, teraz już widać, o —

Krągły wszechświat — cały i pełny — nic poza nim — tylko to, bystrej uwadze podane, życie na krągłej przestrzeni; istotnie: wszechświat; wycinek ruchliwego krążenia firmamentu; — czas? — to nie waży wcale; to jest nic — to nasza mizerna skala życia; liczymy: my, przed nami za nami, zupełnie nieważne.

W nieco opalizującej cieczy, która pomiędzy dwoma szkiełkami ściśniona, ma swoje niesamowite głębie i otchłanie — posuwają się świdrującym ruchem ogonka plemniki; przypominają się różki kijanek; przezroczyste kijanki; — półgłozystencje gnane żądzą zespolenia; niepohamowany wyścig milionów jestestw, czy istot (— jak to nazwać? —) zmateralizowany instynkt; — byle dotrzeć, byle przędzej! byle być, byle zostać — niesie się przecież w sobie cały zasób cech bliskich, ojcowskich, rodzinnych, gromadzkich, gatunkowych i dalekich aż po ten najdalszy kres: praarchaizm powstania, kołyszącego ciepłem fal morskich w słonecznej mulsnej zatoce plazmę, galaretowate embrio czegoś czym ziemia miała myśleć i świadomość swoją dźwigać tragiczną: — jakąż złudą jest milimetryczna małość czy wielkość lat świetlnych — ? — tu w mikrowymiarze bezmiar wielkości — tam w pozagalaktycznych mgławicach tensam bezmiar! — chyba to, że nie waży tu nic wiedza, waży tylko energia! — — Nurkują, płyną, znikają, jawią się — jedne żywe i uparte, groźne niemal w swej żywiołowości, inne leniwe, niezdecydowane, gnuśne, zdegustowane —

— wrażliwe na kształt — mówi doktor Oborski — jeśli rozsiejemy po tej przestrzeni krągłe punkciki i inne wieloboczne, nieregularne — plemniki będą omijać wszystkie i dążyć tylko ku tym krągłym, przypominającym jajko —

Niesłychane!

Półgłozystencje bilionami bilionów — jakich tu cyfr użyć, jakich?, gdy przecież w jednym cen-

tymczasem sześciennym jest ich sześćdziesiąt milionów? — skazane na zagładę — — czy słowo „śmierć“ ma tu jakieś znaczenie? — istniejące jedną połową możliwości rozwojowych — w tej jednoznaczności płciowej aż złowrogie — — dno tajemnicy! — emanacja pożądania, żądza sama, — poza organizmem, który je wydał, walka o jedyny byt, o jedyny sens bytu: istnienie, życie, świadomość! — poza organizmem, który jest tu jakąś mizerną, niesamowolną katapultą, własna żądza, własny pociąg, erotyzm własny; — tu, tu dopiero rozgrywa się obłądny, szalony dramat seksualizmu — trzon jego potęgi; — prawa tu jedne dla konstelacji drogi mlecznej, która na tej krągłej przestrzeni powtarza wszechświat w nieskończoność złowrogą, dziejącą się w nas i poza nami, samowolną, konieczną —

Zazębiają się o ten mechanizm myśli, słowo z zewnątrz rzucane jak paliwo w pryskające ognisko, do białości rozżarzone:

— a z tymi nowymi poglądami na ewolucję, coś my to o tym niedawno mówili (— Oborski stoi na krańcach widnokągu, jest właściwie cieniem, samym cieniem, głos jego jest szmerem przesypującego się piasku —) to jest w krótkości następująco: po Darwinie był de Vries, który znalazł powstawanie nowych odmian u roślin jak gdyby nagle, skokowe —

Dogasa myśl Cyprjana:

— która na tej krągłej przestrzeni powtarza wszechświat w nieskończoność złowrogą, dziejącą się w nas i poza nami, samowolną, konieczną — —

Przerażające!

— teraz panuje Morgan i jego nauka o genetyce; — różne mikrometody, sięgające do jednostek nieskończenie małych, wykazały, że jednostki cech dziedzicznych tak zwane geny, znajdują się w chromozomach jądra komórki płciowej, a nawet, że leżą w takim chromozomie linjowo —

Jakież zawstydzającym bezproblemem jest bzdura wolnej woli. I jakimże nonsensem przyrodniczym jest jednopochwowy system: permanentny smętarz!

— jeden gen może zawierać kilka cech dziedzicznych, pozatym geny, ich położenie wzajemne, oddziałują na siebie, a na nie jeszcze oddziałuje stan plazmy komórki — niech na przykład jeden z genów ulegnie przemieszaniu, niech się przełamie lub przekręci, a następuje zaburzenie równowagi i wyskoczy z tego nowa mutacja osobnika — —

Cyprjan Fałn pochylony nad mikroskopem.

Z poza widnokregu dosypuje się piaszczysty dźwięk:

— mutacje można wywołać naprzykład promieniami radioaktywnymi. Jest ich ogromna ilość w naturze. Cechy dziedziczne zawarte w genach wzajemnie się sycą lub zwalczają. Cecha zanikająca, recesywna może się zmienić w progresywną — — geny już możemy widzieć u niektórych organizmów. — — Do najliczniej mutujących roślin należy petunia. — Szereg mutantów ginie, niby chore dzieci, ale część zostaje i komplikuje zjawiska życia. Darwinowska „zmiennosc” nabiera treści. Genetyka jest koronkową nauką, z matematyczną podstawą —

Cyprjan Fałn pochylony nad mikroskopem? —





nie, przenigdy! — oto człowiek przechylony nad przepaścią bytu, bezdenną przepaścią, na której wysajający widok zatracą się świadomość, ta powierzchnia rzeszą pokrytych wód, naskórek, pod którym prężą się mięśnie i kanałami żył z szumem przelewa się krew — — zawrót! — zawrót! — ten od początku trwający i znów wzmagający się szum. — Moment, chwila, okamgnienie a runie człowiek w bezdeń oparrem głębinowych ogni zamgloną, ciemno-purpurową, coraz czarniejszą — otchłań — ! — lej zagłady!! — —

— co panu jest? — usłyszał z drugiego, dalekiego brzegu, z poza oparów; — jakiego brzegu? — jakiego? — wszystko jest niewiadome; pamięć grzęźnie i zapada się; wszystko jest złudzeniem. Prawdą jest tylko bolesne wykluwanie się prawdy; prawda jest to otchłań! — —

— co panu jest, panie Cyprjanie — ! —

Znagła wyświetlony elektron odrywa się od dna — od głębi — mknie zawrotnym pędem — rośnie — potężnieje — olbrzymieje w gwiazdę — w glob — w słońce — w słońce, które ogarnia cały firmament — olbrzymia płonąca kula — — coraz bliżej — napiera — dotyka cyprjanowej głowy — rozpęka się w snop iskier, w wychlusty ognistych mioteł, w opad syczących komet —

Słyszy jakiś krzyk! — nie wie, że to jego trwoga przebiła gardło i wyzwoliła się wydłużonym jękiem —

— panie Cyprjanie! — panie Cyprjanie! — Pojął wreszcie; otrząsnął się z maligny; — zbudził ze snu? — z jakiego snu? — — Powrócił z poza kręgu tej migotliwej mizerii, którą zwiemy życiem indywi-

dualnym. Powrócił zubożony o całą misternie tkaną sieć pajęczą wiary w osobowość; bogatszy o cały przepych jednej we wszystkim żądy; — myśl zanotowała szybko: tu sens i treść walki o zbiorowość! o rytm zbiorowej pracy; o jej zwycięstwo; — a jednostka? — nie mówmy teraz o tym; jeszcze to za świeże, za bolesne.

Cyprjan siedzi na ceratowej kanapie — obok stoi doktor Oborski — trzyma go za ręce; za obie; mocno.

— przytrzymuje mnie pan? — dziękuję, byłbym spadł —

— ech poeto, poeto —

— słusznie, słusznie — lecz...

— teraz pan wie co to za sens ta...

(jaka ożywcza brutalność! — psycholog! — psychiatra! —)

— to też słusznie —

Oszołomiona myśl chce się zratować przed ponownym upadkiem; jaskrawe słowo doktora jest jak pas ratunkowy — nagle, ozdrowieńcza żądza nasuwa wyobrażenie niewieścich pośladków, tych wspaniałych półkolistych figur geometrycznych, przedzielonych mądrze i nieomylnie odurzająco sprawną linią. Nieomal czuje na twarzy ich miękkość i gładkość niezrównaną; — rozumie, raz pierwszy rozumie i wie czym to jest; — nie pięknem! więcej! — Kallipigos — zapewne; — lecz nazwać to „więcej“ nie pozwala bezradność i bezwład mowy; ta sprawa rozgrywa się w wymiarze przedślowym, w bełkocie i geście, w tańcu; — — rzekł:

— theatrum orbis terrarum —

Rozśmiali się — niewiadomo zresztą czy zrozumieli — ; — liczyć na porozumienie — to także jedna ze złud.

—

Po południu spacerował z Wisią po kurytarzu, gdy byli za „palmiarnią“ — takie odosobnione miejsce za grupą wielkich palm, wiemy już, dar czyjś tam — chwycił ją nagle i bezceremonialnie za piersi — — jakże uradowały się wnętrza dłoni pełne tego znanego a zawsze odkrywanego kształtu — daleko od siebie odstawione — lewa mniejsza — i te wystające sutki, które zwały się w ich gwarze miłosnej „dwoje neczkami“ — przyciskało się je jak tastry dzwonek elektrycznych —: „trrrr, trrrr“ — „kto tam?“ — „a któżby, Cyprjan —“ „ale? proszę, proszę wejść“ — dziwiła się stale, trzeba się było dziwić, koniecznie; to należało do rytuału.

— jutro pójdziemy do hotelu, pokochamy się — dobrze? dasz całować — ? —

— tak, dobrze —

Uradowała go jej chętność;... czy to jednak?... no mniejsza z tym... deinde filosofare... stała się po prostu w tym momencie centrum pożądlivości; tą, proszę, przestrzenią pod mikroskopem.

— bardzo cię, Wisiu, Kocham —

Uśmiechnęła się grzecznie — o to właśnie! grzecznie! Nie powiedziała nic, ani tak, ani nie; — ciągle w tym zadreptanym kręgu myśli swych, zawsze tylko z tymi przeżutymi myślami; ćwiczyła życiowe zjawiska; walczyła ten bezproblemowy problem: zmienność, zdrada, ambicja. Zawsze, i teraz też.

Mówił „kocham“, wierzył, że kochał, kochał istotnie.

Dla niej to było całkiem inaczej — i tak, że porozumienie wszelkie było niemożliwe.

I w tym niezręcznym i nic nie mówiącym „na zawsze“ był też prawdziwy; był pełnią swoją w tym aktualnie żywym etapie. — A jeśli te etapy były jedyną, dającą się stwierdzić, palingenezą, czy metamorfozą w jednym żywocie — inne nie wchodziły w rachubę — to do końca etapu było prawdą istotną i to „kocham“ i to „bardzo“ i to „na zawsze“; zmieniał się, upadał, wznosił; był zmiennością, bowiem był życiem; jednością była kobieta; kobiecość; to nie treść lecz tylko kształt ulegał zmianie: nieistotnej zresztą; wystarczającej natomiast do zhormonizowania aparatu mózgowego; do użyczenia go pod nową bujność, nowy plan. — Na język obyczajowości przeniesione — w pewnym położeniu geograficznym oczywiście — znaczy to (ktoś z was za pytał się o to w tej chwili): dobre małżeństwo, więc suma pociągu seksualnego, plus dogodności psychiczne, plus narastający latami splot interesów wspólnych, plus zamknięcie elipsoidalne (—dwa ogniska—) współistnieniem dzieci — jest nierozzerwalne! — jest też minimalnie narażone na chwilowe odstępstwa; z równym tu prawem dla obojga. — Myśli Cyprjan: — dobre małżeństwo! — tu jest cała rzecz tych podszewka! — o ile nota bene zasób energii hormonalnej jednostki płciowej nie jest ograniczony, nie jest ilością stałą, wyczerpującą się jak akumulator.

Były też dnia tego o podwieczornej porze długie rozmowy z lekarzami — znów: o straszliwych

warunkach szpitalnictwa w Polsce i o wzmagającej się nędzy lekarzy.

— proszę pana, pięć lub sześć lat studiów, iks lat praktyki klinicznej — jeśli się wogóle coś chce wiedzieć a nie chce się być prowincjonalnym omnibusem do wszystkiego — i cóż? — ktoś tam sprytniejszy załapie kasę chorych za marny piniądz — wstyd dla prawdziwego lekarza, pan wie: te tylko a te lekarstwa, innych nie wolno, a ja wiem, że tylko tamten preparat, drogi bo drogi, ale skuteczny — nie! nie można, powiadają, nie wolno, chyba z własnej kieszeni, a kogóżbo stać na to —

— weźmy naprzykład nasz Ester, jada to co tu na trzeciej klasie gotują, nawet na pranie nie zarobi, pan widział jego kołnierzyki? — no właśnie; — a przecież to magik, spec! — na zjazdy zagraniczne go zapraszają, referaty, dyskusje; jeździ, jeśli kolej za darmo, inaczej i to nie; a tych języków obcych zna do jasnej cholery — i skrzypek jaki! —

Z Eilperem zaszli do sypialni pielęgniarek; — obraz nędzy i rozpacz, miał rację Nering! — co tu gadać, poco szukać określeń! — nędza istotna i rozpacz w odczuciu; — trzynaście dziewczyn w małej klitce, podłoga ceglana miejscami wykruszona tak, że wądoły się poczyniły, niebezpieczne dla nóg; kasłuże w nich nie do usunięcia, gnilne bajorka; myje się podłogę chlusem wody; a z tych załomów rudych kto to i wyczerpie; i czasu niema; — bo to tu nie żaden ośmiogodzinny dzień pracy — ech! śmiech do gęby! — dwudziestoczwierogodzinny możnaby rzec, gdyby nie przyrodnicza, nieporęczna konieczność snu; załapać go trzeba choćby ze sześć godzin; gdy

się tak po tych salach udręczy i uczłapie dziewczynisko blade z podkrążonymi ślepiami, udrepcze do opuchnięcia nóg, ciężą też te konwie od kolan po stopy; — no i te zajęcia w zaduchu, w wyziewach, w zabakteryjnym powietrzu — baseny, lewa tywy — nibyto jak każda inna robota — a jednak! — I ciągle krzyki, zagonienia, wrzask — chorzy zdenerwowani, lekarze zdenerwowani — tu — tam — halo — prędzej — sto diabłów — gdzież tam tkwisz — do cholery — — roztroić by się trzeba i takby nie starczyło; — stąd też ciągle niezadowolenie przełożonych — każdy tu jest przełożonym; stąd i dysgust zupełny, bezzadorna apatia, odrętwienie i żalność. Wynagrodzenie? — ano tej samej maści, do koloru wszystko.

— zgadza się, panie Tadeuszu, zdawało mi się, że pan, swoim systemem, nazbyt agitacyjnym to traktuje, ale nie, wszystko prawda — nędza i niesprawiedliwość i wycisk zwyczajny — jest tak jak pan mówił, jak pan to tak na blade mówił, z tym swoim uśmiechem, tak niezdecydowanie stojąc na, skośnie do siebie palcami ustawionych, stopach — —

— pan jest fotograf, pan ma lejkę w oczach; a co do tego: zwołać miting! tylko! — gdyby pan przemówił — tłumy przyjdą — i przeprowadzi się rezolucje we wszystkich miastach — to jedyna taktyka! — Wyślinił te słowa; wargi wilgotne, w kąciakach nieco piany; i ten wieczny, przyrodzony uśmiech.

Włodek już chrapał; ciągle jeszcze tak choro — to niedogojone miejsce po sondzie. Więc cicho — cccyt —

Naszepitali jeszcze sporo obelżywych słów o

konfiskatach i cenzurze ostrej, nienasyconej, nonsensownej, w tym nonsense złowrogiej i groteskowej zarazem. — Niedawno przecież — pół roku niespełna temu skonfiskowano książkę Cyprjana Fałna; stąd aktualność; aktualność rozmowy; no i wogóle co krok cenzura i konfiskaty wszelkiej śmielszej myśli — wzdłuż i wszerz; a na aktualność wyłącznie nastawiony był umysł Neringa; po prawdzie mówiąc aktualność ta była właśnie jego klęską; to tak jak ciągnęła niewola pod dyktaturą przedmiotów.

— już dawno, panie Cyprjanie, nie było tyle hec co z tą pańską książką — nieprawdopodobne wyczyny! — myślę, wie pan, o tej kołtunerii prowincjonalnej, o tym paleniu książek i sprzedawaniu ich na makulaturę — heca! —

— cóż się pan dziwi — pewną częścią społeczeństwa, tą analfabetyczną i zacofaną rządzi jeszcze wciąż ksiądz Pylek, szczerzyna marna ale zawsze gryzoń — rządzi fałszem i strachem — takie te jego rządzy — szkoda wogóle mówić —

— miting! — wykaszłał z pod kołdry Tadeusz — w tej chwili ją odrzucił i odsłonił chude, zapadłe piersi strójkącone w odchylonej koszuli; brudnej koszuli; — wyciągnął białą, cieką rękę i powtórzył: — miting!! mówię panu —

(— też ma tę koszulę, higiena szpitalna — psia krew! —)

— miting! —

(— Wisia kupiła mi wspaniałą nocną koszulę, po kostki, obręby na niej niebieskie, wie: lubię ten kolor —).

— dajże już pan spokój z tymi swoimi mityn-

gami; północ, a on nic tylko mitingi! — Zmęczony jestem, prawie cały dzień laziłem — pierwszy raz tak długo —

— pan niema drygu społecznego —

— emhy smykałki do tego niemam, ot co; — a teraz spać; pan z mitingem; gratuluję; a niech panu cicho klaszczą, bo mnie jeszcze pański sen wystraszy —

Wyciszył się społecznik; Włodek Kusz natomiast nie; za dużo widać zjadł tej awanturki i popuszczał tyralierką na wrogie pozycje półmroku; zdrowo popuszczał; będzie też tu powietrze rano; serwus; jak na uczniowskich stancjach. — — —

Ta książka! — o czym przed chwilą z Neriną; no pewnie; gwałtowna, ostra, „szargająca świętości narodowe“ — każda dobra książka to robi — ta „świętość“ bowiem to zawsze marazm, skostnienie, truchło tradycji; wiadomo; elementem dobrej książki, jednym z elementów jest wysmaganie przeszłości, dezawuacja zakłamań — —

Ale mnie tu co innego — uświadamia sobie Cyprjan — oto tu znów — i zawsze znajdę się na tym miejscu! — czemuż myśli boją się pomyśleć? — do jasnej cholery! czemuż się boją?! — trzeba, trzeba to powiedzieć, odrazu powiedzieć: Miła! — ona niby sama nic; ale jej obecność jest we wszystkim co się wtedy pisało, w okresie tej książki diabelskiej, w okrążeniu jej ze wszystkich stron, w eksplozji dialogów, w fermentacji nieustannej — to wszystko: rezultat elementu hormonizacyjnego Mili; niezawodnie; to nieustanne jej...

Psiakrew! — coś tu jest nie w porządku! — Jakżeż! — wszystko tylko podporządkowane, poddane, spodnóżkowane dla tego pisarskiego zjawiska, i tak przez całe życie! — ani chwili wytchnienia; absolutna zatrała bezpośredniości; wszystko: zdarzenia, miłość, radość, cierpienie; czortwie co to jest! — wszystko tylko dla „twórczości“ i „co mi tam wszystko inne“, i „to jest najważniejsze“ — i wiem, i wierzę, że to jest dla mnie najważniejsze; no bo jest; naturalnie — nie dla mnie tylko; nie bujać snobizmem i wyłączością! — — może wobec tego: pokora?! — tego by tylko brakowało! — Więc co? więc co jest nie w porządku? — wiem co jest nie w porządku: krzywda ludzka! Cierpienie sprawione; i niema, proszę obywateli, niema niezamierzonego sprawiania bólu; to jest bezwzględny obowiązek: wiedzieć! — Faktem jest, że na cierpieniach wyrosły najlepsze stronice literatury świata; samolecznictwo więc lub przewyciężenie i ekspiacja też; łatwiej pogodzić się z tą wielkością niż z istnieniem złowrogich jej kulis; bo to są złowrogie kulisy! — A na tej platformie to co?, a tu te kobiety, myślicie, nie cierpią? — jak jeszcze! — jest coś owadziego w pisarzu — mimo jego własne, niezaprzeczalne udręki — owadziego i niecnego; — — a w tym to aktualnie naszym, obywatelu Cyprjanie, towarzyszu Fałnie, przypadku? — więc: Balbina? — nie; privatim i lunaticum, no dobrze; a Marysia? — niby że to nie, a jednak; — i tu i tam asumpt pisarski! — niechże będzie; — a teraz: pani Kle? —

No i zauważyć trzeba na dobitkę, że te cierpienia nie tyle, tak samobiczuje się medytacyjnie, są

spowodu niego „jako takiego“, co spowodu jego łgarstw, i to wydaje się być ponad normę ohydne; tych raczej późniejszych łgarstw (choć...); bo z początku wszystko, wszystko dla tej jednej, jedynej — dla niej myśli, uczucia, twórczość, sława! — Nawet się, aż wstyd przyznać przed samym sobą, wmawia w nie (i w siebie), że ona przecież jest treścią poematów, dramatów, książek — treścią, rozumiecie! samą — że treścią!! — czegoż można chcieć więcej?! — ano, można: — odrobinę osobistego, niesamolubnego, i ch szczęścia! — no a cóż to? nie było to tej odrobiny, może nawet więcej jak odrobiny? —

— ale jak okupione — ! — odpowiadają chórem —

— jesteście upiorami —

Zmaga się i walczy tym pomstowaniem:

— ofiarami jesteście! — żywe w moich ramionach i pieśniach — nie żyjecie poza nimi! — a straszycie wciąż; upiory więc; strzygi! —

Nacierają furiacką gromadą na zasieki myśli — blade, rozwiane, złe, naprawdę złe; włosy ich ozywają żmijowym syczeniem — meduzy — meduzy — przerażające meduzy —

— ty myślisz, żeś nas zbałamucił — ? —

— nie, nie myślę tak —

— tyś nas wszystkiego pozbawił; wydarłeś nam życie, krew wyssałeś, rozkosz ukradłeś, radość zabiłeś — —

Szeleszczą teraz wszystkie jak stonogi na pergaminie:

— jesteśmy jak zasuszone w pamiętniku kwiaty:

cienkie, kruszące się, przeźrocyste, woniejące wspomnieniami jak paczulą, jak próchno —

— fosforyzujecie —

— nie chcemy być zasuszonymi kwiatami w pamiętniku, i szpargałami w szufladach, pamiątkami w komodach! Nie chcemy! — Chcemy być żywe, krwiste, jurne —

— nigdy nie byliście tak żywe jak we wspomnieniu i na kartach książek —

— zielników! —

— to nawet, wybaczenie, jest życie wyższe —

— Cyprjanie Fałnie —

— Perseuszu bez jaj —

— Orestesie — Orestesie — Orestesie —

— czego chcecie!!! (— krzyk —)

— chcemy szczać i srać i rzygać z nadmiaru tłustego jądła i z nadmiaru czerwonego wina —

— Orfeuszu —

— chcemy się obłapiać nago, w słońcu jak kozy, klacze i lwice —

— Menady!! —

— i chcemy bździć na twój kaganek celebralnie niesiony przez ciebie, kapłanie Apollina, w mroku i nocy — bździnami zgasimy twe światło, niech za drzy, niech się zachyboce — niech zgaśnie —

— Syreny!! —

— i będziemy knot wtlaczać w oliwę — niech będzie swąd i smród, niech kopci! — ten twój „kaganek“ — może jeszcze (— rechocą —) „kaganek oświaty“? — rzucimy nim o ścianę portowego burdelu, niech się roztrzaska! — niech po nim zostanie

plama obskurniejsza niż zacieki psychosikowin, niż owa atramentowa w diabła rzucona —

— pani Kle — ratuj! — pani Kle ratuj! —

Rozprysły się strzygi — została ta wołana dusząca z mora: mówi:

— i ja cię nie będę ratować — choć byłeś dla mnie wszystkim — jak zapewne i dla nich — dla tych sojuszniczek moich — — i ja jestem zasuszo-
nym kwiatem; przeźroczystym już i nie anemicznym
nawet; jestem już tylko martwą blaszką listka wśród
suchych, kruchych żyłek; szkielet zieleni! wspo-
mnienie! — A przecież przyszłam w porę, gdy na
wilgotnych splechciach podleśnych kwitły soczyste,
tłuste kaczeńce — — masło z nich jest żółte, pachnie
wiosną — —

— tak; to było w roku lękałam się dat jak
kochanki: metryk ... no więc dwadzieścia i pięć lat
temu... za miesiąc czy półtora pełnych dwadzieścia
pięć lat — — — — —

Bieda gniotła wtedy znaczna; trzeba było wy-
nająć letnikom dwa pokoje w tym rozsiadłym, dREW-
nianym domu — dwa pokoje jako tako wyrepecone:
żeby coś tego grosza. W kwietniowy dzień — akurat
w kwietniu — pod sam koniec kwietnia... Zgłasza
się taka jedna dama w kapeluszu szerokokorondowym,
owocześnie modnym, podwiązanym szerokim szalem:
olbrzymi motyl z tego tjulu czy jakiegoś-czegoś pod
brodą; — to się pierwsze rzuciło w pamięć, na kli-
szą pamiętliwą; — a potem zaraz: oczy; ładne, inte-
ligentne, lecz wylęknione i jakby wiecznie zdziwione;
nos doniczego; wcale nie nos; coś takiego małego,

perkatego i zakląsniętego równocześnie; usta cienkie i szerokie; na górnej wardze szkic wąsa; szkic wąs glem, zdmuchnięty. Zgrabna; kuperek nieco za nisko. Graseruje; wogóle śmieszne „r“, srocze: „i“ wymawia stanowczo, niema wątpliwości, jak „ji“; zamiast „ą“ woli „e“ — a gdy w zakończeniu słowa wypadnie „ie“, to ona oczywiście „jje“ — to wszystko jasne jak na dłoni, wyraźne już w pierwszym kwadransie rozmowy; i: płaszcz na niej szary, luźny — taki prochownik płócienny —

No i tak ta pani Kle stoi w pośrodku pokoju, pod drewnianym pułapem i...

...nie wtrącej się teraz Mauro ze swoim rozwarstym ohotnie uśmiechem, bardzo cię proszę, nie wtrącaj się; — pocóż się akurat ta fotografia wysunęła z szuflady! — Andaluzyjko — tancerko egipska — — cóż za wargi otaczające ssąco i żarłocznie ziarna zębów, rozpękle jabłko granatu — wspaniale — dzieki — hawajskie czy jakieś; pierwotne! — Chciało się tylko nowe pudełko z papierosami wyjąć z głębi szuflady — — a ty się zaraz pod rękę pchasz, pascoczysz się z tym uśmiechem pełnym wschodu, pełnym świeżości budzącej się ziemi; — — uśmiechasz się jak, jak, psiakrew, no jak — ? — niewiem jak — — I znów to niepokojące i denerwujące — — wszystko można oddać za ten niepokój, za ten przedsmak „natchnienia“! — przeczuwanych, niezrodzonych, nie poczętych nawet, lecz już w plemnikach i jajnikach istniejących zdarzeń, podróży, przygód; najpiękniejsze momenty życia; — potem się rychło wszystko psuje; okrutnie psuje; — i to znów jest najgorsze w życiu...

Mówi:

....nazywa się, mówi Klementyna na imię i że mąż na Węgrzech, a ona z dwoma córkami w Krakowie, ale radaby te okolice naddniestrzańskie poznać; tyle mówiono, że ładnie; córki? — jedna ma lat ośmnaście, Genia, druga trzynaście, Krysia,— i czy tu niema zbytku wilgoci, bo dokoła takie wody stoją, ona potrzebuje suchego letniska, bo to starsza Genia właśnie ma te, wie pan, gruczoły, pa anginji —

Niepokojące jest w tym wszystkim to, że bardzo mianowicie ruchliwa pani — czy może nie ruchliwa lecz zmienna — wydała się, gdy weszła słusznego wzrostu, wysoka — a tu, co prawda w tejże chwili mała, niska i — ale to okamgnienie trwało — wcale nie kobieta: indyczka — popielata, z długą szyją, i te oczy krągłe migotliwie błonką zasnutę; lecz pierwsze wrażenie jest najwłaściwsze, w każdym razie średniego wzrostu; bardzo ponętna — i jakby zdziwiona, zaskoczona swą kobiecością: — skąd mi się to wzięło? — mam to i to i tamto — nagle załewa się rumieńcem, takie wszystko jawne i nieprzyzwoite —

Ale interesa.

Załatwia te sprawy Cyprjan; bo któżby? — nie lubi tego bardzo, doszczętnie go to mierzi; takie rzyganie na pusty żołądek, te interesa; a musi. Mówi:

— jak są deszcze to, mówi, mokro owszem; a to że wody stoją? — to po roztopach wiosennych jeszcze, takie śniegi były zwaliste, z gór to po prostu ścieka, ale jak suche lato, mówi, to sucho —

Bez sensu!

A w głębinie gęstej myśli wciąż huczy, żeby się tu co nie przemieniło, co byłoby nierozumne i jeszcze bardziej bez sensu; głupstwo po prostu.

Nato ona, że ona się namyśli — ji, ji — odpowie wnet postkartą —

— a płroszę pana nabiał ji jarzyny — ? —

— owszem na miejscu, we wsi, albo — —

— ile więc łrubli to jest kołrron za sezon —?—

To już najgłupsze z wszystkiego —

Ustalili. Wreszcie.

Spisali kilka słów tej umowy, przy biurku.

— jaki śliczny ekłrrituałrr — zauważyła uprzejęmie; — to był kałamarz z orłem napoleńskim na pokrywie — rezerwoar w formie zdobionej kuli podtrzymywały trzy amorki, z których każdy miał jedną lwią łapę; barok niby — taki zapóźniony, porokokowy, proszę, barok; możecie sobie wyobrazić.

Na odchodne powiedziała:

— bałrrdzo się bałam tej eskapady, a to spotkanie taki miły ewenement — adje, adje —

Oczy zapłoszyły się jej do reszty. Wyfrunęła na rozwianym płaszczu.

No a potem w odpowiedniej porze sprowadziła się wraz z tymi zapowiedzianymi córkami Krysią i Genią; obie brzydkie; niezgrabne i niezręczne.

A tu zaraz trzeba powiedzieć, odrazu, — ta pani Kle: fanatyczka poezji; ach! jaka fanatyczka! — miała, oto w czym rzecz, siostrę, pani Kle, która komponowała wiersze, drukowała je nawet, a tak, drukowała w „Różach“ drukowała; było to takie pismo; dawno, dawno temu; siostra ta umarła młodo — lecz podziw dla niej pozostał i ustalił się w kul-

cie do rymowanej mowy w całej rodzinie, rozsianej licznie po trzech zaborach, taki kult, że proszę siadać! — Taki kult wyrabia węż, gończy węż. Nic się też nie ukryło — trzy książki Fałna leżały na składzie księgarskim; nikt ich nie kupował; z tym był spokój; ale istniały; istniały też petitowe wzmianeczki tu i tam pod „Życie art. kult.“ — no a to grunt; to jest kontrasygnata uzdolnień powszechnie zwanych talentem. — Więc tylko jeszcze szło o upewnienie czy ten sam, czy Fałn? — no tak! przecież Cyprjan! — właśnie, właśnie! — no! — to już ji zachwyty ji łrozpływania się — salem alejkum —

A jeszcze i coś więcej; takie sprawy zwykły iść parami.

Tak się wydarzyło, że ten rok, „ów rok“ — lato tego roku było osobliwie urodne i dorodne; gorzące, pogodne, kąpielne od świtu do świtu. Zdrowie ogarniało organizm w pełni; leczyło; naświetlało; stwarzało samopoczucie gorliwej sprawności całego aparatu cielesnego. — Wszystko razem plus dwadzieścia parę lat — radość istnienia! Młoda, zwierzęca, niewybredna, głośna radość.

Na takim to właśnie tle: rozmowy, słońce, kąpiele, pogoda. Mało?

I już. W drugim miesiącu.

Pod rozłożystym kasztanem, przy pełni księżyca, który codopiero zeszedł z poza góry czerstwy i pyzaty — — gdy psy się nie uściły, lecz, owszem ujadły, szczekały i żwakały jak najęte po osiedlach dookoła — — pod rozłożystym tedy kasztanem — mógł to zresztą być jawor, ale nie był, chybaby, tak, honorowo — — ucałował Cyprjan panią Kle na-

miętnie i długo; poczuł na wargach łaskotanie jej wąsików — i zaraz zdał sobie sprawę, że podstępnie o tych wąsach wiedział od początku — całował tym ochotniej, z zastanej ciekawości i podrażnienia zepchniętego z świadomej pozycji.

Starsza była od niego — o... lecz nikt się przecież w jego wieku o to nie pyta prócz zboczeńców, którzy lecą na nieletnie, poniżej dwudziestki, panny; niema powodu pytać; rozumiecie czar tego powieśdzenia? — „niema powodu“!!

Zaraz, natychmiast po tym długim pocałunku — odepchnęła go raptownie i gwałtownie, a nawet — co już jest mało do prawdy podobne, niemniej jest prawdziwe — powiedziała:

— zbeszcześciłeś mnie murzynku —

Mówiła mu, od jakiegoś czasu „murzynku“, że taki tym gorejącym czasem opalony na czarny dąb, że ma długie, czarne włosy, że ślepie też takie czarne i duże, że wogóle, i, że poeta (— ten powód jest mniej zrozumiały —) i, jeszcze, że synek jej wymarzony, bo to tylko córki, a zawsze chciała syneczka, i, że, gdyby go miała toby właśnie takusienki musiał być; maticzka.

— murzyniątko — coby powiedziały moje córki, których jestem matką, gdyby wiedziały —

— nie wiem —

— ja też nie! — potwierdziła z mocą i padła na jego piersi, jak... tylko bez tego „podciętego kwiatu“! bardzo proszę!

W jakimś niedostrzeżonym, zawrotnym momencie zapiszczało coś żałośnie u jego stóp — w wysokiej trawie — trudno w ćmie było rozpoznać — —

zwinnie przesmyknęło się wzdłuż cienia — pazurki ostre zachrobotały na popękanej korze kasztana — — chyba łasica — — Cyprjan był sam.

A gdy po zdziwionej chwili — ale to już na zajutrz — była, zwyczajnie, kobietą, panią Kle — zaczęły się spowiedzi obopólne; to się zawsze robi; ludzie są siebie ciekawi i sposobność podniesienia się we własnych oczach nadzwyczaj podatna; wszyscy w tych okolicznościach lżą, koloryzują i poetyzują na potęgę. — Jego spowiedź była krótka lecz efektowna; dbał o to; ale jej! — Konfesjonałem nie był już, oczywiście, kasztan; pokój był konfesjonałem; — taki bowiem zwyczaj zagnał, że przychodziła wieczorami na kilka godzin do Cyprjana „na poezję“; istotnie na poezję też; to dopingowało; pisał dużo; — bardzo w tym okresie kunsztownie: sonety, triolety, oktawy, sekstyny, seguidillas, ballady pro wensalskie et tutti quanti; taka pora na niego przypadła — a od tej pani Kle to wszystko szło; asunął cały. Ćwiczył się serio i poważnie w wybrednym kunszcie poetyckim; równolegle w zawilszym — kunszcie miłosnym.

Ale jeszcze o tej spowiedzi; więc, że strasznie, okropnie kochała od dziecka poezję, zazdrościła siostrze, a potem, gdy ta umarła, chciała ją zastąpić, krzyżem leżała i boga o talent prosiła; nawet napisała jeden wiersz taki, taki wiersz, ale to nic dobrego nie było; równocześnie marzyła, żeby być matką — a dziewczynką wtedy była ośmiodziewięcioletnią — matką sześciorga córek, tylko wtedy, że córki, jedna o głowę większa od drugiej — taka drabinka, schodki, wiesz, murzyniátko, — ubierała by je jedna!u

sienko w aksamitne sukienki i także toczki, kolnierzyki wykładane, białe — i szłaby z nimi na spacer, wszyscy by się oglądali; — potem było o tym, że zaś kochała się w swoim metrze muzyki, ślicznym mężczyźnie; cera biała, matowa; wąsiki małe, czarne, zgrabne. Zaczął do nich chodzić, bywać w domu; konkurent; — raz gdy mama wyszła, ucałował ją w stołowym pokoju obok kredensu (przygotowywała podwieczorek, właśnie wyjęła filiżanki te „od gości“ z złotym obrąbkiem i różowym obrąbkiem); ucałował ją w usta, mocno i długo; tchu jej zabrakło; myślała, że zemdleje, takie ognie na nią uderzyły; była wprost nieprzytomna. Wieczorem, gdy już miała iść spać, po modlitwie, uprosiła matkę, aby jej pozwoliła przyjść do siebie, do łóżka; — tam to leżąc w olbrzymim, małżeńskim łożu (ojca wtedy nie było w domu) rozpłakała się i wśród spazmatycznych łkań i chęłkań wyznała matce, że będzie miała dziecko; matkę aż poderwało, że zaś kobieta to słabowita była, rychło padła na wznak, założyła ręce na piersi i stało się jakoby umarła; po chwili zaszepiała z daleka:

— Klementyno! Klementyno — jakże to się stało — ? —

— stało się mamó, mamó, nie umieraj bo i ja umrę —

— musisz mi, dziecko, opowiedzieć wszystko —

— tak, mamó, muszę wszystko opowiedzieć — odrzekła Klementynka z wielką powagą, z tym dorosłym przeświadczeniem, że kobieta rozmawia z kobietą o sprawach kobiecych —

— więc, kiedy to się stało — ? —

— to się stało dzisiaj —

— dzisiaj: na miłość boską, gdzie — ? —
— w jadalni przy kredensie, na prawo, blisko
tego samowaru tulskiego —

— w jadalni? przy kredensie? — Coś tu matce
nie klapowało, ani tam szezlonga, ani kanapy —

— tak mamó —

— musisz mi, powtarzam, dziecino, wszystko
dokładnie opowiedzieć, matką przecież twoją jestem,
tu niema żartów —

— muszę, ja wiem —

— więc —

— on.. jak mamuś wyszła (palce w koronki
poszewki jaśka tka i drze je mimowiednie)... chwyci-
ł mnie... chwycił mnie... o, tak,... och mamó —

— mów, mów dalej —

— chwycił mnie tak — przycisnął i pocałował
w usta —

— i co? — a nie ściskaj mnie tak mocno, bo
mnie udusisz —

— i pocałował w usta —

— to już wiem — co dalej, pytam —

Klementynka wtuliła się w poduszkę i nacią-
gnęła na głowę kołdrę i tam w tym nagłym ciepłe
wyszeptła:

— i tak mi się, mamusiu, zrobiło... gorąco...
i tak jeszcze... że napewno z tego będzie dziecko — —

Matka zrozumiała i przeraziła się powtórnie, jak
gdyby naprawdę to się stało; przeraziła się, choć
przecież nie umiała uświadamiać, i nie wypadało;
w owej epoce należało to do męża; mąż jest od tego,
aby młodą żonę w noc poślubną uświadamiał. —
Opanowała się jednak i uspokoila Klementynę — :

— nie, dziecinko, nie, to ci już on wytłumaczy.
gdy się pobierzecie —

Od tego czasu zaczęło się to „zatracać się“ (tak to nazywała), to znaczy, nachodziły ją chwile, w których traciła świadomość, pamięć, wogóle czucie wszelkie; i tylko tak, że mgliste wrażenie zostawało potem, że się jakby przemieniała, przeistaczała, czy co; nawet słowami tego wypowiedzieć się nie da.

— a teraz, dziecinko, idź spać —

Klementyna była zdumiona, bo jeśli nie z tego dziecko będzie miała to z czego? — usłyszała kiedyś przez dziesiąte drzwi o jakiejś wilgoci; no to i właśnie! — — Z tym zdziwieniem wyszła za mąż —

(— może stąd ta nieustająca pomoc zdziwienia w źrenicach; koty miewają takie oczy, czarne zwłaszcza —) —

— wyszła za tego swojego me-
tra; zakochana była strasznie; ale on w obyczajach domowych był taki jakiś dziwny; w obejściu całym nieznośnym. Alkoholikiem był; to stąd; lecz się o tym wtedy nie wiedziało; wiecznie z czegoś niezadowolony, zły, grymaśny, kapryśny, kostyczny.

A co do tego — to on bardzo mało; bardzo; rzadko — dosłownie parę razy na rok; i zaraz z tego dziecko; — i nigdy u niej pełnej rozkoszy; biedna Klementynka? — prawda? — Bo z nią to tak — a dlaczego wołał służącą, co ani nie parlowała po francusku, ani na fortepianie nie grała przecież — ? — Wnet się wykryły te zdrady. — Wszystko to potęgowało zdziwienie — gdyby to miało sukcesywnie wpływać na powiększenie oczu — nicby z twojej

Klementynki nie zostało — przemieniłaby się w duże mrugające źrenice. Zniechęcenie, obmierzłość, brak czegoś ciągły, ciekawość (— przecież inni robią to chyba inaczej —) — wypełniały jej pierwsze lata młodości; no i rodzenie, karmienie, podchowywanie dzieci (o których wciąż nie wiedziała, skąd się na świecie biorą). — A jednak, gdy mąż miał odjeżdżać — zaangażowany do Kerzemet nad bystrym Jonem, dopływem Dunaju, na pograniczu puszt — — to jednak mimo wszystko — przyszpiliła, układając mu w sakwojażu ubranie i bieliznę, do każdej sztuki koszul, kaletonów, rękawików, chusteczek, marynarek, spodni, kamizelek, skarpetek — karteczki z napisami „kochaj mnie“, „nie zdradzaj“, „pamiętaj o swej Klementynie“, „uważaj na siebie“, „tęsknij“, „bacz, że masz żonę“ i tede. Pono się okropnie o to wściekał; koledzy potem mówili. — Oczekiwała go z tęsknotą — mimo tej obmierzłości — listy pisała i czekała; pisała i czekała; czasem sobie marzyła, że tak a tak, rozmaicie. — Gdy po półtora roku wrócił — i już — po podróży męczącej — wcześniej do łóżka się położył — przybiegła raptownie, jakby zgoniona, klęknęła przy łóżku, odsłoniła nagły rurechem koldrę — i poraz pierwszy — matka dwojga żywych i trzech umarłych dzieci — zobaczyła, jęknęła i — ucałowała; zerwała się gwałtownie, łysnęła skoszonym uśmiechem, zasłoniła rękami twarz zaognioną; uciekła; — zamknęła się (na klucz) w szpiżarni i w otoczeniu konfitur, suszonych grzybów i oskubanych zwłok kury wiszącej za nogi — wyparowywała z siebie ten okropny wstyd; tak bowiem tylko umiała nazwać to co się w niej działo: bez-

wstyd i wstyd. — Wieczorem, dzwoniąc zębami i drząc na całym ciele, wślizgnęła się do jego łóżka. Lecz on już zasypiał i mamrotał sennie rozvlólcząc nieporządnie wyrazy — : — do-bra-nooc — nie — nie budź mnie — cichooo — ciiii — fff —

Podczas tej poufnej spowiedzi, pani Kle, wsparta mocno plecami w oparcie kanapy, z nogą założoną za nogę, trzymała Cyprjana za — w ich żargonie miłosnym nazywało się to: „kwiat“, a tamto jej: „muszelka“ (— są takie podobne muszle —). Z urazów małżeńskich, ze złego napoczcęcia i ladajskiego spychania roboty miłosnej, wywodziła się u niej wzrastająca latami, obecnie już ustalona w złóżach świadomości, niechęć do normalnego stosunku; nic nigdy z tego nie miała; nie chciała, nie lubiła; zwyczajnie: wstręt. — Obecnie wyczuwała rozkosz jedynie wtedy, gdy Cyprjan po wycalowaniu jej piersi (były wiotkie „przekarmione“, czy, jak na wsi mówią: „wydojone“) — nazywały się „gołąbki“, a sutki „dzióbki“ — pozwalał jej pieścić się ręką. Patrzała, bardzo, bardzo zdziwiona! — przez cały czas — zakłada nogę na nogę kurczowo — kołysząc się i zaciskając silnie uda wprowadzała się sama w orgazm; — bladła przytym niepokojąco, twarz szaro-biała bez kropli krwi wydłużała się, policzki zapadały, wargi rozchylone i nagle zpiierzchle ssaly z sykiem powietrze; w ostatnim momencie rozluźniała szybko nogi, zsuwała się na kraj kanapy, obnażała uda i brzuch — szeptała: popatrz! popatrz!! — „muszelkę“ miała, wąską i długą; wargi zewnętrzne ruchliwe rozchyłały się i zamykały; umiała tak.

Fału był tym wszystkim z początku zdumiony

i zaskoczony; powoli wciągnął się w ten proceder nużący nieco i zawył.

(Jakże gorąco tęsknił za Marysią!)

Próbując różnych sposobów odmiennego zaspo-kojenia pani Kle (no i siebie) — stanął dnia któregoś za nią; siedziała na niskim taburecie przy pianinie; miała suknię na plecach w półkole wyciętą, luźną, biały wąski obręb kołnierzyka, reszta lila; i począł ją upieszczać w kark (z pocałunków wiedział o jej tu wrażliwości) w to miejsce, gdzie kończy się fryzura krótkimi włosami; — do różnych już przez nią zwyczajony ekstrawagancji, dokończył w tym po prawdzie nieprzychylnym i nieporęcznym miejscu sprawę; gorący strumień pociekił wzdłuż stosu pacierzowego ku pośladkom — — pani Kle stężała! — chwila, a zdawało się, że skona, serce przestało bić, dech zastygł — — nagle krzyknęła chrapliwie, dziko, przejmująco — — osunęła się na podłogę; — poraz pierwszy w życiu odczuła rozkosz w takiej sile! — Odtąd musiał przy każdej sposobności powtarzać tę egzercyzję; była nienasycona.

Poza tym czytywali poezję — to jest — on czytał, a ona słuchała chciwie; spragniona; czytał swoje i obce; zwłaszcza Słowackiego i Kasprowicza. — W tym okresie (była już o tym mowa) wiersze swoje Cyprjan opracowywał i szlifował niczem amsterdamski szlifierz diamentów — po dziesięć razy i ze wszystkich stron; błyszczały i były zimne; jemu wydawało się to wtedy szczytem kunsztu pisarskiego. Pani Kle przepisywała je już to na luźnych kartkach do dalszej finezyjnej obróbki i dłóbaczki już to te uznane za „wykończone“ do olbrzymiej

księgi — papier w niej gruby był, rysunkowy, i w taki też papier oprawna: „biała księga“.

Była jego — zgódźmy się — jedyną czytelniczką i była jego muzą; — no — bo — oczywiście — było tam i sporo wierszy w tece o niej. Ten podatek spłacał zawsze rzetelnie. Lecz to fraszka! — Ważniejsza rzecz: z czym się spoiła w nim, czym zaznaczyła się jej bytność obok niego? — oto: zdobyciem wysokiego kunsztu zimnej poetyki i — a tu jest sedno zagadnienia! — odrzuceniem tej całej żmudnej wypracowanej zdobyczy, jako balastu nieznośnie krępującego — i przejściem na zupełne (znów krańcowość!) obluzowanie formalne, na syntetyczne skróty, na poetycki (instynktowny!) bełkot, w którym znakowania miały swoistą i dalekonośną (tak mu się wtedy wydawało) wymowę i treść. Teraz pomysły, oszlifowane już do siódmej skóry i siódmego potu, przerabiał na nowo: rozbijał, skracał, zarywał i uniezrozumiał: niezrozumiałstwo zamierzone miało sugerować tajemniczość „bytu“. Znamy to.

Wtedy się ekspresje zaczęły, a dopełniły znacznie później.

Bo tymczasem — —

Trzy lata trwała ta miłość pani Kle i Cyprjana niepodzielnie; — kilka razy zachodził, to prawda, z kolegami na dziewczki, ale tylko tak na gapę. Raz jeden jednak — w Dreźnie to było w sławnych zamtuzach i tawernach Frohngasse — zlakonił się na murzynkę (— nawet się to przez towarzysza papłą wnet wydało, z czego brewerie były opętane; wielki raban) — lecz to dlatego tylko, żeby choć

trochę zwyczajnie „po polsku“, nie tak ciągiem „w powietrzu“. Egzotyczność też!

Z tą piękną murzynką to było w r. 1914-tym, w lipcu, już po zamordowaniu Ferdynanda w Sarajewie, tuż przed rozpętanem się trzaskliwym wielkiej wojny. Wtedy to właśnie z tą murzynką, proszę. I tu rozpoczęła się odrazu dwutorowa historia: nowego elementu w starym; jasnym więc, że bez kalafutryn obejść się nie mogło żadną miarą; to się nie zdarza; za dobrze by było!

Z resztą to już tak — — — — —
— — — — —

Cyprjan Fałn zasnął o przedszarzeniu światowym — co w porze wczesno wiosennej, w mieście, w murach wysokich i klasztornie grubych ma swoje znaczenie, wymowę dotkliwą; to nie przelewki dla organizmu nerwicami smaganego. Zasnął więc chyba nie wiele przed szóstą; coś około tego, bo w pierwszy z brzegu sen wblaszaniło się to obmierzłe śniadaniowe krzątanie.

Spał już jak mysz na pudle aż do wizyty lekarskiej.

Zbudził się nieswój, z bólem głowy, zamilkły, zły.

Z niesmakiem prawie, a już zgoła bez entuzjazmu przypomniał sobie, że go ta Kle („ta Kle“ myślał teraz) pieściła raz nawet (do czego to podobne!) przy córkach — pokój był cprawda rozległy — Krysia i Genia na jednym krańcu przegłądają albumy — zadudrane w tym zajęciu — ale czy całkiem? — Krysia to tam nic — ale ta Genia, odęta, brzydka, żółta, z wysuniętymi szczękami — niepo-

kojąca. — Cyprjan z panią Kle w kącie przeciwnym; siedzą na kanapie, przerzucają dość ryzykowną książkę — pełno w niej aktów — ; przerzucają to znaczy: książka otwarta leży na jego kolanach, duża, osłaniająca, parawan poniekąd; copochwila ostentacyjnie odwraca się kartę. — Właśnie przy akcie Diany Poitiers — która tak chętnie nago pozowała artystom — naco jej wielki miłośnik Henryk II — wcale się, widać, nie gniewał — wsunęła się prawica niewieścia do odpowiedniej kieszeni — oczy zokrąglą lale, zdziwione niezmiernie patrzą na pokój — w pewnej chwili, i, to nie zwidzenie, odrywają się źrenice od białek i krążą z cichym brzękiem jak okrągłe chrząszcze po pokoju, dookoła — rozszerzone oczy nalane są białkami po brzeg — a źrenice krążą i brzęczą jęklawie — — teraz jedna z nich usiadła na włosach zmierzwionych Geni — Genia odgania dłońią; nagle, jakby ją oparzyła, opuszcza dłoń i wsuwa między zaciśnięte kolana — źrenica odleciała — teraz już obie objijają się o szyby zwyczajem dużych much — — a ręka działa, działa drażliwie, cicho, czająco się, a całe ciało niby bez ruchu, niepostrzeżone, nieistniejące; i już; nagłym rzutem wpadają źrenice w swe łożyska, momentalnie zamykają się powieki, aby je przytrzymać; Kle jest śmiertelnie blada; a tam na drugim końcu pokoju Genia bałuszy rybie oczy i zaślinia wargi — zrywa się i wybiega; trzasnęły drzwi jak nagły podziemny wybuch, zsypuje się z wstrząśniętych ścian tynk i pył — cały pokój zasypany wapnem i piaskiem — — wtym jeszcze jeden łomot i trzask — to skrzydlata jaszczurka o jaskrawo żółtym podbrzuszu rozbiła szybę i wy-

leciała z chrapliwym skrzekiem — posypały się szczyby na podłogę — — na wysokiej gałęzi jesio-
nu zieleni i żółci się jaszczurka, skrzydła błoniaste
opuściła po bokach jak dwa szylkretowe wachla-
rze — poraniła się o ostre szczyby szyby, bo widać,
dokładnie widać, jak ciężkie gęste krople krwi zbiera-
ją się na grzbiecie, toczą się wzdłuż skrzydeł
i kapią na ziemię — — gdzie mama? — krzyknęła
Kryśka — gdzie mama — ? — gdzie — — —

— no i idzie pan dzisiaj do miasta — ? —

Prawda! — Ucieszył się; ta nagłość zewnętrz-
na, przestrah i radość zlużowały dotkliwą niewy-
godę myślową.

— ano idę — odpowiedział miłemu, takiemu
zawsze, rano zwłaszcza, świeżemu, wygolonemu,
czyściutkiemu doktorowi Eilperowi —

— niech pan sobie powoli kroczy, laseczką się
pięknie podpierać, rozumie pan, żadnych nagłych
wstrząsów —

— dobrze, doktorze, dobrze --

— był pan naszym najposłuszniejszym pacjen-
tem —

— nie zawiodę — dośmiał.

Gdy więc przyszła Wisia — wybrali się tym
długim kurytarzem i arcyzawiłym wychodem — naj-
pierw schody wdół, potem na lewo długi pasaż
wprost, znów kilka schodów i znów kurytarz, wresz-
cie krążanek, duża sklepiona sień — trochę wszyst-
ko razem jak w śnie architektonicznie zagmatwanym
i docna zlabiryntnym. Nareszcie brama!

— tu przywiozłaś mnie wtedy przed trzema miesiącami? — przed tą bramę — ?

— tak, to ta brama —

— no więc i wyszedłem nią żyw i cały —

— bardzo to dla mnie radosny dzień —

— radujesz się? naprawdę? —

— wiesz przecież; — i rybę sobie będziesz mógł zjeść —

— to później, Wisiu, najpierw pójdziemy do hotelu —

— takiś niecierpliwy —

— a ty? —

— troszkę —

(— ona zawsze tylko: troszkę; i to już jest łaska —)

Dzień pogodny, rześki, podchłodzony od spodu; wierzchem cieplejszy, wiosną zalatujący.

Idzie się wcale dobrze, wcale; stąpanie może jeszcze zbyt delikatne; brak pewności; ale to minie.

U wylotu ulicy przystanęli:

— listki już wszędzie nadobre puszczają — i tak niebiesko! — cienie jeszcze długie — — ładna wiosna, przedwiosnie właściwie; a dopiero u nas jak tam musi być na wsi! — śniegi, zapewne, ale już wszędzie pod drzewami zawilce białe i liliowe — tak, wiesz, kępkami rosną, gromadami, takie towarzyskie, — a gdzie jakieś zбочe, żeby tylko ku południu — to pierwiosnki, aż się żółci, delikatny mają zapach — — dla mnie wiosna to ćwierk kowalika — znasz? — cik-cyk, cik-cyk, cik-cyk, — i pierwiosnki — a lato to zawsze okno i osa brzęcząca na nim, za

oknem pola żółte rozświerszczone i gościniec biały,
wóz i konie leniwo i powoli trap-trap-trap-trap —

— matka twoja lubiła pierwiosniki —

— ja też lubię, bardzo lubię —

Szczęśliwie właściwie bardzo i dobrze, że tak
sobie idą razem przez planty i ulice — — a tu teatr
poza gałęzmi zamglonych drzew.

— pamiętasz pierwszą moją sztukę? — zadyma
była, co? —

(— jakżeby miała nie pamiętać, przecież to
wtedy...

...więc nie odpowiada)

Po chwili:

— dziś bym już inaczej pisał — wogóle zerwa-
łem na dłuższy czas z teatrem —

— dlaczego — ? —

(— zawsze tak zapyta; powinna sama wiedzieć,
powinna czuć przemianę, przecież to widoczne —)

Wyminął (przygaszony nagle):

— nie ciągnie mnie, obmierzył mi dotychczasowy
teatr; to granda nic więcej, głupia granda; — myślę
o wielkim teatrze dla mas — tak teraz myślę —
o teatrolizacji wsi, przedmieść, osiedli fabrycznych
— częściowo przez wskrzeszenie instynktu teatral-
nego, częściowo przez zastrzyk nowych wartości
scenicznych —

Plótno już pomieszany w myślach; niechętnie
dokończył:

— roki teatralne, rozumiesz, teatr obrzędowy
poniekąd — obrzędy pracy —

Zniechęcił się do reszty.

Szli w milczeniu.

Dziwnym i niepokojącym mu się zdało, że przechodnie tak szybko i jakby nieuważnie idą — nic się nie boją mocno stąpać na całej podszewie — — aż nieprzyjemnie, że trotuar tak twardo i stukliwie podzwania pod krokami —

— powinno się na gumowych obcasach stałe chodzić; wszyscy; po co tyle hałasu —

Stali już pod hotelem.

Pokoik hotelowy mały, bez okna, tylko przez drzwi szklane przesącza się gorzko nieco zapocone go i zamorusanego światła. Łóżko, umywalnia, szafa z wychwierutanymi, zacinającymi się drzwiami, jeden fotel wyleniały, krzesło, stół no i piec. Tanio, trzecio klasowo, brzydko: ciepło zresztą.

Pomogła mu zdjąć palto. Sama zaczęła się rozbiierać; poprawdzie bardzo się jej spać chciało; zawsze popołudniu. Cyprjan przynaglał i przeskądzał zarazem pocałunkami i obmacywaniami; dotykał dłońmi jej pleców, głaskał, mięsił; wyluskał zpoza koszuli piersi — całował i ssał je długo. Był bardzo podniecony. Wisi mimo przyrodzony chłód udzieliło się to podniecenie.

— zdejmn wszystko — szeptał, całując ją w uszy.

Leżeli nago obok siebie. Tę chwilę, tylu narężonymi nocami wyczekiwaną, postanowił przedłużyć ile się tylko da; na dopełniającą grę partnerki liczyć nie mógł. Powoli więc z namysłem, z namaszczaniem i ze zwielokrotniającą świadomością każdego ruchu i poczynania każdego — całował ją od ust po stopy — potem — odwróconą od karku wzdłuż pleców po wklęśnięcia pod kolanami; ocierał o sutość jej białego ciała policzki — kołysał na

niej głowę — odurzał się kształtem pośladków płaskich i rozległych; rozdzielał ją pomiędzy siebie licznego i rozmaitego; upieszczał ją uważnie i przeczornie znał jej strefy wrażliwe i sposoby podniecające ją — wdychał jej zapach głęboko jak odżywczy tlen — ; — zaledwie zdołał zapanować nad sobą do czasu, gdy poznał, że w niej rozluźnia się wszystko i wyładowuje — wtedy, gdy usłyszał jej stłumiony jęk, gdy ujrzał twarz jej zmiętą jakby wielkim bólem — wszedł w nią i momentalnie, jednym poprostu ruchem rozplynał się w niej suto : przelewnie —

Zapadł się zmęczony, z rozkosznym poczuciem odpływającego naprężenia — — głaskała go czule po plecach, poklepywała delikatnie, naciskała palcami, jakby wćwiczała gamę; myślała już o czym innym — ; — a potem to, bardzo nie lubię“ — oderwanie się od siebie ciała.

Spoczywali obok siebie długo.

Rozmawiali powoli i pogodnie.

Zmożył ich sen. — — — —

W głąb szpitalnej nocy rozpamiętywał tę scetę: z łagodną radością i zadowoleniem. — — Właściwie to to wszystko głupstwo! Czy może t e r a z tak się wydaje? — ależ! głupstwo wierutne! — naco te szukania, niepokoje, zapady ustawiczne?! — — naco?! — Trzeba z tym raz na zawsze skończyć, zerwać z tym! — tak; — dobra kobieta, wierny przyjaciel; może kochanka za chłodna, lecz przecież bardzo przydatna, i, emocje z nią są znaczne; rzadkie; tak; lecz gdy nabrzmieją żądze — jest jej dużo — jej — to znaczy kobiety — masy, ciała dużo,



wcale ładnego, we wspomnieniu przynajmniej, ciała—
i gdy się ją rozgrzać umie — dużo rozkoszy; za dłu-
go może zawsze trwa to wszystko — i jakoby du-
mie „męskiej“ — och! och! — niedogadza, że nie
płonie do niego tak, że gdy tylko, to ona już! —
Ale to wszystko nie wiele ważne! głupstwo! —
Swój człowiek!

Swój człowiek!

Czym są czyny ludzkie? jakich podstępów
są rezultatami, jakie są ich motoryczne motywy — ?

Przez myśli, uczucia, czyny, upadki i wzwyżer-
nia przelewa się cała przyroda, wszystkie jej prawa,
cała jej obojętność, energia i ruch —

Swój człowiek!

A jednak — a jednak przed owym zamilknię-
ciem, gdy szli dziś razem, gdy szli, a on o teatrze tak
nieporadnie... w oczach nic tylko ta ulica, tylko te
miejsca bolesne, te miejsca, bruk i kamienie skrwa-
wione, umęczone nędzą ludzką i prawem człowieka
do życia, prawem pogwałconym — — i odtąd już:
na kolana! — tak jak pokutnicy na kolnach wloką
się pod stromą, kamienną górę — wlec się — drżącymi
palcami dotykać kamieni-świadców męki ludzkiej
i ostatniej tu na ziemi myśli, więc ostatniej myśli
wogóle — — — z t a k i m i myślami odchodzić!!

Swój człowiek!

I cała sprawa ich była na tym tle — jak taśma
filmowa przesuwają się wyobrażenia grozy i maje-
statu śmierci; — wszystko to zepchnięte, brutalnie
strącone w dno świadomości, aby p o n a d t y m
zatrzymfować mogły zmysły! — tak to jest!

Swój człowiek! — I to ma, bezsprzecznie, zna-

czenie, wielkie znaczenie, decydujące prawie. — Może i to racja, co raz powiedziała, napewno racja, że zraziły ją te, od początku, nieprzyjemności i fałszywe sytuacje? — uraz, oczywiście; i z tem trzeba się liczyć! — No tak, gdyby umiał wszystko przezwyciężyć, oddać jej swe dobro, swe wartości, swą niepodzielność — wszystko byłoby inny obrót wzięło. Rozsądna i logiczna — ona to wie napewno, napewno ona to dobrze wie. Pozostaje jeszcze zawsze: trud brania jest większy od trudu dawania; i umiejętność większa.

Jak nagły prąd elektryczny uderza w myśl: Cyprjana groza! — Z obłądnego strachu wypada i rozpryskuje się jak groźny szrapnel — słowo — imię, hasło — : Mila! — — — na tle poszarzałego okna, cień jej pięknej, jakże pięknej głowy — nachwiewa się w opuszczeniu, w rezygnacji, w poszarzaniu — — — czeka, czeka z tą jedyną wielką miłością swego zgłuszonego życia; miłością rozrzuconą, rozgłoszoną, na wszystko zdecydowaną — „opuszczę wszystko, wszystko — rodziców, dzieci i pójdę za tobą“ — szalone pisze listy! szalone! — jego odpowiedzi nie mogą ani uciszyć ani przekonać — — coś się tam spycha na karb choroby, szpitala — — ale co, jaka przerażająca autentyczność oczekuje go, gdy wyjdzie stąd, z tego ukrycia, ze schronu tego — co? — — Milo, Milo — tyle ci zawdzięczam! — Twym oczom, twym ustom, twej miłości wzniesionej ponad życie i poza śmierć: w głąb życia, w otchłań śmierci! — Wielka przemiana na rostaju, który zawsze czyha, kusi namawia; wypracowanie się świadomości, agresywność i jawność społeczna,

nowy kunszt pisarski — to ty, to twa wszechobecność płci — to twa hormonizacja!! — Wspaniała, silny, prężnie, rytmicznie warkoczący motor łączący planety i słońca, elektrony, gatunki, wszystkie odmiany jednego życia tak jako odbija się w drobinie świadomości ludzkiej — : transmisja wielkości i mądrości — —

Fosforyczny płomień obiegający wszechświat przebił twe serce, o syntetyczna! nimfo Syntezo — wypadł z śródpiersi i ugodził między oczy — mnie wędrownika — pracownika — — twarda robocza ręka dotknęła cię — — zawrzał mózg — —

Jasne tu wszystko, w jaskrawym wprost namiętności — zarazem zawile i skomplikowane; faktem wysuniętym na czoło zagadnień staje się groźne przeświadczenie, że wartości istotne wyrastają zarówno na radości jak i na krzywdzie ludzkiej, największe na krzywdzie dobrego człowieka; i te są przeklęte!

Wali to słowo w łeb obuchem: krzywda! krzywda! krzywda!

Niepokój nienasycony i nieuśpiony zniecierpliwiał ręce i nogi; Cyprjan rzuca i wije się na łóżku — klnie i wyzywa —: jestem bydlę, ostatnie bydlę! — Słyszycie? — wy minione, wy istniejące i wy przyszłe? — słyszysz Mauro? — ślę ci te obelżywe słowa — w sobie ci je ślę — tym szlakiem nocnym — tą drogą, która leżąc między nami jedynie nas łączy — tą samą o której rzekłaś, że pokrajałaś siebie na wąskie paski i że to jest antena między mną a tobą — — o jakże tego pożałujesz Mauro!

A ty Wisiu, doraźna, aktualna, ty: wczoraj

i dziś! jeszcze czuję twą gładką skórę na policzkach i całe ciało moje jeszcze faluje tobą.

No a — pani — Kle — ? —

Jakże to wogóle było — ? —

Drezno. Studiował tam historię sztuki, sobie studiował: rozmawiał z obrazami, niektóre odpowiadały, inne nie.

Lipsk. Bugra. Światowa wystawa książek i grafiki. Fenomenalny pawilon rosyjski. Domek japoński — drzeworytnik przy pracy. Portugalia: etykiety na flaszki.

Patriotyczne prostytutki — te z drezdeńskiej Fiongasse — głośno krzyczały, że die Serben sind Hauptschweine — że trzeba z nimi aus, z tymi Serbami.

Od swej murzynki dowiedział się Cyprjan, że będzie wojna jak amen w pacierzu. — Była prostytutką francuską, pakowała się na gwałt — oddawała się niecierpliwie pośród waliz, kufrów i rozrzuconej garderoby — — gdy, pobłyskując białkami i zębami pośród odętych liliowych warg — hebanowa i lśniąca — Karra! Karra! — o obwisłych, trójkątnych, zwierzęcych piersiach — biła się płaską dłonią po udach i wołała — la guerre! — la guerre! — j'aime la France — allons enfants de la patrie! — i poczęła pięściami na twardym płaskim brzuchu, poniżej wydatnego pępka, wybębnić murzyński wojenny werbel — była jak czarny, dziki krzyk idący wnętrzościami dziejów Europy — ; — aktualnie jej hasłem było: enfuir d' Almagne — namawiała: mon petit part avec moi, ici tout le modne — verrecken — jak to po twojemu? — zdeuchni — zdeuchni — nu, la gu-

erre ce n'est pas la comedie — kein Schpas — faim, maladie, mort, fin — o, tout le monde zdechniiii —

Berlin. Z Karą tam pojechał. Raz dwa go wyrzucono, jako poddanego austriackiego. Przy bra-
niu wizy znów! Zaczęły się te namolne powtarzania
tych samych brecht; to było równie zmorowate
jak ciągle asenterunki: konsul bardzo przejęty i zde-
nerwowany wrzeszczał: Osterreich muss Serbien ver-
nichten — dort ist ihre Pflicht — a potem było o tym,
że najjaśniejszy cesarz może potrzebować Cyprjana
Fałna, tenże Cyprian Fałn winien z gotowością, ba
radością, więcej! — z uśmiechem oddać życie za
cesarza i jego tron! — Niedoczekanie wasze pomys-
łał niepatriotyczny poddany — i grzecznie podzię-
kował za nader życzliwe uwagi.

Postanowił jednak wracać do kraju. Na dworcu
wschodnim spotkał się ze swą murzynką; odjeżdżały
dwa ostatnie pociągi jeden do Paryża, drugi do Bu-
karesztu. Karra jeszcze raz płomiennym szeptem na-
mawiała go: jedź ze mną do Francji! — nie masz
pieniędzy? pożyczę ci — zresztą Paryż! — wszelkie
możliwości — potrafisz śpiewać ruskie pieśni? —
napewno potrafisz. Uważała go za Rosjanina; tłuma-
czył jej w Dreźnie jeszcze, że jest Polakiem; nato-
na: ach so! — ruischer Jude, ach oui! — juif russe
— olala! bardzo się cudowała, oblizywała się, jakby
smakowała ten egzotyczny specjał. Teraz skłaniała
dalej: można tam zarobić; pięknieby to było, odrzekł,
niezawodnie pięknie, lecz nie da się zrobić; nie ko-
chać Karra — ? — Tak to rozumiała.

Przed pociągiem paryskim spotkał się z święt-
nym młodym malarzem Rerutkewiczem — wysoki,

chudy, blady, czarna broda, gruzlik — : a, a, i t. d. — dokąd ? — do Paryża, a wy? — wracam; — głupstwo robicie; jedźcie ze mną do Paryża, ostatni pociąg. Więc jeszcze jedno napomnienie! — czyżby ustami murzynki i malarza przemawiał tak zwany los? możliwe. Pierwszy raz podły, oblesny strach zachwiał myślami i wywołał nagły kurcz serca.

I rzekł jeszcze Rerutkiewicz — a już przy nim stała, pod rękę, proszę, z nim, murzynka Karra, kontenta ze znajomości i że razem do Paryża ją da — : i tak się wszystko zawali, niech się psiakrew wali, byłem mógł malować; była istotna mądrość w takim postawieniu sprawy. Karra przytakiwała, sprytnie z gestów wyrozumiała o co idzie; przytakiwała uparcie: zdechni, zdechni! —

Po raz drugi zjawił się strach a z nim żalność, gdy pociąg ruszył — jedno okno żegnało go suchą, wychudzoną, żółtą ręką, drugie białą chusteczką w czarnej, jakby rękawiczką żalobną powleczonej dłoni — — i te lśniące, duże zęby w hebanowej oprawie — — adje —

Po raz trzeci wstrząsnęła nim trwoga, która tym razem szła podziemnym kablem jak dudnienie złowrogie przez całą Europę i przez miliard jestestw ludzkich — gdy mijał granicę pruską. Mosty już wylatywały w powietrze; echo wybuchu powtarzały góry. Szła burza.

W Krakowie ścisk niebywały. Tłoczyły się pociągi z pijanymi rumem i strachem żołnierzami; za bączkiem dębowe liście; — na ścianach wagonów trupie główki i piszczele, szubienice z wisielcami, z podpisem „serb“ — i wogóle: Gift auf Serbien! —

i olbrzymie pierwsze transparenty wojny: LATRY-
NA. — Rojowisko obrzydliwe! — Powrócił pogłos
głupkowatej mowy cesarskiego kaboty — stam-
tąd — z Unter den Linden — Cyprjan stał pośród
niezliczonego tłumu — z balkonu przemawiał rex
i pontifex w jednej osobie — z wypomadowanymi
na sztorc wąsami: der deutsche Gott muss siegen! —
a potem operowym gestem błogosławił, głupiec ku-
lom i bagnetom niemieckim. Wir fürchten nur Gott!

— dokądże to ti biku — zagadnął Cyprjana
przyjaciel i kolega Witek —

— wracam z Niemiec —

— toś się wybrał! — a co, do wojska — ? —

— oszalałeś! —

— aha, bo to ciebie nie asenterowali — ale te-
raz, bracie, wszystkie kryple pójdą — popatrz co tu
chłopa! — to wszystko kanonenfutter; wnet też tego
zabraknie; — ja tam, wiesz, sram na Austrię — idę
do legionów —

Gwałtowny napór nowej falangi rezerwistów
rozdzielił ich.

Cyprjan pojechał dalej. Do domu. Zapomniał
zupełnie, — że przecież tam jest pani Kle! Myśl na-
wet przelotnie nie zatrzymała się na tym fakcie nie-
wątpliwie bytującym w coraz bliższej przestrzeni.
Odeszło go. W tej chwili zwłaszcza.

Na węzłowej stacji — stop! — dalej nie można
jechać — następny pociąg lokalny — może za dwa
dni, może i za miesiąc, za rok może. Co robić — ? —
do celu jeszcze bezmała trzydzieści kilometrów. Przed
dworcem, na zaśmieconym majdanie stoi furka mała,
drabinki t. zw. literki, półkoszki, jedna tylko po

prawdzie tych półkoszek połowa, z przodu; siedzi-
sko ze słomy; konik cherlawy, chudy, łeb zwieszony — — ktoś tę, żeby tak rzec, furmankę targuje —
ma ten ktoś słuszne i na obserwacji oparte zastrzeże-
nia: szkapa ani dwu kilometrów nie ujedzie, a tu
przecież droga górzysta, jakże? — e!, odpowiada
chłopina, sto ujedzie, koń jest wytrzymały. To pra-
wda. Nareszcie się ugodzili. — A tu już, mimo pory
letniej, ponury mrok się tłoczy, wczesna noc się
zwaliała jak zgniły stóg na krajobraz; zarywa burza;
cholerny czas. Niebem i ziemią idzie skośna nawała-
nica — zamiotła w okamgnieniu majdan — zawiro-
wała słoma i pył — w nos i usta wtłacza się kurz,
czuć go moczem końskim — wiatr zrywa kapelusz
ze łba — grzywa i ogon koński powiewają poziomo
jak postrzępione łachy — — przez strome pola idzie
jęk i skowyt — ten sam co i przez mózgi ludzkie,
przez Europę, przez cały obłąkany świat.

Cyprjan pod rondem naciśniętego kapelusza
dosłyszał nazwę miejscowości, tej, do której ten ktoś
chce jechać furmanką — jakto? — przecież to wła-
śnie... chyba się przesłyszał...

— pan, przepraszam, do... — ? —

— tak, tam mieszka moja matka z siostrami —

— tam? — to znaczy, aha, z matką i siostrami,
tak pan powiada, to... pan Krotowski więc — ? —

— tak, Krotowski jestem —

— Fałn —

— bardzo mi miło poznać —

— również —

(— Krotowski — Krotowski — ach! no tak! —
przecież im wynajął listownie wiosną jeszcze miesz-

kanie na wakacje — — okropna to przeszkoda w tych letnich miesiącach — — tyle obcych ludzi — — cóż jednak robić — „trzeba żyć“ — dwie partie w tym roku — lecz teraz to już i tak niema znaczenia —)

— no to razem jedziemy —

— szczęśliwie się składa —

— bardzo — rzeczywiście —

Usadowili się; jadą.

Ćma — wicher — grzmoty — w błyskawicach rozświetlają się nagle i jaskrawo widma drzew i chałup — a potem jeszcze ciemniej; czarno.

Jadą w tę jaskiniową noc, pierwszą straszną noc z tysiąca pięciuset nocy, tętniącą galopem czwórki strasznych upiorów — — dookoła widnokręgiem dudnią kopyta — coraz większe zataczają koła, półkuli ziemskiej tym dookolnym pędem wyznaczyli —: tu mieszka wojna, tu mór, tu głód, tu śmierć — — straszliwe gospodarstwo.

A tych dwu, odbitych od gromady wraca — tym szlakiem od zaśmieconego majdanu bezużytecznej już stacji — do domu, jeszcze do domu, do siebie. Szkapina wlecze za sobą wózek — z wysiłkiem i ciężkim zadychem — kilometr za kilometrem — — godziny gęste i grząskie jak smoła.

— panowie (— odwraca się chłop do tych na tylnym, zwichrzonym słomą strzęsioną, siedzeniu — — panowie, cosik będzie niedobrego z tego —

— a cożby dobrego miało być — ? — to się wi —

— panowie, całkowicie źle będzie, bierom chłopów, wszystkich zwołużom, strasno będzie wojna, norodu, a norodu wybijom, w chałpach nie będzie co

jeś, będzie głód sakramyncki — i co ta kady z tego komu przyńdzie, cysorz się kce bić, panowie sie kcom bić — to niek sie bijom, a norodowi biednemu niek dadzą pokój — e! — splunął; pod odchyloną połą przyodziewy zasłaniającą od wiatru ogienek siarnika; zapalił „cienkiego“; rozbłysła w bezmiarze nocy twarz zmizerowana, zaciągnięta rez ygnacją i niewiarą w jakiegokolwiek dobro; skąd? —

Dobrze już było po północy, gdy dojechali do domu, gdy się do domu boczną, wyboistą, gminną drogą dowlekli.

Rwetes i harmider zrobił się szalony. Pies w obejściu ujadł i zanosił się wyciem. Bano się otworzyć bramę. Kto? skąd? — niedowierzano, jeszcze pytano. Dopiero gdy się wyświetliła sytuacja wpuszczono nocnych przybyszów.

Cyprjan przeszedł szybko przez przedpokój; do siebie prosto. W drzwiach — jednego z tych wynajętych pokoi — mignęła matowo jakaś niewieścia twarz — lecz płomień świecy w podniesionej ręce zbyt był migotliwy — niczego konkretnego dojrzeć nie można było; cień natychmiast zdmuchiwał obraz.

Nazajutrz poznał całą rodzinę: matka, miła, cięcha pani, grzeczna bardzo z tym odcieniem nieporadności i załęknięcia cechującym osoby zawojowane przez niekochanego męża — pani Krotowska była wdową, lecz urazy takie raz wszczęte nie gasną; za zwyczaj zresztą system zawojowania kontynuują dzieci — świetnie się w tych sytuacjach orientujące i zawsze okrutne; rysy tej dobrej pani subtelne, regularne; oczy bładoniebieskie, spłowieiałe bezradością i wiecznym zakłopotaniem. Starsza córka małego

wzrostu, więc głowa jakkolwiek kształtna — zaduża; Maria, mówiło się: Myszka; młodsza: Wisia. Panienci, powiedzmy, leciwsze, nie dwudziestolatki — nie! — Młodsza była w wieku Cyprjana; Łatwo obliczyć. Figura u niej rozległa lecz bardzo zgrabna, proporcje zdadne — może piersi nieco za małe —, duże, czarne oczy — tak duże, że w pierwszej chwili pokaprysiło w Cyprjanie: wybałuszone, wronie; wargi duże, bardzo zmysłowe, dolna grubsza i wydatna: tworzył się pod nią dołek; dołek smakowity. Brunetka, odcień włosów granatowy jak skrzydła u gawronów; w sumie bardzo w typie i wyglądzie podobna do „la princesse Pélagie“ Vigée-Lebrun. No to tyle. Chyba jeszcze to, że trochę za blada, i kilka plam „wątrobianych“: na czole, górnej wardze i lewym policzku, nisko, przy szyi. Plus-minus wszystko. O reszcie nic się nie wie; o reszcie się dowiaduje, i to jest cała socjalno-obyczajowa „tajemnica płci“.

Wisia była bardzo miła, chętnie i zwinnie się z nią gwarzyło; nie serio zresztą; takie koszalki opalki, terefere, igry i gierki.

Dobrze, dobrze — ale była jeszcze pani Kle! — a tu już wiadomo, ba, od dawien dawna, bo już od jakiego półroku, a te sytuacje liczą się na godziny, jak na wagę ołowiu, wiadomo, że cała historia miała już tę gładką, pochyłą kładkę zejścia za sobą! — zwyczajnie: punkt wyjściowy, droga pod górę, szczyt — tu trwanie, zatrzymanie się krótsze lub dłuższe, mickiewiczowskie: aaaa! — widoki, dalekie perspektywy, tutaj móc trwać! — i — pochylnia, zejście — najpierw jeszcze żartobliwie niemal z górki na parzurki — a potem już na łeb i szyję; — tak też i teraz

było; został cień cienia i ostatnia instancja: automatyzm przyzwyczajęń; czyli nic! — to tu po jego stronie; bo po jej! — no, wiadomo, w tym momencie kobiety są zdumiewająco wytrwale, dociekliwe, szpiegowskie, nieustępliwe — każdy nerw zakończony jest mackami, ssawkami i szponami! trzyma! jak trzyma!

A tu już bramą rozwartą obrosłą chmielem wchodzi Wisia! — bo trzeba powieścić, że tak. Zaczęło się, zaczęło rozmowami, spacerami, przesiadywaniami o zmierzchu, i tym znanym trickiem uwozdzielskim: kształceniem, pokazywaniem zbiorów, proszpa, czytaniem wspólnych książek, a jakże.

Raz był taki krótki poglądowy kurs o sztukach graficznych; powierzchowny, po lebkach, ale to przecież nie o to idzie; gdzieindziej jest treść zasadnicza; on mówi, objaśnia, wyklada — w tym władczość, to jasne; ona słucha z niesłychaną uwagą, oczka — takie duże! — mruży, czoło marszczy — i: „ach!“, „tak?“, „jeszcze raz proszę“, „rzeczywiście?“ — i czapierzy te palczątka smukłe, dziewicze — i liczy: akwaforta, akwatinta (— powtarza kilka razy: akwaforta, akwatinta —, że to się zastanawia co dalej —) aha, vernimous, a potem: drzeworyt, linoleoryt, fluoryt, litografia — jej, jej, co to tego! — I jeszcze tu ten jeden urok: że to takie tajne zejścia się, tajemnica więc słodka, że on tylko ją „kształci“ — a pocóżby kształcił, gdyby... zresztą wszystkie te, powtarzane od wieków, lekcje, nie interesują nikogo, prócz tych, którzy mają w tym swój, osobisty, niezależny od przedmiotu, interes.

W pokoju Lola Krotowskiego (— to ten brat

dwu siostr — najstarszy z rodzeństwa —) wisiał znak widomy tych czasów, o których nikt nie wiedział, czym są i do czego dążą — całkiem, pomyślał, jak dzisiaj — nawet w komunikatach różnic niema żadnych, te same okrucieństwa, te same hasła, aplomb jedynie brutalniejszy; owoczesnym znakiem była mapa, dużo tych map po wielu domach — po wszystkich niemal — zwłaszcza w pierwszych miesiącach wojny. W mapy te — odczytując dokładnie wiadomości z placów bojów — wtedy to sprawa Belgii i inwazja Hunów na Francję — wbijało się szpilki z nadobnie przymocowanymi chorągiewkami kolorowymi. Codziennie przesuwano się te chorągiewki; czasem nawet dwa razy dziennie: naprzód, wtył, w bok, przyczółek mostowy, twierdza, znów naprzód, o psiakrew znów wtył, teraz okrążenie, ofensywa, defensywa, oderwanie się od nieprzyjaciela — — manewry chorągiewek — miła zabawa i zajęcie poruczające, znajomość geografii, pogładowa; wszystko to dobre dopóki się nie wyczuło i nie uświadomiło, że każda wbita szpilka trafia w rozerwane trzewia, w rozplątane czaszki — tylko zabity wróg jest nieszkodliwy mówi kodeks wojenny — w rozplątane czaszki, w rozpryskane mózgi, w kałuże zaskrzeplej krwi, w stosy trupów, w jęczące konaniem usta i w oczy, w oczy, które już nigdy nie zobaczą dnia — — wtedy...

Groza wyrosła przed Cyprjanem jak czarna wieża — owa wieża, w którą strąca się trupy sępom na żer. Unikał tej mapy; w obliczu schludnych papierowych chorągiewek, które oznaczały mękę, śmierć, pożogę, ostatnie upodlenie zgonionego par

force człowieka ociekającego przeklętą krwią — za-
przysiął sobie, że nic go nie zmusi do wzięcia w ręce
parzących narzędzi mordu. Dotrzymał przysięgi.

Lecz o tym jeszcze będzie.

Teraz przecież z tą Wisią.

Raz po takiej długiej i wyczerpującej wszelki
temat „lekcji“ — zaproponował — dla ratowania mi-
losnego prestiżu — spacer.

Zgodziła się.

— trzeba odetchnąć świeżym powietrzem --

— ciągle w tych książkach, pewnie —

— właśnie —

— przecież to nawet nie zdrowo —

— pewnie, że nie —

— właśnie —

— hm —

— no to czemu? —

— hm, czemu — — więc właśnie chodźmy

już —

Poszli.

A gdy zaszli na szczyt wzgóрка pomiędzy białe
brzeziny i wonne sosny — usiadła na skale — a on
poniżej — usiadł też, u jej stóp.

W samym tym powiedzeniu tkwi wszystko.

Ziemia zaczęła się nagle i gwałtownie oddalać —
złe troski pozostały na niej, z chwilą każdą stawały
się coraz bardziej odległe. A oni wznosili się jak
w balonie — aż stali się pełni siebie.

Wargi jej miały taki smak, jaki zapowiadały:
były mięsiste i soczyste jak wnętrze melona; smak
raczej truskawek; były elastyczne. — Przymknęła
oczy — a powieki zakrywające duże wypukłe, czarne

oczy nabrały koloru przejrzystego pergaminu pokrytego siecią liliowych żyłek; wyraźnie zarysowały na powiekach źrenice.

Przebieg sprawy przepisowy: pierwszy pocałunek nie wywarł na nim specjalnego, godnego podświadomości wrażenia, został na powierzchni pamięci, a jeśli wyparł swym ciężarem gatunkowym nieco myśli — to równocześnie tracił na tym swoim pulchnym ciężarze, aż po łatwą zwiewność; skonstatowanie; przyjemnie, owszem, ale żeby zaraz!... Na niej zaś — rozciągnięte na zgłoski — wrażenie niezapomniane! — I to jest właśnie „przepisowe“; zawsze tak.

Odtąd wywoływała — Wisia w Cyprjanie — często „złe instynkty męskie“ — i boczyła się, gdy dostrzegła, że znów została wycelowana. I to też zawsze tak: prowokacja. — Nareszcie wymogła na nim, żeby on wymógł na niej „słowo“; ponieważ zaś nie chciała się na to tak od ręki zgodzić — przedziutko byli „po słowie“. Odtąd już sama zadatkowo obdarzyła go łaską pocałunków; skromne zaliczki pozwalające dożyć do momentu zainkasowania kapitału i otwarcia sefu; idylla perfidii preseksualnej.

Wszystko to, oczywiście, stało się poza plecami pani Kle; lecz plecy niewieście mają oczy; niema na ciele kobiecym takiego miejsca, w którym nie byłoby oczu; męskie ciało jest ślepe. — Pani Kle zaniedbywana nieco w tym okresie — miała oczy dostatecznie wybystrzone — wypatrzyła wszystko, nawet o wiele więcej niż wszystko: przyszłe skutki skumulowała z aktualnymi przyczynami — i rozpoczęły się kiepskie czasy; no bo, odrobinę nieruchawa, Wisia też widziała wszystko i też więcej niż wszyst-

ko: przeszłe przyczyny skumulowała z aktualnymi skutkami. Pod tym względem analfabetki i uczone, głupie i mądre, czarne, białe, żółte i czerwone są zunifikowane.

Zaczęły się kalafutryny i nieznośności, zawsze w tych dualizmach źródło swe mające, źródło niewysychające. Jednym słowem: konflikty! Pierwsze tego typu w życiu Cyprjana. Zaczęło się!

I tak:

z jednej strony, że ona kocha i nigdy kochać nie przestanie; dlaczego, dlaczego tak się zmienił?, no dlaczego! — to okropne! — ale ona wie, o, do brze wie, że on leci na tę głupią gęś —

z drugiej, że jak się to zaczęło z panną z porządnego domu, to tamto trzeba skończyć, że nie można dwie sroki (znowu ptak!) trzymać za ogon — że musi zerwać z leciwym czuczudrem —

z trzeciej, tej cyprjanowej: — zaskoczenie w pierwszej chwili, uczucie gorzkie, że się mimowoli wpadło — potem, wedle dobroci serca, gołębio (ptak!) — tu trochę, tam trochę — — z tego nowe hece i nowe awantury; więc złe dobroci serca rezultaty; — co robić i jak robić? — gmatwanina; kwiczół (ptak!) w sidlach.

Na dobitek pani Kle przygwożdżona wojną, taką wojną!, nie mogła po wakacjach wracać do Krakowa; zainstalowała się do czasu „gdy liście z drzew spadną“ w odrestaurowanym i na mieszkanie przerobionym starym lamusie, posępnej ruderze kamiennej, którą nazwała „paprotką“; bądź co bądź można było inną nazwę wymyślić; lecz ona „paprotka“, noc świętojańska, kwiecie szczęścia et caetera.





Mieszkała więc w tej swojej „paprotce“, o jakie sto pięćdziesiąt kroków od domostwa Fałna, z córkami i chorym mężem, którego również wojna zaskoczyła podczas urlopu.

Gdyby nie to (— to wojnie —) medytował Cyprjan — wszystko byłoby w porządku; — przy tym słowie, wyznać trzeba, zjawiała się myśl w formie pytajnika — myśl ta była niewygodna, wymazał ją prędko —; — Kle wyjechałaby do Krakowa; Wisia wprawdzie też — ale tam to już byłoby łatwiej. — A tak to co? — płacze tu, płacze tam, tylko wilgoć z tego po domu się pleni, grzyb; — pokudlone włosy, drapieżne oczy, złe uszy wrastające we wszystkie drzwi! — Jakież kobiety są wtedy brzydkie! bardzo! a przez wystudzenie popędu ciągłymi awanturami — wydają się jeszcze brzydsze! — W tym miejscu rozważania zaczął Cyprjan używać zespołu słów: „dobre serce“ (to już znamy!), „brak siły woli“, „niezdecydowanie“, „brak przekonań erotycznych“ — i innych —, ale to było wszystko jedno, niczego to nie wyjaśniało; faktem było to, że nie umiał sobie z tymi zaognieniami dać rady i poprawdzie nigdy się nie „naumiał“.

Zdarzenia przyszły z pomocą.

Krotowscy postanowili wyjechać do Wiednia; dlaczego i po co? — nikt tego nie wiedział; oni też nie. Jechało wtedy do Wiednia dużo narodu galijskiego, bliżej cesarza i jego tronu; no to i oni: matka, córki i syn (z tą mapą); nota bene do Krakowa jako do twierdzy — Festung Krakau — zagrożonej inwazją rosyjską nie puszczano już, tylko tak, na kilka dni, za przepustkami.

W przeddzień wyjazdu rzucił Cyprjan w okno pokoju Wisi kilka żółtych, soczystych renklodopó słów miłości; chwyciła je bez uśmiechu; jadła płacząc; okropność. — O zmierzchu spotkali się w „ogrodowej altanie“. Zachód dogorywający pośród dereni i drewnianych krat oświetlił nikłym blaskiem jej postrzępione, jak chusteczka w serdecznej alteracji, pytanie:

— i co pan teraz zrobi? — Przycisnęła dłoń do czoła i wyskandowała złowrogo: — kogucik filucik pocałował i ucik —; poemat ten zerwał w niej wszelkie tamy pohamowania — rozplakała się rzęsiście —

— i co pan teraz zrobi? — co? — Mówiła „pan“ choć przecież już było, „ty“ — lecz te sprawy, te babskie!

— ja? — no muszę zostać —

— a ze słowem naszym — ? — kogucik —
— o, o, o, — oooo —

— nie jestem mydłkiem, wiem co robić! — Gdyby sto lat żył, nie zapomni tego wyrażenia; nigdy go przedtym i już nigdy potym nie użył; skąd się wtedy wzięło? — takie słowo! mydłek! — też!

— więc co? — więc co? — Olbrzymie łzy ściekają jej po twarzy —: a to ten kogucik wraz z zalem, że taki był przymilny a taki szorstki teraz. A on przecież nie chce być szorstki; nie; tak tylko wyszło nie chcący. Nachyla się więc Cyprjan, i mówi w nagłym olśnieniu i w nieświadomionej radosnej pewności, że przecież tego nigdy nie zrobi — no i tak daleko!—:

— przyjadę Wiś do Wiednia —

— kiedy? — Z niedowierzaniem pyta.

— za miesiąc —

Natychmiast uwierzył, że naprawdę pojedzie. I ta pewność poskutkowała. Sygestia uspokoiła ją; bardzo zresztą pragnęła tego uspokojenia.

— więc kogucik nie jest mydłek — ? —

Zdziwił się usłyszawszy to nieprawdopodobne słowo w jej ustach — a że się już uśmiechała — rzekł ponuro w przestrzeń bez granic:

— jakżebym w tym opustoszałym domu, bez ciebie — bez ciebie —

— Cyprjanku —

W altanie zmierzch układał się do nocnego snu. Od strony lamusa począł się sączyć cichy lecz wyraźny szmer, jak gdyby olbrzymi ślimak posuwał się zwirową drogą. Okno w „paprotce“, które stąd było widać już od chwili rozświetlone — nagle zgasło jakby je kto zdmuchnął, lub jakby było oknem, które nakryła powieka.

Dreszcz przesunął się przez plecy Wisi.

— chodźmy już; zimno —

W tej chwili szmer ustał. Gdy wchodzili do domu, zaśmiał się ze szczytu wiązu lelek.

— co to? — zapytała Wisia —

— lelek —

(— znów ptak; — wogóle z tego okresu, su muje Cyprjan, same głupstwa utrwaliły się w pamięci; takie jakieś powiedzenia od siedmiu boleści i ósmego smutku; nonsensy; — a jednak — — to już jest czarodziejska właściwość słów! — — te nonsensy były skuteczne; na krótko, ale były —)

Po wyjeździe państwa Krotowskich, wyjeździe wysoko spiętrzoną złowrogą ilością tobołów —

odwiedził wieczorem panią Kle. — Tak niby spacerem; niechcący niby; bo: unikał; a gdy już teraz trzeba było — miał altruistyczny pretekst przyjścia: chory mąż pani Kle; i — możliwość tę, wierzył, wyjścia, żeby nic. Do tego doszło; nie dziwota; ale przykrość.

Pod załamanymi i przerwanymi nierozumną dobudówką ścian, sklepieniami — to było ongiś w tym lamusie jedna znaczna hala — polatywały, po głosem pobudniające słowa o wojnie. Wszyscy tylko o wojnie mówili i horoskopowali dla siebie wygodnie i wedle jakichś tam sympatii i antypatii; prawie już wszystkie państwa europejskie pozwoliły książkowie poddanym swoim wypruć sobie nawzajem poddańcze flaki dla wielu ojczyzn, które były warsztatami utrzymującymi swe wysokie rządy w sytości, splendorach i bankowych fortunach; rządy kapitalistyczne żywiły się w owych zamierzchłych czasach krwią i nędzą poddanych. Wielka wojna, wbrew nadziejom licznych umysłów, zmieniła to wszystko na gorsze, tamto zostało, doszły jeszcze ideologie; niczego dobrego to nie wróży.

Mąż pani Kle, ciężko chory (anegrysuma verum), blade, o oczach strwożonych, chudy już bardzo — coraz bardziej zwięziona możliwość przelykania pokarmów — namiętnie dowodził, królewiać z pochodzenia, że Rosja musi wygrać,

a pan Kalina — astmatyk zasuszony, z wąsami wypomadowanymi na szydło — palce, wskazujący i środkowy, kciuki też, u obu rąk, żółte, nanikotyżowane, palił namiętnie kręcone, grube papierosy, bibułki „Club“, tytoń „siedemnastka“; kaszlał potwor-

nie; — przyszedł tu właśnie na preferka „zdziałkiem“, bo trzeciego kompana nie było w bliższej okolicy; — a ten pan Kalina to był daleki krewny Cyprjana, radca sądowy, uciekł tutaj ze Lwowa; — wogóle kupa tych uciekinierów przewinęło się przez dom Fałna; — a więc pan radca Kalina kontrował siarczyście swemu przedmówcy, twierdząc, że Austro-Węgry i Niemcy zwyciężą na pewniaka, gadania nie ma! — Rosjanie to banda zbirów, panie ten spod ciemnej gwiazdy, których bóg przcnajświętszy musi ukarać za niecny, zdradziecki napad na naszą monarchię — ; — natychmiast chory zaprzeczał, że Austria jeszcze i jeszcze, ale Niemcy to bydło i horda opryszków; na co znów radca, że co pan ma w głowie, panie ten, Niemcy to wielka kultura, naród jak się patrzy, a Rosja to dzicz i swołocz istna, barbaria, satrapskie plemię; znów tamten; pan nigdy w Rosji nie był! — ten: bóg strzegł, tegoby jeszcze brakowało! — tamten: ja w Pitrze pięć lat mieszkalem, ech, panie, co pan wie, nie można jest mówić o Rosji, gdy się jej nie zna, naród bogaty, kupcy i wszystko, ech, co ja tam panu mówić będę; — radca znów argumentuje: a Wiedeń, panie ten, pan zna? światowe centrum..; tamten zeżłony przerywa: czort z nim! —

Nie mogli się dogadać żadną miarą; a wogóle poniekąd mówili, wierząc, że to Rosjanie z Niemcami się biją; a to przecież było kłamstwo wierutne; co tam chłopca z pod Uralu albo dentystę z Tyflisu miałyby skłaniać do wypatroszenia jelit i mózgu chłopca Turyngii lub filologa klasycznego z Krewinklu? — gadanie! — tak jakby nie istniała konkurencja olbrzym

mich fabryk broni, dla których wojna to szczytowy okres prosperity; żyć trzeba!

Pan aneuryzmem śmiertelnym nękanym i pan radca astmatyk tymbardziej byli na siebie i na poglądy przeciwnika rozsierdzeni, że mieli zgoła różne zapatrywania na preferansa, na reguły zasadnicze, którymi należy się w grze tej kierować, zwłaszcza zaś na końcowe obliczenia, które przecież są rezultatem, do którego się dąży przez wiele pracowitych godzin; jeden z nich był przyzwyczajony do zapisywania „kur“ i „punktów“, drugi do „puli“ i „sztónów“; nidy się im nie zgadzało na końcu; poza tym królewski gardził „mizerkami“, które były rozkoszną gratką dla galicjaka. Tak więc nic ich nie łączyło, a rozdzielało wszystko.

Grze ich i kłótni polityczno-preferskiej przypatrywały się znudzone panienki: Krysia i Genia; Krysia co pochwiła utrwałała oburącz kokardę przy zwisającym na lewą pierś warkocz; Genia patrzyła nieruchomo przed siebie i śliniła blade odęte wargi. —

Pani Kle siedziała w mroku przyściennym mocno wparta w oparcie krzesła; noga za nogę założona; — patrzyła na Cyprjana z coraz bardziej wzrastającym zdziwieniem.

Cyprjan siedział obok grających przy stole w pośrodku pokoju. Na stole lampa naftowa. Przyśluuchiwał się różnicom zdań starszych panów; głosu nie zabierał; poco zwiększać zamieszanie. W pewnej chwili usłyszał — znał je już! — ciche brzęczenie pod sufitem; jakby dwie osy obijały się o twardy mur. Zbladł.

— niechże pan już wychodzi — co pan zlicy

tował? siedem ker — ? — no więc, patrz pan z czego pan żyje a nie tam Rosję obszcze kiwać —

— Moskałe, panie ten, sparszywieliście tam wszyscy, sparszywieli —

(— a Wisia się tam tłucze, całą noc, a może i przez dzień jutrzejszy tłuc się będzie — teraz z tymi kolejami —)

— a wy niby co, Austrowcy, czekoladki Weś dla — a — ? —

Brzęk pod sufitem wzmógł się gwałtownie.

— myśmy tu mieli wolność, panie ten —

Skrzypnęło oparcie krzesła pod ścianą.

— czemeś pan wyszedł, tak nie można jest, czemeś pan tu wyszedł — przecież teraz piki! —

— toczem karo zapowiadał —

— gadaniel — ja powiedziałem ker, a panes na wyższe piki przeszedł —

— taki karo ja gram —

— nie!

— a tak!

— nie!

— a tak!

Rzucili karty na stół; rozleciały się po pokoju;—
— — W tym momencie oczy pani Kle osiągnęły szczyt zdziwienia.

Kryśia przerzuciła warkocz na plecy, schyliła się leniwie i poczęła zbierać karty z podłogi.

Anewrysta począł ciężko dyszeć; astmatyk za niósł się kaszlem.

Genia patrzyła, ukryta za umbrą lampy, pilnie na mrokiem odgradzoną matkę; najpierw powoli, a potem coraz szybciej poczęła „huścić diabła“ chu-

dymi nogami; na policzki i szyję wypełzły jej czerwone plamy jak duże liszaje.

Po ataku gwałtownego kaszlu, pan radca sądowy Kalina, kręcąc rozdygotanymi palcami, grubego jak serdelek papierosa z „siedemnastki“ w bułce marki „Club“, powołał na świadka sumarycznego, mającego bezstronnie potwierdzić i słuszność jego cesarskokrólewskich tez historiozoficznych i trafność wyjścia z karo — Cyprjana.

— a co ty na to? — młody jesteś, panie ten, bystrzej patrzysz — powiedz —

Cyprjan po namyśle odrzekł w stronę sufitu—:

— biomalc z chrzanem —,

a to było takie powiedzonko uniwersalne wtedy, które oznaczało generalnie wszystko i nic; — co jakiś okres napataczają się w potocznym słownictwie takie bzdury; n. p. „uj, zgadza się“, albo „no ja bą“, lub „jak ta lala“, „nóż a widelec“, „ręka noga mózg o ścianę“ i t. d. — obiegają one wtedy miasta i wsie, zarażają młodych i starych, wciskają się do wygódek i gabinetów ministerialnych, wszędzie są jak szarańcza, diabolo, bi-ba-bo, jo-jo i inne epidemie koklusu, grypy, jaglicy i ślepej kiszki; — a ów biomalc to był jakiś wtedy skuteczny lek na niedokrewność, jak nieprzymierzając dzisiaj owomaltina; lek taki w czasach wojen jest bardzo ważną rzeczą, łatwo wtedy o anemię; a że z chrzanem, no to właśnie całe głupstwo.

Wysierdziwszy się poczęli gracze na nowo.

Zabawny rytuał tego, panie ten, radcy Kaliny.— Podczas zbierania kart odkładał papierosa na brzeg stołu — zawsze uprzednio zmiatając odstawionym

małym palcem pył z tego miejsca — a ponieważ przed tym zaciągał się suto i głęboko, niejako na zapas — wypuszczał długo dym w ten sposób manipulując dolną wargą, że błękitny opar z szumem przedzierał się przez gąszcz wąsów, które dymiły jak zagajniki mgłą w październikowe poranki.

Na ganku — Cyprjan już wychodził, oszołomiony docna tą wizytą — czekała pani Kle.

Z miejsca napadła na niego —:

— jedziesz za nią do Wiednia! —

— ja? — Zdziwił się; pomyślał, skąd ona to już wie, kiedy nikt nie wie; raz jeszcze dla pewności powtórzył:

— ja? —

— ty! ty! — a któżby? — może ja? —

— nie, tego nie przypuszczam, lecz skąd takie myśli — ? —

— to nie myśli! — ale tu! — Wskazała na lewą pierś.

— gołąbki — ? — Próbował zażartować —

— o nie! — nie gołąbki — to krogulce! —

(— zamglawiło: znów ptaki! — i ta druga kośnotatka: kobiety myślą sutkami i waginą; użył zresztą słów innych: c... i p...: — stąd takie nieomyłne w tym co je naprawdę interesuje —)

Wyrażenia te obronne, jak wszelkie nie m ó s w i o n e wyrażenia — nasunęły splot zjawisk wyobrażeńowych, który migiem przestoczył się w zespół życzeniowy — więc przygarnął panią Kle nagle i wycalał; mimo gęstiej już nocy przymknął oczy; — ponieważ ona zawisnęła na wargach łakomie i przewlekle, przeto miał czas skonstatować: nieomylny znak! zawsze za

mykam oczy przy całowaniu, obojętne co i gdzie, gdy to już mija.

Z tymi myślami wracał do domu; w połowie tej krótkiej drogi, wydało mu się, że znów słyszy za sobą ten sunący, zwirowy szmer co onegdaj. Przystanął; szmer ucichł.

W tych tygodniach napisał kilka erotyków do Wisi, skomponował do nich melodie; wygrywał je po nocach (na fortepianie), żeby Kle nie przychwyciła go na tej przewinie; znowu byłyby pytania: wykrętne odpowiedzi; niedowierzania słuszne; — miał już wyraźny przedsmak tych tysięcy kłamstewek, łgarstw, wybiegów, nowelizacji zdarzeń, krycia się, ukrywania z lada drobiazgiem i głupstwem splunięcia nie wartym. Zmora życia! Kochać się odczeka! — ale wtedy wogóle życie niema sensu; lepiej sobie zaraz.... wyciąć i śpiewać sopranem w kaplicy sykstyńskiej; albo za rzezańca do haremu; psiakrew! cholera! —

(— o wa! już choćby z tych nieco krańcowych wyrażen widzę jak te sprawy daleko zaszły! — no, a co będzie potem! —)

A z panią Kle — ? — cóż, owszem, czasami czemuż by nie? — Powiedział, że do żadnego Wiednia ani myśli jechać; też coś!, — no bo po co? zastanów się, jakieżby to był sens w takiej, jakbyś ty, kochanie, powiedziała, eskapadzie? no nie? —

Wobec takiego kategorycznego postawienia sprawy słał do „żadnego Wiednia“ listy czule i pełne sentymentu nawiedzającego nas zawsze, gdy „objekt“ znajduje się daleko, i jeszcze pełniejsze nadmiernie obowiązujących zapewnień — tu też gorli-

wość bywa proporcjonalna do oddalenia —, że przyjedzie napewno, lecz musi tu przedtem to i owo załatwić — zawsze wtedy jest taka masa interesów niecierpiących zwłoki —, że ona musi zrozumieć, że serce się wyrywa, ale że wojna! — Wtedy się na wszystko mówiło: wojna! tak jak dziś: kryzys, „stary zatwardziały kryzys“ lub: wyścig pracy; — osobiste niedomogi maskuje się niedomogami ogólnymi, to sprawia ulgę — o ile się nota bene nie wie, że to ma sprawić ulgę, w takimto razie całe wytłumaczenie staje się pospolitą mistyfikacją; nieświadomość, jak w wielu wypadkach, tak i tu jest błogosławioną morfiną; bez niej stajemy się sceptykami i cynikami, czyli przemieniamy postawę „bezpośrednią“ na ironiczno-tragiczną. Tak to teraz komentuje. — Wysłał też — gdy o tym znów teraz w szpitalu myśli, śmieje się i rumieni, bo też rzeczywiście! — list, wysłał list z narysowaną piórką margeritką, której płatki były tak obliczone, że musiało wyjść na „kocha“; wieczne i nieustające zapewnienie, jak wieczny kalendarz w starych atlasach n. p. „kalendarium Juliano-Romanum perpetuum“ znajdujące się w pięknym sztychowanym i barwionym atlasie geograficznym i kartografa augsburskiego (ośmnastowieczny, niemiecki Bozewicz i Romer) Tobiasza Conrada Lottera z r. 1774. — Wszystkie listy (i kartki) przechodziły wtedy przez: k. u. k. Militärzensur — dziwne, że cenzor nie dopatrzył się w tym symbolu faustycznym jakiegoś szyfru! — no i wogóle: wojna — margeritki! — dajcież spokój!!

(— Jak ja swoją drogą ten wyjazd umotywo-

wałem? — nie pamiętam, — głowi się Cyprjan —
nic nie pamiętam —)

Lecz wyjechał; — napewno jakoś tak, że niby
nie do Wiednia; to pewne; naturalnie; — aha, aha! —
już wszystko wiadomo! tak, tak, —: nadszedł roz-
paczliwy list od przyjaciela, artysty malarza Ludka
udręczonego już śmiertelnie w kadrowych kaźniach
morawskich — list z Zauchtel — dziś i wtedy też:
Suchdol; — Cyprjan skwapliwie skorzystał z okazji;
wyjechać musi; przyjaciel! naprawdę przyjaciel! —
pobędzie kilka dni i wróci.

Wierząc nie wierzyła w żadne z bujnych i zbyt
wysokich słów, pani Kle. — Powiedział jej też,
głaszcząc ją po twarzy: jak pojechał tak przyjedzie,
jak cię kochał tak i będzie; — sam się tego wstydził,
ale co było robić w takiej sytuacji — co? — intu-
icja i doświadczenie mówiły mu, że to pomoże. I po-
mogło, w tym momencie przynajmniej. To było w ja-
kieś dwa dni przed wyjazdem, to spotkanie. Reszta
czasu zesła na jakim takim pakowaniu i przyładzaniu.
Kle nie przychodziła. W dniu wyjazdu rano przybie-
gła Krysia —

— czy tu niema mamy — ? —

— nie, bo co — ? —

— wczoraj mama powiedziała, że idzie do lasu
przejść się i nie wróciła —

— jakto, przez całą noc jej nie było — ? —

— nie było —

Na płacz jej się zbierało, lecz przypomniała so-
bie coś, co cofnęło łzy —:

— wie pan, wczoraj się do nas przyplątał śli-
czny kotek — skądeś przyszedł, wyskoczył na szafę

i stamtąd patrzył na pokój — wołaliśmy go, ale nie chciał zejść — dziś chlpał trochę mleka i wybiegł tymi stromymi schodkami, wie pan, co to w sieni — na strych —

- Krysiu! Krysiu! —
- co to? mama woła —
- no więc jest — ? —
- Krysiu! Krysiu! —

Wybiegli przed ganek — w strychowym oknie lamusa stała pani Kle, blada i rozczochrana, jakieś stare, leniące się futro miała zarzucone na ramiona —

- Krysiu, chodź tu zaraz —
- idę, mamusiu, idę —

— — — — —

Droga była straszna! — jechał kilka dni; ciągle postoje; na ładajkiej stacyjce zatrzymywał się po ciągu godzinami zepchnięty na boczny tor; cywilbanda może czekać; przepuszczano głównym traktem pociągi z wojskiem; „Gift auf Serbien“, „Gift auf Russen“, — z amunicją; dudniły i chręściły armaty na platformach jak somnabulicznie wyprężone olbrzymie, czarne, lśniące pijawki. — Pociągi pełne jęków i rozpaczliwego wycia — ambulanse — ranni! — Pociągi z napisem „cholera“. Okropne! Okropne!

Ludka już w Suchdolu nie było; całą kadrę przeniesiono do Insbruku; miał urlop, będzie czekał na dworcu w Wiedniu. Taka wiadomość.

Cyprjan pojechał dalej.

W Wiedniu na rozległym dworcu północnym wszystkie poczekalnie, kurytarze, przejścia zatarasowane rannymi i konającymi — — półludzie: bez nóg, bez rąk, z roztrzaskanymi szczękami; przestrze-

lone szyje, płuca, rozwalone brzuchy z siniejącym rojowiskiem jelit; — poobwiązywani i pobandażowani byle jak i całkiem źle — tyle, żeby utrudnić konanie, przewlec mękę.

— oto, spójrz, wojna —

— ostatnia nędza i poniewierka ludzka —

Szli pośród tych okropności, przekraczali ciała zastygłe i wijące się w agonii. Wolne przejście było daleko za dworcem u wylotu ciemnej, bocznej ulicy. W załomie jakichś szop i przybudówek w zatarasowaniu starymi niezdatnymi już wagonami — było miejsce odosobnione i okratowane gęsto gmatwaną drutu kolczastego. Wartownicy z błyszczącymi bagnetami chodzili dookoła tej klatki z której wydobywały się zwierzęce wycia, przekleństwa, szloch, śmiechy i zawodzenia. — Tu zamknięto tych, którzy oszaleli na froncie. W małym świetle latarni gazowej widać było siedzące, pokurczone postacie, żołnierzy wyjących i bijących pięściami w ściany i zasieki kolczaste — pokrwawionych, o oczach strwożonych do ostatka. W kącie klęczał mężczyzna z siwiejącą brodą — wychudzony jak kościotrup — bił się w piersi, wył i zawodził:

— i odpuść nam nasze winy — i odpuść nam nasze winy — kyrie elejson — pomiluj Chryste —

Nagły krzyk przedał powietrze i zawisł na chwile nad tą Gehenną człowieczą:

— matko!!! —

Gdy Cyrjan i Ludek mijali w popłochu myśli to miejsce — powstał wśród obłąkańców żołnierz młody jeszcze, głowę miał przewiazaną jakąś szmatą ciemnego koloru — rękaw bluzy oddarty — i

tak tą białą, nagą, chudą rękę podniósł w górę —, głosem niskim, załamującym się w glucho dudnienie, to znów nagle wystrzelającym w krzyk piskliwie — przemawiał do jakichś fikcyjnych wielkich rzesz —:

— do was mówię, bracia, do was zamkniętych widnokręgiem! — Słuchajcie! — ! tu bije chore serce ziemi — tu ono bije ostatkiem sił — tu! — nie tam gdzie sztaby generalne, dowództwa armii, panowie z ciepłych kwater! — tu! — nie tam, gdzie się mówi dywizja, a nie człowiek, gdzie się mówi pułk, a nie człowiek, gdzie się mówi jednostka bojowa, a nie człowiek; — bracia, zamknijcie widnokręgiem — tu bije serce ziemi — słyszycie! — Szuch — szuch — szuch — szuch — — słyszycie! tu bije chore, przerażone serce ziemi — — ja, człowiek, jestem sercem ziemi!!

Skupili się koło szaleńca więźniowie — zgrozmadzili się wokół tej białej, podniesionej, trzęsącej się ręki — — I znów ten krzyk:

— matko!!

A ten z głową przewiazaną rudą szmatą — podnosi głos, krzyczy i wyje:

— zbrodniarze! Przekleństwo wam, którzy wojnę przygotowujecie, przekleństwo złudzie, którą nazwaliście ojczyznę, aby w jej imieniu kaleczyć, zabijać i mózg zatruwać obłędem! — tu bije serce ziemi — — bracia zamknijcie widnokręgiem — słuchajcie! — powiadam wam: idą czasy wyrównania — biada żyjącym w on czas. — Szaleńcy podnieceni waszym i psalmicznym jękiem obłąkańca — rzucili się ku kracie kolczastej i poczęli na nią napierać — jęki i krzyki wzmogły się — już nie ludzie — rojowisko

wściekłych zwierząt — — tedy wartownicy poczęli
po przez kratę naoslep kłuć bagnietami w gąszcz
ludzką — — tuż przy zasięku zaskomlało: matko --
matuś — matuś — — — — — — — — — —

W czarną otchłań wyciągała się biała ręka—roz-
wierały się szeroko palce to znów zaciskały w pięść—
i było, jakoby domacać się chciały żywego serca
w tej nocy strasznej, która nakryła świat. Natrafiały
na pustkę.

— — — — — — — — — —

A to już obchód wieczorny.

Wchodzi zakonnica, siostra Matylda, siostra
śmierci; wydaje się bezlitosna, wydaje się zła.

Pozakładała wszystkim termometry pod spo-
cone pachy; cóż to? cóż to zaś nowego? trzydzieści
siedem i dziewięć kresek, prawie trzydzieści osiem—?
— z czego — ? —

— przeziębilem się pewnie — tłumaczy Cy-
prjan.

— wychodził pan wczoraj, prawda — ? —

— tak —

— no to tak, trzeba uważać — stąd raz dwa na
drugi świat się jedzie —

— tak —

— ekstracugiem — wsmiewa Włodek — jak
mówią w jasełkach — takie z dzieciństwa pamiętam—
gdy diabeł po Heroda przychodzi, powiada: a teraz
ekstracugiem wio do lucypera —

— tak —

Siostra Matylda dysponuje:

— a jutro rentgen, dziś lewatywa, nic nie jeść,
zastryk pan dostanie, sama zrobię —

Takie polecenie.

Cóż robić! — wsławił się tutaj Fałn jako „nadzwyczajny pacjent“, taki co to „idzie wyleczeniu na rękę“ — zniesie i to. Przed trzema miesiącami było gorzej; cóż tam teraz; głupstwo.

A swoją drogą — nerwy są rozklekotane jak klawisze w starych organach. — Denerwuje ten już trzejszy rentgen; — takie głupstwo! — Niepotrzebnie też ktoś mówił, że gdzieś tam źle włączono prąd i pacjent fiut, jak na elektrycznym krześle. — Nonsens; fobia! — nigdy się nic podobnego nie zdarzyło; choć kto wie! — mało to lekarze ukrywają gaff i wpadunków? — Ale tu przecież wszyscy zainteresowani; taki pacjent! pisarz! — po prostu chluba szpitala; niema co: sława!

Lewatywa; antypatyczny zabieg — i to: pieślęgniarka! — niby nic — cóż? — organizm, funkcje, zdrowie, choroba — niby nic, a jednak! — samemu się dobrze nie robi — zresztą to jakaś specjalna, taka przed rentgenem z czymś tam.

No — minęło już; — tylko jeszcze ten rentgen jutro.

Spał źle. — Sto diabłów z tą neurastenią! — Kilka godzin kiepskiego drzemania; potem już ani oka zmrużyć; papierosy tylko — przynajmniej to. No i sposobna chwila do przejrzenia albumów Grosza; cóż za wspaniałe, nieomyłne w śmiałej syntetycznej linii, rysunki. To mistrzostwo przede wszystkim uderza; a tematy? — czujność instynktu społecznego fenomenalna — nędza i wyzysk, psy kopane i rekiny, finansjera i głód, militarizm, zbrodnie, podłość, buta, gniew i krzyki buntu; jakież

ciężkie brzemie artysty, gdy się tak precyzyjnie, tak straszliwie jasno widzi! — I rzecz jasna i konsekwentna, że wobec tego widzenia i przewidywania — na ileż lat, zanim się stała symbolem barbarzyństwa, dostrzegł swastykę na piersiach idących tłumów — ? — ma się tylko wyśmiew i pogardę dla „ucieczki od świata“ poetów liryzujących rzewnie ponad cierpieniem ludzkim: — unosi się taki tłuściutki bubek-aniolek ponad profanum vulgus, z śliniaczkiem na genitaliach, ach taki czuły, wstydlivy, dyskretny! — pępek jedynie wiódoczny — no, bo to jego środek świata, pępkoman, omfaloskopista; indywidualista, jaźniowiec, „samotność, cóż po ludziach“ — bambino z mgły i piany, mamin synek bezpłciowych muz. — Genialny ten Grosz!

— — — — —
— — — — —

A z tego tam Wiednia to się nawet sporo konkretności odpomina:

(— papieros —)

ulica spadzista, brukowana; dzień wycieplony, choć to już przyzimowa pora; słońce świeci skośno — cienie długie, rozłożyste — wnet też tu w tej okolicy, zachodzi za wielopiętrową kamienicę — światło gwałtownie żółknie i odcina ostro i jaskrawo atyki domów: płoną jak roztopione złoto, są lotne i niematerialne — a poniżej pas cieniów gęstych, liłijowy, efekt aż teatralny. — Taką to ulicą na dalekim, we wzgórza wznoszącym przedmieściu idzie Cyprjan z olbrzymim bukietem w ręce — nie zawisnęła mu tego kwieciarka w bibułę — przepraszała, powiada, że i kwiaty też takie poprawdzie wybierki,

ale dziś na wyrypy kupowali ludziska, a to panie przede wszystkim, bo miejscowe pułki, zwłaszcza zaś konnica, dragoni nasi ukochani, na front idą, dużo tego idzie, a co do bibułki to wyszła; — więc tak z tymi obnażonymi kwiatami parady; wstyd doprawdy; — do tego to osobliwe oświetlenie ulicy — łatwa i natrętna asocjacja; nigdy się tego nie zapomni; kwiatów już nie będzie, o co nietrudno bo stworzenia to niewytrwałe, mimo, że je Wisią pieczołowicie w pudełku z kapeluszami przechowuje — a pamięć, a w pamięci zostaną — w tej formie właśnie, razem, w fantastyczny, groteskowy bukiet spięte; — a tu jak na złość do tramwaju kawał drogi, a na dorożkę nie starczy — bo te kwiaty; — wogóle lepiej pieszo iść; — lecz znów tak przez cały Wiedeń?! — wojna! — a on z kwiatami — i to tak!

Istotnie zwracał uwagę tym barwnym wiechciem: trochę goździków, kilka mętnych róż, gałązki mimozy, trzęsionki jakieś, asparagus też, wszystko na tle paproci. Przechodząc obok jednej z bram, przy której stała sobie plotkująca gromadka chłopców i dziewcząt usłyszał:

— jo, schau mal, der ist ganz gewis auf Heiratsfüssen —

Nieprzyjemne. Cholery wszystko wysznoczą i obśmieją; możeby tak lepiej środkiem iść? — ale jakże tak jezdnią!

Skręcił teraz w ulicę szeroką — trzeba ją przejść wpoprzek; lecz mowy o tym w tej chwili nie ma! — po obu stronach natłoczone, gęste szpalery ludzi — środkiem maszerują pułki; na front! — idą czwórkami ludzie zmęczeni i zrezygnowani, ska-

zani na długie męczarnie i na śmierć; nad bączkami
chwieją się dębowe listki, na piersiach bukietiki
kwiatów —

— rozumiem takie małe — ale ten! —

na ciakach wstążeczki z napisem „zum zweiten
Mal auf die Front“, „zum dritten Mal auf die Front“
— ten „zum dritten“ miał większy bukiet od tego
„zum zweiten„ —

— trzebaby chyba dwieście razy iść na front,
żeby takie bukietisko zawalić jak to moje —

Już go złość napadała.

Na dobitkę, po forsownym przeciskaniu się
przez cizbę ludzką, która gniewnie reagowała i na
bukiet i na jego właściciela — — co to jest tak się
pchać i przeszkadzać — — trzeba było wreszcie
przystanąć, bo przejście teraz docna zatarasowane.
Szpalery żegnały juchecowaniem bohaterów idących
na rzeź; krzykami i oklaskami oddalali widocznie
od siebie wzgardę i nienawiść czającą się w spoj-
rzeniach żołnierzy: — oto ci tam stojący radują się,
że nie oni konać mają w gnijących rowach i w pa-
ściach drutów kolczastych, — że tym tu nam idą-
cym powierzyli honor konania i męki, powierzyli
groźbą i przymusem —

Padają pod zbolale nogi skazanych na śmierć
spermatowórczych mężczyzn — kwiatuszki; powiewa-
ły chusteczki! — Było coś potwornego w tym kon-
traście pędzonych na ubój skazańców a tą bezmyśłą
pychą życia żegnającej ulicy.

Jakaś starsza jejmość stojąca za Cyprjanem
rzekła z przekąsem:

— dies schöne Buke sollen sie unseren tapferen, lieben Soldaten zu Füßen werfen —

Do tego doszło; ładny gips! — Nie bez trudu usunął się spod ostrzału ocznego tej patriotki; towarzyszyły mu ironiczne spojrzenia, uwagi i śmiechy.

Przystanął już nieco dalej na rogu obszernego placu, zamkniętego naprost olbrzymim budynkiem, pałacem jakimś, czy koszarami — coś w tym rodzaju.

W wyobraźni, tak dotkliwie ekcytowanej przez uliczne społeczeństwo, zobaczył ten swój skarb (psiakrew) deptany i roznoszony po całej jezdni ciężkimi buciarzami, na miazgę zmamlany; — z czułością spozjrzał na kwiaty; wędzną biedaczyną.

Teraz dopiero zauważył — (— okrzyki — hurra! — powiewanie kapeluszcami i chusteczkami — rozmowy widzów ożywione, telegraficzne: to ona, tak, — tam? — tak — arcyksiężna Gonzaga — — już! już! — jedzie pułk gwardii — już! — och, ach — jaki piękny — ach! — wspaniały! —) — że to nie zwykły przemarsz lecz raczej defilada.

W przerwach ruchliwych pomiędzy głowami i ramionami, stojących przed nim mężczyzn i kobiet, dojrzał fragmenty tego widowiska. Imaginacją dopełniał i wypełniał luki powstałe z niedostatecznej obserwacji; ciasne pole widzenia rozszerzał znacznie obrazami kreślonymi myślą żywą i zwinną.

Arcyksiężna Gonzaga (— już coś o niej w kawiarniach zdołał zasłyszeć; mówiono o niej: „wunderschön und männnersüchtig“ —) — odbierała defiladę konnicy. Piechota już kończyła przemarsz; nie wzbudziła w niej zresztą żywszego zainteresowania.

Była piękna; zdobywca. Włosy czarne, oczy ogniste, madziarskie; usta czerwone, małe, nieco wydęte. — Siedziała po damsku na smukłym, karym koniu; bogaty w herby haftowany czaprak. Jej strój: amazonka; szef pułku; złote szamerunki na czerwonej bluzie, duża gwiazda pod lewą piersią; w pasie zesnurowana, piersi wydatne. Spódnica ciemnogatowa, sutą; na głowie toczek futrzany, z boku biała kita, jak mała zamrożona fontanna. — W całym wzięciu despotyczna i niecierpliwa. Udziela się to koniowi, niespokojnie drepce i rzuca głową. Trzyma go więc krótko, szpicrutą uderza po szyi. Pysk konia spieniony.

Fanfary! werbel!

Zbliża się pułk — ostro rusza — zatętnił bruk.

Prowadzi młody pułkownik, graf Salm.

Wypogadza się oblicze arcyksiężnej. — Prawia się na siodle — z widocznym zadowoleniem i samicyą pychą konstatuje, że jej krągły, twardy tyłek przylega elastycznie do grzbietu końskiego — i — , że tu oto przed tym błyskotliwym salutowaniem dowódcy, oficerów i gwardyjnych, tęgich na schwał chłopów rozchylić by mogła uda — i — , że pomiędzy nimi...

Przez drgające, dopół źrenicy opuszczone powieki (— brwi wysoko złuczone —) patrzy, bacznie śledzi, rozkoszuje się — : — jadą — sto — dwieście — pięćset — tysięcy — u każdego przy lewym udzie spodnie obcisłe lekko wzniesione — — tam to jest — — i wiadomo: też lewe cięższe opada nieco niżej — — Wyborowy gwardyjski pułk; — same ogry — czarne — dobrane — o jądrach aksamitnych,

napiętych — — a nad nimi tamte żołnierskie, męskie — . — Nozdrza ruchliwe czują tę ostrą, zwartą woń.

Teraz orkiestra w wspaniałym, dekoracyjnym ordynku — czerwono — złote pelerynki na ramionach — trąby i kotły, czynele i dzwonki.

Krótką komenda — znak — : galop!

Rozchylają się małe, wydęte, purpurowe wargi — wyblyskuje wśród nich wąski pas lśniących zębów.

Galop — galop — galop — ! —

Z soczystych mokrych warg arcyksiężny Gonzagi pada w szeregi gardlany szept — w rytm kopyt, galopu — : jądra — jądra — jądra — — — Móc je wyrwać, z żywego ciała wyrwać — koniom i ludziom — usypać krwawą, dymiącą na tym chłodzie, piramidę — zedrzeć ze siebie wszystko i nago wystarzać się w ich ciepłej krągłości i odurzającym czadzie! — — Galop! — jądra — jądra — jądra — —

Konnica przedefilowała.

Równym twardym krokiem wkracza znów piechota.

Arcyksiężna wraz z świtą zawraca szybko; udzera konia w kłęb, spina ostrogi; odjeżdża.

Tłum uliczny klaszcze; krzyczy: hoch! — suje za nią jak grochem o płytę blaszaną wielokrotnym hurra! hurra! hurra!

Teraz idą skazańcy: piechota. — Cóż tam, wiadomo, ten pułk gwardii konnej nie pójdzie na front — on tylko tak — dla animuszu, dla splendoru, dla podniesienia ducha w narodzie, dla upewnienia, że...

Teraz idą ci „zum zweiten Mal“, „zum dritten Mal“ — komu się z nich uda raz jeszcze śmierci z gardła wyrwać — ? —

Patrzy Cyprian — zrezygnowany i zmęczony — pot ścieka z czoła na powieki — , że się już wreszcie wszystko mgli i zamazuje — — z tego też zapewne powodu widzi oto drugi wielki przemarsz — wsteczny — idący od przeciwnej strony ku temu — tu — „zum zweiten“, „zum dritten“ — . — A który rzeczywisty? — — Maszerują pułki widm bladezielonych, przeźroczystych niemal, z rudymi ranami na czole, na piersi, na brzuchu — — pośród nóg i rąk idą same kadłuby — idą i nogi same posłuszne, wdrożone, dźwigają strzępy bezużytecznej już męskości — — tu i tam opada zgniłe mięso z twarzy — bielą się czaszki — oczodoły, szczęki — — i to jest jak śmiech, śmiech powracających z wojny żołnierzy — ; — teraz oni się śmieją, zwracają obywatelom ich radość owego dnia, gdy wyruszyli „zum zweiten“, „zum dritten“ — ; bez długu, ziomkowie, bez długu! — — Smugami złodowacialej tęsknoty wracają teraz — prowadzi — kierunek ręką wskazuje — oficer z wysokim za odwagę odznaczeniem na szyi, bez głowy, krzyż uderza o żebra chroniące wygniłą pustkę — prawa noga — kikut przegniły bierze rozmach do tryumfalnego kroku: retour, retour à la patrie — — Upierne widma przecinają się z żywymi, przesączają się — pierś w pierś — twarz w twarz — przechodzą przez płynącą żyłami krew, przez bijące serca, przez strwożone mózgi — przechodzą jak zmaterializowane fale przez żywych, — czy żywi przez nich — jak przez opar, przez mgłę,

przez cień — — wracają! już wracają! wracają bohaterowie do milej ojczyzny, do łąków zbóż, ruczajów srebrnych, kwiecistych łąk, chłodnych, wonnych lasów, do ojczyzny rozległej pod modrą kopułą nieba — do domów, do chat, do izb, do dzieci, do żon — do matek wracają — — —

Ponad umarłymi i żywymi rośnie ogłuszający szum — wzmaga się, rośnie, potężnieje — ogłuszający szum wodospadu walącego ze stromych, wysokich skał w przepaść bez dna — — — — — — — — —

Opustoszało.

Cyprjan powlókł się dalej.

Doniósł wreszcie ten bukiet na Heizingergasse obok parku na wałach tureckich — i tu pod wysokimi drzewami wypisana jest kościana historia wojny; i tu; wszędzie.

Doniósł; — na drugi kraniec miasta! — spocyny, drżący ze znużenia; — pod koniec drogi obłądne myśli namawiały do rzucenia tego psiarstwa, położenia się gdzieś pod ścianą; niech się co chce dzieje!

No — ale warto było tego wszystkiego, tego trudu i tego, między nami mówiąc, wstydu, którego się najadł po wszystkie czasy;; taka głupia natura ludzka; no bo i cóż wielkiego? bukiet dziewczynie nieść — ? — W tym cały sęk, że okoliczności postronne, towarzyszące tej, skąd inąd lirycznej raczej i naiwnej czynności, były niesprzyjające. To wszystko.

A warto było! — Wisia uradowała się bardzo; wycalowali się w ciemnym i zagęszczonym niepojętymi gratami przedpokoju; okrutnie się wycal-

wali; — ona go nawet w rękę — w tę, co (przeważnie) niosła ten oplakany wiecheć; była nawet tak łaskawa, że powiedziała: „ach! jakie śliczne goździki czerwone!“ o różach nie wspomniała, czym wykazała wiele taktu; takie rzeczy się pamięta! i jeszcze powiedziała: „co cię też podkuśiło, chłopaku!“ — gdyby znała pochodzenie tego czasownika, zdziwiłaby się trafności swego wyrażenia, lecz może wtedy nie użyła-by go!

W Wiedniu zakochał się do reszty; codziennie widywali się z Wisią; w nowych odmiennych warunkach; w obcym mieście; wtedy ludzie lgną do siebie; to sprzyja rozwojowi uczuć; uwylącznia je. —

Chodzili tedy po galeriach i muzeach; całowali się przed „Salome“ Klimta i przed „Ganimedem“ Corregia, przed „Io i Iupiter“ też, i przed licznymi Rubensami i wspaniałymi Rembrandtami i przed anemicznymi księżnymi tak płytko i zwiewnie malowanymi przez Velasquesa, nawet przed pejzażem Courbeta, takim niedużym z ślicznie modrym jeziorkiem — wogóle przed wszystkimi mistrzami świata; całowali się. Dobrzy, wyrozumieli mistrzowie wszystkich wieków, pochwalali te naturalne czynności, które już wożnym — o ile przydybali tych dwoje — wydały się niecenzuralne i dojrzałe do konfiskaty; biurokracii! — I zaraz też za tą, mistrzów mądrych przychylnością dyskretną podąża największą jaką kula ziemską rozporządza, nagroda: kocha się ich dzieła, rozumie i pamięta na całe życie; miłość ułatwia wiedzę i rozwiera wszelkie tajemnice; czar zjawisk przyrodniczych i ich przedłużenie: dzieła sztuki — należy chłonać w stanie zakochania; in-

czej nie warto (chyba że od urodzenia upośledzeni jesteście antykwaryzmem). Niestonizowany, niesynchronizowany organizm jest zdolny tylko do suchych statystyk. Do sztuki nie wolno podchodzić bez zainteresowanych jąder. Zrozumienie sztuki, a może wszelkie zrozumienie, ukryte jest w komórkach żołądka i klitoris; to są anteny.

Cyprjan i Wisia byli narzeczonymi; on nosił jej pierścionek ze szmaragdem ona skromniejszy z prostokątnym granatem, miał go po matce.

Czy ją kochał tę Wisię — ? —

Czy ją kochałem? — powtórzył półgłosem; złożył ręce za głowę, westchnął głęboko; Włodek poruszył się na ióżku — więc cicho! cicho! — — Medytuje, sumuje, zestawia. — Poprawdzie nigdy na to pytanie nie umiał odpowiedzieć; wszystkie kobiety, które „kochał“ (— w myślach wyraźnie zaś znaaczył cudzysłów) nie podobały mu się z początku; niektóre nawet zupełnie wydały mu się brzydkie; — więc to „od pierwszego wejrzenia“ to bujda na starszych resorach; — a potem, gdy przez dłuższe obcowanie, uczucie (czułość i pociąg) wzrastało — też nigdy tej pewności nie miał; — bowiem przestawanie à la longue z „ukochaną“ (znów ten cudzysłów tu wmyślił) nużyło go zawsze i niecierpliwilo; oddalenie wzmagało tęsknotę — lecz do pewnych granic! zbyt wydłużające się rozdzielanie osłabiało ją (tęsknotę) znacznie; stosunki płciowe z innymi, po za tą „jedyną najdroższą“ (— skwapliwy cudzysłów! —) nie zmniejszały pociągu do niej; przeciwnie: wzmagały go; tak się to nawet — konstatuje

wyraźnic — dopełniało; stosunek z i k s wzmagał ochotę na stosunek z y p s y l o n, i vice versa.

Stanowczo, panie Cyprjanie (— nalega tą perswazją, przekonywuje siebie—) można kochać (—zapomniał o cudzysłowie—) kilka kobiet naraz, bardzo, jedynie, wyłącznie. To mogą być zgoła doskonałe miłości o bardzo prężnym naboju uczuciowym. — Wierzej mi Cyprjanie! — Wierzysz? — Cyprjan milczy; — po chwili wszeptuje od niechcienia: a... gwarancje „szczęścia“ — ? (— obaj nadmiernie szafują cudzysłowami) —; ach, odpowiada Cyprjan, ech, ba, powiada, to są problemiki obyczajowe, — i przez to nieco rozwlekłe zawile, że przecież nie wiemy co to jest to „szczęście“ (— ufam twemu sceptycyzmowi, mam nadzieję, że słowo to obdarzyłeś należnym mu cudzysłowem —; w nagrodę skreślam pytajnik; konstatuuję tylko) — dla każdego (— jako pojęcie samo! uważasz —) inne, i w różnych warunkach też różnoznacne. — Wszystkie kobiety, obydwaj to wiemy, zwykły w pewnym momencie -- a przeważnie wtedy, gdy się na nich wydechuje resztki dogasającej w organizmie rozkoszy... To piękna chwila! westchnął Cyprjan; — drugi dodał dydaktycznie: proces ten, jak wiesz, trwa u kobiet znacznie dłużej... więc przeważnie wtedy zwykły pytać: „czy ci dałam szczęście?“ — tak po prostu bez cudzysłowu, przyznaj, że nieco arogancko! — mówisz: „ależ kochanie! — o to pytać“ — „powiedz kochany“, mówi ona, „powiedz swej“ (tu imię jej jaknajdrobnialej), odpowiadasz: „jakżeby mogłoby być inaczej“; jej tego mało; nalega! — mówisz z uśmiechem przymilnym, zanurzając twarz pomiędzy jej ramię

a szyję, wstydzisz się trochę, : „głuptasku, ależ tak, tak“; — to ją uspokaja; czasem nawet ponownie podnieca; a ty chłodniesz na kilka godzin, z tej kilkuminutowej rozmowy.

Cyprjan przypomina sobie — — dobrze mu się myśli — — żeby nie ten przeklęty rentgen jutro — ! —, że poprostu dostał był fobii na tym punkcie; — drżał, że go — i ta też! zapyta. Doszło do tego, że przeczuwając nadejście tego feralnego momentu — mówił — tak ot — niby nigdy nic — — odniechcenia — chodząc po pokoju z rękami w kieszeni, przed oknem, to znów przed szafką z książkami przechylając głowę, odczytując tytuły na grzbietach —: „najdroższa, proszę, nie pytaj mnie dziś, i nigdy nie pytaj czy mi dałaś szczęście, to się samo przez się rozumie!“ — wtrąca to zdanie — tak dla niego ważne! — pomiędzy inne zdania, bez widocznego związku, że to sobie z naglej czułości akurat przypomniał: tymi hasłami: frontem do wsi!, kultura wsi! — to groteskowy bluff—kultura! a z ambon sianie ciemnoty, a z ambon agitacja faszystowska — aha, najdroższa, proszę, nie pytaj mnie dziś...“, albo: „porównuje się czasy dzisiejsze z średniowieczem, tertium comparationis leży w gremialnym obłądzeniu narodów, jednak takie zjawiska jak Meksyk, Hiszpania *) napawają otuchą — aha, najdroższa, proszę nie pytaj mnie dziś...“, lub: „psiakrew, znów mi w „Nowej Epoce“ skonfiskowano cały artykuł wraz z mottem z Boy’a „wszędzie gdzie go nie było po-

*) akcja powieści, pamiętajmy, rozgrywa się przed najazdem „afrykanizatorów“ na lud hiszpański!

trzeba, wszędzie się polski ułan pchał“ — miałem na myśli... aha, najdroższa, proszę nie pytaj mnie nigdy...“ — Każda obiecywała, żadna nie dotrzymała.

Tym wiedeńskim razem też nie wiedział czy kocha; lecz kochał.

W bibliotekach publicznych — zwłaszcza w tej na Sztubenringu w muzeum przemysłu artystycznego — z wspaniałym działem najwspanialszych falsyfikatów — studiował grafikę, począł robić notatki do monografii o Ropsie — przede wszystkim jednak rozczytywał się w nowej poezji europejskiej — badał jakie aktualnie drogi wiodą w nieznaną nowizny; odkrywczość poezji to jej krew życiem pulsująca. — Sam też pisał sporo — w etapie znacznie już dalszym niż owe elukubracje wersyfikacyjne i niż owe bełkoty dla nikogo nie zrozumiałe; począł mu się z mgieł wyłaniać właściwy sens nowej formy poezji: jej wzniosłość, jej hymnowość i jej troska miłosa dla wszystkiego cierpienia świata; i to właśnie zaczęło kielkować i puszczać płonki. — Co w tym miała Wisia? jaki udział — ? nie bezpośredni, nie ten „wpływowy“ — lecz ten (jak zawsze) współlistnienia; zapędu energetycznego; nowych sił rozwojowych; nowego aspektu życia; — motoryzacja mózgu przez nowowzmożony instynkt płciowy.

Tak zeszło do świąt bożonarodzeniowych.

No i wigilia; taka zbakierowana poza zbędną tradycją i (nieco ważniejszą) obrzędowością.

Tych tam Polaków była w Wiedniu chmara. Zbiegli się pod opiekuńcze skrzydła monarchy, który poza modlitwą codzienną o szczęście i powodzenie dla katolickiej armii również i, dobrotliwy, za cywil-

nych Polaków paciorek króciutki odmawiał — jak zresztą za wszystkie swoje ludy, których nawet nazw dokładnych nie znał; miał je spisane na karteczkę. Poza tym chwalebny oddawaniem się w opiekę panu swemu Polacy vel Galicjanie robili interesa — takie interesa co to tylko jedno mają wytłumaczenie: wojna. Sprzedawano, kupowano; sprzedawano wszystko, wszędzie, każdemu, zawsze. Całe wagony! — obojętne co: nici, siano, ołówki, sznurowadła, pieprz, zelówki, przybory do łowienia ryb, podkowy, styliska do motyk, łopat, rydli, kopaczek, kilofów — byle był ruch, byle to szło; ustać bowiem nie mogło w żaden sposób — to byłaby plajta. Symbolem owoczesnej psychozy handlowej jest fakt sprzedania dwu wagonów hiperkusji; ktoś od kogoś to kupił; za grubszy grosz; awizo kolejowe, oznaczenie stacji postoj, numery wagonów — wszystko w porządku; zaraz to ten kupiciel tego samego dnia pod wieczór sprzedał; ten co kupił nawet nie zapytał co to jest; jest; jest załadowane; wystarczy; aż nadto! — Sprzedał z zyskiem komuś kto jednak nieśmiało zapytał, człowiek, widać, nie pojmujący należycie ducha czasu, sceptyk poniekąd, — zapytał: „a co to jest właściwie?“ — „hiperkusja? pan nie wi? pan chce być kupiec?“ — dał spokój niewczesny ciekawski, przypuszczając należy, że się zawstydził, chyba! — I tak to szło z rąk do rąk — a wciąż drożało. — Co się z tym „na końcu“ stało — niewiadomo — poprostu rozspęzło się w milionach i miliardach jak w nieości. Faktem jest, że hiperkusje nic kupiecko nie znaczy; to nie towar; to słowo; to symbol. Handlowano symbolami. A to może nawet jest poczja.

Rodzina Krotowskich z walnym sukursem po winowatych, bliższych i dalszych znajomych — masa panien: Zosie, Marylki, Krzysie, Tosie, Irki, Sabcie, Halinki, Władzie, Wandzie, Olgi, Andzie, Basie, Terenie — zeszła się na raut wigilijny w kawiarni Puchera — to była taka w tych latach wytrąceń zdrowo myślącego Galicjaka z ustalonego trybu centusowego — polska, chciałoby się rzec: narodowa kawiarnia. Na stole stało sobie drzewko — sztuczne drzewko z zielonych wiórek — wielkości ołówka, na nim z połówek zapalek pociągniętych cynkweisem sprytnie zimitowane świeczki; w wazonikach to stało, w sztucznym, ze strzyżonego papieru mchu, zielonym, a ten wazonik, proszę, białą, gufrowaną bibułą odziany — jakby odwrócony tors baletniczki; takie to było; no drzewko! Dookoła obsiadła je rodzina — przystawiono stół do stołu i jeszcze do tych stołów stół — a i tak ciasno było; Cyprjan obok Wisi.

Bardzo było duszno, niewygodnie i sakramenscko, jeśli by się już nietaktownie powiedzieć miało głupio.

Coś tam, jak to się mówi, przetrącono. Przetrącono więc, a potem — piwo, ciemne, bawarskie, lówenbreu. Fundował jakiś taki wuj, z tych, których się rzadko w życiu spotyka, nie składa się; suchy, chudy, siwe wąsy i brwi nie mniejsze od wąsów; oczu nie można było oderwać od tej twarzy pokiereszowanej w dwu kondygnacjach bujnymi wiechami; że się taki nie pomyli i zawsze wąsa podkręci — a nie brwi! — wyszłoby na jedno. — Piją to piwo z naczyń kamiennych z przykrzywkami blaszanymi, na wybrzuszeniach herby Bawarii i napisy sto-



sowane à propos —: brawo!, wychyl mnie, długo żyje kto mnie pije na zdrowie, i t. p. — Piwo żłopia mężczyźni: więc wuj fundator, jakiś nalany młodzieniec-ciamajda pan Stanisław, szczupły fircyk, taki co to się skrzy dowcipem w towarzystwie, temu Leon na imię, jeszcze jakiś milczący stryjcio Jan Kanty, no i Cyprjan oczywiście; panie i panny: Zosie, Marylki, Krzysie, Tosie, Irki, Sabcie etc. — piją łykami skromnymi herbatkę; jedna Wisia kawę; kawiara; — piwa nie znosi wogóle, powiada: drożdżami zalatuje. Szczębiącą panienki i zerkają po nabitej sali — gdzie tam jaki znajomy — oficerzy przecież są, i legionistów kilku — poza tym rodziny zażyłe ze Lwowa, Przemysła, Jarosławia, Rzeszowa, Tarnowa, Krakowa i wielu, wielu pomniejszych miast i miasteczek — połowa Galicji! — tej dobrej, urzędniczej, wiernej tronowi Habsburgów — Galicji. Więc uśmiechy, wymiana ukłonów, porozumiewawcze znaki brwiami; jesteśmy jak u siebie w domu! — nawet bez „jak“ — po prostu: u siebie w domu; voila!

— tutaj w Widniu jest najlepsze piwo, byłem na ten przykład, panie dobrodzieju, w Monachium, z żoną nieboszczką byliśmy, wtedy właśnie z auskultantury, panie dobrodzieju, na sędziego rzeczywistego do Mielca przeniesiono nas, owszem Monachium ładne miasto, nie można powiedzieć, ale piwo ani się umywa, chociaż go tam fabrykują, jako że czytamy panie dobrodzieju: münchenner löwenbren — ; — wyszumiał spod wąsów jak wentylator ten wuj.

— a czemuż też to tak, ciekawe, wiedzieć pragnąłbym — ? — odezwał się zaaferowany stryjcio Jan Kanty.

— temu to, panie dobrodzieju, że tu do Widnia eksportują — stąd i słowo eksport — wyższą sortę, bo co Wiedeń to Wiedeń — ani zrównać, panie dobrodzieju, z Monachium; — pociągnął nosem, charknął i splunął do chusteczki, którą w pewnej odległości od ust trzymał; przyjrzał się plwocinie dokładnie, skrupulatnie zawinął i wytarł wąsy mocno i długo; dodał jeszcze w formie objaśnienia: — panie dobrodzieju, tak to jest —

Nalany młodzieniec ciamajda, pan Stanisław, westchnął i zalirychnił:

— gdzie to te czasy, gdy się wilię jadło taką, co to siano pod obrusem, bo u nas, trzeba państwu wiedzieć, mamcia dbała o tradycję, bardzo dbała, żeby pod obrusem siano, w czterech rogach, i żeby do pary siedziało przy stole i cień, żeby od wszystkich padał, a broń boże upuścić czy by to łyżkę, czy widelec, nóż względnie —; — a dziś?! — — Namówili mnie koledzy do tych legionów, że mówili, i tak cię trzasną do trepów, nie lepiej ci z nami? — ale to za ciężkie dla mnie i organizm mam taki, — już w listopadzie jak się tylko pluty zaczęły dostałem takiego bronchitu, że aż strach, i do dziś trzyma (— zaskaszał przykładowo, wdzięcznie wyprężonymi palcami zasłaniając usta—) mamusia mi pisała, żeby lipowy kwiat, ale gdzie ja tu lipowy kwiat i opiekę skąd? — przecież to się z tego poci; — mnie się Wiedeń nie podoba, o nie —

Jakiś szarmancki i fieszowny, na osę wcięty oberlajtnant przeciskał się poprzez gąszcz gości—słychać było wciąż jego uśmiechnięte: pardon, entschuldigen, przepraszam, pardon — — to pan Kocio, hra

bia Kocio — absztyfikant panny Tosi; — obok stoju stanął na baczość, szczęknął obcasami — trudno było witać się inaczej więc tak, i ręką serdecznie lecz z odcieniem protekcyjności; — nachylił się ku panie Tosi i prawi już coś niezmiernie uroczego — panna Tosia, blondyneczka, uśmiecha się i zalotnie przekrzywia główkę.

Skrzący pan Leon opowiada reszcie jakąś anegdotę żydowską (oczywiście!)—on się śmieje, wszyscy się śmieją, nawet smętny pan Stanisław, który przytem ukazuje rozstawione, cienkie, śpiczaste zęby; szczur.

Cyprjan czuje się obmierzłe; mówi do Wisi:
— szkoda, żeśmy sobie nie pojechali za miasto —

A ona mu na to:

— właśnie, właśnie —

— i sami —

Spojrzała nań czule.

Wypili piwarze już po kilka bomb, a tu ten podwójny wąsał czy dubeltowy brwiarz: — jeszcze kolejka! — jeszcze jedna! — i jeszcze; — może tego było siedem, może osiem bomb na twarz; takiego piwa! — nawet do łba szło — tak ociężałe, usypiająco myśli, które poczęły się ślimaczyć i podpierać mury czaszki, znudzone i otępiałe; ale to byłoby fraszka; z głową zawsze sobie rady dać można; — jest znacznie gorzej! — ten nadmiar moczopędnego płynu począł rozsadzać pęcherz. — A tu taka socjeta, a tu taka parszywa obyczajność i głupi, fałszywy wstyd; i obok narzeczonej się siedzi; i te Marylki, Zosie, Krzysie, Wandzie — na obserwacje tylko nastawione — niczym przecież innym nie zajęte.

— wilia, panie dobrodzieju, pójdziemy sobie piwa żalować? — tego by jeszcze, panie dobrodzieju, brakowało w tych czasach ciężkich; — pijcie panowie, prosił — Cyprjan związał się i wył w sobie; — już, już chciał wstać — i znów go zatrzymało; u Puchera tłummy, ani się precisnąć; świętują tak wszyscy; — i jakże? — na oczach wszystkich tych panien i Wisi iść wprost do toalety — — na szyderczy do bitek: właśnie naprzeciw nich, o jakie dwanaście kroków, za gęsto obsiadłymi stołami naigrawa się, półkoliście na mosiężny kabłąk kółkami też mosiężnymi nanizany, czerwony wołok z napisem — na szklanych taflach złoty napis: „für Herren“, „dla panów“ — w dwu językach. — Szczęśliwi, ach jacy szczęśliwi (— nie wiedzą psiekrwie o swym szczęściu! —) wchodzą sobie i wychodzą; poniektóry jeszcze majstruje palcami przy guziku — chociaż przecie „garderobę należy uzupełnić na miejscu“ tak jak i „przedmiotów stałych do muszli wrzucać nie wolno“; to są jednak piękne myśli! — a taki szczęściarz to sobie po dwa razy może wejść i wyjść — jakby akurat zapragnął; i więcej; i jak długo mu potrzeba! — Ciągle za ten wołok wchodzą i znów wychodzą — nawet zawiewa amoniakiem. — Raz to ten sakramencki wuj powiedział:

— źleśmy sobie siedli, czuć tu panie dobrodzieju —

Cyprjan szybko dodał:

— możnaby już pójść, istotnie nieprzyjemne to, i piwo tym zapachem przechodzi —

— przesada —; wyszumiał wuj, a panny za-

rumieniły się zaraz (a tu wojna!) — sytuacja zamiast się poprawić, pogorszyła się znacznie.

Fałn był zupełnie chory. Zbladł, bóle stawały się coraz donośniejsze; było mu na zemdleńie; kiedyś w dzieciństwie chorował na pęcherz; tymbardziej. Z minuty na minutę stawało się coraz złowrożej; wyobraźnia podsuwała mu fantastyczne pomysły — żeby pod stół, przez nogawkę — potem umyślnie upuścić kufel, że to piwo, i że jego też oblało; przez chwilę wyobraźnia konkretyzowała ten obraz — a najlepiej, gdyby się teraz uniósł w powietrze — przefrunął ponad głowami przez drzwi na ulicę — i dalej ponad dachami domów — i wtedy: deszcz, deszcz, ciepły deszcz rzęśisty nad całym Wiedniem.— Pęcherz wzrósł w nim do niebywałych rozmiarów; był ciężarny; stawał się większy od całego organizmu, wchłonał wszystkie wnętrzości, rozpanoszył się jak młoda kukulka w skowronim gnieździe — był jak ta cała cholerna sala — większy! — jak rynek — większy! — już jak miasto! jak kraj cały! jak kula ziemiska, która za chwilę pęknie i zaleje wszechświat.— Straszne! — wszystko już boli, trzaska, szaleje; — sytuacja stawała się katastrofalna — zimny pot co-pochwila zraszał skórę obficie; koszula i kałesony mokre jak chluszczyk; z czoła i karku ścierał pot chusteczką.

— straszliwie blady jesteś, co ci jest? — To głos Wisi.

— migrenę mam potworną, zabelkotał; — nawet chciał się uśmiechnąć; ale to było gorsze niż płacz.

Wyczuła, że coś jest nie w porządku i zaproponowała, żeby wyjść, że i tak już późno. — Te chciały, ci nie chcieli — pertraktacje trwały kilka minut; a każda minuta na wagę złota, jeśli tak można powiedzieć; — zaczęła być mowa o tym, gdzieby jeszcze pójść — tam zamknięte — ówdzie niepewne — tu otwarte —; — pan Stanisław, ten nalany, z tymi zębami szczerzymi zaśluził sentymentalnie, żeby paśsterkę oblać w jakiej winiarni; — ostatecznie przeważyło zdanie wuja (— zbrodniarz, lotr! —), żeby jeszcze zostać, poco się ruszać, kiedy tu dobrze, nawet już stamtąd teraz nie zawiewa, przestało —

— widać szczęśliwie przeciąg zmienił kurs, panie dobrodzieju — takoj po jednej bąbce jeszcze ha? co? —

Wtedy zbuntowało się w Cyrpranie wszystko; wstał — z jakimże trudem i zboleniem! — powiedział, przeprosił, zacinając się — taki skurcz w szczękach — że musi pójść, bo już niedowyttrzyma — w skroniach łupie — plamy czarne przed oczami — — tyle słów!! — Wisi ucałował rączkę:

— dziękuję ci, jutro...

— za co? —

— kiedyś...

Jakaś cholera — nie wiadomo kto, ludzie są bez twarzy — wyjmuję z kieszonki kamizelkowej „kogutka“ —

(— ja go zabiję! — przemknęło krajem myśli cyprjanowej —) —

— może pan —

— dziękuję, mnie to nie pomaga, ja mam inne sposoby —

(— ja go kuflem w tę mgłę nad szyją! —)

Nareszcie, nareszcie! — idzie — idzie! — no bo tu nie może — Wisia za nim patrzy, wszyscy patrzą — teraz to już tu wogóle nie można — — idzie — wszystko jak w gęstej mgłę, w parze wilgotnej — — jakby szedł ponad kominami setek lokomotyw — — — płaszcz? — co tam płaszcz! — co tam wszystkie płaszcze — zaziębi się? umrze może? — wszystko jedno, gorzej nie będzie.

Ulica — ulica — — naprzeciw, trochę wskos restauracja — nawet dość pusto — wchodzi — — już od progu pyta kelnera, gdzie tu można... Palto?! — zdziwienie, gość bez kapelusza, bez pałta! — zatacza się, blade, oczy wpadłe, nieruchome — błędnie wypatruje zbawczego napisu, jedyne napisu na świecie! — Słyszysz jak frak mówi do fraka: — der Mann ist ja schwer krank — a drugi frak wątpi: — bezofen ist der Kerl — — Myśl powtarza mechanicznie: — krank — krank — krank! — Strzała! — na prawo! — krank — bezofen — krank — bezofen — — tu!! — nareszcie! — lokalik czarowny — buduar — muszle, muszle — wybieraj sobie którą chcesz! jak w bajce! — każda dobra, każda rozkoszna! — Oparł się czołem o zimne kafle — — znów ten bolesny kurcz w szczękach —; — i stał tak kwadrans, półgodziny, może dłużej — organizm pracował, wyładował się do ostatniej kropli — jeszcze, jeszcze — zdawało się, że już — — jeszcze — — Wtedy jak olśnienie zstąpiła nań mądrość góralskiego przysłowia: — dobre wyjście to pó spuszcynio — haj! — Wyszedł z poczuciem bezgranicznej wolności i radości rozpierającej piersi; — przez czerwony dywan

restauracyjny szedł jak po tatrzańskiej perci — śle-
bodny i wesoły — drożdż wiosenny! — nucił sobie
na głos: — w murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy,
kozali se pięknie grać i na nozki spojierać! — Fra-
kom tymczasem twarze wyrosły (—czasu było dość—)
przyjemne i bardzo przyjazne; — w drzwiach usłyszał
wprawdzie jak kelner do kelnera mówił: — wedez
krak noch bezofen, der Kerl ist einfach verrückt! —
lecz pomyślał, że mylenie się jest cechą ludzkiego my-
ślenia, pomyślał zarazem, że w spełnianiu funkcji
fizjologicznych leży zadatek szczęścia; — no teraz
przynajmniej wiadomo co to jest „szczęście“!

Spiewając zbójnickiego minął ponury, średnio-
wieczny cień gotyckiego tumu świętego Szcze-
pana. — —

— — — — —
Wreszcie nadszedł dla niego czas wyjazdu;
trzeba wracać.

Wisia jeszcze zostawała w Wiedniu.

Wisia!

— — — — —
Za kilka dni, po wyjściu ze szpitala, znów
będą razem — myśli Cyprjan — w tych pokojach,
w tym domu, który z takim trudem, z wieloletnią
harówką wyrwali zagładzie. Przecież to wszystko
sypało się w gruzy! — ale uratowali!

Zaraz też pomyślał, że Mila... czeka; że czeka-
nie to jest groźne; że wiec trzeba, że musi... co trzeba?
co musi? — i że tak żadną miarą nie można... Na-
tychmiast wydłuża się wprost od łóżka jedna z tych
brzydkich i posępnych — jak wszystkie tam — ulic
zakopiańskich — — siedzi pod jodłą z jakimś przy-

godnym kolegą — obaj w okropnych hadrach żołnierzy austriackich — tak było — po prostu wierzyć się nie chce oczywistej prawdzie — urlop kilkudniowy, czy ćwiczenia górskie — tego już się nie pamięta, tylko obraz: pasmo Tatr z Gewontem na pierwszym planie, jodła strzelista — on i ten drugi — pod nimi szosa ulica — godzina południowa — młodzież wraca ze szkół — — w pewnej chwili mijają ich dwie dziewczynki — jedna z nich smukła, szczupła, w zwichrzonej czuprynie — śliczne, jasne, niebieskie oczy — siedemnaście lat to może mieć, teraz przystaje przekrzywia główkę i patrzy, na te Tatry, patrzy na Gewont — uważnie, aż trochę usta zacięła — koleżanka, takie puciołowate podlotkowe zjawisko — pyta —:

— cóżes tak stanęła Mila? —

— bo się tak ślicznie światło załamuje na szczytach —

— malarko! — patrzcie! —

— widzisz? widzisz?! —

— co —

— Gewont! — rozróżniam twarz rycerza? — czoło, duże krzaczaste brwi, wąs sumiasty — całkiem jak... Już minęły siedzących. Kolega powiada: klawe te ciporajdki — — — To było drugi raz.

A telegram? — Maura!

Dreszcze, najautentyczniejsze dreszcze zsypywały się jak piasek wzdłuż grzbietu — i doprawdy — no tak! — co tu ukrywać! — pod szpitalnym kołosem — — tu i tak tego nikt nie widzi — ale na samo wyobrażenie tych, tym razem już zupełnie niepoślednich komplikacji i pogmatwań wszystkich elementów

współzycia — strach trzepie organizmem: psychiczna (powiedzmy) febra: pod tym szpitalnym kocem!

Mila — ten czar, ta, ta — ech! — mówi się: uroda życia, i wierna rzeka się mówi, i rozmaicie się mówi — ale to były lata wysokie jak topole, rozłożyste jak jabłonie, i tak bujnie rodzące! —: aleja roslých drzew rozłożonych czubami wygodnie: gniazda słońca, wylęg ciepły wszystkiego, najistotniejszego dobra.

I tu w załomie — może w gałęzonym rozwidieniu tych drzew? — a może w ich cieniu — ? — — Cyrprjan bębni palcami po pokostowanej szaro ścianie — — czai się najokropniejsza sprawa: krzywda! — — przecież w tym pojęciu jest wszystko: rewolucja, bunt, upadek człowieczy, pycha, klęska i pospolite, codzienne świństwo.

Palce wybijają melodię „pod mostem Paryża“, a potem „całuję twoją dłoń madam“ — — takie głupstwa —

(— nazwisko moje to nie było szczególnie przychylnie omen; nie; — i gorzej: nie tylko dla mnie, z w ł a s z c z a nie dla mnie —)

Zadrzał ponownie — skosem świadomości zasnął, że palce jakby bezwolne i zahipnotyzowane w jakimś anamnetycznym guślarskim transie wypisują: — czy to nie złudzenie? — upewnił się —: istotnie fosforyzują w półmroku szarego ranka na pokostowanej ścianie te nieprawdopodobne słowa: hic obiit Mila — hic nata est Maura — —

— tak dłużej być nie może! —

Neringa poderwał krzyk z pościeli:

— co panu jest! — co się stało! —

I on już też krzyczy ku fałnowemu łóżku:

— co panu jest! —

Po chwili biedzi się przytomna odpowiedź:

— nic — nic! — — oszaleję — oszaleję —

(Włodek Kusz powlókł się był już wcześniej do prześwietlenia — dzisiaj, na tę seperatkę to padło).

— panie Cyprjanie! — co panu jest? — zbladł pan — trzęsie się pan — i wogóle —

— tak — wogóle — nic, nic, absolutnie nic — — właściwie —

Serce łomotało w piersi boleśnie, ból szedł od lewej strony, ku ręce; obezwładniał ją — — i ta niecierpliwość w nogach, dokuczna, rozstrajająca, zmuszająca do nagłych podrzuceń —

— cały pan drży — ja po lekarza...

A Cyprjan już stoi przy łóżku towarzysza Tadeusza Neringa i mówi przychrypłym szeptem i konspiracyjnie:

— wy mi, Nering, z tym lekarzem nie wyjeżdżajcie — to wszystko nic nie jest — priwatsache, mówią Niemcy —

Stał przed nim rozwichrzony, z sommabulicznie rozszerzonymi oczami — pogański ekstatyk! — Mógł Nering dojrzeć (— nie dojrzał! —) wyświetlające się poza Cyprjanem słoneczne błonia Helikonu — nimfy i centaury w uścisku — najady zapraszane przez faunów do chłodnych przybytków dryjad, w cień przemienionej Dafnis, w ten cień pachnący macierzanką, tymiankiem, skabiozą i melissą.

Mówi odmieniec dalej:

— takie tylko, wiecie, głupie, i cóż tu lekarz? uczucie w nogach zwłaszcza — wrażenie raczej, — pewnie, to są znamiona obłądu — nieszkodliwego zresztą — wrażenie, uważacie, że nogi moje zmieniają się w koźlę, tak koźlę! — znacie — ? — tak kołanami wydatnymi i kościstymi do tyłu — od kolan w dół ku przodowi podane, owłoszone oczywiście no bo capie — i kopytka podwójne — — w o g ó l e — —

— co pan wygaduje!—

— i tu na czole świad — różki, jak pędy wiosenne, przebijają skórę, i tam nad zadkiem chwościk rasowy, capia broda i oczy z pionową źrenicą, topazową, jak to u kotów w południe — — w o g ó l e — —

— panie Cyprjanie! —

— pan do mnie wykrzyknikami! — posłuchać raczcie spokojnie i wytrawnie, hę? — kopytka, tak, i ten, wiecie, capi bindas i ciężka zwisająca moszna — i mówię: strzęp ogonka ruchliwego też, lecz o to mniejsza — — o: w o g ó l e! — dlatego to słowo powtarzam uparcie, żeście je, towarzyszu Nering, trafnie użyli — —: dziki mąż — razem do kupy plagiat myślowy, plagiat wyobraźniowy — oczywiście — reminiscencje: — wazy greckie z ową sławną krużką satyrów napastujących z pyjami na sztorc Iris umykającą — — no? —

— co? —

— ano nic; teraz mam już brodę i nogi jak się patrzy; — a dalsze asocjacje? — proszę —: faun i nimfa, bronz z Pompei, w muzeum narodowym w Neapolu, — satyr z kozą, marmur z Herkulanum.



też w Neapolu, — wspaniały bronz, przedtym znajdował się w muzeum watykańskim w Rzymie, teraz nie wiem gdzie jest: nimfa leżąca, rozrzucona nogami i rękami, nad nią schylony jak nad źródłem faun całuje zachłannie jej kobiecość, — wreszcie Piero di Cosimo, Böcklin, Stuck i — Jacek Malczewski —; ten zabląkany na polskie podwórko faunik w rozmowie z pasterką indyków, a zwłaszcza te dwa fauny grające na piszczałkach — a jest wiosna, drzewa puszczaają soczyste pędy, przed rozległym domem, odłożwszy konwie, stoi rozkraczona, zwalista dziewczyna, ręce w boki wparła: roznosi ją! — — o, widzicie, jaki jestem trzeźwy — maniak-monografista: „pierwiastki fauniczne w sztuce“ — to już wolno, historyk sztuki, do usług — — a wy zaraz lekarza —

— błagam was — połóżcie się —

Zaśmiał się Cyprian krótko i głośno —:

— Faun — przez u — Faun i muzy — oto obraz, którybym namalował, gdybym był malarzem--

Po chwili; patrzy drwiąco Neringowi w oczy--:

— *dziś ścichły wszelkie głosy, poszarzały łany,
a ja na wleczone życie tułacze skazany
błądzić muszę po lasach* — —

— no, chyba nie jestem obłąkańcem (— czy siebie tak uspakajam — ? —), gdy tak spokojnie recytuję — i to własne, dawne, zamierzchłe wiersze — ? —

— to nie jest żaden dowód —

— tak to prawda —

Uspakajał się powoli; siadł na łóżku, palił papierosa.

Po jakimś czasie:

— ja mam, widzicie, stary dom, ariański ponoć kiedyś zbór — pokoje niskie, miło-mroczone — choć okna duże, te na wschód, a tamte znowuż na południe — w ogrodzie pełno starych drzew — o jakże kocham stare drzewa! —

— wiersze mówicie — ? —

— nie —

— zdawało mi się —

— rankami, gdy z za gór słońce wschodzi, wpada czerwony promień —

— nie odczuwam „czarów przyrody“ —

— nie szkodzi; ja głęboko odczuwam — a prospos — u nas zawsze słońce krwawi, gdy wschodzi i zachodzi —

— symboliczne, co? —

— nie odczuwam „głębin symboli“

— nie szkodzi; ja głęboko odczuwam —

— więc — niechże dokończę dukt myśli! —

gdy wpada ten promień czerwony i ogrzeje fragmenty sprzętów — ożywają wtedy zdumiewająco; pod oknami, mówiłem już, stare, wysokie drzewa — a wiecie, o stare drzewa tak trudno jak o starych przyjaciół — i żonę mam rozsądną i dobrą — tylko tą stroną „czystej“ kobiecości nieznośną, i słusznie, bo to jest nieznośne, gdy...

— co? —

— e, nic; — — syna mam i córkę, dwa młode szczenięta, wyżyły — węższą swe drogi, którymi pójść mają — i jeszcze jedno ważne: pracujcie się tam w tym naozonowanym powietrzu znakomicie — a wszystko wkoło przychylne — sprzęty, ściany, ogród, las,

pory roku — we wszystkim zaimpregnowana praca — wszystko na nowo zdobyte, wywalczone, zratowane trudem dużym; to są prawie święte rzeczy! — wy sobie bimbacie na własność prywatną — ja też — — lecz ja mówię o uszlachetniającym elemencie pracy: entuzjazmie! — to budowanie schodów, platform, rusztowań po coraz dalsze, wyższe, ogólniejsze prace — — oto zachwył, wartość, jedyna! życia —

— nie bardzo rozumiem, jaki związek? — poco mi to pan, poco mi to mówicie — przepraszam —

Uśmiecha się Cyprjan:

— po prostu chcę pana zachęcić do odwiedzenia mnie, gdy wyjdziecie ze szpitala przyjedźcie do mnie na jakiś czas, to wam dobrze zrobi —

— ależ z chęcią, dziękuję — taka prosta rzecz, a tyle pan przedtym nagadał —

— cóż, gaduła jestem, to wszystko — odrzekał i pomyślał: muszę ja z Wisią o wielu jeszcze sprawach pomówić; koniecznie.

Bez widocznego związku lecz z niezawodną potrzebą zaczął się krystalizować pewien plan; konkretny. — Począł rozważać; — szło o oddanie ich domu grupie zorientowanych należycie ludzi, którzy chcą w spokoju przepracować siebie i plany społecznego współżycia w tej tendencji: chcąc innych udoskonalić, udoskonalił najpierw siebie.

Planowanie wizyjne i konkretne, bardzo precyzyjne i szczegółowe było pochodnym znamieniem cyprjanowej wyobraźni poetyckiej. Tę cechę spotyka się u poetów często.

Weszła siostra ze strzykawką; — zastrzyk przed rentgenem. Trochę dokuczne. Lecz tak jest właśnie dobrze w tej chwili.

— za pół godziny rentgen; pielęgniarka przyjdzie po pana, zaprowadzi —

— al right —

Realne zjawiska przeważały.

Stal nago w sali przypominającej dno łodzi podwodnej. Maszynerie duże i skomplikowane, kable, druty, dźwigi, jaskrawy pęk światła gdzieś tam u góry, u sufitu; — kręcą się ludzie w metalowych, jakby tłuczonym szkłem posypanych, worach czy fartuchach; — w fałdach i załamach, na całej powierzchni tych mineralogicznych ornatów, pelza i skrzy się migotliwie polewa świetlana.

Jeszcze spora porcja papki bizmutowej. — Światło gaśnie — zaświeca się — znów gaśnie. Przytwierdzają ekran — oprzeć się każą — mocno o jakieś zimne sztaby i ścianki; — czemu pan tak drży? — Cyprjan wmawia w siebie opanowanie, równowagę „no spokój, spokój!” — lecz cała ta szubienica, czy gilotyna trzęsie się jak w epilepsji; — lekarz uspokaja — lekarz, lekarze, lekarka —; są już sami zde nerwowani; to się udziela; — i, że trzeba, mówią, poczekać, bo przecież nie można zdjęć robić, gdy tak to jeździ na wszystkie strony; są wciąż cierpliwi i wyrozumiali — ale już ich to, i słusznie, irytuje bo co to jest, żeby... Wreszcie po chwili zdyscyplinowania się — przesuwają się ekran nieprzyjemnie chłodny i jakby wilgotny — płuca — serce — żołądek; tu najdłużej — na prawo, na lewo, znów na prawo; — co po chwila trzask i to oglupiające bu-

czenie i warkot ten dookoła; — teraz to już nie łódź podwodna lecz dno morza samo — nurkowie w skafandrach, bez hełmów, ponurzani w czymś co nie jest wodą, lecz jakąś przestrzenią wydestylowaną wśród wody; — manipulują zręcznie, obyci i wzwyczajeni — mijają się w przejściu jak dwa kraby lśniąca łuską pokryte — rzucają sobie hasła prędkie, umowne — omal nie dotykają się różkami — bo mogłyby to być i mrówki olbrzymie w lśniących rynsztunkach — — śpieszą się i przynaglają, jakby każdej chwili ta zła o d s t a w i o n a woda zewrzeć się mogła, ścisnąć, zmiążyć — i zalać szumem tę całą krzątanicę wokół jednego, nagiego człowieka. I ten szum jest ze wszystkiego najgorszy!

Cyprjan zeszedł ze stopni żelaznych.

Światło.

Drzał w tej chwili z zimna; pielęgniarka prędko podała koszulę — potem już w poczekalni odział się do reszty.

Kurytarz — posadzka kamienna — drzwi — tyle tu chorych czeka, jakaś piękna kobieta sparaliżowana — na noszach — patrzy w górę na przepływające powietrzem potworne stworzenia: głowy ludzkie — ; — nareszcie, nareszcie; podwórze: kawał przychylnego ładu!!

Na wewnętrznym placyku, pomiędzy pawilonami, kaplica szpitalna — dwie bliźniacze wieżyczki, taki zapóźniony renesansik porokokowy! o! — Teraz z odpomnienia kształt ich ważnieje: przecież to widać je było, te wieżyczki dwie, z okien mieszkania Mili i one wyznaczały postój wzrokowi, za nimi w prostej linii ta strona świata, w której mieszkał

Cyprjan — oto napowietrzna antena, rozwieszona pomiędzy nią a nim wspiera się o te dwa szczyty nieznaczących wieżyczek — tędy przebiegał prąd ożywiający mózg i krew — ; — w tej chwili oświetlało je przychylne słońce.

Przed tą kaplicą, na boczkach, przed głównymi drzwiami uklękła pielęgniarka nabożnie, schyliła się nisko i zmówiła krótki pacierz; uderzyła się pięścią trzykrotnie w chude piersi, wstała — —

— podziękowałam bogu, że się wszystko dobrze skończyło, zawsze się boję, gdy tu idę z chorym —

I ta z tym wyjeżdża! Naturalnie, przecież to wiadomo, że już od wczoraj... i nie tylko ona... wszyscy...

— przecież panno Zosiu, tu niema i nie może być wypadków — czy zdarzył się kiedykolwiek—?—

— nie, ale strzeżonego pan bóg strzeże —

Bigotka. Pewnie zostanie zakonnicą. Swoją drogą miła, przychylna, uczynna i taka pogodna zawsze; ładna. Stetryczeje i skapcanieje zupełnie jak i te zjełczałe siostry tutejsze. Treścią ich pomrocznych myśli jest tylko to: „memento mori“ — i, żeby ksiądz przy skonaniu — i koniecznie jeszcze wtedy, gdy umierający ma przytomność. Pawełek Szpasio — oto ich niechlujny patron! — Zakapturzony sadyzm, nekrofilstwo podświadome i wogóle bezsens zupełnie.

Leżał już w łóżku; wyprostowywał się i wyciągał, czuł zmęczenie jak po uciążliwej wycieczce; odpoczywał.

Wisia przyszła dnia tego wcześniej; zaniepokojona tym rentgenem, a raczej niepokojem Cyprjana.

Tak go przecież znała; rozumiała ruch każdy, skrzywienie się, spojrzenie, zmarszczenie. — Wczoraj gdy się zegnali przed szpitalem, pogłaskał ją po wierzchu prawej dłoni. Dla niej ten małoważny, przelotny gest był bardzo wymowny.

— wszystko dobrze —

— no już —

— zmęczyło cię — ? —

— nie to mnie zmęczyło — we mnie jest ciągle zmęczenie —

Ujął jej rękę i długo trzymał w swojej.

Czułość serdeczna jaką w tej chwili miał dla niej, nie stała na zawadzie równie czulej myśli o Mili, która w skupieniu miłosnym, jak poczwarka okonionona tęsknotą czekała; po prostu: czekała!

Czuł pod palcami puls krwi u przegubu ręki Wisi; sposobem lekarskim wyszukał go dokładnie, nacisnął — — bił rytmicznie; palce słyszały czerwień stukającą o ściany żył —: Mau-ra, Mau-ra, Mau-ra — — Były razem!!

Wspominał czasy wiedeńskie; ten bukiet!! — — uśmiechali się.

Gdy odeszła zamilkł i znieobecniał.

Dysgust i zniechęcenie; — i wogóle wspomnianie wszelkie! — Zasadniczo żył tylko wyobrażeniem przyszłości — terażniejszość była dlań zawsze mijaniem — a ta przyszłość to terażniejszość, która jeszcze nie minęła — — przeszłość natomiast była dlań bez znaczenia — c z y m ś — melancholią, pośpnością, światłem próchna — — a jednak był nią przepelniony; pamięć szczegółów, zdarzeń, wypadków, sytuacji, emocji, osób — ta olbrzymia skład-

nica klisz i taśm filmowych, ukryta w zwojach mózgu — dręczyła i niewoliła: — p a m i ę t a ł w s z y s t k o ! — pory roku, pejzaż wiejski i miejski, kolory, dźwięki i wonie, krój ubrań, braki, niedomogi i przesady, spojrzenia, gesty, rysy, miejsca i przestrzenie, drzewa i zwierzęta — całe minione życie rozwleczone i posiekane na minuty i sekundy — — w momentach udręka, którymi wymoszczone były dni i noce, lata i dziesięciolecia: to on, sam, dla nikogo — sobie-upiór i zhora: wiecznie ukryty, zamaskowany, zakonspirowany do cna; wewnątrz realista i fikcjonalista, gardzący i odpychający, daleki i obcy; na zewnątrz: nie-on, nie-sam dla wszystkich; w łączności przeto: on, którego nie można oddzielić od jego twórczości, która jest jedyną wagą, wartością, koniecznością — nic przed nią i nic poza nią!—; — on: zjawisko przyrodnicze, nie człowiek prawie, funkcja, — on: rosnący wciąż i wciąż owocujący bez względu na to, czy owoc jest pożywny, czy trujący.

W chwilach introspekcji i demaskacji brutalnej — stawał przed sobą — nie nagi już, lecz ołupiony z wszystkich skór — człowiek obrzydły, człowiek czerwony, pocący się krwią — — materializacja ładu wypalonego w ognistym wychłuscie lawy, gdy jeszcze żywołem ziemi był żar i niepokój ustawicznych ejakulacji! — ognia! wybuchu! piorunów! — niech spłoną w mózgu zakurzone lamusy przeżyć i obserwacji, niech rozerwą czaszkę i chludną groźną preturberancją w lodowatą, obojętną przestrzeń, niech się rozwieją w czadzie i dymie!! — Stoi oto czerwony, mięśniowy preparat anatomiczny, obnażony z wszelkiego kontaktu z dziejami, sens globu — a mózg jest

już tylko purpurowym reflektorem, rzucającym od-
blask pożogi we wszechświat — — jedna część po-
zarem objętego ciała jest akumulatorem archaicznym
anamnez astronomicznych, genezyjskich, trwożących
wieczną pamięcią kataklizmów, i gatunkowych od
pierwotniaków po przez plezjozaury, ichthyozaury,
archeopteriksy, pterodaktyle ku pitekantropowi —
druga przywołuje przyszłość, w której istnieje, przy-
gotowany najwyższym wysiłkiem kilku mózgów,
człowiek podniesiony wiedzą etyczną ku wspólnemu,
wyzwalającemu najgłębsze wartości, takie, jakich nie
przeczuwamy jeszcze, dobru i tylko dobru.

— widzi pan, pan się, panie Tadeuszu, matwa
w doraźnościach, pan jest pisz-maluj materiałem na
polityka, a w polityce na komisarza spraw wszelkich,
normujących na podłożu doktryny współzycie czło-
wieka z człowiekiem; — pan jednak stawia poza
walką i wyzwoleniem mas chłopsko-robotniczych na
autorytet, na wielkość — prawda — ? — dla mnie
każda wielkość jest konkurencją myślową, budzi
czujność, napięcie, chęć dorównania i przewyższe-
nia —

— pan jest jednak pomimo swej społecznej
postawy indywidualistą; — co zaś tyczy się dok-
tryny —

— pardon, stwierdzam natychmiast pożytek
i taktyczną konieczność doktryny, również stwier-
dzić chcę, abyśmy się w rozmowie nie gubili, że w sto-
sunku do siebie, że po prostu żądam od siebie dy-
scypliny i jestem wobec obranych zasad społecznych
i ich wyznawców karnie zdyscyplinowany! to trzeba
wiedzieć — zaś to co przed chwilą mówiłem ma ob-

razowo wyrażać to, że mały, skalisty, nikomu na nic nie zdalny spleść ziemi zostawiłem pod własną swoistą budowę, budowę odrębności (— neurastenii natychmiast podsuwa słowo: grobowiec, mauzoleum —) —

— wmawia mi pan siebie —

— nie wiem tego; nie śmiem rozstrzygać słów; to pewne, że religijnie i społecznie jestem a-deistą — we mnie wzdryga się wszystko przed ubóstwieniem czegokolwiek i kogokolwiek —

— prócz siebie —

— w ironii pańskiej jest dużo słuszności, lecz przecież... tłumaczę się przed panem! — zdobycze moje chcę rozdać i rozdać na wspólne dobro —

— za to jedno: aby wiadomo było, że to pan —

— i tu znikomość panu kurtę kroi; kto tam za lat dajmy na to tysiąc zainteresuje się moim nazwiskiem i tym co ono oznacza! — a do tego sprawa się przecież pański tak zwany zarzut — — Cyprjan Fałn to jętka — rodzi się, zapładnia, ginie — — pozostaje po emisji naszego nadajnika mózgowego i somatycznego jeno drżenie eteru, które zachwytyją dalsze i coraz dalsze aparaty mózgow, jeśliśmy nota bene eter ten rozdrgać potrafili; — no tak, ja tego pragnę — —

— geniusz i obłąkanie —

— frazeologia jest matką ideologii; pan jest ideowcem, pan się musi kochać w frazesie, który decyduje w demagogii, a demagogia — umiejętna i dobrze stosowana — decyduje... i tak dalej; wiadomo; — a ja tak po prostu: zachwytnie ogarnia do tchu utraty, do łez, tak, aż do drżących, dziecinnych

łez na myśl, na przewidywanie jak bardzo, jak nie-
skończenie — po zrezygnowaniu z wzmówień i udrę-
k nieistotnych — mogłoby być pięknie, szlachetnie,
dobrze wszystkim pospólnie — za darmo, słyszy
pan? — za darmo bez ofiar krwi, nędzy, niewoli,
życia, które nie wraca nigdy — — temu wzruszeniu
dorównuje rozpacz, że silni i bogaci nie popuszczą
dobrowolnie na cał swej podłej władzy, że więc —

— wszystko trzeba wywalczyć —

— więc o to tu teraz idzie; wiadomo: w obec-
nych ustrojach niczego się zrobić nie da w pełni,
o ile się w ogóle da coś zrobić, a wszystko tylko,
i to z wysiłkiem, po łebkach, połowicznie — — więc
dziś o nową formę walczyć to obowiązek każdego
uczciwego, dobrze zorientowanego człowieka; nade-
szła też i dojrzała pora, w której trzeba się wyraźnie
zdeklarować, albo tak, albo tak — bez kręta-
ctw, niedomówień i półdeklaracji; wybrałem front; sta-
wiam sprawę jasno; — idzie mi tylko o jedno, o prze-
kazanie najlepszym, najbardziej przewidującym —
czujności, aby przez etapy dojrzewania nowego
ustroju i przez sam już zwycięski ustrój — anar-
chizm wolnych to znaczy w pełni etycznych był ce-
lem finalnym — droga do niego wiedzie tylko przez
wielowiekową dyscyplinę socjalną, rząd pracy —

— gardzę utopiami —

— źle pan robi; i dla siebie szkodliwie; co nie
stanie się prawdą zdobytą tęsknotą, co nie stanie się
monomanicznym marzeniem — zwało się to niegdyś
dość nijako pracą ducha — nigdy się nie zrealni; czyn
jest zawsze wynikiem ekstraktem chemii móz-
gowej; myśli; lecz mniejsza z tym; ja też utopię zo-

stawiam dla siebie, na mój prywatny użytek; — na zewnątrz głoszę mą autentyczną wiarę, walkę o przebudowę ustroju, o jak najrychlejsze przybliżenie S. Z. S. R. E. — stanów zjednoczonych socjalistycznych republik Europy — — w tym się zgadzamy? nieprawdaż? — ja „aspołeczny“ indywidualista, pan czynny działacz partyjny —

Nering uśmiecha się — szpitalny sfinks —:

— o te stany to ja się pokłócę —

— daj pan spokój! — któż to ma lepiej od pana wiedzieć, że nauczyliśmy się mówić, pisać, ba nawet myśleć szyfrem; jak więźniowie wypukujemy nasze przekonania —

— to prawda —

— no więc; na co innego, omal ważniejszego, chcę zwrócić uwagę pańską: — pan ciągle straszy siebie moją „aspołecznością“ — to słowo musiałyby być pisane w cudzysłowie — a przecież; a przecież — niech pan nie spadnie z łóżka — nawet, widzi pan, mówię: n a w e t! — mój erotyzm ma podłoże społeczne —

Uśmiech szeroki rozszerza wargi ku uszom neringowym — pełza po twarzy jak płaski wąż.

— to i owo pan o mnie słyszał, określił pan to sobie: „erotomaństwo“ — tu też proszę o cudzy słów! — i jest pan zadowolony; pańskiego pokroju ludzie lubią, zwłaszcza w dziedzinie im dalekiej, definicję; żeby niby odwalić problem, żeby go nie było na widnokręgu, żeby wogóle nie było i nie śmiało być nierozwiązanych problemów — bezproblemowe życie, cóż za ubóstwo! —

— ależ się mnie pan dziś czepia —

— nie czepiam się pana wcale, jeżeli, to już chyba siebie; — — w całym zagadnieniu, widzi pan, interesuje mnie moment wyrównania krzywdy, która kobiety spotkała w archaicznym okresie rozdziału płci — „kobietę“ czy „samicę“ wszystko jedno — tę brutalność egoistyczną trzeba wyrównać — — rozdział ten pierwotnie fizjologiczny wlecze się: poniżeniem, deprecjacją, wzgardą nieomal — po dziś dzień przez wszystkie ustroje zawsze samcze, zawsze też nieprzychylnie kobiecie — ta eksploatacja macic jest jedną z wielkich zbrodni, z tak licznych przecież zbrodni męskich złoczyńców — — ale to bardzo długa historia — —

— przestańcież już panowie, nic z tego nie rozumiem, a spać mi się chce, przeszkadzacie tylko — — przecież to szpital — —

Włodek Kusz był dziś zhisteryzowany.

Przestali.

Zresztą i tak byli bardzo niezadowoleni z siebie; zwłaszcza Cyprjan; wzburzyły go myśli poprzednie i ta teraz rozmowa; i cóż? — tak czy owak wszelkie istnienie połączone jest z krzywdzeniem kogoś; na to znaleźć radę...

Z głównych sal dochodziły ustawiczne jęki i postękiwania.

Nieszczególnie zapowiadała się noc.

Mrok stawał się zgęszczonym smutkiem; nieruchomym, nawisłym jak zła chmura.

Wtedy, w zimie bezmroźnej i bezśnieżnej też tak te chmury zwisały — cały obręb widnokreśny

był tępy i najeżony cierniami; ludzie, których nie pognano do rzeźni, byli sobie niechętni, źli i drażliwi.

Cyprjan wracał z Wiednia.

Przed dojazdem do powiatowego miasteczka, z którego jeszcze piętnaście kilometrów trzeba było jechać końmi do domu, drogą polską, która się w bilansie strat czasu trzy razy liczy — dowiedział się Cyprjan, że od tygodnia zamieszkał w tym właśnie miasteczku arcyksiążę austriacki osławiony Fryderyk Wieszatel; — kwaterą śmiertelną stanął; — powrócił właśnie z wschodniej Małopolski z ekspedycji karnej, podczas której wszystkie drzewa przydrożne wielkiego szlaku zbrodniarzy porosły w dół strasznyymi strąkami wisielców; zdrajcy, mówiło się; i wciąż mówi się: zdrajcy. Nieszczęśliwy kraj.

Znajomy konduktor pepeśniak opowiadał Cyprjanowi:

— zaraz na drugi dzień po tym diablیم zakwaterowaniu się, schwytali żandarmi dwóch Czechów; zaraz sąd polowy; — no bo jakże! oni tylko to; w czymś się tam, zastraszeni poplątali — — na śmierć! i — wieszać! — dla postrachu, przykładu i przestrogi na rynku. — Siedzieli w więzieniu magistrackim, słyszeli jak przez noc zbijano szubienicę dla nich. Nazajutrz — byłem przy tym, — strach, obywatelu, mówię, strach! — wywiedli młodych, białych, trzęsących się — monarchię chcieli zniszczyć! chuderlaki takie; — powieszono ich równocześnie na dwu hakach; zatrzepotali nogami; jednemu źle zasznurowany but spadł strząśnięty śmiercią z prawej nogi, kciuk wskazał na coś niezrozumiałego, tak mnie to przeraziło i urzekło, że jakbym po ten but

chciał skoczyć i podać, obuć gołą nogę, czy ja wiem co, otumanilo mnie dokrzyty — dopiero mnie jakiś wojskowy z konwoju odciągnął — a ten tam nade mną przechylił głowę i wywiesił język; — w prawnym kącie warg pokazała się krew i ciurkiem ściekała po nim na bruk; — a tam ten drań patrzył z okna, z nad wywieszzonego dywanika z orłem dwugłowym — patrzył w otoczeniu świty — i śmiał się skurwisyn głośno — dotąd to mam w uszach —

A potem ciszej, ostrzegawczo:

— różnie też opowiadają, niech się obywatel strzeże — szpiegów na każdym kroku kupa —

Widać nie mógł z siebie strząsnąć tamtego piekielnego obrazu, bo jeszcze go swej i słuchacza wyobraźni podsuwa:

— byście widzieli! łyście widzieli! — te wyszczerzone pyski dowódców i sztabowców — od śniadania pewnie co wstali — lśnią żarłoczne siekacze pod czarnym zakręconym wąsem — epolety, wyszywania, parada, orderzy za mord, za zbrodnię, za gwałt, za niszczenie i pożogi —

Zacisnął pięści - - :

— śmierć tych lat tak wyglądała, i, tak myślę, tych co idą będzie podobna, bo to się obywatelu nie uspokoi — za dwadzieścia, albo trzydzieści lat wybuchnie, za dużo niesprawiedliwości zeszło się na tę część świata; i taka wyszczerzona będzie przyszła śmierć, i taka sama, tylko mundur na niej będzie innego kroju i barw; śmierć lubi się stroić i przebierać —

Wychylił się przez okno i chłodził rozpaloną twarz; potem już spokojnie:

— a co do tego to radzę ostrożnie —
Dojeżdżali do stacji.

Przyjazd nie zachęcający.

Nad całym światem noc — wojna w każdej
połaci ziemi, ataki, huraganowy ogień, pożary, jęki
rannych i konających, szubienice i egzekucje —
wszystko się fragmentarycznie przez tafle krwi prze-
świewa — — i w ćmie tej jeden tylko jaskrawy pro-
stokąt — to okno!!

Opowiadanie kolejarza ma swój finał; — w ja-
kieś sześć albo siedem lat po owym dniu wjazdu na
prowincjonalną stacyjkę szeleszczącą wtedy zeschnię-
tymi badyłami dzikiego wina jak smętarnym starym
wieńcem — w dzień czerwcowy, zielony i kwietny:
maki, bławaty, kąkole — zjechała z Pragi delegacją
po kosteczki tych dwu powieszonych. Istotnie tylko
kości zostały; rzucono wszakże trupy zdrajców pod
mur smętarny w dół wodnisty; roztopy wiosenne
i jesienne szarugi rozpuściły zwłoki i zabrały z sobą
podziemnymi strugami na pola; po takim namule
pole rodzi dobrze — ziarno jest grube, słoma wy-
soka, ziemniaki jak pięści; i obojętne czy zwłoki były
nazwane zwłokami zdrajcy czy niezdrajcy; to nie
wplywa. — Na prześcieradle układała komisja rewin-
dykacyjna kości, umiejętnie, rozważnie, lekarz-anat-
tom dopilnował; były wszystkie, nawet te drobne
z kiści rąk i nóg; — schły na wietrze słonecznym
szybko i bieląły pięknie; — takie suche już i obok
siebie przepisowo leżące, bielutkie i gładkie odjechały
do ojczyzny. Chrzęściły, jak wielkanocne kołatki,
w blaszanym pudle, wstrząsane nieogłędnością pę-
dzącego po licznych zwrotnicach pociągu. W stolicy

swej z powrotem ułożone stały się kośćmi bohater-
skimi. Od śmierci zdrajców zmienił się nieco świat
i pogląd na rubrykowanie kości ludzkich też się
zmienił, jakkolwiek chemiczne ich składniki pozost-
stały niezmiennie. — — — — —

Więc: powrót.

Pani Kle była bardzo markotna. Mąż jej był
umierający; choroba rozwinęła się po swój kres; --
tygodnie i tygodnie bez pokarmu — już i łykanie
ocukrzanej wody sprawiało trudności — wreszcie
i to stawało się niemożliwe. — Nie jedzono przy
chorym; delikatność; lecz brzęk talerzy w sąsiednim
pokoju, żucie i łykanie — a słuch jego chwycił naj-
cichsze tu, skrywane dźwięki i w łaknącym mózgu
powiększał do złowrogiego mlasku wszystkich je-
dzących stworzeń, cały świat gryzł, mąmlał i łykał —
wprawiało go w szal; krzyczał rozpaczliwie, wył
i szlochał — pomstował i przeklinał. — Więc unika-
no wszystkiego co miało jakikolwiek związek
z odżywianiem; jedzono po kątach, w kuchni, sieni,
pokryjomu; — Genia coraz bardziej dzika i wyba-
łuszona, uciekała z kromką kukurydzianego, z tro-
cinową ośródką i odparzoną skórką chleba na strych
lamusa, tam żuła go godzinami; zdarzało się, że roz-
czochrana stawała w zapającym oknie i miauczała
żałośnie; duże lzy ściekały jej po porowatych policz-
kach; — wracała sino-błada, z podkrążonymi oczami;
odpowiadała bełkotliwie i nie do sensu — każdym
najzwyklejszym pytaniem i zwróceniem się do niej —
zaskoczona i spłoszona. — Chory — pomimo

ostrożności mieszkańców, już nie bliskich przecie, a obcych, wrogich, dalekich — słyszał przez ścianę, podłogę i sufit żucia i mlaski; na tę wyokropnioną chorobę słuchu rady nie było żadnej.

Lecz nie to było przyczyną, nie to potworne konanie kościaka obleczonego ciasno suchą skórą — markotności pani Kle; oczywiście: Cyprjan; aktualnie: Wiedeń; — ustawiczny lęk o wymknięcie się, zawsze stróżująca nieufność, podejrzliwość, zazdrość; to to było.

I nic tej tragicznej maski jej twarzy, jej starzejącej się twarzy, nic tej nadmiernie wydłużonej górnej wargi nie zdołało wygładzić i skrócić; ani perswazje, ani odurzania, ani najprzychylniejsze — dla niej — kłamstwa.

Wiedziała! — a to jest najgorsze.

Z wszystkiego pozostało — ostatnia ucieczka strapiionych — odczytywanie poezji —; lecz obecne jej zachwyty i egzaltacje były sztuczne, z tym podźgeliwym sugerowaniem, że nikt tak poezji jego nie odczuwa i nigdy odczuwać nie będzie, jak ona, że tylko ona; że ona go przeczuła, gdy jeszcze nikt; ona jedna miała zawsze pewność, że murzyniátko będzie miało świetną kartę w literaturze; to ona; tylko ona; sama jedna ona; czepliwie; rozpaczliwie; — jemu w tym wszystkim, poza niecierpliwą dokuczliwością, brak było elementu pobudliwości; wyłączony motor warczał, bzdyczał, churkotał, straszył i irytował; — cholernie obrzydliwe momenty! — Cały nowy nurt jego pracy był poza panią Kle, poza jej już nieco okrąglącymi się plecami.

Nadszedł czerwiec piętnastego roku — a z nim, któryś tam z rzędu ukaz asenterunkowy: olbrzymia płachta ponurego papieru nalepiona przez wójta na drewnianych wrotach bramy podwórzowej; — teraz to już mieli brać wszystkie ofermy, wszystkich kryś plów, cherlaków, zdechlaków, matolów, sietnioków, kaleki, obłąkańców i okrztoniów wszelakich; ojczyzna była naprawdę w niebezpieczeństwie; rząd, oficerowie sztabowi, bankierzy, dostawcy, fabrykanci, konsystorze i obszarnicy byli zagrożeni poważnie; ostatni ratunek w ofermach, które wzgórzami trupów miały zatarasować drogę złowrogiej inwazji. — Zakres chorób uniemożliwiających służbę frontową zmniejszył się i skurczył do stanu agonicznego; — kto mógł dojść do koszar przed komisję asenterunkową, ten też mógł dojść na front i poza front: do szczęśliwości wiekuistej, którą mu w codziennej morderliwie przygotował u boga najjaśniejszy pan cesarz.

A ten konduktor, pepeesiak, miał węż! — i rację miał; w papierach Cyprjana figurowały u góry dwie czerwone litery: p. v. — politisch verdächtig. — Wiadomo czyja to sprawka! szpiegów wszędzie jak nasrał; puszczało się przeciw do domu różnych postworków; i nie krępował się człowiek, zwłaszcza jak go poniosło, mówił jakby nigdy nic, że... nie pochwałało się, proszę was, wojny; a to już samo obrażało duchową postawę bojową żołnierską; bywało, że się i w zwycięstwo monarchii nie wierzyło bezwzględnie, że się wątpiło, że się kręciło głową; jak można! — czasem się może i mówiło, że raczej słowiańska Rosja, jeśli już nie... niż taka austriacka alfonsjada

wszystkich „moich ludów“; — różnie się tam: na plecie w takich niepewnych czasach; a taki drań, którego się ufnie do domu puściło, nic, tylko podsłuchuje i zaraz z tym do starostwa leci; i gdyby się po urzędach takich ważnych nie miało znajomych i obrońców to — oddaj się Wieszatelowi! — Tak sobie pefauowcy — kilku ich było — w kącie kurytarza koszarowego gwarzyli.

Teraz już prześwietnej komisji nie miało sensu mówić, że to a to dolega, że rozszerzenie serca, że grozi wciąż, że jest ulcus ventriculi rotundum, że tanto i to. Nie pytali zresztą. Tak już tylko na oko — gremialnie, ilu ich tam stało niezdarnych, natłoczonych nagusów —: tauglich! tauglich ohne gebrechen! — Żadnej apelacji; nie mierzono wcale, nie ważono, nie badano nawet zdaleka; drobiazgowość mizerna, przesada pokojowych czasów — ustąpiła na rzecz spraw natury ogólnej, uniwersalnej! Racji stanu!! — Czasy były istotnie poważne. — Zaraz też zgoniono całą hałastrę na podwórze koszarowe, gdzie nastąpiła uroczysta przysięga, że na lądzie, na morzu, pod ziemią i w powietrzu — odda się życie za cesarza i jego tron. Boga się brało na świadka, że się przysięga dotrzyma. To było wzruszające.

Cyprjan wracał po tej komedii posępny do domu; szedł przez las; pnił się, rósł i szumiał jak przed rokiem, jak wczoraj, jak dziś rano — i jutro i za miesiąc też tak szumieć będzie i nachwiewać galęzmi; — nikle pomyslenia, zastosowane do zamieszki tej chwili, wymagającej, dla zratowania godności swobodnego, niegwałtownego siebie-myślenia, stwier-



dzania, statystycznego chociażby, zwyczajnych zjawisk, tych napodorędziu.

Wiewiórki rude i popielato-brunatne harcowały po sosnach, obgryzały nowe pędy, wyluskiwały z tułpetem szyszki, rozpryskając na boki pochwy ziarn i rzucając nagie ogryzki, zaglądały chytrze do gniazd — napastowane przez wystraszone wrony, zwinnie i przekornie, szybkimi zwrotami okręzały, gniewnie cumkając, grube pnie; wrony starały się je strącać skrzydłami; natrafiały już tylko na korę.

Żywica — odurzający zapach —

Usiadł obok źródelka, tryskającego spod korzennych szkarp starego buka; kora na nim jak skóra wężowa, albo raczej jak noga słonia, taki kolor i chropowatość faldzista, i brodawki... skąd się ten obraz, podobny, bliźniaczy — przypomina?... to ten sen; skojarzenie anamnetyczne: no tak! — na pniu na wysokość podniesionej ręki napis erotyczny, krótki, prosty, wymowny — —

Niechże się to nie gmatwa!

(Cyprjan nakazuje sobie dyscyplinę myślową; z trudem jednak zdobywa ład; jest wzburzony)

Więc niech się nie gmatwa:

— wtedy: ten piękny, cienisty, wonny las — i to jedno: wstyd! nic więcej, tylko to; wstyd; wstyd na myśl, że się było taksowanym jak bydło —, że trza na jakiś czas wdziac na siebie znieawidzony mundur — na jakiś czas, i tylko to — bo co innego, to się jeszcze pokaże — ; — a już najgorszą depresją gnębiące: wyjazd — opuszczenie domu — niecierpliwiąca, niecna nieznośność kolei — lęk przed zmianą miejsca, niedobrowolnie, nieznanego, — ani

malny lęk zwierzęcia zmuszonego do opuszczenia nory; zgonione zwierzę; wykurzone z jamy; psie krwi! lotry sobacze! cholery! — — to się jeszcze pokaże! to się pokaże!

Zaraz też w mieście morawskiej, gdzie stała „jego“ kadra, pokazało się, że jest jednak bardzo chory i to zwyczajnie, naturalnie chory. Bo można było i nienaturalnie być chorym; enpe: przez wstrzymanie nafty pod skórę — lecz odwonionej, pamiętajcie! — te pierońskie regimencarcty już się zwieziały i pierwsze: wachają chorego rekruta; — enpe: przed badaniem na jaką godzinę piwo z dwoma pastylkami aspiryny — też dobre — trzeba przy tym stanąć przy ścianie i łokciami kilka razy fest w mur wałnąć — skutek zdumiewający: imitacja ciężkiej wady serca; — dobry też jest wywar z tytoniu, z machory podłej niesaletrowanej — trzy razy dziennie szklanka; ta naczco najważniejsza; nieprzyjemne, mdli, rzygać się chce, ale trzeba to przetrzymać; znakomite! — jeszcze lepiej, jeśli kto może kąpać się równocześnie w gorącej wodzie kilka razy dziennie; takiego to już do wojska nie wezmą, na lata ma zdrowie zcharatane; — byli też specjaliści od łamania rąk i nóg — zestawiali umyślnie źle — no to kaśleka; po wojnie może to sobie wszystko poprawić, jeśli właśnie o poprawność gnatów taki dbały; ale z tym wybiedzaniem ostrożnie, mówili fachowcy, bo te wojny teraz co po chwila wybuchają będą, choćby z przyzwyczajenia; — a był tam wtedy wśród bellonowych znachorów, zamawiaczy i kurfuszerów taki jeden, szprync, który wykombinował rzeźączkę w oczach; to był pewniak; to był pewniak — tylko

że niebezpieczny, dla wzroku wogóle; chociaż cóż tam na wojnie niebezpieczeństwo! uśmieć się! — Otoż ten facet zaraził się tryprem umyślnie, nie leczył się, przeciwnie pijał wódkę i piwo, i sprzedawał kroplę tego gonokokowego wysięku za dwie korony; dwie korony kropla: zarobek! — zbyt miał duży więc i o produkcję musiał dbać; dbał; ciecz wtarta w oko wywoływała straszną chorobę uniemożliwiającą służbę wojskową i oporną do leczenia; on sam chodził z okiem zapuchniętym, zgorzałym, ropiejącym — dla propagandy i reklamy; dobry kupiec; zachwalał było: „choćby się na głowie stawiali, muszą ci dać „d“ bądź przekonany“ — o tę to bowiem literę walczyło się wszelkimi środkami; już „c“ było dobre; „b“ do niczego, a „a“ znaczyło wyrok! — tak więc różne były sposoby i fortele osiągnięcia zbawczego „d“ lub drogiego sercu „c“; — wiele z nich skutecznych; nawet bardzo; nawet zanadto; — lecz poniektórzy woleli umierać w szpitalu niż na polu chwały; gustowi ich nie można odmówić rozsądku.

Dla Cyprjana rozpoczęły się obłądne, dla rozumu zdumiewające, bo niezrozumiałe i ogarnąć się nie dające perypetie: szpitale, badania, obserwacje, konstatacje — wszystko raczej szpiegowskie niż medyczne; — wszystko razem potęgowało niechęć do najdelikatniejszego objawu zdrowia; dobre samopoczucie stało się przekleństwem; choroba — to dopiero coś zacnego i radosnego; coś naturalnego i właściwego naturze ludzkiej; — ciężko chory przechwała się, cieszy — że z tym to już muszą puścić; zazdroszczą mu wszyscy; uczą się chorób, objawów, strategii, lokalizacji; wiedza medyczna kwitnie; wszyscy

się uczą medycyny — na wywrót. — Każdy swe ordynarne, wstrętne i niebezpieczne zdrowie niszczy i tępi; handluje się wszystkim co szkodzi, zcherlacza, miążdzy; — za adres kurwy, od której można złapać na pe syfa płaci się dziesięć koron; a jej dwadzieścia pięć — targu niema — idź se do zdrowej, tam będziesz miał taniej! — Za niezawodny przepis wywołania dużej i długotrwałej gorączki — sto koron, nóżki na stół! — Sąsiad obok — najbliższe łóżko, w otoczonym kolczastym drutem szpitalu w Morawskiej Ostrawie, młody brunecik, maturzysta, w mundurku chadzał jeszcze gimnazjalnym — miał stale czterdzieści stopni; tak jakoś bestia umiała; — aż tu raz miał, proszę was, czterdzieści pięć stopni; no, tego już było za dużo; za dużo tego dobrego. Lekarz z wrzaskiem na Władka Skowrona, tak temu brunetowi było, że jużby się dawno w nim białko ścięło; brunet na to, że on ma, widać wytrzymalsze białko niż zazwyczaj bywa, a żółtko, jak z tym? — Ledwo się potem wymigał.

Szła chytrość na chytrość, podstęp na podstęp; lekarze flaki sobie wypruwali, żeby tylko nakryć markiranta, żeby go tylko na podrywkę płątaczki złowić, żeby tylko do wielkiego saka śmierci! — *Markirant*, w tej zewsząd zacieśnionej nagonce, stało się najchlubniejszą godnością, tytułem chwały ówczesnego osobnika płci męskiej pomiędzy osiemnastym a pięćdziesiątym rokiem życia. Czasem się demaskacja chytrej swoloczy lekarskiej udawała. Lecz do czasu — instynkt samozachowawczy zwyciężał zawsze; to jedno zdrowie trzeba było mieć w pełni:

instynktu. Wtedy wygrywało się nie tu to tam; szpitali było w Austrii dość.

Po tygodniu badań — pech chciał, że Cyprjan był naprawdę chory — więc przez mylne poczucie (cywil, wieczny cywil!) słuszności miał instynkt przyćmiony — komisja oznajmiła: zdrów: tauglich: frontdinstauglich; — że niby — wypisali — jakieś tam coś, nabrzmienie naczyń limfatycznych, nadżerka, serce też rozszerzone, ale nie zanadto — w sumie: aż za zdrów na front! — teraz nie potrzeba byków! — Orzeczenie to wydał — komisja tylko kontrasygnowała — lekarz Polak! — Polacy lekarze byli najgorliwsi i najsumienniejsi; wzory praworządowców; tak; — były, owszem, wyjątki, wspaniałe wyjątki: doktor W..., doktor K...; ale tych byś na palcach jednej ręki policzył. — Inaczej czescy lekarze, innych nacji też, lecz zwłaszcza czescy; to byli ludzie miękcy, serdeczni, wyrozumiali — w prostocie swej nie orientowali się (prosit!), że to przecież wojna nie majówka; puszczała wiara zdrowych i chorych, zwała niała na grandę; to byli pacyfiści, altruści, fajtlapy; kuda im do mocarstwowego instynktu! Ale! Czesi byli właśnie wrogami mocarstwowej inflacji hetzen-dorfskiej rakuserii.

Tak też i nadszedł ten dzień deszczowy i ponury na Cyprjana: trza było przywdziać mundur; ogolono go przed tym na glanc na całym ciele; jak przed operacją; — po tym zabiegu tragifarsowym wyfasował jakąś zakrwawioną bluzę, z umarłego, najwidoczniej, na froncie, w lazarecie zdartą; spodnie z wielkoluda — zapinały się pod szyją — a w dół spadały w dziwną krętą harmonijkę. Cesarz mógł

być doprawdy dumny ze swego nowego obrońcy. — Tą maskaradą uczucie wstydu nie zmniejszyło się w świadomości Cyprjana; za ponura była ta dawka komizmu, za makabryczna; wstyd i poniżenie! — niema bowiem bardziej poniżającego godność ludzką faktu, jak być przemocą wciągniętym do wojska; obowiązek służby wojskowej będzie w historii człowieka potraktowany jako dalszy ciąg poddaństwa, które jest kontynuacją niewolnictwa. W ten sposób utrzymuje się t. zw. ciągłość historyczna. U Cyprjana nienawiść krzepła z każdą rekrucką minutą; oporność; wstręt. Zaraz nazajutrz (— w sobotę był ten wszelkiego humoru wyzbyty bal maskowy —) wypadła „szwancparada“; — co dwa tygodnie przypadało to na kompanię —; w niedzielę więc; zaraz po nabożeństwie! po uroczystym zadokumentowaniu sojuszu militarizmu z wyznaniem; — ksiądz kapelan wygłosił podniosłe kazanie o tym, że wszelka władza od boga pochodzi, że trzeba szanować przełożonych, szanować i kochać; i pilnie przykładać się do wpajanej przez oficerów wiedzy; że wróg, który napadł na kraje monarchii jest podły, podstępny i zdradziecki jak wszyscy heretycy, że trzeba go wytępić, a ktoby i przy tym zbożnym dziele zginął na polu chwały, ten będzie zbawion i wnijdzie do królestwa bożego, które Chrystus Pan przygotował dla tych, którzy oddają życie w obronie cesarza, boga, kościoła, tronu i ojczyzny. Tak tam plótl uderzając pięścią o wręby ambony; nikt go zresztą nie słuchał; były ważniejsze rzeczy na głowie niż zachwalana śmierć za ojczyznę i religię; a najważniejsza: jak się wymigać z marszkompanii. — Kontynuacją ambo-

nowych brecht była ta osławiona, trochę dla cywilów, matek, sióstr, kochanek i żon legendarna „szwancaparada“. Na hofie staje cała kadra — w dwu szeregach — szpaler — środkiem pójdzie lekarz w asyście sanitariuszy — ; — już się zaczyna! — habtacht! — rechts schaut! — Komenda: ruht! — aufknöpfen! — Żołnierz jeden, drugi, dziesiąty, setny, wszyscy — rozpinają spodnie i trzymają członek w lewej ręce; żołędź należy odsłonić. Tą falliczną, żalostną aleją przechodzi lekarz, herr regimentsarct lub herr shtabsarct, wojskowym krokiem; nie bardzo nawet patrzy na defilujące penisy — pyta powietrza: trypra niema? szankra niema?, syfa niema? — szeregi odpowiadają: nie, nie, nie, nie! — Choćby i ktoś miał to czy tam to — po co się przyznawać? — lepiej zataić — może się przydać w stosownej chwili; zresztą niech się choroba rozwinie — wtedy szpital, a szpital to obijaczka, a obijaczka to przedłużenie życia. Pokazał i Cyprjan i też powiedział, że nie. — Więc nikt? — to dobrze, to bardzo dobrze, zdrowie armii to pół zwycięstwa — tak się zakończyło krótkie, dziarskie, żołnierskie przemówienie pana regimentsarcta — a dalej: — żeby mi jeden z drugim na dziewczki nie laźł, a jak już to w kondonie — i zaraz się zameldować po szprungu w marodcymrze, sanitet „gi kut... przeszprycuje i gut; — a jak co złapiesz, skur..., i cetla od saniteta nie będziesz miał, żeś se dał przeszprycnąć — to paka, słupek, szpangi — poznasz boga w sercu jak ci j... spuchną; ale teraz o d... nie myśl, egzeczyrować, uczyć się fechtować i strzelać celnie, jak pojedziesz na front to tam będą „pufy“ pod kontrolą lekarską — to se będziesz mógł popie..

na wylot; zrozumiano? — Pokrzepione serca żołnierskie i na duchu tym higienicznym starunkiem władz podniesione, wrzasnęły: tak jest, wedle rozkazu! — dosłownie: ja wohl, zum Befehl! — Koniec! — Habt acht! — dopelreien rechts um, zug marsz! — einszwei — einszwei — einszwei — — — jakąś odległą asocjacją przypomina się królewiacki cymbergaj; lecz to bądź co bądź zabawa towarzyska.

Delikatne einjerygi były nieprzyjemnie zdumione.

Ropoczęły się ćwiczenia — najpierw salutiribungi, rechts schaut, links schaut — salutirt! — Ta umiejętność oddania należnej czci przełożonym jest dla żołnierza najważniejsza; primum salutare nunquam filosofare: zasada: nie myśleć; siła dyscypliny polega na bezmyślności; myśleć znaczy również definiować, myśleć znaczy także wątpić, myśleć znaczy... w tym miejscu Cyprjan pomylił się w zaskakowaniu w czwórki — chodziło o dopelreien rechts um — zaraz też przekonał się jak myślenie przeszkadza szlachetnej mechanizacji ruchów — zwrócił mu na to uwagę dobrotliwy zugsführer Jerzabek pełen wyrozumiałości i medali srebrnych: — te oferma! — mówie rechts, a ten links, h... złomany, którom mosz renke prawom? — uzgodniwszy poglądy na prawą i lewą stronę ciała ludzkiego — ćwiczone dalej. — Po ćwiczeniach wracał pułk szumną aleją kasztanową do koszar podśpiewując sobie radośnie: „wziął landwera byk na rogi“ i inne piękne piosenki. — Podczas tego śpiewanego, wesołego marszu copochwila padała nagle komenda: fliegerangriff! — że niby samolot nieprzyjacielski zrzuci na nich bombę — na

leżało rozbiec się i paść płasko w pył lub błoto — była to miła rozrywka podczas jednostajności nudnego marszu; jedynie nieco zmniejszała szacunek dla sportu.

Kiedy się to wszystko skończy? — to było pytanie interesujące wszystkich mężczyzn zdatnych na śmierć za kilka różnych i odległych od siebie ojczyzn pomiędzy Kanałem Lamansz a cieśniną Beringa i od tejże cieśniny Beringa na wschód ku Kanałowi Lamansz. Z początku zapowiadał ten bubek z unter den Linden, że nim liście z drzew opadną — ale liście opadły, wyrosły nowe i też miały zamiar opaść — a tu nic —

Kiedyś podczas peñnienia godności tagaska prala — o tyle to było miłe, że nie trzeba było gnać na ćwiczenia męczące — Cyprjan obchodził podwórze — wszy gryzły go cholernie — postanowił znaleźć zaciszny kąć i przeprowadzić strategiczną grę z tymi zwierzątkami, które przeżywały w tych latach swój renesans pełny i niebywały wzrost; czasy swej prosperity; było ich kilka gatunków, najgorsze były te z czerwonym krzyżem, były duże i zjadliwe; choć i inne mniej sławne były wcale do rzeczy; wszystkie stowarzyszyła wspólna idea eksploatacji; jakiś niepohamowany pęd kolonialny; poza tym nie łączyły się z sobą, kierowały się paktem wspólnej krucjaty na żywy organizm i te okupujące głowę, i te wświadrowujące się w pachy i te, wybredniejsze, które ocernowały zalesione przestrzenie podbrzusza; wszy to rasiści. Zdarzały się i wśród nich — ludzie są ludźmi chciałoby się rzec — elementy społeczne — te odbijały się od gromad i wałęsały się nonszalancko

i bez planu po całym ciełe — z tymi niezgleichszaltowanymi walka była najuciążliwsza. — Z takimi to insektologicznymi myślami zaszedł Cyprjan na koniec podwórza, gdzie za załomem płotu zbitego z nieregularnych sękatych łat znajdowały się latryny. — Właśnie oczyszczano olbrzymi dół, ponad którym ułożone były drągi — zawsze po dwa, — gdy szereg żołnierzy usadowił się w kuczającej pozycji na tych drągach — przypominał gromadę jaśkółek odpoczywających na drutach telegraficznych przed odlotem do Egiptu. W tej chwili było pusto; pułk musztrował na okolicznych wzgórzach. Nad brzegiem dołu stało dwóch landszturmistów; chłopcy poważne po pięćdziesiątce. Jednego z nich Cyprjan nawet znał, był to Tomasz Fidelus z Jaworznia, a drugi jego kamrat był chłopem z wsi sąsiedniej, z Kalenic; podszedł ku nim i swojacksko pozdrówkał.

— jak ta — ? —

— je, panie — mówi Fidelus — jak ta tak ta — zasranie z kretešem —

Wyrażenie, można powiedzieć, było bardzo ze względu na aktualność stosowne.

— powiec pon — wsparł się ten drugi odpocliwie na łopacie — dokoła wiadra, beczki, kufy, zapakane wszystko, ohydne, smrodliwe — powiec pon kie sie to skońcy, niby ta wojna niby ta wojna kie się skońcy?

— diabli wiedzą, jak już nie będzie kogo zabijać —

— bo my se, powiada Fidelus — ze swokiem, bo un mi swok przychodzi, wie pon — tak medytowali, bo my, wie pon, od początku som do tej latryny

odkomenderowani — tak my se, prowda swoku?,
tak myśleli, jakmy juz ten dół syroko i głęboko wy-
brali, ze jak un bedzie ganz fol po brzegi to sie wojna
skońcy — ale ka ta —

— ja, ja, ka ta — wsmętnia „swok“ —

— ka ta! — juz piąty roz wybieromy te zen-
grube a wojna trwo —

— furt trwo —

— no i trwo —

— ja, ja — miboże, ci co tu srali downo ziemie
świentom gryzą —

— wciąż nowi srają —

— nowi i starzy tyz, bo ta casem który wróci —

— ta wojna sie cheba nigdy nie skońcy —

— wiecie swoku nie markoćcie —

— cóz zaś? —

— teraz będą żniwne urlopy, to se na dwa ty-
dnie do chałupy pojedemy —

— zeby ino dali —

— co nimają dać —

Skręcili sobie po papierosie z cyprjanowego ta-
baku.

Ten barometr z łajna ludzkiego wydał się Cy-
prjanowi najtrafniejszym chronometrem wojennym.

Wreszcie — rekruckie ścierwa wymusztrowane
tak i tak na wszelkie dostępne sposoby — w czasie
skróconym, wojennym — bo podczas pokoju wie-
dzą zabijania nabywało się w dwóch — trzech latach
w dawkach odmierzonych, homeopatycznych — te-
raz wystarczyć musi kilka tygodni, porcje więc duże,
dławiące — wreszcie, więc, te rekruckie ścierwa miały
przystąpić do ćwiczeń karabinem. Cugsfirer Jerzabek

obwieszony medalami zapowiadał już od dawna, że to co teraz do kacendrek, że dopiero przy gewergryfach da im fest szpryca. — I tu się Cyprjan — nie spowodu tego zapowiadanego szpryca, lecz wogóle — zawzięł. Nie wiedział jeszcze jak, lecz wiedział na pewno, że karabinu do rąk nie weźmie.

W nocy przed tym dniem, podczas chrapań i pierdzeń sześćdziesięciu chłopów na szlafcymrze — — Cyprjan zataił census naukowy, lepiej nie być einjerygiem, z tym się trudniej kiwać — pchły, wszy i pluskwy cięły niemiłosiernie — zapatrzył się smutny człowiek w odbicie prostokątnego na brudnej, zaplutej, zaśmieconej podłodze mżenia — sączyło się mdłe światło podwórzowej latarni — — cierpienia i straszliwe śmiercie unosiły się w gęstym, smrodliwym powietrzu nad niespokojnym snem niewolników — — przerażająca samotność — — ciężar życia — — poniewierka, pohańbienie, wstyd, wstręt — — i zaciętość, żeby niewiadomo co!! —

Postanowił.

Od dzieciństwa pamiętał chłopów — w każdej wsi się zdarzało po kilku takich, którzy mieli obrąbane dwa palce przy prawej ręce; — do dziś spotkać można tak okaleczonych starców; — te dwa kikuty to były przecież jego pierwsze antymilitarystyczne uświadomienia; mógł mieć cztery — pięć lat — więc wtedy już!! — Przychodził taki jeden bednarz, do rodziców, do domu z cebrzykami, putniami; przychodził taki zbieracz grzybów z prawakami, rydzami, podpieńkami; przychodził stary już wtedy leśnik, pachniał żywicą i paprociami, kilku innych jeszcze — wszyscy bez tych dwóch palców u prawej ręki — —

Prostokątne odbicie okna zszarzało — zstopiło się z chorym, przełamanym świtem.

Godzina piąta. Śpiący jak umierający, jak umarli. — Budzenie.

Godzina szósta; cuchnie złą kawą i blachą szalek.

Godzina siódma.

Poza podwórzem koszarowym, lirycznym przedpolem krwi i zbrodni — ranek pogodny i ciepły; na obręzionym różową dołem koronką odpływających pozór błękitnie nieba kilka lekkomyślnych białych chmur, w których jeszcze żadne zamiary nie skropliły się; chmury — dzieci.

Po zgiełkliwym i upartym smrodzie nocnym, po czarnej kawie wyparzonej ze starych śniegowców i kaloszy — marsz do magazynów.

Prowadzi kapral Kuś — pies cholerny; chyba, że papierosy i tytoń; pod wpływem nikotyny miękły i kruszał; przyprawy mu było potrzeba.

Cyprjan stoi w ścisku lepkim, ciasno obwałowany kolegami-żołnierzami — widzi jak frajter odbiera z szerokiej czarnej czeluści składnicy karabiny od mglących się ektoplazmicznych czyichś rąk, podaje je kapralowi Kusiowi, a ten je rozdziela wedle kontrolnego spisu — wywołuje nazwiska:

— Kobzuch —

— hier —

— trzymoj —

— Terlik —

— hier —

— trzymoj —

— Kołek

— hier —
— trzymoj —
— Góralczyk
— hier —
— trzymoj —
— Sabuda
— hier —
— trzymoj —
— Jucha —
— hier —
— trzymoj —
— Pływacz —
— hier —
— trzymoj —
— Płonka —
— hier —
— trzymoj —

W przerwie nauka moralna, kaznodziej Kuś —:
— jak cholero jedna z drugą zapaskudzisz lufe,
która jest konisz szmelcowano — wiesz? — abo ma-
gazyn abo co — to szpangi psiakrew i slupek, że cię
szlak na żółto trafi, rozumisz? — a przed tym ci
morde skuje skurwysynie na granatowo w zielone
zębki —

Rozdaje i tak, szarża, poucza; kolorysta; a mu-
chy po kątach czkają ze strachu.

Któryś z rekruckich ścierw niezgrabnie karabin
palcami objął, gwier wysunął się mu z rąk —

— z czego pieronie mosz ręce — z czego! — jo
ci powiem z czego — z gówna mosz ręce! — żeby
cie psiakrew przez szklany lejek do trumny wle-

wano, jo za ciebie bede świecił gałami przed oberlajtnantem! jo ci pokoże —

Fantasta, kapral Kuś, był zły w skali czterech do pięciu „damskich“.

Jeszcze z pięćdziesięciu chłopca przed Cyprjanem — bo on z trzeciego cugu, tego co ostatni fasuje.

Teraz — prędko — bo będzie za późno! —

Na prawo przy magazynie jest mały zagajnik wiklinowy; kamienie, osty, pokrzywy — a potem zarwa piaszczysta ku strumykowi; — pusto tam — nikogo — — byle się wysunąć sprawnie ku tym wiklinom.

Scyzor jest — ostry, taki baryłkowaty, szwecki, stal prima! — zęby zacisnąć; co tam, musi się! — najpierw gałąź uciąć, potem byłoby trudno; ta gałąź to potrzebna; konieczna. — Łokieć zeprzeć o rozwidlenie grubej wikliny, żeby oparcie było, żeby silniej! — Teraz więc — — przez wskazujący palec i środkowy prawej ręki — ile siły — chrast! — przez skórę, ciało, ścięgna — aż zgrzytnęło na kości; to było nieznośne; już; — owinąć chustką — kijek w lewej; zrobione; minut dwie, trzy wszystkiego.

— Cyprjon Fałun — tyz sie cholero nazywos! cie pieron z takim nazwiskiem —

— hier —

— bier se swój gwer, a pamiętoj... co zaś psia-krew? — co się tu świnio z telom krwiom garnies — ? —

— na trzepanie — kazali — zaciąłem się —

— ze na trzepanie śtrozoka, pokos — aleś się tyz uślachcił, pierona, fuj —

Splunął kapral Kuś; przechwalał się cięgiem, że ze dwudziestu Moskali, panie święte, zabił jak nic, raz to nawet bagnetu, wegnanego przez flaki do paścierza widać, wyjąć z jednego oficera ruskiego nie mógł, szarpał, powiada, aż się spocił, a tamten za tym bagnetem to tu to tam, a charczał pieron! — a nie dało się; musiał zostawić cały gwer w kadawrze — ale ich ta dość leżało wszędzie tych gwerów; — a jednak kapral Kuś widoku krwi nie znosił; mgliło go.

— Te Fałon, czy jak ci ta, strać mi sie, powiadomę ci, z oczu, laufsrit mi sie strać —

A do wygolonych pał rekruckich:

— patrzeć, wiecie, na krew ni moze, taką mom nature; — zdałoby się, ferflucht, zakurzyć — Cyprian podał mu całą paczkę „trzynastki“ —

— proszę, ja i tak kręcić nie potrafię —

— no ja, lewom się nie do; — wal pon direkt do marodcymry —

Bardzo był radosny dzień.

Palce rzetelnie i należycie rozcharatane — rana rozwartą jak odęte wargi — — uchwycić cośkolwiek tą rękę ani mowy.

Było przesłuchanie; — lecz feldfelbel istotnie wydał poprzedniego dnia rozkaz, żeby się każdy jeden zaopatrzył w giętki kij, bo trza śtrozoki wytrześć przed inspekcją — ; — wszyscy zaświadczyli. Kapral Kuś potwierdził.

Potem marodcymra i szpital; czymś tam smarują, opatrują, przewijają, ale rana jada się srogo; temu jadeniu to już trzeba odrobinę pomóc; spósoby są; obiera cały gips sakramencko; diablo boli! — Wszystko razem: chromska frajda!

Wtedy cichcem przez dobrych braci słowiańskich Czechów, których tu w tej maroderce najwięcej — od lekarza po ostatniego saniteta — listy; do tego i owego; ma się przecie jakie-takie znajomości; więc: urlop ośmiodniowy „familienangelegenheiten“; — a z tymi palcami trwało sześć tygodni — to już mamy suma summarum prawie dwa miesiące obite; to już coś znaczy. — Ile też wskazuje ten barometr z łajna ludzkiego? — to jedno wartoby wiedzieć!

I na tym urlopie rozklekotanym list do Wisi: „nie ma na co czekać, to wszystko może trwać ad infinitum; przyjeżdżaj, pobierzemy się“; list do Krakowa z Wiednią Krotowscy już wyjechali; w tym stadium wojennego oblężenia Europy wszystko było względne i niepewne; już i Wiedeń był zasiekami spięty i rowami otoczony; ufortyfikowany; awansował do godności twierdzy.

Rozsądna równowaga Wisi wydała się w aktualnej sytuacji Cyprjanowi ostoją; zatoką spokojną o równomiernej aurze, zasobem pokrzepienia, zaproszaniem się w artykuł pierwszej potrzeby: zdolność przetrwania, futorem wreszcie, w którym ukryła się przytomność przed najazdem szaleństwa.

Pobrali się wojennym ślubem — bez zapowiedzi i bez spowiedzi.

Staruszek ksiądz, który, wzwyczajony w monotonne i powolne mijanie prowincjonalnych lat, na wszystko miał czas ciągliwy i przewlekły — w tym nie miłym mu, obcym i niezwyczajnym pośpiechu wojennego, słyszał świat, pośpiechu — zapomniał nawet ręce stulą związać; gafa, którą delikwenci kodeksu matrymonialnego nie przejęli się ani nie

matrwili zbytnio; właściwie nie zauważyli; dopiero im później o tym powiedziano; sprawa nie miała żadnego znaczenia. Migiem, jak nagły atak lotniczy, skończyły się te nieprzyzwoite ceregiele; rano; przy „zamkniętych drzwiach“; — bardzo dobrze — pomyślał Cyprjan — przypomniał sobie, że nie zdążył przebrać trzewików, które były niemożliwie pokrzywione i zdeptane, podeszwy naderwane i, co najgorsze, dziurawe; przesąd całych trzewików w takich okazjach dość rzadkich przecież był w nim silny.

Lecz w kościele istotnie pusto. Tylko pani Kle stała samotnie jak zastygły stalagmit, jak sama noc smolnie skroplona w pośrodku głuchego, pełnego zdenerwowanych, niedotykanych ech kościoła — w czarnej była sukni, blada i rozdygotana.

Wisia odęta nieco, mokra od łez zasłaniała powiekami liliowymi nie patrzące, wypukłe oczy; podszewka powiek była piaszczysta.

Wesele — no cóż tam wtedy, gdy wszystkie warstwy powietrza od powierzchni morza po stratosferę drżały hukiem ogni zaporowych, trajkotem mitraliez, pijaną rozpaczą mas ludzkich gnanych do ataku — powietrze było ciężkie od gazów i jęków kojąjących; — w hinterlandach trwoga i groza dniami i nocami, sacharyna, chleb kukurydziany, kawa z żółtą herbata z ostrężnic, tytoń z bukowych liści — wesele! — jest też o czym mówić!

Tyle tylko pamięci o tym zostało, że przez pomyłkę nasypano do cukiernicy soli — to też kawa i jakieś zmyślnie ciasteczka z mąki ziemniaczanej były słone; po prostu nie do picia i nie do jedzenia! Otrząsali się wszyscy, siedząc ciasno obok siebie przy węż-

skim stole: matowo blada jak pszenna mąka matka Wisi — oczy jej jakby muśnięcie delikatnym, japońskim pędzelkiem zamaczanym w rozwodnionej ultramarynie — siostra Mania „wyprzedzona“ przez Wisę więc z maską romantycznego tragizmu na dużej, o pięknych rysach twarzy — brat w mundurze „kadetscheltfretretera“, przydział: intendantura — jakoś się kręcił i ciągle tylko o tym myślał: jak dalej! — militarizm jego sięgał do marginesów map sztabowych, w które chętnie wbijał owe szpilki z chorągiewkami — ale już i ta pasja mijiała, bardziej interesowały go marki wojenne.

Ksiądz staruszek przypomniał, że gdy chrzcił Wisę, to wysunęła z poduszki nogę bardzo tłuszczyką — tu nawiązał życzenia tłustych lat; Mania, jak to miała zwyczaj, uniosła w górę brwi jakby nagle odkryła rozwiązanie wielkiej tajemnicy; tak już, wpatrzona w niewidzialną lampę wiszącą przetrwała z tym zadziwieniem i nikłym sfinksoidalnym uśmiechem do końca „uczty“. Tymczasem osiemdziesięcioletni kanonik narzekał, z rozwlekłym kaznodziejskim akcentowaniem, często pięściami przecierając łzawiące się oczy, że teraz nic nie wiadomo, raz zimno, raz ciepło, że to pewnie od tych strzałów armatnich takie rozdrżane powietrze jak niewiem co, i ile to kosztuje, każdy taki strzał ze sto koron albo i więcej, a w przytułku starców, którym się specjalnie opiekuje, kaszy niema za co kupić — i na co to wszystko? — tylko się pogoda w kraju zepsuła — wdział, powiada, ciepłe kalesony, jegerowskie — no bo chłodno było przedpołudniem, a teraz się chyba żywcem ugotuje taki gorąc. —

We wszystkim był wogóle rozgardiasz, nerwowy pośpiech; sproszkowane godziny dmuchające w mózg, jak perski proszek w letniskowe, niewygodne łóżko; ani jednego przejaśnienia myśli; mgła, do ogłupienia ostatecznego; — dziwota? — : żeniaczka, wojna, pełno nowych, niepokojących pomysłów piersarskich; a najbliżej: wojsko, a jeszcze bliżej: wyjazd do kadry — — wystarczy!

Wieczorem przyszła pani Kle—spowodu żałoby nie zjawiała się na weselu; mąż jej umarł przed kilku dniami. Córek nie zabrała bo to taki wieczór właśnie, to niestosowne i tak sama nazwa „noc poślubna“ ma już w sobie coś takiego, że panienki, nieprawdaż, i czy to potrzebne, teraz dużo mówi się o uświadamianiu, lecz ona uważa, że jak tylko najdłużej można, nieprawdaż, kryć, usuwać — a państwo jakiego są zdania? — Odpowiedziała matka: „właśnie, właśnie“.

Pani Kle to się zwiększała, to zmniejszała, to poszerzała się to chudła raptownie.

Teraz już tylko o tym mówiła — odpowiadając na „wyrazy współczucia“ — jak to człowiek bez jadła nieprawdopodobnie długo wytrzyma, tylko, że leżeć musi, bo tak to nie; panie odpowiadały grzecznie jak do fotografii „tak, tak, naturalnie“ lub jeszcze zgodliwiej i tak, jakby już dawno taką myśl miały, i że im to po prostu z ust wyjęto: „właśnie, właśnie“.

Długo jeszcze tak mówili; i dziwili się, pochylając grzecznie korpus ku mówiącej, gdy pani Kle zapewniła, że jji, jji — taki był wyschnięty i lekki,

że dziecko by go na rękach przeniosło z pokoju do pokoju; — co pani mówi? — że to do zadziwieniał—

Ale właściwie pani Kle przyszła z tymi gratulacjami, co to wiecie. — Posiedziała godzinkę i drugą, a o to spanie jej najwięcej, wyłącznie o to spanie, chodziło, gdzie będą nowożeńcy (tfy!) spali; -- uśmiechała się, a oczy jej wystraszone latały w bezrytmicznym trzepocie, jak ptaki, gdy im kot do gniazda włazi — latały skwirząc jak dalekie, mokre świerszcze, dookoła niej, po wszystkich pokojach; ani na chwilę nie przysiadły na odjętej widzeniu twarzy, tylko wciąż latały dołem i górą, wskos i wspak — ich spłoszone brzęczenie słychać było w całym domu.

Tak te oczy, a co do spania to wogóle wcale spać się nie miało — bo o czwartej rano trzeba jechać do kadry, na Morawy; a przygotować też coś trzeba, do drogi przygotować, zwyczajnie; zleci jak nic. Zresztą nie byłoby po prawdzie i na czym spać — ani łóżek, ani pościeli; a, wiemy, tyle a tyle osób, niby Wisi rodzina najbliższa.

Pani Kle napozór spokojna; nawet oczy przysiadły na chwilę na śliskiej kłamce zamkniętych drzwi — teraz były podobne do ważek, drżały na poziomo rozstawionych błonach skrzydeł jak miniaturowy samolotów; obliczały na rzesach ile osób, czy wszyscy są w pokoju; są.

Lecz, gdy ją Cyprjan odprowadził przed dom — oczy jej przyssały się do jego czoła — górna warga wydłużyła się jej niepomieranie — w piersiach zerwało się pohamowanie wszelkie —: poczęła przeklinać Wisię i jego do dziesiątego pokolenia, dopiero jedyńście wyszło obronną ręką — przekląła zasobem słów

i zwrotów zdumiewającym; i to, żeby nogi połamała zanim tu przyszła, i to, że jej zabrała kochanie jedyne, i to, że on zobaczy co to za ptasi mózdzek, i to, żeby sześć dni pod płotem konała — potem, że on jej zrabował całe zdrowie, że co tylko zje, to z niej ciurkiem leci; — jak zwykle: zazdrość podsuwała jej najpospolitsze formułki znachorów i wiedźm. Bardzo nieprzyjemne. Cyprjan zniósł to z cierpliwością dopiętą na wszystkie haftki i zatraski. — I ty nic na to? — ty milczysz? — przypatrujesz się z ircją mojej męce— ! — gardzisz może? — zapomniałaś? — wypędzasz! — Zapytał: ja? — Wtedy Kle uderzyła go w twarz, wyszczerzyła zęby, wessała górną wargę, podsunęła brodę do obwisłego i rąchliwego nosa, zdjęła szybkim ruchem ręki oczw z jego czoła — podrzuciła je w górę, silnie, wysoko, powyżej dachu — zagrały w tym locie jak druty telegraficzne brzmia, gdy się ucho do słupa przyłoży — błysnęły białkami i wpadły przez komin do wnętrza domu. Kle tymczasem uniosła ramiona, które nagle porosły błonami od dłoni do kolan —

(— skąd ona, na dziś akurat, tyle krepy? i, że nie zauważyłem tego pierwej? — pomyślał —)

A Kle już nie było obok niego; — tylko żalśnie piszczący nietoperz okrążał dom coraz ciasniejszym kręgiem. W gąszczu drzew świeciły robaczki świętojańskie. Z bardzo daleka, z wąwozu przecinającego jak głęboka obliźniona rana widnokrąg, wysnagał się kilkakrotny posępny gwizd pociągu.

— spójrz, rzekła w pewnej chwili Wisia, gdy do plecaka pakowali bagaż podróżny, — czyż to

nie dziwne, że w drzwiczkach pieca przeblęskują węgielki? — w lipcu? —

— rzeczywiście —

Z poza krat żarzyły się dwa ogniki uparcie i śledząco.

Mania rozwiąła te zagadkowe podziwy:

— niedopałek płonący rzuciłam do pieca — widać przeciąg, więc nie zgasł i rozżarzył jeszcze jakieś drewnenko —

Powiedziawszy to zapatrzyła się w przestrzeń pełną warstw powietrza, ponad którymi rozpoczyna się stratosfera i tak dalej; z tej pełnej tajemnic podróży spoczęły znużone oczy z zadowoleniem, jakie zawsze odczuwamy wracając po długiej niebytności do domu, na pięknej starej broszce, którą właśnie odpięła spod szyi pomyślała: to ładna robota; kunsztowny rysunek złotego listka i ciemno granatową emalię pokryło przezroczyste widmo męskiej opalanej twarzy z przystrzyżonym po angielsku wąsem spod którego zabieliły się duże, mokre zęby; głowa wspierała się wygolonym łśnieniem podbródka na wysokim kołnierzu, na którym łśniły trzy gwiazdy pierwszej wielkości; w ich mżącym, błyskotliwym, niespokojnym blasku przygasły nieco rozżarzone węgielki w żelaznych drzwiczkach pieca.

Jazda do tych sakramenckich Moraw — okropna! Wagony wyranżerowane, na szmelc; okna porybijane; brudno, prześmierdłe, zapluto; żołnierzy udęczonech, wyszczutych, złych, kupa sroga; ścisk, tłok; człowiek człowiekowi na ramionach, na koła-

nach — gdzie ino — — tyle godzin! życie zbrzydnie do reszty.

(Cyprian: cholera! szlak jasny trafił! — Wisia: no, no, ładna podróż poślubna! —)

Na którymś przystanku rozluźnił się nieco ten jadowity kłęb; — jakiś tu pułk był stacjonowany, więc gromada urlopników wysiadła. Przez krótki moment w przedziale było pusto; tylko ich dwoje; wycalowali się też i wyściskali namiętnie; ale żeby co, to nie; ani czasu, ani sposobności dostatecznie, i denerwacja; wycalowali się, a on ją przy tej okazji poobmacywał, ale dość pobieżnie.

Na węzłowej stacji wysiedli. Restauracja. Jedza. Copochwila wchodzi jakiś oficer, trzeba się zrywać i stać na baczość. Jedzą. Baczość. Jedzą „kłobas“ — po prostu kielbasa z kapustą. — Podróż poślubna — Wenecja — plac świętego Marka — gołębie — gondole — lody włoskie — — czeka Mediolan — Florencja — Asyż — Rzym — Pompeja — niebieska grotka — hotele — wygoda — duże łóżka... Baczość! — Mówią już nie wiele — bo skąd i tematów nabrać? — Baczość! Co tych oficerów! — Podczas picia herbaty — Wisia bierze delikatnymi paluszkami (— śliczną ma rękę! —) kilka bibulek zwiniętych odwróconym stożkiem w wysokiej szklance; chowa do torebki; po chwili wstaje —

— co? —

— nic —

Baczość!

— ? —

— fajną masz dziewczynę — ja tylko bibulki; — Wyszła. Zrobiło się nieco niemiło; i wyobraź

nia nieporęczne nasuwa obrazy. Bo to... ale cóż, rzecz ludzka, ptaszki z człowieka nie wyniosą. —

Bacność! Cholera!!

A potem już jechali państwo młodzi autentycznym dylizansem, takim z pierwszego dziesiątka lat XIX wieku.

— może prababcia moja nim jechała — ? — zażartowała Wisia.

— możliwe — ponuro odrzekł Cyprjan.

Jechali na miejsce — chce się powiedzieć: stracenia; niech więc będzie: na miejsce stracenia.

Od kolegów, którzy też tym dylizansem, Józek wiedział się, że ten kapitan, ten pies wściekły, co to ino per szwinia, i tylko niedier — auf, niedier — auf, a po mordzie „bis du blau wirst“ — odszedł na front, ale on się i tak zadekuje, chyba, żeby go żołnierze w plecy, a mają tam pika na niego i wielu przysięgło się, że „pierwsza kulka“; — mają teraz innego, elegantki chłop, o nic nie dba tylko wódka i dziewczki — jak się ozre to nabierze tych pind wyfiokowanych do fiakra ile się tylko zmieści i jeździ po całym mieście, ledwie go spod tych sukien, bluz, kapeluszy widać — tyle, że podnosi wydobytą z pod spodnic rękę i wywijając nią wrzeszczy: hurra! — hip, hip hurra, albo znów: feuer! — bajonet auf! — A dziewczuchy się aż pokładają ze śmiechu, się tam nie jedna posusia w majtki — jakbym był przy tym, kończy relację szlafkamrat Cyprjana, Józek Kozłowski.

Mówił te nowiny przytłumionym głosem — bo w kącie dylizansu — nabitego żołnierzami po wręby — siedziała kobieta.

Szturchnął Cyprjana w bok:

— kto to ta frajla — ? —
— to żona moja —
(— pierwszy raz mówię: żona; dziwnie to brzmi — ale przyzwyczaję się —)
— toś ty się ożenił? — pierona! —
— sakra — zadziwił się ktoś z naprzeciwką; twarzy nie widać; ćma; dymno; duszno.
Pośmiechy w trzęsącym, dudniącym pudle.
Jakiś gruby głos, bas:

— ech, braciszku, nima to jak własna porciury — zostawiłem swoją, kto wie kie ją tam znów uźrocze—

Westchnął; i znów kilka westchnień w różnych tonacjach przeskoczyło po ścianach pudła jakby kto mimowoli dotknął klawiatury fortepiana.

— kamraci! — zaśpiewajmy co, dobre? —
— zacznij —
— a co? —
— może „dzień deszczowy i ponury“ — ? —
— czyś się wściek — ? — facet jedzie z młodą żonką — a ty „ponury“ —

Tu Józek Kozłowski zwrócił się do Wiszi, która zgniecona i przyciśnięta do uwierającej poprzeczki żelaznej — pojękiwała w sobie —

— pani wybaczy, Kozłowski jestem, takie okoliczności, nieprawdaż, a to koledzy z pułku, nieprawdaż, jeśliby co, przepraszamy, ale pani też żona i człek nierza, nieprawdaż — — a teraz chłopcy umiecie: „księżyc już zaszedł?“ —

— umimy, zaczynaj —

— no jazda, koledzy —

Jak tam umieli wyciągali::

*Księżyc już zaszedł
psy się uspiły
i coś tam klaszcze
za borem —
i coś tam klaszcze
za borem —*

I bez słów:

*tra—la—la—la—la
tra—la—la—la—la—la
tra—la—la—la—la—la—
tra—la—la—la*

Dylizans — Laura i Filon — noc — Morawy —
rok tysiąc dziewięćset piętnasty —

A w tym miasteczku nie dużym, w tym miasteczku Wągsztadzie jest hotelik maleńki o rokokowej fasadzie, na rynku, w połaci prawej; — no to właśnie —

Pokoik wąski; łóżko szerokie.

Bardzo była bezwładna Wisia, i nieporadna bardzo, i odrobinę moczem ją czuć było; — piersi, mimo pozory, niklutkie, nierozwinięte; prawa większa; sutki blade, anemiczne. Ale tak naogół budowa wcale; rozłożysta; mocny w niej kościec.

Po dziewczynskiemu głupio uświadomiona nie wiedziała właściwie nic. Więc: dziwiła się; poza zawstydzeniem nic jej nie przeszkadzało snuć doraźnych refleksji. — Bała się, że będzie bardzo boleć — tak jej jakaś koleżanka powiedziała, że bardzo. Uspokajał. Gdy zaś zaczął działać, tak, jak w tych dość przecież pospolitych wypadkach działać trzeba — powiedziała, że pewnie nie pasują do siebie; miała

taką fobję—w czasach pokwitania zasłyszała o tym— i znów: bała się; teraz tego niedopasowania; co to będzie, co to teraz będzie! powtarzała; bo coś, będą się musieli rozejść, jeśli są niedopasowani; wyobrażała sobie tę sprawę w kategoriach nieco krawieckich. — Jediną jej szkołą seksuologiczną była obserwacja psów; a, że spotykała je najczęściej — jak to zwykle bywa — związane ze sobą nieruchomo, stojące ze zrezygnowanym spokojem — więc też wszelki ruch uważała za potwierdzenie: szukania, trafiania, nietrafiania, jednym słowem: niedopasowania; kiedyś nawet myślała — obserwacja psich amatorów naprowadzała ją na to — że wystarczy dotknąć się tyłkami, później doszła do przekonania, że chyba nie; lecz w dalszym ciągu rozumowała, że przy dopasowaniu ruch wszelki jest zbyteczny; — wyobrażała sobie to tak, że po zespoleniu małżonkowie trwają w bezruchu — jak długo, nie wiedziała — no i już; coś się tam podczas tego robi takiego, że może być z tej hecy dziecko (słowo „nasienie“ uważała za przenośnię). — Gdy więc teraz Cyrjan uparcie zmierzał do celu, wydały jej się te forsowne ruchy aktem jakiejś rozpaczy — śmieszyły i poważnie przerzały — a, że przy tym piekło ją dotkliwie, więc wszystko razem było bardzo niemiłe, trwożące i poniżające. Tyle lat cała obyczajowość mieszczańska nakazywała jej to ukrywać — a tu nagle z kimś obcym takie rzeczy! — pcha się do jej wnętrza niedelikatnie i nieprzyzwoicie — — a może to tylko oni tak? — niesposób przecie, żeby wszyscy takie wstrętne głupstwa robili! — przypomniała sobie szybko poważne małżeństwa, wujów, ciotki — nagle, aż jej

serce załopotowało: matka! nie, nie, to niemożliwe! — I znów strach ją ogarnął — pamięć wydobyla z prze- grody nieporozumień słowo: zboczenie! i jeszcze gor- sze, całkiem złe: perwersja! — to pewnie to!! — Zu- pełnie jednak przeraziły ją (— może zadzwonić, żeby ktoś przyszedł — przyszedł — ratować — ra- to- wać — zwariował —) gwałtowne ruchy końcowe, jęki, okrzyki, przymdlenia i wyczerpany bezwład, ciężar duszący —

— co ci się stało? — wysapała przygnieciona tak, że się jej wszystkie wnętrzności pod serce pchały — co ci się stało — ? —

nie odpowiadał; — po chwili zesunął się z niej na bok i przylgnął do niej obejmując ją ciasno.

Więc już — pomyślała — chwała ci boże, że już po wszystkim; no to już mam spokój.

Teraz nawet z pewną czułością pogłaskała głowę Cyprjana, lecz prędko cofnęła rękę, czoło miał spocone; pewnie się zaziębił — pomyślała.

Zadowolna była, że już minęło; sądziła, że ta- kie rzeczy robi się bardzo rzadko; kilka razy na rok; i to może nie.

Zdziwiła się nieprzyjemnie, gdy Cyprjan o świcie powtórzył to wszystko raz jeszcze.

— po co — po co ty to robisz? — po co! — Rozchyliła splekane blade wargi, wyszczerzyła zęby — na twarzy jej był tylko ból i gniew; — tym razem istotnie bardzo bolało; syknęła kilkakrotnie; a po- tem ta nieprzyjemna wilgoć wylewająca się z niej.

O wczesnej godzinie musiał iść zameldować się, że z urlopu. Zaraz też wstał — z bólem głowy i do- kuczny piaskiem w oczach — poprzednią noc bez

snu — potem to tłuczenie się tyle godzin — a i ta noc z paru godzinami kiepskiego snu — przytem niecierpliwiące i dokuczne poboliwanie w okolicy wątroby i żołądka — nie, źle jest; obrzydliwe życie!

Ucałował żonę na dzień dobry; wydała mu się bardzo brzydka; prawie odpychająca; przemógł się i powiedział kilka czułości; — ona też wylazła z łóżka; przeczesać się; właściwie czekała niecierpliwie, aż wyjdzie; siusiać się jej chciało; ona mówiła na to „pipi“ — różnie na to mówią; to idzie rodzinami.

Zaraz po wyjściu Cyprjana poszukała naczynia w nocnym stoliku; zadrżały blade wargi i twarz się boleśnie skurczyła; piekło nieznośnie.

Z ulgą i z tym: spać, teraz spać, nic tylko spać położyła się do łóżka; — po odsłonięciu kołdry zobaczyła na prześcieradle dużą plamę koloru brudno różowego i kilka mniejszych krochmalnie szarych. — Już nie jestem panną — pomyślała i natychmiast zasnęła twardo.

Tymczasem Cyprjan stał przed frontem plutonu i zbierał burę od sierżanta Kowalika, że co jest! oferta nie wie, że się do raportu zgłosić trzeba było wczoraj? — a gdzie jest karabin, ferfluchtes kaczmarek, tu gewergyfy, bo już marszkompanię szykują — abtreten! — to ci jest oferta, sakra, cholera, psiakrew i t. d.

Potoczyły się dni chytre, kluczące — pomiędzy marotcymrą, więzieniem, raportami, łapówkami, odkomenderowaniami to do szarzenszule, to do unieroficierszule, to znów spowrotem do kadry — perypetie, podstępny, łapówki. Znów szpital, znów

konstatirungi, przydziały do kancelarii, urlopy, odwołania, łapówki.

Wisia tym wszystkim nie interesowała się nic, a nic. Oczekiwała w godzinach wieczornych w kawiarni — co znów nowego, i jak tam — o jej — co robić, co robić — aż wreszcie — któregoś dnia —

Ostatecznie udało się Cyprjanowi Fałnowi wympsknąć z zastawionej przez samego monarchę, a inwigilowanej pilnie przez generałów i kaprali, przede wszystkim jednak przez felfebłów sieci, wympsknął się Cyprjan jak śliz, jak piskorz z więzienia; niema bowiem takiej siły ludzkiej, któraby zdołała świadomą, wyrazistym chceniem kierowaną jednostkę, zmusić do pójścia na wojnę. Tutaj — właśnie nie tutaj! wola człowieka jest silniejsza niż wszystkie sztaby, generalicje, ministerstwa, silniejsza nawet niż sierżant i opinia tak bardzo zawsze ofiarnych i oddanych sprawie krwawej swawoli — patriotek.

Cyprjan opuścił kadrę z marką hauptmarkiranta; piękna godność i sława szlchetna; sam pan pułkownik Wanke suchy i groźny był łaskaw stwierdzić na hofie wobec wszystkich oficerów i całego manszaftu że „so etwas ist mir noch nicht pasirt — ist das aber eine Kanalie“ —

Cyprjan dostał enthebung z tą najpiękniejszą literą alfabetu „c“. Na jakiej podstawie? — 1) protekcja, 2) choroba (bez protekcji niema choroby), 3) urlop na samodzielne gospodarstwo głowy, która utrzymuje z pracy rąk własnych rodzinę (bez protekcji niema urlopu, samodzielności, gospodarstwa, głowy, rąk własnych, rodziny), 4) wola o której

codopiero była mowa — i ona to, wola, jest spirytus movens elementów wymienionych ad 1), 2), i 3).

Przewodniczący srogiej komisji enthebunkowej w Opawie, otyły, łysy, z bokobrodami a la Franciszek Dobrotliwy, generał Iks — kazał Cyprjanowi pokazać język — delikwent uczynił to nie bez odrobiny satysfakcji; na widok białą obłożonej masy wydobywającej się pokaźnie z rozdziawionej jamy ustnej, rzekł generał:

— i z takim językiem pana wzięto do wojska? —

— wtedy miałem bardziej, że tak powiem, różowy —

— no, chyba —

Nachylił się gruby generał Iks w stronę również łysego, pomarszczonego pokurcza, drzemiącego smacznie członka komisji, pułkownika Ypsilon i szepnął z naciskiem w pęczek rudych włosów wystających jak brudny kłak waty z ucha:

— sądzę, że „c“? — ha — ? —

Pomarszczona twarz pułkownika skurczyła się w szerz, palec pułkownikowski wytrzepał z ucha nagły świąd powstały przez poruszony falami głosowymi pęczek włosów, usta pułkownikowskie wyszeplenily:

— ce? — rozumie się! —

I obtarł pan pułkownik ściekającą z prawego kąta ust długą, ciągliwą ślinę, popatrzał czerwonymi oczkami na Cyprjana i powtórzył płaczliwie:

— rozumie się, rozumie — tak; no i co — ? —

Lecz generał Iks chciał być skrupulatny, więc zapytał surowo i chrząkliwie:

— Fałn? acha! — a czym pan jest w cywilu? —
Cyprian zawahał się chwileczkę i odrzekł:

— historyk sztuki —

Tedy generał zwrócił się do całej komisji:

— panowie, stanowczo „c” —

Rzekł to takim tonem jakby historia sztuki była bardzo niebezpieczną chorobą. Tak to też wszyscy zrozumieli; poczym pułkownik Ypsilon zaświstał cichutko fiiiiii; komisja jednogłośnie uchwaliła „c”.

Podczas ubierania się — przed komisją bowiem musiał stanąć nago, jakkolwiek miał tylko pokazać język, jednak wpierw musiał pokazać wszystko — aż tam coś samoczynnie jęknęło w Cyprianie z radości, jęknęło, zaskomlało, polechtało po krtani i po woreczkach łzowych; to to to „„c”, górne, najgórniesze „c”!!

Tego samego dnia wyjechali do domu. Zaraz nazajutrz, wolny, wrócony słońcu, wydobyty z podziemi, oznajmił pelen rezonu:

— widzisz Wisiu, poeta jestem nic więcej, ale też i nic mniej! — wszystko dla mnie pozatym to detal lub materiał; — chcę być pierwszym lirykiem mojej epoki — dopomóż mi do tego —

— tak? — zapytała, nie wiele z tego rozumiejąc; — a jakże ja ci mogę dopomóż — ? —

— istnieniem swym; tak jak potrzebna mi była twa obecność, z niej bowiem czerpałem siły do utarek, walk i podstępów — aby się z tej piekielnej matni przecież wydostać — tak teraz chcę... bo to ty czekałaś w kawiarni co wieczór, prawda? — a dla mnie to było, wiesz, symbolem, rozumiesz, symbolem

doczekania się... tak teraz chcę aby się myśl moja wokół ciebie opłotła — — poezja, jakże ci to inaczej powiem? — to ciężka orka, trudna robota — i znachodzenie ciągle i ciągle naprzód — — bez pierwiastka erofilnego nie ujadę — to właściwie jedno i to samo, ależ tak, to jedno i to samo — barwy kwiatów, motyli, śpiew ptaków, no wogóle, przecież to jasne — rozumiesz?

Nie rozumiała nic; tyle tylko, że trzeba przystaknąć — więc — :

— tak —

— no to dobrze, dziękuję ci —

Rozpoczął się okres dokrzyty zdziwaczały. Nastawienie psychiczne kierowało się kompasem ku biegunowi mrocznemu, ku poczjom co się zowie pesymistycznym; świadomość osiągnęła najniższą depresję; taedium vitae całkowite. Prądy i wiry napowietrzne takie były; tak też ziemia drżała po nogami; i w nozdrzach przeciągłe spalenizny i oprzęd zgliszcz; na języku smak krwi. Otóż to: przekłady z ostatnich łazarzowych poezji największego liryka świata Heinego — i własne utwory pod psią gwiazdą zrodzone trupiszydła stwierdzające: —

*— wszystko będzie tak samo,
nic się nie zmieni zgoła —
trochę powagi w twarzy
i krwi trochę u czoła —,*

wreszcie obrabianie kęsa nowizny w piśmie poświęconym zagadnieniom nowej sztuki; począł w nim drukować utwory: forma rozbita, pokawałkowana, szrapnelowa, zaznaczająca tylko aluzyjnie, wymyśl

nikowa, schodami (graficznie) zdążająca ku syntezie — wszystko od wewnątrz (ex) — pogarda dla, tak niedawno jeszcze uwielbianej, zewnętrzności (im); — Cyprjan Fałn stał się rychło heroldem i filarem nowego ruchu, wszczętego z nieźmiłą buńczucznością przez kilku młodych poetów i malarzy, w silnej z początku zależności i łączności z radykalizmem wywrotnym, rozbijającym na pierw formę, aby przez nią dojść do radykalizmu treści społecznej; na tym odcinku, o którym mowa po naszym i gorącym gejerze — energetyka spelzła i, całkiem po polsku, rozlazła się po kościach względnie w mętym rozlewisku ugrzęzła w podejrzaney jakości mistycyzmie wyznania teozoficznego. To oznacza zawsze koniec; koniec rozumu — więc początek nonsensu.

Dla Cyprjana treścią tego etapu było zagadnienie świadomości przerzuconej na ekran wieczności i nieskończoności — jakiś tu więc też antropoidalny, na przecięciu nocy i dnia, mroku i światła chorym oparem mdło wyblaskujący, urzekający mistycyzm, niewątpliwie religijnego autoramentu, anamnetyczność nie dającą się skontrolować i genezyjskość problematyczna. Pozycja wypadowa: Genesis z ducha.

Ile w tym było ucieczki, ile wstrząśniętego, rozpaczliwym jękiem i krzykiem konających dziecięciu milionów ofiar zbrodni tych infernalnych lat, powietrza roztrzęsionego, powieszonoego po drzewach jak gnijące wnętrzości, zacadzonoego krwią i odorem trupim, ile bezsilnego buntu przeciw wygalonowanym zbrodniarzom, ile nieuzasadnionej nadziei, że ostrzami nabijany walec wojny przez nich w ruchu

puszczony — ich samych wgniecie w ziemię, potnie na strzępy, rozetrze na miazgę, — ile trwożącego po nocach w nieoświeconej czerni pokoju: kiedy! kiedy! byle prędzej!, — ile głupiej wiary w to, że już nikt i nigdzie nie ośmieli się podtrzymywać zarzewia rzezi przez tworzenie militarystycznych państw, i znów: ile lęku, żeby się nie powtórzyła ta zła rzeczywistość, strach rozpaczliwy, że wzwyczajeni w mord, podpalenie, rozkaz i niewolnicze posłuszeństwo — mogą znów objąć krwawymi rękami władzę i dyktatorski rząd potwornie wymizerowanych ludzkich ciał, startych na proch mózgów, chorych oszalałych serc — i czy zdoła zmarnowana ludzkość wytrącić tę władzę z grabieżnych rąk — ? — ile lęku, trwogi, strachu, rozpaczy, beznadziei i tragedii było w tej prometejskiej poezji przykutej do oriona i krzyża południa — któż to już dzisiaj zdoła dojrzeć, zważyć, zmierzyć? — — jeden ostał się pewnik: trwoga tych lat była przecuciem przyszłości, czyli naszego dzisiaj.

Cyprjan był — nie wiedząc o tym — wieszczkiem złowrogim.

— — — — —
Pani Kle? — ach pani Kle! — prawda, pani Kle! —

Pani Kle przychodziła jak dawniej — może trochę prowincjonalniej: do państwa Cyprjanostwa Fałstostwa; ale przychodziła. Nową twórczością była zachwycona, wniebowzięta, zachwycona, oczywiście do ekstazy, oczarowana, przejęta, podniecona do

tak zwanej „głębi“, czyli do samego spodu. Murzy-
niątko jest wielkie, wspaniałe poeta! ach! ach! ach!

Wisia tych poezji — z powodu zachwy-
sów achowych? zapewne! — nienawidziła; nie były
dla niej obojętne — były jej wstrętne, ohydne,
idiotyczne — zбочzone.

Raz gdy odczytywał pani Kle, wciśniętej moc-
no plecami w oparcie kanapy, wczorajszy rękopis —
słuchała z założonymi nogami, ręce w tył wyciągnięte
odpychały ją niejako — — czytał — — stanęła Wi-
sia w drzwiach i powiedziała jękając się i powta-
rzając słowa — co oznaczało u niej stan silnego
wzburzenia

— wsty — wstydzę się za ciebie — i tych
twoich bredni, wstydzę się — wstydzę! — poezje! —
których nikt nie rozumie —

Pani Kle zemdląła momentalnie — właściwie
tak się jakoś wessała w siebie, że na kanapie dojrzeć
można i było zaledwie suknię i jej szal, na którym
siedział kot z podwiniętymi jak baranek nóżkami;
widać był tu już poprzednio, choć go nikt nie za-
uważył.

Cyprjanowi krew uderzyła do głowy, krzyk-
nął:

— Wiśka —

A Wiśka jeszcze bardziej przybladła, ciemne
plamy wystąpiły wyraźniej na policzkach, czole i szyi.
oczy stały się wypukłe i wypolerowane:

— nie krzycz! — dość mam ciebie i poezji
i wszystkiego dość mam — i tego waszego ro-
mansu —

Suknia na kanapie poruszyła się, jakby w nią wiatr dmuchnął; kot zeskoczył i ukrył się pod kanapą.

— Wiśka! —

— jakto? jakto? — ty może myślisz, że ja tego nie widzę?, że nie wiem, że ta stara czarownica s..... (nie dawno przyswoiła sobie to słowo) się przy twoim czytaniu? — to jej obłapka — ja wiem — — tak, tak s..... się, s..... się — —

Wiatr zwał suknie i szal z kanapy na podłogę.

Wisia nagle rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Pani Kle poczęła budzić się z omdlenia—dygocąca, spocona, rozczochrana, z nadmiernie wydłużoną górną wargą, zerwała się, uniosła szal z podłogi — przewiała zimnym przeciągiem przez pokój — jeden i drugi — przez sień — — zatrzaskiwały się drzwi, okna otwierały się z brzękiem wstrząśniętych szyb — i zaraz znów odskakiwały drzwi i zatrzaskiwały okna — cały dom trzął się przez chwilę jak na sprężynie; — ze ściany spadł zegar i zaczął bić godziny bez upamiętania i bez przerwy, aż do zupełnego wyczerpania; wybił ich sto piętnaście.

Tej samej nocy, gdy Cyprjan wrócił od Wisi do swego pokoju i już głowę kołdrą nakrył do snu — usłyszał płacz i zjadliwie wygdakane słowa: — nie chcę! nie chcę! — on myśli, że jak przyjdzie do mnie dwa lub trzy razy na tydzień — to wszystko załatwione — o nie, mój panie, — brzydzę się tobą, brzydzę, brzydzę, brzydzę —

Uderzała pięściami w ścianę i łkała rozpaczliwie.

W przerwach między głuchymi stukami i chę-

kianiami słyhać było wyraźnie zjeżony pisk nieto-
perza w stojącej prostopadle za oknami nocy —
z poza ciętych w mroźne kwiaty krat piecowych
drzwiczek żarzyły się dwa rubinowe ogniki.

Wszystko stawało się nie do zniesienia.

Zmorowatość pleniła się jak karaluchy; kroku
nie można było postawić, by na nie nie nadeptać;
roily się wszędzie; do obrzydliwości; były w łóż-
kach, szafach, jadle i napoju. Dniem i nocą.

U Cypriana sumowało się jeszcze z tym za-
czepno odpornym rozgardiaszem duże wyczerpanie
fizyczne; żyć trzeba było tylko z gospodarstwa; —
wstawał o wpół do czwartej: odbywanie koni, obrok
w żłoby, siano za jaśła — cały dzień spędzał na ro-
botach polnych lub w obejściu, stodole, stajni; —
wieczorem o ósmej upadał już z nóg; — więc ciągly
szum w głowie, zapiekłe oczy, łatwa, zbyt łatwa po-
budliwość i nagły, czerwoną mgłą zasuwający wi-
dzenie, gniew. — Częstym i coraz częstszym argu-
mentem jego podczas licznych kontrowersji było
rzucanie o podłogę czym padło: szklanką, karafką,
wazonem, talerzem, lampą.

— to nie są argumenty przekonywujące —

— gwizdź ną argumenty —

— to są hałasy —

— Prosta, rozsądna, rzetelna natura Wisi po-
sępniała w atmosferze dwoistości i niewątpliwego
fałszu, w napierającym zewsząd zakłamaniu — no
i, po prostu w tym, że „ta baba“ żyła prawie pod
jednym dachem, w tym samym, w każdym razie,
obejściu.

I — co tu dużo gadać! — kobiecość Wisi, ele-

ment wyłączności, drapieżniejszy z dniem każdym, a może raczej z nocą każdą — miał rację swą i pełne racji tej uprawnienie.

Przecież zdarzało się, że wracającego, po zamknięciu stajen i szop, Cyprjana, napadała w mroku jakiejś ściany lub w gęstym cieniu drzew — przyczajona pani Kle — rzucała się nań — dobierała do ciała i z jękiem skamliwym wykonywała wymyślności różne — poczym wsiąkała nagle w pełną noc jak kozodój, jak sukkub. — Niejednokrotnie wypłazał ją chrapliwy śmiech, podobny do chichotu lelka; Genia: — wtedy Kle zrywała się z ziemi i lisim smyrgnięciem kluczyła w stronę głosu — sapliwe przekleństwa, piski, gulgoty i trzask łamanych krzewów świadczył, że odnalazły się: matka z córką.

Zawsze po takiej przygodzie Cyprjan z jakimś mglistego poczucia rekompensaty pomieszanego z impulsem instynktu samoobrony — odwiedzał nocą Wisię.

Pod wpływem udręsk, zazdrości, gniewu i obrzydzenia — pomiędzy ziemią dygocącą bębnieniem ogni zaporowych, a niebem rudym od pożóg i rozjęczonym dławionymi przekleństwami mordowanych — postawiona samotnie i bezradnie — oddalała się Wisia z dniem każdym od autentycznych racji życiowych, od ich powszedniości i świąteczności — od wszystkiego. Niewidocznie może jeszcze, lecz już dziwaczała, nie dla otoczenia, dla samopoczucia własnego. Zaczęła zaniedbywać siebie i wszystko wokół niej przechylało się, podmyte i wyjałowione, ku zamiedbaniu.

Pokój jej stawał się nieprawdopodobnie za-

gracony; nieład i nieporządek nieprzegarniony; przygnębiający. Stoły zavalone stertami papierów do pakowania, sznurków, pudełek, szmat, strzępów, popsutych, niezdatnych na nic przedmiotów; stołki, foteliki i kanapa — bezużyteczne — dźwigały całe zwaly brudnej, podartej bielizny, okryć, poprutych sukien, kapeluszy pomiętych i zgniecionych; we fiaskonach, z gnijącą na dnie gęstą, zieloną wodą, rozsypanywały się stare bukiety, otoczone, jak muślinem, strzępem muślinu z ślubnego welonu prababki, pajęczynami; szafa — bez klucza, otwierało się ją za każdym razem kijkiem — pełna starych trzewików, iks par pozsychnanych, dziurawych, na nic już niezdatnych, pudełek pustych z gilz, z pomadek; na półkach, zapchanych do rozpuku, trzaski i wióra na podpałkę, wśród tego skąpe gromadki chusteczek i libry bielizny, tej z prania; na niższej (półce) obok kotłowiska firanek i poszw, kawałki węgla (zaoszczędzone) i znów szmaty, szmaty, szmaty, kłęby rude starych wyleniałych futer, osypujące się kłakami postrzępionymi i stratowanymi — wszystko zaproszone, podpleśniałe, brudne, nie do dotknięcia — chmury kurzu — podłoga nie zamieciona, pełna pylnych skudleń i pakuł — okna popielate, jakby zalapione papierem bibułkowym, nieprzejrzyste, załamujące mgliste kontury pejzażu; — lustro duże, tremo, zasnutę bielmem pyłu, piegowate od much, odbijające, ślepe nieomal; było jak historia; zadawało się przeszłością; tym co minęło; — raz, czesząc się — z przyzwyczajenia przed nim, że to lustro przecież — rzekła, a tak całkiem naturalnie i spokojnie:

— wszy mam, wiesz —

Były to lata wojny; wszyscy wtedy mieli wszy; lecz bądź co bądź... I taki jej pokój, ta sypialnia jej schwywania ongiś w sieć pajęczą, a teraz w nią obandażowana jak grubym gieżłem; — jeśli ze ściany spadł z gwoździa za słabego lub źle wbitego jakiś obraz — zostawała po nim tygodniami pustka — tygodniami, miesiącami — : prostokąt o żywszej nieco barwie od zmatowiałej ściany, który sam przemieniał się zwolna w hieroglificzny obraz dający się odcyfrować z nierówności tynku, z pęknięć, szpar, kurzu i pajęczyn.

Słowo „nieporządek“ oczywiście nie wyczerpuje zagadnienia; to określenie nawierzchowne; ten inny ład, ten swój porządek, czy sobie porządek był wypadkową wielu urazów, udręczeń i kompleksów; — niezawodnie stwierdzić można, że element indolencji płciowej — brak t. zw. normalnego reagowania — odgrywał tu rolę zasadniczą; zanik erogenetycznej strefy analnej również — zanik, względnie brak; poczucie nieprzyzwoitości, czyli lęk przed domyślnością, w wyrażeniach skatologicznych, w wyrażeniach i czynnościach — zmniejszone i zdeformowane; zdrabnianie, i w tej formie deminutywnej, używanie słów, których zazwyczaj unikamy, było refleksem odległego komizmu dziecięcej ucieśności, równocześnie archaicznej, pierwotnej.

Tak oto te sprawy trwały do okresu, w którym pierwszy, demokratyczny rząd lubelski ogłosił wyzwanie spod militaryzmu obcego i przejście władzy w ręce pracy, a następny dokonał przesunięć.

które dziejopisarstwo zwykło określać mianem niepodległości.

W kilka miesięcy później zaangażowano Cypriana Fałna w charakterze referenta literatury w jednym, ze zbyt pochopną ambicją skreowanych, na krótki też żywot skazanych ministerstw. W charakterze referenta literatury — więc Ministerstwo Zdrowia w grę tu nie wchodzi: to jasne.

Wyjechał do stolicy.

Nagle, lachotliwe przypomnienie: jeszcze jeden rentgen! — zmierzył i odwrócił bieg myśli; — trzasnę w kupę wziąć — wstyd, do diaska! — nie histeryzować. Fobia przed fobią to bardzo subtelna fobia — prawie z czwartego wymiaru! — jakby cień rzucony przez cień.

Rankiem wywiązała się duża dyskusja; do separatki nadszedł list z Częstochowy: zaburzenia, bezrobotni — znów zabici i ranni znów.

— mnie to wszystko — powiada Nering, uśmiechając się do sufitu, bowiem leży na wznak, z podłożonymi pod głowę chudymi, białymi rękoma — mnie to wszystko przypomina kiereńszczyznę — : na zewnątrz objawy siły..... ..wewnątrz pustka, jałowość i brak — już nie idei — lecz wprost hasła, którym by można choćby na krótki czas podgrzać i podkarmić masę —

— i znów detaliczne spojrzenie — dzięki panu zorientowałem się, że jestem hurtownikiem; co do tej kiereńszczyzny to pan też przesadza; za dużo za szczytu; ostatecznie orientuję się z grubsza kto u nas

wypełni czy zareprezentuje fazę przemian, tę, którą tak nazywamy, jak to właśnie pan nazwał —

— domyślam się, kogo pan ma na myśli —

— mniejsza; to tylko chcę powiedzieć, że idzie, drogi panie o olbrzymią sprawę, o definitywną rozgrywkę pomiędzy umierającym światem, galwanizowanym nacjonalizmami, szowinizmami i zbytkiem zaufania w tanki i gazy a światem rodzącym się z oparów krwi, stąd ten wschód dnia taki czerwony, ku południowi zasobnemu —

— tak —

— urzeka i straszy oblicze nowego średniowiecza; — jakże się ludkowie radują tą obślizgłą definicją; każda facetka już mówi: pan wie? idiemy ku nowemu średniowieczu; najwięcej szafują tym słowem ci, którzy wogóle o ponurości średniowiecza nic nie wiedzą, lub zakapturzeni mnichowie i sadyści bez przydziału; w przełomowych epokach masa ludzi czeka na swój przydział —

— no? —

— dla mnie istnieje pewnik w y d o b y w a n i a się: z ponurości ku radości, z nocy ku światłu; — wskazuję panu na etap ewolucyjny ja — woluntariusz... panu — oficerowi, przepraszam, przodownikowi..., śmieszne to, nieprawdaż — ? —

— woluntaryuszostwo takie to chluba —

— czyja —

— pańska —

— dziękuję! —

— i nasza —

— nie moja, nie wasza — tylko i d e i! — i nie chluba tylko p r a w d a —

— a dalej — ? —

— w oczach naszych wyłania się dość zdecydowanie zarys rozległego frontu — spójrz pan na ten łuk idący od Francji, Thorez, po przez Asturię ku Katalonii, Caballero — oto napięty łuk z daleko-
nośną strzałą, wymierzoną w Europę —

— ja tu jeszcze krwawe rozprawy wyczuwam, za dużo reakcyjnych mas oficerskich zgromadzono na terenie marokańskim — taka junta jest niepokojąca —

Cyprjan zamilkł; nagły błysk rozświetlił przestrzeń — i wyłonił błyskawicą fosforyzujący obraz olbrzymiego rozbielonego miasta — bloki domów światłem górnym jak śniegiem pokryte — długa, ginąca w rozdrzganym ciepłym powietrzu — zatłoczona groźną masą ludzką — głowa przy głowie — pochód wielotysięczny — tu i ówdzie roztrzępotałe ręce i pnie twardych pięści —

Błysk gaśnie. Ciemno. Gęsta noc, przez którą przewala się daleki, rozgłośny w nagłej ciszy tej, szum pękających wód — — Błyskawica! — Teraz widać na pierwszym planie zatarasowanie — niewiarogodnie wysoko spiętrzona barykada, jakby się wieża zawaliła — stłoczone belki, cegły, bruk — pozbijane bezplanowo przęsła i przegrody — zarys geometryczny gwałtu i przemocy — na kanciasty występ czołga się — okropny stwór — ni to gąsienica czarna — ni to poczwara groźna — trumna wypychana od dołu natężeniem gniewnych, upartych rąk — — z trumny przez przednie wybite denko wystają ni to ślepiec ni to potworne żwacze — grube po-

deszwy twardych stóp, straszących umarłymi pa-
luchami z poza rozdartych skarpet — — a ponad nią
— przechylony już ku przepaści — on Cyprjan Fałn
z przerzuconą na kark głową, załamany w kolanach
— oczy przebijają zenit — — Ciemno — czarny
szum zagłuszył wszelkie widzenie — — szum —
szum — szum — — — — — — — — — —
i nagły pryskający ból pod lewą sutką — — smak
ostatniego pocałunku — i niepokój nagły, chęć ze-
rwania się i pobiegnięcia — szukać, szukać — gdzie
Maura? — chwytać za ręce, potrząsać — szukać
w oczach, na wargach szukać odpowiedzi: gdzie
Maura — ? —

To wszystko jest tak istotne, intensywne i au-
tentyczne, że bliskość z dalekością przedstawia się
w sposób najnaturalniejszy w świecie.

Słowa, które przedzierają się blade i zmęczone
śmiertelnie, po przez prostopadły, szeroki szum —
są nijakie; mózg je notuje jak słowa nieznanego,
zagubionego narzecza; i kto mówi? — niewiadomo.
Może być, że poniektóre słowa, zdania i zwroty
własne wymawiają usta; lecz to niema żadnego zna-
czenia.

I tak się płące zakończenie:

— ku czemu idziemy — ? —

— ku niczemu —

— wszyscy? — pan nieprzytomnie odpo-
wiada —

— wszyscy? — nie, ja mówię tu —

— Polska — ? —

— istotnie —

— jak — ? —

Już ktoś zupełnie obcy:
— jedynie instynkt mas odnajdzie drogę —
a ten przechyla się cały ku..... —
— wszyscy to wiemy —
— powiedzmy; każdy mówi „wszyscy“ myśląc
o sobie, swoich znajomych i wpływach. Dla mnie
cała rzecz jest znacznie i wyraziście dalekonośniej-
sza — nie tylko jakieś rozgrywki polityczno-eko-
nomiczne — —
— co —
— żyjemy na przełomie epok — na zwrotnicy
czasu —
— poraz ostatni rozegrają się w Europie wojny
religijne —
— panie! — panie! (— jeśli to Nering wrza-
snał, to jest w tej chwili niezawodnie uśmiechnięty
z oburzenia od ucha do ucha —).
Ktokolwiek ironizował — głos jego znajdzie
replikę (— czyją — ? —)
— no dobrze, dobrze — pan ma zaraz wyzna-
nia na myśli, tak myśląc błędzi pan i po omacku ko-
mentuje moje słowa; wyznania! głupstwo! — żadne
z wyznań nie ma ani krzty siły atrakcyjnej; wszyst-
kie skompromitowały się do ostatka; spójrz pan na
wyznanie tak zwane oficjalne — stało się (— i na
tym buduje! —) wiarą analfabetów, względnie, słusz-
niej mówiąc, analfabetek, kilku mętnych lub chorych
inteligentów o słabej woli i lęku myślenia, wreszcie
estetyzujących snobów z normalną domieszką mi-
łych, gibkoruchych pederastów; — nie panie —
mówiąc: „wojny religijne“ — mam na myśli systemy
normujące współzycie człowieka z człowiekiem i na-

rodu z narodem — pomińmy „rasy“ — bo to jest na terenie Europy agitacyjny bluff — pełny, wykonany, zamknięty pogląd filozoficzny (— „pięści“ lub „niepięści“ w tym się zamyka wszystko —), jednostronność agresywności myślowej, oraz ekrazytowość nabój entuzjazmu i fanatyzmu, przetwarzający ideowców w wyznawców; proszę niech pan sobie odtworzy cały szereg faktów po jednej i drugiej stronie, a przyzna pan, że fantazja o „wyprawie krzyżowej“ ma swój głęboki sens — ; — nie ci, oczywiście, którzy o tym butnie mówią, zadecydują; — wymowniejsze jest wielkie, męskie milczenie — zdrowe...

— zdrowe? —

— faszyzm jest zjawiskiem histerycznym i histerycznym — no i ta „zmowa mężczyzn“ deklasująca cały ruch do wilczych gromad —

— dopiero pierwszy kwartał roku — cóż on nam przyniesie — —

— zawikłania — to pewne —

Wszedł doktor Stochowicz; rzadki gość na salach chorych; naukowiec, ciągle w laboratoriach zajęty, wynalazca i eksperymentator.

Wygolony, do aktora i księdza raczej podobny (i ten siny nalot na policzkach) — oczy bystre, zielone; wita się od dołu zamaszystym wyrzutem ręki — często mija dłoń, którą chce uściśnąć, szuka wtedy po omacku, jakby ręka sobie, a on sobie.

Wesoły dzisiaj — znać wyraźnie, że zadowolone jego myśli zacierają ręce — :

— no, to już jesteśmy nie tylko na tropie, lecz





u końca eksperymentu — udanego, myślę, eksperymentu —

— cóż takiego, panie doktorze? — pytają wszyscy, choć wszyscy wiedzą, że to ta świnia —

— no, ze świnia —

Z tym to była cała historia; żył nią przez do-
brych kilka tygodni cały świat lekarski szpitala; i ta
seperatka też.

Szło o to aby dla celów leczniczych, dalszy ciąg
insulinicznych odkryć, uzyskać świeży sok żołądko-
wy. Zoperowano więc świnie, mówiąc po laicku, prze-
bito jej dziurę do żołądka; — powieszono ją na sze-
rokich pasach, jak to się czasem widuje w pismach,
gdy n. p. konie ładują na okręt, konie albo wiel-
błądy, a nawet słonie — i pobudzając jej apetyt,
a przez to silne wydzielanie się soku żołądkowego —
ściągnano go dreną gumową przez ten otwór właśnie
do probówki.

— świnia czuje się znakomicie, dbam o nią jak
o własne dziecko —

Nering natchniony materialistycznym poglądem
na świat, a zarazem altruizmem — zapytał:

— a jakże to jest, z jej odżywianiem — ? —
zamajaczał mu w zaroślach myśli kapitalistyczny wy-
zysk: ta dziura w żołądka; (natychmiast zresztą
uznał to za głupstwo —)

— tamponujemy na ten czas otwór i wszystko
w porządku, żre i trawi doskonale —

Cyprjan sięgnął po papierosa; wpatrzony ze-
zem w płomyk zapalniczki zobaczył, pomiędzy ogniem
a wysmykującymi się z gilzy żółtymi włosami tyto-
niu, szramę i pościągane fałdy zrostu na brzuchu

...wiadomo czym... po przepuklinie: lekarz wojskowy robił operację, dobrze ją zrobił, lecz ranę zaszył „niekosmetycznie“ — pacjentka po wyzdrowieniu robiła mu wymówki; rzekł? co tam już pani po ładnym brzuchu, ciężę go i tak nadwyrężyły; była osiem lat po ślubie; miała troje dzieci; bardzo się zawsze wstydziła tego pokiereszowanego brzucha; była kobietą bez pępka — — dziewczynka z przed sklepu lalek — — i potem — —

— — Zaciągnął się papierosem.

Mówi doktor Stochowicz:

— najtrudniejsza rzecz to kondensacja, wiecie panowie — dziękuję, nie palę — tego soku i właśnie dziś osiągnąłem rezultat dodatni; — panowie! — my pierwsi w Polsce i Europie, bo Ameryka, oczywiście, ubiegła nas; — teraz rozpoczniemy doświadczenia z chorymi — i znów kroczek naprzód —

Zacisnął palce dużych rąk, trzasnęło we wszystkich stawach.

— i panu — do Neringa — też coś wnet zaaplikujemy; odkrycie niestrudzonego profesora, to jest człowiek! — odkrył lecznicze elementy w ślinie ludzkiej, przeciw anemii właśnie złośliwej i przeciw białaczce —

— jakto śliny — ? —

— po prostu tyle a tyle porcji sliny ludzkiej dziennie —

— wypić? — to okropne —

— choroba okropniejsza — to wszystko —; jeśli się to leczenie śliną okaże skuteczne — wynalazek epokowy — epokowy --

Weszli lekarze: Maas, Oborski, Eilper i Ester; okno było otwarte; wietrzyło się; więc zrobił się nagły przeciąg, który zdmuchnął ze ściany ślady wypisanego palcem wskazującym słowa: Maura; — pomiędzy ruchliwymi głowami lekarzy przemknęło zwinnie i załśniło metalicznie na aluminiowej pokrywie w kuchni, nachwiała się i pokrzywiło przy pionowej szparze uchylonych drzwi — wreszcie wyłśniło się nieodwołalnie na kurytarz.

W seperatce wszyscy mówili o tej świni tylko i o ślinie.

Dnia tego wyprowadzał się ze szpitala Włodek Kusz.

Chudy, ubranie wisiało na nim załźnie jak na zbyt wąskim wieszaku; — bardzo blady i wymizerowany. Wsparty o matkę, wysoką, zażywną niewiaścę — szedł z uśmiechem; wilgotne oczy lśniły jak metalowe guziki. Obok kroczył doktor Oborski. — Wszyscy szczerze wzruszeni żegnali Włodka; wiadomo: spod tej łopaty!... cały organizm chłopca tak przecież jeszcze wątył bulgotał, jak śródleśne oparzelisko wiosną, radością: uciekłem — uciekłem — uciekłem — ; — idą chwiejne nogi — idą — i wiedzą, że dojdą na wieś, na zielone powietrze, na słońce i miodny dzień pod nagrzanymi drzewami. Bywaj zdrów!

Łóżko Kusza zajął wysoki, tyczkowaty, wąski i płaski inżynier kolejowy; od wielu dni czyhał pod drzwiami seperatki — w szorstkim, kąpielowym płaszczu, żółtym w olbrzymie kwiaty, tłoczone rozlewającym się kolorem ćwikły — — czyhał, śledził, szpiegował, przepytywał — kiedy? — jeszcze nie? —

pojutrze dopiero? — czy aby napewno? — na ogólnej sali, pan rozumie, jest niemożliwie, duszno, i ciągle ktoś kona, co mi za przyjemność — więc jutro już, panno Zosiu? — Siostró kochana — to byłoby tamto łóżko?, aha, no to dobrze, a czy na pewno jutro? — chwałaż ci boże.

Doczekał się zluźowania łóżka.

Diagnoza nowego lokatora: *ulcus ventriculi*, ale jakiś złośliwy, oporny, wogóle do niczego. — Pacjent skwaszony, kąty ust opuszczone, cera zbołała, w dół ściągnięta; małowówny.

Za krótki już okres na stowarzyszenie się, na zapoznanie się za krótki — niema nawet co zaczynać, więc tak tylko, co, gdzie i jak; żonaty?, aha; druga żona; po pierwszej synek czteroletni; — no, i że nie miewał nawet bólów, nadkwasoty, zgagi, gniecienia w dołku i takie ssanie, ale, żeby bóle, wcale nie; aż tu nagle krwotok — osłabienie, przymdlenia — więc w te pędy do profesora, a profesor powiada: szpital, tylko szpital, oddział profesora, obserwacja ciągła, i, że najpierw jakiś tam system kuracyjny a potem, zobaczy się, ale prawdopodobnie zastrzyki *larostis diny* (Roche), albo *natrium bensoicum* dożylni — jedno i drugie ma być bardzo dobre, nowe to, ale już wypróbowane; profesor; zawsze na wysokości zadanie, jak się to mówi, prawda — ? — ba, wśród wtajemniczonych przebąkuje się o leczeniu *ulcuzów* srebrem...

Sprawami społecznymi, pan inżynier nie interesuje się wcale; jak i literaturą; o poezji w dobrym towarzystwie wogóle się nie mówi; i wogóle nic go nie interesowało poza okólnikami ministerstwa ko-

munikacji; człowiek solidny i zrównoważony; to jedno wiedział napewno, że wszystkiemu złemu, całemu kryzysowi i bezrobociu winni są komuniści; żydzi i masoni też; ale przede wszystkim komuniści; z kominternu biorą forszę i robią zamieszanie, a to skrócone godziny pracy, a to to, a to owo. — Takie miał przekonania, na których wspierały się niziutkie, parterowe zasady; kurierkowicz; — poza tym człowiek miły, owszem, grzeczny.

Nering słuchał z zaślinionym, szerokim uśmiechem.

A Cyprjan już się spotkał ze Stanisławem Rzykowskim, który podczas wojny zamieszkał na jakiś czas w tej habendzie Fałnowej, a teraz, jako przyjaciel pana ministra był już w lokacji posadowej: starszy referent; on to sprowadził do stolicy Cyprjana, do stolicy i do ministerstwa. Sprowadził, jako przewidzianą i predestynowaną prawą rękę pana Ministra. Zaraz na dworcu tak to powiedział: musi się pan starać być prawą ręką ministra. Bagatela! Już po dwu tygodniach napisał z Warszawy do Wisi: przyjeżdżaj zaraz, choć na miesiąc; nie do wytrzymania!

Ministerstwo działało deprymująco, miasto podniecająco. Tyle kobiet! suknie obcisłe; guziczki sutek bezczelnie wysadzające bluzki. — Cyprjan poczuł się nagle sam, opuszczony, biedny, nikomu niepotrzebny. — I te kobiety, te pokusy; — jednym słowem: bardzo!

Napisał więc do Wisi: przyjeżdżaj!

I zawsze tak i zawsze tak samo: podniecenie,

rozwałęsana wyobraźnia i pewność dreszczem przejmująca, że dużo, że ciągle; wymyślne sytuacje; w sumie: nastawienie orgiastyczne co się zowie; dwunasta godzina! — Wszelkie doświadczenie — na tym terenie zwłaszcza — psu na budę zdatne — ciągle niepamięć siebie, niepamięć, że stosunek po takim napięciu wyczerpuje prawie wszelką chęć dalszych; że raczej wyrównuje żądzę obojętnością, może aż wstrętem? — chłodem w każdym razie; — niepamięć? — bo też to zupełnie niema nic wspólnego z zagadnieniem pamięci! — Dopiero myśl osiadła na innej kobiecie — jak łódź na mieliźnie — zainteresowanie się nią, może być zresztą bardzo pozbieżne, zwraca pobudliwość w łożysko właściwe. W definicji: stosunek (niekoniecznie „dokonany”) z X wzmagą ochotę na stosunek z Y i Z; nieco błędne koło; w tym wymiarze fizyki płciowej: kinetyki, optyki, akustyki; erotycznej — sprawa kwadratury koła i perpetuum mobile jest przejrzysta i niejako sama przez się zrozumiała; jest: oczywista. Wymiar piąty: erotyczny.

W owej chwili pożądliwości — to w pamięci zakarbowane, bo to się powtarza — pożądliwości do Wisi, która miała ją wziąć (Wisia — pożądliwość) za wszystkie inne (X, Y, Z) pokryła z pielęgnowanym umiejętnie przygluszeniem niedomogi — groźne, powiedzmy sobie, wcale groźne.

Jak oto niedawno, tu, w szpitalu, tak i wtedy myśli Cyprjana karmione pożądaniem były łagodne i wyrozumiałe; równocześnie, rzecz jasna, zacierały się przez oddalenie, podniesione do ikstej potęgi czujną, nigdy nie uśpioną neurastenią, szczegóły

ujemne, które acz zazwyczaj drobne, powszednie, codzienne, decydują o ogólnym — mizerackim zresztą — mizoginiźmie mężczyzn. — Owoczesne — chwilowe i częste — nastawienie erotyczne Cyprjana szło po linii pierwotnych gustów archaicznych, paleolitycznych, owych, z globów ułożonych, „wenus“ z Willensdorfu: ideał piękna ciała kobiecego z przed trzydziestu tysięcy lat, „wenus“ z grot mentońskich: dużo ciała, bardzo dużo kulistości, wszystkiego; abundancja!

A owe niedomogi?

Bo to tak: cały świat odczuwań odmienny, żeby pięknie powiedzieć: diametralnie różny; jego świat? — no, wiadomo: dążenie do ostateczności! — jej? — najskromniejszy: marzenie: uczciwe, prawe, spokojne małżeństwo w nienatłoczonych meblami trzech pokojach; właśnie: spokojnie; zrównowazenie; budżet ściły, bez niespodzianek; na pierwszego tyle a tyle, na to, na to, na tamto; wiadomo; i raz jeszcze: spokojnie; bez burz zewnętrznych; można się bez nich obejść; i bez wewnętrznych; te są wogóle o wszystkim decydujące; więc unikać! — Jakże się kiedyś zdziwiła, gdy jej powiedział, że od myśli poniekórych i ich słownej realizacji blednie i ciarki mu chodzą po ciemieniu, jakby ktoś na gorącą skórę zimny piasek sypał — włosy stają na głowie — od spodu, spod skóry niejako wieje olśnieniem i zachwytem! — rzekła: tak? — ; — w tym potakującym pytaniu było zdziwienie pełne rozczarowania; t.o.n.i.e.w.r.ó.z.y.ł.o.w.s.p.ó.l.p.r.a.c.u.j.ą.c.e.g.o.s.p.o.k.o.j.u!

Dalej — rozważania — o Wisi —: prostota,

prawdomówność, logika myśli, poglądy skątkrety-
zowane i zamrożone — zabalsamowane, mumiuwate
nieomal. — Konserwy myśli i uczuć! — to nie jest
strawne, tym się nie można stale żywić. Brak wita-
min; te są w świeżości i zieleni! —

No tak — a reszta? — pyta Cyprjan i stawia
horoskop:

— reszta to wzwyczajenia; robi się —

— jakie „się“ — ? —

— „się“ to Wisia —

Więc:

robi się pro forma to co robią — względnie
robili — inni; — lecz bystrość myślowa, w tym
szczupłym kręgu świadomości jaki zakreślała w swym
życiu zbyt zacisznym, można rzec, zatęchłym — jak
zatęchłe bywają rozlewne stawy śródleśne nie po-
zbawione przecież uroku jak nie pozbawione moż-
ności odbicia chmur, nieba, drzew, paproci, pełne
utajonego życia, nieprzeliczonego bogactwa form ży-
win najwymyślniejszych — w tym jednak, jeśli o roz-
ległości widnokręgu myślimy, szczupłym kręgu, by-
strość realizmu nie pozwalała na wiarę w nonsensą
jakiegokolwiek: wyznaniowe, rasowe, szowinistyczne,
państwowo-supremacyjne; i tu już były szacowne
złoża, wartości cenne, wyprodukowane samodzielnie
w chłodzie i rozwadze bezegzaltacji. Bez wszelkich
wolnomyślicielstw, narzucań, wpływów, dyskusji,
bez wysiłku czy walki jakiegokolwiek skonstatowała,
że opłatek jest opłatkiem i nie może żadną miarą
być bogiem; bóg zapładniający dziewicę to piękna
jupiterska nieprzyzwoitość, lecz jako dogmat po-
dane — grubszy kaliber, dostrzeżona nędza, głód,

bezrobocie, analfabetyzm — z drugiej strony niszczące wszelką logikę bilansową napęczniałe budżety wojenne — oburzały ją i irytowały do błądzenia, do drżenia warg i rąk, gdy w sposób sobie właściwy jąkliwy i zbyt jawnym afektem nieprzekonywujący, kłótniwy, mówiła o tych sprawach; — miała wrodzoną i doświadczeniem popartą antypatię do bogactw, niechęć do rodowości, arystokracji, splendoryzmu militarnego. Była radykąką społeczną urodzoną, tak, jak rodzą się prorządowcy —

— więc wszystko w porządku —

— w zasadzie, mój szanowny interlokutorze, tak — wszystko, co rzekłem w myślach, w tym szpitalnym ustroju, którego ustawodawstwo jest nieco odmienne i inaczej obowiązujące niż u społeczeństw tak zwanych zdrowych — jest cenne i szacowne —

— zgadzamy się więc —

— słuchaj dalej:

wszystko to było jednak jakoby bezcelowe, zbyt osobiste, tak, że siła promieniowa tych ważkich elementów sięgała — no i sięga — nie wiele poza obręb skóry, poza jej zawsze istniejące, choć niewidoczne puchowe owłoszenie; pomyśleniom i decyzjom brak wyrazistości podażowej — były, a więc są, czy więc i będą? — bez seksusu —

— bez...

— bez jądrowej promienności i płomienności —

— myśli dorodne lecz eunusze —

—

Inżynier pojękiwał w ataku bólu.

—

I tak we wszystkim; nie było, nie było pożądli-

wego nastawienia, które jest istotą i zapędem wszelkich pełnych ziarn myśli i drapieżnie zakorzenionych czynów. Przeto zatrzymywała się wszelka wartość w zetknięciu ze światem t. zw. zewnętrznym — już nie tylko jego, Cyprjana Fałna, lecz wogóle.

Żądania jej, Wisi, były żądaniami chłodu; emanowała ciąg mroźny; w natrafieniu na warstwę ciepłą, choćby tylko ciepłotą krwi, trzydzieści sześć z kreskami, — tworzyły się wiry i zdradliwe prądy.

Tutaj, w tej sferze rodziła cherlacka niedbałość w stosunku do własnej osoby, więc i osobistości, brak absolutny wyczuć jakiegokolwiek ponętności; — o enterieur już wiemy; dalej, pościel brudna, miesiącami nie przewłoczona? — obojętne; — bielizna nieczysta? — obojętne; — zmięte i postrzępione suknie? — obojętne; i wszystko tak i ciągle.

Czad obojętności gasił i omatowiał wszelką lśniącość i czystość, zadymiał, zaśniedzał, zpleśniał. W koszuli niezmienionej po miesięcznej sprawie postrafiła przyjmować Cyprjana w łóżku; bez obrazy niczyjej; coś tu jest nie w porządku. Najprymitywniejsze zabiegi higieniczne nudziły ją i nużyły; wnętrza ud smagłe i przypalone były zawsze wilgotne i lepkie; okresy upław docierały do szczytu deprymacji bezopornej i śliskiego dysgustu.

Na obgroźniałe, najeżone szorstko zjawiska, które roily się od pytań jak gniazdo zaskrońców miała napodorzędziu odpowiedź niedostateczną: — nieuregulowany tryb życia, brak stałych dochodów, nieobliczalność kapryśnych wpływów; — no: — co tu o czym wogóle gadać i stonożyć się wymówkami i perswazjami, gdy nie można zrobić budżetu na mie-

siąc, a jeśli nawet — to niesposób trzymać się go — bo tu brak, tam coś zawiodło, ówdzie niespodziany spłąt; zapomniało się, a tu masz! — ten się upomina, tamtemu jeszcze z zeszłego miesiąca, ba — roku! — w takich warunkach — — gdy głowa pęka, żądać odemnie, żeby...

Gospodarstwo wiejskie, którym trzeba się jednak było zająć — obce jej i uchem jedynie znane — nuzycło ją, niecierpliwiło, nie rozumiała go, serca doń nie miała; — dziwiło ją z początku, i później też, że ledwo się zorze, posieje, zbierze — znów orka i znów to samo — i tak wciąż — latami — bez końca — bez nadziei wytchnienia dla ziemi i człowieka...

Jej życiem, sensem jej życia, byłoby patrzeć nie na przesuwające się zjawiska i zdarzenia, bez brania w nich czynnego udziału. Fotoplastycyzm od strony widza; a była świetnym widzem, doskonałym obserwatorem; wady, niedokładności, przyzwary zauważała szybko; nielogiczności wychwytywała w lot; pamiętała lata; umiała imitować głos i wymowę, naśladować gesty i ruchy; utajony talent aktorski.

Lubowała się w samotności bez odczuwania nudy osamotnienia. Nie miała żadnych potrzeb kontaktowania się z kimkolwiek; nie miała przyjaciółek; z nikim nie potrafiła się żyć; goście byli zawsze niechętną niespodzianką, udręką; zawsze.

Tak w najgrubszych konturach rewindykuje Cyrprjan elementy zjawisk, które w pospolitym ujęciu wynazwiają się nijako: brakiem woli, niezdecydowaniem, i inaczej też: rozmaicie; — słowa bez pokrycia i bez przydziału.

Medytacje; — a tłem muzycznym jest akompaniujące postępowanie nowego pacjenta, w paroksyzmie ostrego bólu.

Dogrywają się myśli jak ostatnia część symfonii d-dur —:

gdy się ma inne, odrębne nastawienie życiowe — trudno i niesposób o tym wszystkim — ma te właściwości Wisi na uwadze — pamiętać; — co pochwila też uderza świadomość o przeszkodę nieelastyczną. — W pożyciu wszystko wychodziło na nieumiejętność, niechęć i opór; — odpowiedź likwidowało się — z jej strony — częstym, zbyt częstym „mhy“; wszystko co skomplikowańsze i warte pokusy rozsypiania — odpadało; pozostawały tylko troski, które walcowało się ad infinitum; — i pozostawał pociąg rzadki — z jego strony — lecz silny, autoramentu brutalnego; ileż razy słyszał rano jej słowa: „ktoś mnie dziś w nocy zgwałcił“ — był wtedy, gdy był — nie korzenił się w marzeniu pożądliwym.

Dopiero teraz.

Przy zmienionym do gruntu tle.

W nowych kulisach: miasto!

W tym nagłym podnieceniu, wywołującym wiązje lubieżne.

Stolica — ministerstwo.

W tym — wreszcie — absolutnym vacuum pisarskim!

Ohydne okresy! — Okresy trupie i fermentujące, gdy etap co dopiero zdobyty zaczyna ciążyć i nużyć; już jest przewyciężony — —

— czymże jest twórczość wszelka, jeśli nie ustawicznym przewyciężaniem — ? —

Do nowego etapu jeszcze kęs drogi, kęs czasu — i tu ta pustka, bezwład, równomierne przyciąganie, stagnacja, nicość prawie; dysgust i gorycz obrzydliwa; lęk: co teraz! strach: a jeśli nie! — miejsca posępne, urodzajne dla natręctw samobójczych.

Że w retorcji mózgu, zasilanym krwią rytmicznie, coś się samorzutnie dzieje, zdarza i wytwarza, coś po za i po przez wolę destyluje — produkt niby, napój skondensowany, balsam, eliksir? — zaledwie odbłask nikły tego alchemicznego żaru przedziera się ku świadomości — a ta jest zaniepokojona, głodna, błędna, przerażona. — Poeta jest tylko w swym dziele; w nim jest cały. Żyje wciąż i wciąż umiera; ciągle agonie spoufalają go ze śmiercią; twórczość jego jest pasem ratunkowym; i tu i wszędzie i zawsze jest tylko zjawiskiem przyrodniczym — wciąż wzrastającym — wciąż obumierającym — wciąż, a coraz bujniej, dorodniej, p o ż y w n i e j owocującym. Drzewo życia.

Inżynier jęczał wciąż. Cyprjan wstał i podał mu proszek: belladona i papaverina; to uciszy.

Wracając do łóżka — na kilkumetrowej przestrzeni szpitalnej podłogi — potknął się w myśli o próg cytatu, który kiedyś wpisał do notatnika: „kto zaś istotnie walczy za sprawiedliwość, ten, jeśli choć na czas krótki zachować chce własne istnienie, koniecznie musi działalność swoją ograniczyć do życia prywatnego, a do rządów ludowych nie mieszać się wcale“ —

— dlaczego właśnie teraz do zdanie — ? —

Posmutniał nagle.

Ogarnął go gwałtowny, nieznośny lęk i niecierpliwa nostalgia za domem, jesionami starymi przed oknem, za tym kęsem krajobrazu, który był od lat tłem jego wszystkich myśli i prac, za owalnym biurkiem, za ciszą, którą obrósł dom jak mchem.

A ten cytat? — tak przecież rzekł w obronie swej Sokrates — i nie obronił się; został skazany na śmierć w roku trzysta dziewięćdziesiątym dziewięćty przed narodzeniem Chrystusa, a czterysta trzydziestym drugim przed skazaniem Chrystusa na śmierć — a może to wszystko dopiero dzieć się będzie w dwutysięcznym trzysta dziewięćdziesiątym roku antychrystowej ery? — a może po prostu w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku? — w tym roku — ? — —

Usiadł na łóżku.

Notatnik — nie, to właściwie nie notatnik, lecz kalendarz czerwono oprawny; ma taki zwyczaj wpiśiwania w kalendarze kieszonkowe myśli, pomysłów, cytat obok adresów i co tam załatwić pilnego.

— dziękuję, uciszyły się jednak bóle —

Taki moment „kliszowy“, wyświecenie nagle — a wtedy zwraca pamięć najdokładniej, z nużącą skrupulatnością i rachunkową pedanterią zdarzenie nie wiele skąd inąd znaczące.

W tej chwili widzi tę stronicę „Dzienniczka kieszonkowego na rok 1936 z taryfą pocztową“ —

Momenty kliszowe zdarzają się najczęściej po wyteżającym pisaniu; więc w tej chwili cały seans pamięciowy wyłania się bez wyraźnego bodźca; chyba ten niepokój nieokreślony.

Stronica lewa, u góry: 22 lutego — duże L — sobota — w pośrodku tłustym drukiem 23 lutego — niedziela — ołówkiem anilinowym: okolica myśli — dwa razy podkreślone, — adres: Jadwiga Ziemiecka, Puławy, Instytut — —

(— nie odpisałem, a to takie wielkie, jasne zdarzenie —) poniżej, nieco wskos, owo zdanie z „Obserwacji Sokratesa“, atramentem; dalej znów ołówkiem zdanie: zdrowia (fizycznego), żądają od nas ludzie chorzy (umysłowo) (do elementów wojny) — u dołu — atramentem — jeszcze jeden cytat — z Goethego —: „dzieło sztuki może mieć i ma następstwa moralne, ale żądać moralnych celów od artysty, znaczy psuć jego powołanie“ — ; — w samym rogu napisane: weksel na 100 złotych piatny 28-go; pamiętaj!! — dwa olbrzymie wykrzykniki zieloną kredką —

Inżynier w płaszczu kąpielowym — stanowczo przeważa buraczkowy kolor — przygarbiony, skurczony, oburącz przyciska żołądek — wychodzi —

— nie mogę wytrzymać w łóżku — wyjdę na kurytarz —

W drzwiach zachwiał się — poszukał równowagi ręką — płaszcz nie przytrzymał się i wypełnił sobą cały próg drzwi — ; — zebrały go trzęsące się ręce niecierpliwie. Wyszedł.

Nagle wyświetlona stronica! — Pomiędzy doraźności — weksel i tak zaprotestowany — narosło kosztów drugie tyle — to zawsze tak — i ten kalambur myślowy o zdrowych i chorych — — pozostają dwa cytaty, dla których — niezawodnie — pamięć wskrzesiła męcząco i natrętnie — mógłby to być

jeszcze adres — tę stronicę w czerwonym kalen-
darzu —

Czy to napomnienie? przestroga?

Po wyjściu inżyniera cicho; mrok zapada i po-
krywa szarym oddaleniem chory nieład seperatki.

Wątle urredzawko za oknem nachwiewa się mo-
notonnie i żałośnie.

Skądże, w jakim celu ten wychluzt nagły z pod-
świadomości i zapomnienia? —

I znów to niepohamowane, drzące uczucie lęku
i niepokoju ubezwałdniającego —

Łomoce serce, nieregularnie tętni krew, rozsa-
dza żyły (— strach, że się zaraz umrze —).

Zatraca się poczucie rzeczywistości — podłoga
przepływa jak tratwa na nocnym morzu, na której
rozbitek wypatruje świtu i ratunku — mare nubium—
mare tenebrarum —

Drzy ziemia — słycać jej łoskot i chrzęst
(— łańcuchy górskie —) i świst w mijaniu świetła-
nych smóg i stożkowatych cieni planet —

Pierścieni się i syczy jak woda na rozpalonym
żelazie — Saturn —

Z ziemi jak z olbrzymiej, pełnej piersi wyrasta
w mżącą przestrzeń dwupostać w zachwyceniu,
w przegięciu miłosnym —

Misterium globu —

Zrastają się kolana sńiade z lśniącym pięknem
jasnych biodr — i torsy wrastają w siebie jak drze-
wa — jak z bukiem brzoza —

Usta wszęptują sobie nachyloną winną wieść:
miłość — a to brzmi jak wieczność, pachnie jak
ozon —



I co i gdzie ma się stać w pomyleniu człowieczym — ? —

Co i gdzie — ? —

Obraz eleuzyjski wyrwany z obłądu gaśnie i zasnuwa się bielmem szumu —

Po przez natężający się, huczący szum jeszcze widać krążące planety nieme już jakby senne — i Saturn —

Wynagiony, arkadyjski akord pieśni nad pieśniami omotał złowróźbny szum, otoczył strugami jak mackami głowonoga, porwał, zgniótł, zmiażdżył i rzucił w przepaść rozwartą u czarnych stóp prometejskiego Kaukazu —

Lęku! Trwogo! Wieczysty cieniu człowieka!

—

Cyprjan już leży w łóżku.

W białe ciało strumieniami żył wpełzł bolesny niepokój; nie opuści już zdobytego organizmu aż ..

Rytmem przyspieszonego, niespokojnego bicia serca odpomina mózg do końca tamten okres nawrotu agonii; okres przerażający; pusty, bezduszny, opustoszały, męczący obcym, jakby nieosobistym podnieceniem płciowym, a równocześnie naporem degradujących natręctw samobójczych — czyhały jak złośliwe bakterie na moment osłabienia.

Pożądał wsparcia, współistnienia, temperatury ciała. Byle nie sam, byle nie sam — w tej chwili zwłaszcza nie sam, bo — —

Wisia wysiadła z natłoczonego wagonu. Czekła na dworcu. Była brzydka, zmęczona podróżą, źle ubrana, obładowana pakunkami. — Jaknajusilniej i natychmiast przepłaszał to pierwsze wrażenie, to złe,

degustujące wrażenie. Wmówienie udało się; klisza została.

Wisia zamieszkała z nim w pensjonacie; spał z nią co noc.

Z współlokatorów, prócz Rzykowskiego, nie znali nikogo — było ich zresztą niewielu w tym czasie — pensjonat niedawno otwarty — nie przyciągał; dopiero później zaczęło się właścicielce pani Schoenowej niezgorzej powodzić.

W ministerstwie Cyprjan również jeszcze czuł się obco; z nikim bliżej; i również dopiero później: koleżeńsko.

Więc żyli sami we dwoje — i dobrze im było z sobą. Synek został u babki, więc z tym spokój; opieka.

Wąłęali się po mieście. Wisia była kiedyś już w Warszawie, za rosyjskich czasów; teraz wydało się jej całe miasto odwrócone; topograficznie; — miała jednak dobry zmysł orientacyjny — rozeznała się w ulicach łatwiej i prędzej niż Cyprjan. — Stare miasto, Łazienki; olbrzymi, kopulasty sobór bielił się na Saskim Placu.

I najmiłsze chwile: u kustoszki muzeum etnograficznego na Krakowskim Przedmieściu, pani Heleny Kamińskiej, w atmosferze ładu, sztuki ludowej, zapału i wielkiej dobroci.

Od wielu lat korespondował z nią Cyprjan, jeszcze wtedy z Dąbrówki, gdy to znalazł w marysinym

(— westchnienie —)

domu stare chłopskie obrazy.

Teraz poznali się. I — o dziwo! — Wisia po-
lubiła panią Helenę; jedną z dwu kobiet, dla któ-
rych żywiła szczerą sympatię — —

(— bo i Jadzię Ziemięcką — ale to później —)

zachodzili często do tego nieco dziwaczного
mieszkania na Krakowskim; — najpierw sień dłu-
ga — potem podwórko brukowane, obramione krze-
wami bzów i tawuł, — olbrzymi kamienny lew,
krewny tych leżących przed gmachem prezydialnym
rady ministrów — obok tego samotnego lwa wej-
ście na strome, załamujące się w prawo i w lewo
schody — i tu; — pokój duży, sala raczej, podzielona
szafami, kredensami, półkami na kilka przestrzeni
i sfer: tu kancelaria, tu sypialnia, a tu salonik, a tu
jadalnia; — schludność wszędzie nadzwyczajna;
zawsze jasny, czysty dzień; a wszędzie sztuka ludo-
wa lub przemysł ludowy; to przeważa; lecz są i płas-
korzeźby Wittiga, akwaforty Pankiewicza i kapital-
ne rysunki Wawrzenieckiego, genialnego majstra
i wizjonera, który czeka na swego odkrywcę. —
Pośród tych z uroczym umiarem rozplanowanych
przedmiotów — gospodyni miła, rosła pani o pul-
chnych, rumianych policzkach, ślicznych oczach
z nieco ciężkimi, ciężącymi powiekami — uśmiech-
nięta, ruchliwa, czynna, dbała — ; — z uczuciem
autentycznego wzruszenia, z miłością wypomina się
ten krótki okres pani Heleny kolorowym uśmiechem
w pamięć wpisany — (— nawet niewiedomo kiedy
powróciła tratwa podłogi dalekich wód; — jest jak
poprzednio i jak zwyczajnie: podłoga pośród kon-
sekwentnych ścian —)

niema cię już dobra, entuzjastyczna pani; rzad-

kie są o tobie myśli — lecz zawsze ciepłe i czułe i z dotkliwym poczuciem pustki w tym miejscu, w którym żyłaś, pracowałaś i kochałaś wśród pisanek, wycinanek, haftów i pięknych naczyń, których deseń, ozdoby i szkliwo podziwiałaś mądrymi oczami i rozumiejącą ręką.

I tak się tylko mignęło jak odwrócona ilustracja na lśniącym papierze.

Miesiąc zleciał raz-dwa; Cyprjan uspokoił się znacznie.

(— i w tej chwili kojąco to działa —)
odetchnął, spogodniał.

Szkoda, że tak krótko! — lecz dłużej Wisia nie mogła; gospodarstwo, interesa, diabli wiedzą co.

I znów to najwstrętniejsze miejsce świata: dworzec, kasy, poczekalnie; zaduch, pośpiech, popychania, krzyki, gniewność, niecierpliwość.

Natłok potworny; mało wtedy było tych pociągów; kiepskie; klekoty; szyby powybijane, okna zabite deskami; brak oświetlenia, pasażerowie brali ze sobą świeczki w podróż; dewastacja, dewaluacja. Wyścig mętnych zarobków. Ludzie na zdyszanego doganiali interesa; chwyтали je w biegu, w locie, pod kołami, na dachach wagonów, na stacjach, przy stankach, zwrotnicach; w kościołach, bankach, fabrykach, na przedmieściach, wsiach, w szczerym polu — wszędzie; taka firma wywozu drzewa, impregnowanego w lesie za żywa przeciwnym zastrzykiem — zwała się „Kobra“; to symbol! nazwa! — kobra! kobra! — wszystko i wszędzie: kobra!

Do wagonów włąziło się, zwyczajnie, oknami po nogach, ramionach i głowach ludzkich; za-

łapanie miejsca to tak jak załapanie posady; — ła-
mały się często te ramiona i nogi, pękały głowy
mniej twarde. Więc jęki, wrzaski, klęcia, bitki;
zwierzęca walka o byt; o miejsce siedzące.

Przed dworcami permanentnie dyżurowało po-
gotowie ratunkowe.

Na stację przychodziło się na kilka godzin
przed odejściem pociągu. Szukało się go na boczni-
cach oddalonych o kilometr i więcej od stacji. Stał
tam ślepy i zimny, rojny niespokojnymi ludźmi, jak
trup robactwem.

Silny, rosły bagażowy zarabiał wtedy wiele;
narażał zdrowie i życie.

Cyprjan ugodził dnia poprzedniego takiego
wielkoluda — więc miała Wisia miejsce siedzące
w ustępie na klapie klozetowej; dobre i to — za-
chwalał olbrzym; w ciasnej tej ubikacji stało poza
tym pięciu zardrosnych pasażerów jak gawrony
przypatrujące się z nienawiścią wronie obrabiającej
kość.

Wisia zmęczona wielogodzinnym czekaniem
i zdobywaniem miejsca zrozpaczona koniecznością
powrotu w nieprzychylny dla niej, obcy i wrogą za-
kamarek świata, w tę przywarowaną samotność —
była jak błędna; — nie mówiła nic; nie odpowia-
dała na pytania.

Olbrzymie oczy jej pływały poza szeroki-
opadem lez jak czarne gondole w ulewnym deszczu.

Prócz bagażu wiozła ciężką, ołowianą rozpacz.

Jeszcze ostatnie bieganiny — krzyki — odpa-
dania lękliwszych od natłoczonych schodów — po-
żegnania i płacze — przecinania się tysiąca płaszczyn

spojrzeń i gestów — — szarpnięcie, churkot, sapa-
nie — pociąg ruszył.

Cyprjan chwilę biegł obok wagonu — machał
kapeluszem w stronę okienka zapłakanego do ostat-
ka; gromady współbiegnących i te podążające na-
przeciw ku innemu pociągowi — rozdzieliły go od
małej suchej ręki, z której okapywała szara, zwiędła
chusteczka.

Rosła pomiędzy nimi przestrzeń, wypełniała
się parą, dymem i gęstniejącą, grząską nocą.

Mięsi się i tęsi ulica Marszałkowska błotem
i ludźmi.

Nizko nawisłe chmury jak mokre płachty budy
cyrkowej — siąpią opustoszałym chłodem.

Gwiazd nie widać; skądże; wyższe piętra są już
ślepe, oparami zasłonięte jak krepą. Umarłymi da-
chami wrastają domy w wilgotną, obślizgłą nicość.

Pusto. Rozpaczliwie. No — źle!

Na usta przypelzła jak glista z dalekich, nczys-
ich zwojów mózgu śpiewka, ta śpiewka z dzieciństwa,
głupia i nonsensowna:

— *u kaczóra złote pióra*

— *u kaczuszkł złote nóżki*

Z tym nuceniem bladym wymija Cyprjan prze-
chodniów ciemnych na tle oświetlonych wystaw;
skręca w prawą bocznicę; szuka napisu; upewnia się;
takie te ulice jednakie.

Na rogu gromadka dziewcząt; palą papierosy;
przy każdej mijanej sylwecie męskiej słyhać: „może
pójdziemy?“ — „chodź chłopczyku“ — „psiakrew“ —

Pośród nich jedna rosła, piersiasta, z silnie odstawionym kuprem, twarz piękna, wyzywająca, duże, lśniące zęby. I do niej to powiada od dołu trójkątny lisi zarys twarzy pod rudą zmierzwioną czupryną — na którym w mgle perłowej dwie krechy węglowe brwi wysokich i czerwone serce warg — ani oczu, ani nosa — :

— te Dora, ale ci facet pod gazem —

Zarechotało śmiechem i zakręciło w zalotnym obrocie — aby ze wszystkich stron —

— te, mały, daj papcia —

U kaczoła...

Cholera!



Koniec tomu pierwszego



